

LAVIE TIDHAR

STULECIE PRZEMOCY



UCZTA WYOBRAŹNI

STULECIE PRZEMOCY

LAVIE TIDHAR

**STULECIE
PRZEMOCY**

Przełożył Grzegorz Komerski

**Wydawnictwo MAG
Warszawa 2017**

*Dla Elizabeth,
mojego własnego letniego dnia.*

Huk wystrzału we mgle.

Zwłoki, zimne i zbiegłe, unoszą się na falach Haweli. W martwej dłoni zaciśnięty skrawek materiału.

Młoda kobieta powieszona na sznurze skręconym z własnego prześcieradła. Jej długie czarne włosy wciąż są wilgotne. Gromadzimy te obrazy powoli: Czołg przypięty pasami do stołu, przez jego ciało przepływa prąd.

Oświęcim.

Człowiek Wilk.

Samolot wbijający się w ścianę drapacza chmur. Pole czerwonych maków, jak okiem sięgnąć.

Wyrastający gwałtownie ze śniegu lodowy golem.

Na kim się skupimy? Cienie umykają przed naszymi spojrzeniami. Obserwować znaczy zmieniać. Niemniej:

Oblivion, Fogg.

Tak wiele śmierci.

Stulecie przemocy. Od czego się zaczęło? Przesiewamy wspomnienia, stare nagrania, przykurzone rękopisy. Prawdopodobieństwa łączą się ze sobą. Jest tak wiele śmierci, lecz w jej centrum znajduje się miłość. Obserwujemy. Tak wiele cieni.

Czym się skończy?

Rozpoczyna się — być może — tak:

1. FARMA DR. VOMACHTA, wtedy

Główny budynek gospodarstwa stoi samotnie pośród morza zielonej trawy. Białe, sypiące się miejscami kamienne ściany kojarzą się ze starodawnym fortem. Jakiś czas temu zamontowano tu instalację elektryczną. Doprowadzono wodę. Na dachu sterczy radiowa antena. Jest skrzący się, jasny dzień, słońce oślepia. Z intensywnie błękitnego nieba emanuje czysta, żółta energia. Gdzieś w domu gra muzyka, cicho. Słychać trzaski. Gramofon. Francuska piosenka. Poszczególne dźwięki zawisają na moment w powietrzu, po czym zastępują je kolejne. W dali za farmą wznoszą się góry, kredowoniebieski kontur. W trawie bzyczą owady. Lato. Skądś, być może z pobliskiej wsi, której jednak stąd nie widzimy, dolatuje woń świeżo zżętej pszenicy. Z komina farmy unosi się dym, biały na błękitcie nieba.

Idylla. Tego słowa za każdym razem szukamy.

Na łące stoi dziewczyna, pomiędzy farmą a niebem. Ma długie jasne włosy. Jej skóra jest biała jak chmury, oczy niebieskie jak niebo. Włożyła na siebie cienką białą koszulę nocną, w promieniach słońca niemal przezroczystą. Jest w ruchu, wiruje z dłońmi na biodrach, przy każdym obrocie kreśli jaśniejące linie.

Oglądacie?

W powietrzu zawisa motyl, pomiędzy dziewczyną a farmą. Żółty. Wisi niemal zupełnie nieruchomo.

Złożone oczy owada patrzą ponad łąką. Dygocą czułki. Motyl ma na skrzydłach wyraźny rysunek, białe oczko i czarne kropki rozmieszczone wzdłuż krawędzi na kształt kosy.

Oglądacie?

Muzyka w budynku nagle cichnie, urywa się. Płyta obraca się bezdźwięcznie. Powietrze...

Dziewczyna zastyga w bezruchu, jej ramiona unoszą się, jakby się próbowała obronić przed czymś niewidzialnym. Farma migoce. W niewytłumaczalny sposób faluje, jakby składające się na jej ściany cząsteczki, wszystkie naraz, zostały nagle gwałtownie pobudzone. Budynek emituje dziwne zniekształcenie. Bezgłośna fala wybiega gwałtownie ze źródła i rozchodzi się koncentrycznie na zewnątrz. Motyl nadal wisi w powietrzu, lecz jest teraz w pewien sposób odmieniony. Gdybyśmy mogli lepiej mu się przyjrzeć, zobaczylibyśmy, że wyraziste oczko na jego skrzydełku nie jest już białe, lecz lazuruowe, barwy letniego nieba. Czas jakby zwolnił, zamarł, po czym nagle ponownie przyspieszył. Dziewczyna dopełnia swego obrotu. Zatrzymuje się.

Opuszcza ręce. Motyl odlatuje. Dziewczyna spogląda na farmę.

Fala zniekształcenia rozprasza się w oddali i znika. Dziewczyna patrzy na swoje białe stopy.

Zielona trawa. Żółte słońce. Błękitne niebo. Białe chmury.

Idealny letni dzień.

JEDEN

PUB „THE HOLE IN THE WALL”

LONDYN

teraz

2. DZIELNICA SOUTH BANK

Noc. Znad Tamizy wieje zimny wiatr. Londyn. Olbrzymi, spowity wieńcem świateł diabelski młyn obraca się powoli. South Bank. Południowy brzeg: pary spacerują, trzymając się za ręce. Stojący przy wejściu na dworzec Waterloo mężczyzna rozdaje darmowe egzemplarze „Evening Standard”. Bezdomny sprzedaje pod arkadami „Big Issue” — wbija spojrzenie w wysokiego, przechodzącego obok człowieka.

Nieśpieszny krok. Wysoki i chudy. Wydatne kości policzkowe. Przystojny. Czarne włosy, ułożone za niemałe pieniądze gdzieś w Kensington. Ubrany wieczorowo: czarne spodnie, czarna marynarka, świeżo wyprasowana biała koszula, cylinder. Długie, cienkie palce ukrył pod białymi rękawiczkami. W lewej dłoni trzyma hebanową laskę z gałką z kości słoniowej. Nie pogwizduje, lecz widać, że przechadzka sprawia mu przyjemność. Dokoła nie ma zbyt wielu przechodniów. Noc jest bardzo chłodna. Pod arkadami, przed wejściem do włoskiej restauracji, kulą się palacze. Mężczyzna przechodzi na drugą stronę ulicy. Przed nim wznosi się budynek dworca Waterloo. W oddali Big Ben wybija nieokreśloną godzinę.

Mgła. Widok mgły sprawia, że mężczyzna się uśmiecha, jak do powtórnego w myślach dowcipu. Nie idzie dalej prosto, nie wchodzi na stację. Skręca w lewo na Mepham Road, otwierającą się na zaplecza restauracji, kosze na śmieci i dostawcze furgonetki. Przy chodniku parkuje piętrowy autobus, kierowca i kontroler dzielą się w otwartych drzwiach papierosem. Mgła gęstnieje. Mężczyzna wyciąga rękę, jakby chciał pogłaskać jej siwe pasma. Jakby mgła była kotem, a kot starym przyjacielem. Nieznajomy uśmiecha się raz jeszcze, po czym opuszcza dłoń.

Zatrzymuje się.

Podnosi wzrok na szyld.

„Hole in the Wall”.

Można tędy przejść sto razy i nie zauważyć. Londyński pub. Ukryty pod arkadami wiaduktu kolejowego.

Brudne okna skrywają wszystko, co znajduje się w środku. O ile w ogóle cokolwiek się tam znajduje. Drzwi są zamknięte. Niemniej wydaje się, że w środku jarzy się słabe światło, co sugeruje, że lokal nie jest tak opustoszały, jak wygląda na pierwszy rzut oka. Z drugiej strony ten nikły blask wcale nie zachęca do wejścia.

Czy mężczyzna powinien się w tej chwili uśmiechnąć? Coś mający w jego spojrzeniu, lecz czy jest to wyczekiwanie, troska, czy wręcz strach, nie umiemy stwierdzić. Po chwili emocja przemija. Mężczyzna wspina się po trzech niskich schodkach, pcha dłonią drzwi i znika w środku.

3. PUB „THE HOLE IN THE WALL”, teraz

Moment wejścia do tego pubu przypomina podróż w czasie do lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Powojenny wystrój. Obłaząca płatami ze ścian tapeta. Drewniany parkiet pokryty pozostawionymi przez twarde obcasy i papierosy bliznami.

Wzdłuż prawej ściany biegnie długa brudnobrązowa ława obita skórzaną tapicerką. Z przepalonych niedopałkami dziur wyłazi wypełniacz. Siedzisko ciągnie się przed rzędem niskich stołów, na których plują dymem grube, pokryte żyłami stopionej stearyny świece. Przy każdym stoliku siedzi mężczyzna. Wszyscy są równie twardzi jak deski parkietu, równie zgaszeni jak stare pety. Mieszana klientela, biali, czarni i brązowi, niczym paleta gotyckiego malarza. Przerzedzone włosy. Kiepska cera. Oczy mają jednakowo puste. Gapią się ślepo w przestrzeń.

Przy każdym z nich stoi na blacie szklanka z piwem i popielniczka, popielniczki są duże jak spodki, identyczne, maszynowa produkcja z jakiegoś taniego metalu. W każdej z popielniczek tli się papieros.

Papierosy różnią się między sobą jedynie długością. Smutki dymu wirują w powietrzu, mieszają się, błękitny akcent w szarym, powojennym świecie. Dym jest jak mgła. Podobnie jak ona pomaga się ukryć.

Po lewej stronie sali widzimy kontuar, a za kontuarem stoi barman. Mężczyzna na oko po pięćdziesiątce. Łysiejący, obdarzony muskularnymi ramionami i złamanym w przeszłości, niewprawnie nastawionym nosem. Nie poznamy jego nazwiska. Nie poznamy jego historii. Nie dowiemy się, co przyгнаło go tutaj, do tego lokalu, w ten półmrok. Przeciera ścierką szklankę. Za jego plecami widzimy rzędy butelek. Z kontuaru sterczą krany z piwem. Przed barem stoi szereg stołków, pustych z jednym wyjątkiem. Siedzi na nim samotny klient. Wysoki mężczyzna, przybysz w wieczorowym stroju wodzi spojrzeniem po sali. Odnosimy niejasne wrażenie, że nie zawsze ubierał się w ten sposób, że pod warstwą ogłady kryje się coś szorstkiego i twardego. Nie odzywa się słowem. Kiwa tylko głową, jakby na potwierdzenie. Jakiegoś podejrzenia lub spełnionego oczekiwania. Dym mu chyba nie przeszkadza. Podchodzi do baru. Opiera łaskę o kontuar. Zdejmuje rękawiczki, odsłaniając długie, smukłe palce. Siada, dwa miejsca od samotnego klienta. Zerka na niego. Mężczyzna garbi się na swoim stołku. Wzrok utkwiony w pustym kieliszku. Nie odwzajemnia spojrzenia.

Wysoki gość spogląda na barmana.

- Brandy poproszę - mówi. Uśmiecha się, niemal z tęsknotą. - Coś starego i zagranicznego.

Dopiero teraz zerka na niego samotny klient. Pozbawione wyrazu oblicze. Podnosi swój kieliszek i przypatruje mu się.

Zdecydowanie pusty. Odstawia go. Wciąż niemy barman rzuca mu pytające spojrzenie i mężczyzna odpowiada skinieniem. Barman sięga po zieloną butelkę bez etykiety. Nalewa samotnemu klientowi kolejkę. Samotny klient wskazuje wysokiego mężczyznę w wieczorowym

stroju. Twarz barmana nie zdradza niczego, lecz on wyciąga jeszcze jeden kieliszek i nalewa jeszcze jedną porcję alkoholu, którą stawia przed wysokim mężczyzną. Potem bierze do ręki swoją ścierkę i szklankę. Wraca do przecierania.

Wysoki mężczyzna w wieczorowym stroju rozciąga usta w uśmiechu. Unosi kieliszek. Obraca nim delikatnie, obserwuje płyn w przyćmionym świetle pubu. Przystawia do ust, wypija i uśmiecha się ponownie. Wyczuwamy, że nie uśmiecha się zbyt często ani łatwo. Obraca się na stołku, przodem do samotnego klienta.

- Co słyszeć, Fogg? - zagaja.

Samotny klient drga na dźwięk nazwiska. Jakby należało do starego przyjaciela, kogoś dawno uznanego za zmarłego lub zaginionego, albo po prostu do znajomego, z którym urwał się kontakt i z którym od co najmniej dziesięciu lat nie wymieniał się kartkami na Boże Narodzenie. Na jego młodzieńczej twarzy pojawia się nadmiernie dojrzały wyraz.

- Oblivion - rzuca.

Słowo pasuje do wysokiego mężczyzny w wieczorowym stroju. Pasuje tak, jak białe rękawiczki pasują do jego smukłych palców, leży na nim jak garnitur od krawca z Savile Row. Nazwisko skrojone na miarę.

Oblivion.

Nieznacznie wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Tak, to ja”. Drugi z mężczyzn, to już wiemy, nazywa się Fogg.

- Ile czasu minęło, Oblivion? - pyta. - Czterdzieści lat? Pięćdziesiąt?

- Obstawiałbym raczej okolice siedemdziesięciu - stwierdza Oblivion.

- Aż tak dawno...

- Cóż, od końca wojny - podsuwa pomocnie Oblivion.
- Wojna - powtarza Fogg. Ma młodą, bladą twarz. Czarne, niesforne włosy. - Czy ktoś jeszcze tę wojnę pamięta? — podejmuje. — Czy ktokolwiek jeszcze żyje?

Oblivion wzrusza ramionami.

- Kilka osób - odpowiada, po czym: - Później były inne wojny. Zawsze są jakieś inne wojny - dodaje z pozoru niechętnie.

Zapada między nimi milczenie. Samotni mężczyźni za ich plecami siedzą nieruchomo nad swymi samotnymi szklankami, wpatrują się w przestrzeń pustymi, mlecznymi oczyma. Barman wciąż poleruje swoje naczynie, miarowo, ruch za ruchem. Fogg krzywi się, podnosi kieliszek, wypija i kiwa na barmana. Barman ponownie napełnia pusty kieliszek, po czym, nieproszony, nalewa drugą kolejkę Oblivionowi.

- Wiesz, nie zmieniłeś się. Ani trochę - odzywa się Fogg. - Z wyglądu nie postarzałeś się nawet o dzień.
- Ty też się nie zmieniłeś - odpowiada Oblivion.

Obserwuje go z namysłem, uśmiecha się leciutko. Coś majaczy w jego oczach, czułość lub spojrzenie posiadacza. Lub coś znacznie słabiej określonego, jakiś mgławicowy związek. Ciepło, miłość. Czym jednak jest miłość?

Fogg, omiatany wzrokiem tego drugiego, czuje się niezręcznie. Wzrusza ramionami.

- No tak. Cóż. My się nie zmieniamy - stwierdza.
- Nie - potwierdza Oblivion. — Nie zmieniamy się.
- W każdym razie nie zewnętrznie - zauważa Fogg. -I niezbyt szybko.

Oblivion zbywa te słowa zdawkowym gestem. Jakby zabrzmiały dla

niego zbyt metafizycznie. Być może nazbyt... abstrakcyjnie. Odwraca się lekko na stołku. Spogląda na milczących mężczyzn.

- Co z nimi? - pyta.

Fogg porusza dłonią i dym - ze świec i papierosów, zmieszany - unosi się, gęstnieje, przywiera do jego palców. Patrzy na tamtych. Rozkojarzony. Mężczyźni odpowiadają własnymi spojrzeniami. Pustymi niczym niezabudowane działki. Jak budynki z przybitymi do drzwi tabliczkami „Do rozbiórki”. Fogg wzrusza ramionami.

- Z nimi? - rzuca. - Oni już od dawna nie żyją. Tylko sami jeszcze o tym nie wiedzą.

Oblivion potakuje skinieniem. Jakby zrozumiał więcej, niż zawierały słowa.

- Znowu stawiasz zasłonę dymną? - pyta, cicho.

- Taki nawyk - tłumaczy Fogg.

- Pamiętam. - Oblivion kiwa głową.

- Został mi z czasów biura - dodaje Fogg. Nieco głupawym tonem.

Oblivion uśmiecha się szeroko. Uśmiechem nagłym jak wybuch granatu.

- Teraz musi być ci znacznie trudniej - zauważa. - Wszędzie te zakazy palenia.

Fogg wzrusza ramionami. Przez moment wygląda na to, że i on się uśmiechnie. A jednak nie.

- Jestem na emeryturze - mówi, jakby te trzy słowa wyjaśniały wszystko. Być może zresztą wyjaśniają.

-Tak, cóż. - Oblivion podnosi kieliszek. - Salut, Fogg - mówi.

Stukają się, ciało przy ciele, dźwięk jednocześnie miękki i twardy. Piją zgodnym gestem. Uderzają kieliszkami o blat. Wycwiczeni. Przyzwyczajeni do siebie nawzajem. Do swoich nawyków.

~ Oblivion, co ty tu robisz? - pyta Fogg. Wpatruje się w rozmówcę. Mgła zawisa między nimi niczym siateczka pajęczyny. - Czego chcesz?

Oblivion czeka. Fogg, z cieniem irytacji w głosie:

- Powiedziałem ci już, jestem na emeryturze. Odszedłem dawno temu.

Nad ich głowami przejeżdża pociąg. Po wiadukcie nad arkadami. Drżą szklane butelki pod ścianą, dygocą ciężkie, stare stoły. Pociąg jedzie i jedzie, i jedzie. I znika. W sali „Hole in the Wall” zalega coś przypominającego pełną wyczekiwania ciszę.

- Tylko że to wcale nie jest takie proste, co, Fogg? — mąci ją Oblivion.

Fogg przeczekuje tę chwilę. Jeden z mężczyzn ze szklankami kaszle.

Nieoczekiwany, głośny dźwięk w milczącym pubie.

- My nie przechodzimy na emeryturę - podejmuje Oblivion. - Nigdy do końca. Nie mamy tego luksusu.

- Za kraj i królową? - pyta Fogg. - Dawniej mówiło się: za kraj i króla.
- Wpatruje się w pusty kieliszek. - Odszedłem ze służby—dodaje cicho.

Po twarzy Obliviona przemyka grymas niesmaku, szybko niknie. Jakby zadanie należało do tych nieprzyjemnych. To, które przyszedł tutaj wykonać. To, co musi zrobić.

- Stary chce zamienić z tobą dwa słowa. To wszystko — mówi łagodnie.

- To on nadal żyje? - pyta Fogg.

- I nadal jest stary.
- A ty nadal jesteś jego sługusem — komentuje Fogg.

Oblivion kręci głową, zmęczonym gestem, nie przeczącym.

- Fogg, on chce po prostu pogadać - dodaje. Łagodnie, lecz stanowczo.

- Nie - odpowiada Fogg.

-Nie?

- Nie - powtarza Fogg. - Nie jestem zainteresowany. Już tam nie pracuję.

- Przewidział, że tak powiesz - stwierdza Oblivion.

Fogg tylko wzrusza ramionami, z identyczną stanowczością.

Oblivionowi to chyba nie przeszkadza. Spogląda na Fogga. Patrzy, jakby właśnie starannie dobierał słowa.

- Stary chce z tobą przegadać kilka detali, nic więcej - odzywa się. - Chodzi o pewną dawną sprawę.

Fogg nieruchomieje na stołku. Wokół niego - za nim - gęstnieje dym. Tworzy niemal konkretną postać. Szary kształt, cień.

- Jaką dawną sprawę? - rzuca.

Oblivion się waha. Wędkarz na moment przed zacięciem. Jest świadom tego, co robi. Być może nawet ogarniają go wątpliwości. Fogg również musiał dawniej patroszyć złowione ryby. Wie, jak to jest. Mokre, śliskie doznanie. Zimne, ślizgające się w palcach trzewia. Wbijające się w skórę łuski. Kaleczące. Nóż rozcinający miękkie podbrzusze. I to spojrzenie rybich ślepi. Spojrzenie Fogga.

- No więc? - naciska Fogg.

Oblivion odpowiada jednym słowem.

- Sommertag.

Kurtyna dymu osiąga wokół Fogg'a crescendo, ochronna maska pszczelarza. To jedno słowo, niczym pocisk z wygrawerowanym na łusce nazwiskiem. Odbijający się rykoszetem od ścian. Górą hurgoce kolejny pociąg, koła sapią, pomnażając to słowo, to imię. Sommertag. Sommertag. Sommerta...

- Po co? — dziwi się Fogg. — Po co przywoływać przeszłość?
- Rutynowa procedura - odpowiada Oblivion. Przekonująco czy nie, nie potrafimy stwierdzić. - Coś się stało.

Nie wyjaśnia co dokładnie. Fogg nie pyta.

- Stary chce po prostu potwierdzić z tobą parę szczegółów - dodaje przepraszającym tonem Oblivion.

Fogg wbija wzrok w pusty kieliszek. To lepsze niż odpowiedź. Niebywale fascynujący jest ten kieliszek. Jego czystość. Jego niedoskonałości. Kąty, pod jakimi ścianki załamują światło.

Fogg podrywa go z blatu. Odwraca się gwałtownie. Ciska kieliszkiem w Obliviona...

Który unosi dłoń. Spokojnie. Oglądamy ten moment w zwolnionym tempie - kieliszek sunie w powietrzu, pokonuje przestrzeń, przemierza czas, pędzi niczym pocisk. Oblivion rozpościera palce, o tak... Coś pobudza cząsteczki powietrza i szkła. Krzemionka rozpada się na tworzące ją atomy, powietrze rozdziela się na tlen i wodór. Pojawia się dziwny zapach, tylko na chwilę, być może nuta ozonu. Obserwujemy kieliszek. Z zapalem. Prawdę mówiąc, z pewną fascynacją. Mimo że już to widzieliśmy, badaliśmy...

Wygląda, jakby się roztopiał. Kieliszek. Jakby się dzielił na płynne pasma. Przedmiot stający się nie-przedmiotem, rozdzierany przez niewidzialną siłę. Nici mlecznej cieczy przenikają przez palce Obliviona. Rozpraszają się coraz bardziej. Gasną. Tak po prostu. Oblivion pociera koniuszkami palców o siebie. Niczym magik sprawiający, że znika moneta. Sypiący czarodziejskim pyłem sztukmistrz. Kieliszek zniknął. Rozpłynął się. Toczący pustym wzrokiem mężczyźni po drugiej stronie pubu nie zauważają niczego.

- Fogg, proszę cię.
- Cholera jasna, Oblivion!

Oblivion nie odpowiada. Wstaje. Jest wysoki, prawie musi schylać głowę pod sufitem. Ale nie całkiem. Wkłada rękawiczki.

- Chodź, Fogg. Rutynowa procedura - mówi.
- Sommertag - mówi Fogg.

Imię - jeśli tym właśnie jest - rozjaśnia salę pubu.

- Piękna była, prawda, Oblivion? - pyta Fogg.
- Tak, była - zgadza się Oblivion.

Jakby zapadła jakaś decyzja. Jakby nawet na moment nie pojawiły się żadne wątpliwości. Fogg wstaje. Milczący mężczyźni obracają głowy jak jeden mąż, patrzą na niego pustymi, mlecznymi oczyma. Oblivion sięga po swoją laskę. Obraca ją w palcach, w roztargnieniu.

- Chodźmy - rzuca Fogg.

Oblivion kiwa głową. Czy Fogg czuje się zrezygnowany? Pokonany? Tego nie wiemy. Coś pojawia się w jego spojrzeniu. Blask, którego nie powinno tam być. Wnętrze „Hole in the Wall” jest szare, dym wisi nieruchomo w powietrzu. Barman nadal wyciera tę samą szklanekę, tą

samą brudną ścierką. Automat, podobnie jak pałacy mężczyźni. Fogg i Oblivion. Oblivion i Fogg. Razem ruszają do drzwi. Ich podeszwy nie wydają na deskach parkietu nawet jednego dźwięku.

4. PALL MALL, LONDYN, teraz

Noc. Fogg odnosi wrażenie, że obecnie noc trwa już przez cały czas. Londyn jest jego miastem, miastem mgieł. Nawet w południe słońce ukrywa się za chmurami. Przechodzą przez most. Pod nimi zdradliwe, zimne wiry Tamizy. Rolls-royce phantom II. Przypomina sobie ten samochód, z dawnych czasów. Oblivion prowadzi. Już to, samo w sobie, jest niepojęte. Przypomina sobie poprzedniego kierowcę tego samochodu. Samuela. Pamięć jest jak szkolna tablica, lecz nie da się z niej bez reszty wymazać wyrysowanych obrazów, można je jedynie zatrzeć, zniekształcić. Niekiedy nie do poznania.

- Ukradłeś ten wóz? - pyta.

Oblivion wybucha śmiechem. Niezbyt wesołym. W kabinie snuje się woń starych cygar i starej, wyślizganej skóry. Fogg opuszcza szybę. Spogląda w dół na wodę. Tamiza. Brązowa i mętna. Mgła gromadzi się w kłębach nad falami, jakby rzekę nawiedziły duchy.

Cisza. Na niebie samolot, leci nisko, wzdłuż koryta Tamizy. Kieruje się na Heathrow. Pasażerowie na pokładzie niczym sardynki w puszcze. Ciasno upakowani. Wyglądają z jasnych okienek na płonące światłami miasto.

Droga na Pall Mall nie jest daleka. Ciemnieją wysokie budynki. Szerokie, kamienne fasady. Kluby dla dżentelmenów. The Athenaeum. The Travellers Club. The Army and Navy Club. Pałac św. Jakuba. Fogg poznał w nim kiedyś króla. I tę kobietę. Panią Simpson. Jeszcze przed wojną. To Stary zaprowadził go do pałacu. Tajne spotkania w sekretnych komnatach.

Na dachu naprzeciwko siedziby Blura majaczy jakiś cień. A może tylko

go sobie wyobraził? Samochód nieruchomieje. Oblivion gasi silnik. Siedzą we dwóch. Jak za dawnych czasów. Starzy mężczyźni, mimo że wyglądają młodo.

- Oblivion, pojawili się jacyś nowi?
- Sam znasz odpowiedź.
- Czyli nie - mówi Fogg.
- Nie.

Po prostu siedzą. Nie mają ochoty wysiadać. Dawna więź trzyma ich blisko przy sobie niczym kochanków.

5. PALL MALL, LONDYN, teraz

Cień wcale nie zrodził się w wyobraźni Fogga. Jest tam, przycupnięty na dachu. Obserwuje.

Młoda kobieta o starych oczach. Ciemne włosy. Ciemny strój.

Obserwuje samochód. Obu mężczyzn. Rozgniewana. Chrząknięciem zbiera w ustach flegmę i słuwa.

Nie całkiem tym, czym splunęlibyśmy my.

Normalnie flegma przypomina oparty na wodzie żel. Ta jednak jest znacznie bardziej gęsta. Chemiczny skład ciała kobiety aż się prosi o zbadanie. Został już zbadany.

Glikobiałka i woda przechodzą metamorfozę, stają się substancją równie twardą jak żelazo lub ołów. Kulka śliny leci w powietrzu, wydłuża się, tężeje. Osiąga zabójczą prędkość. Wycelowana w samochód. Niczym pocisk. Czasami wszystko może się stać pociskiem.

Trafia w tylną szybę rolls-royce'a.

Która idzie w rozsypkę.

Eksplozja szkła i śliny.

6. PALL MALL, LONDYN, teraz

Obaj mężczyźni osuwają się błyskawicznie w fotelach. Przez rozbitą szybę wpada powiew zimnego powietrza.

- Co, do... - Fogg.
- Nie podnoś głowy! - Oblivion.

Druga eksplozja. Szyba znad fotela pasażera wpada do środka. Deszcz szklanych okruchów zasypuje ich obu. Oblivion otwiera swoje drzwi kopnięciem. Wysuwa się. Fogg za nim. Kuca. Spogląda ku górze, cień na dachu. Jest w nim coś znajomego. Wokół samochodu zaczyna się podnosić mgła. Pojedyncze smugi. Ukrywają.

Kobieta splota po raz trzeci. Flegma pędzi jak pistoletowa kula prosto w Fogg. Oblivion wyciąga dłoń. Emanuje z niej coś niewidzialnego. Ślina traci określoność. Waha się. Jakby zdezorientowana. Złapana w potrzask pomiędzy dwoma stanami skupienia. Wytraca prędkość. Dociera do nich zupełnie już wyczerpana z energii. Miękko pluska na chodnik.

- Spit.

Kobieta patrzy na nich z góry. Z tej odległości nie jesteśmy w stanie odczytać jej miny. Podnosi rękę, saltuje, macha. Odwraca się i znika wśród nocy.

- Wstawaj - mówi Oblivion. - I pozbądź się, z łaski swojej, tej cholernej mgły.

Fogg spełnia prośbę. Prostuje się. Przeciąga. Mgła z wolna rzednie.

- Co to, do diabła, było? - pyta.
- To była Spit - informuje Oblivion.
- Ma jakiś problem? - rzuca Fogg.

Oblivion wykrzywia usta w przypominającym uśmiech grymasie.

- Jak sądzę, niespecjalnie za tobą przepada - wyjaśnia. Spogląda ze smutkiem na samochód. Zimne podmuchy w przestrzelonych szybach. Odwraca się. - Chodźmy - dodaje.

Rusza w stronę budynku. Fogg za nim. Niczym niewyróżniający się gmach. Nie da się stwierdzić co takiego — jeżeli w ogóle coś - znajduje się wewnątrz. Może bank. Może magazyn. Mogłoby tu działać cokolwiek.

Skrecają i podchodzą z boku. Wąska alejka. Otwierające się w murze drzwi. Bez klamki. Przystają przed nimi. Patrzą.

- Cholernie mi szkoda tego samochodu - przyznaje Oblivion.

Fogg, z nagłym ożywieniem na twarzy:

- Szkoda, że nie umiesz niczego naprawiać, prawda Oblivion? Potrafisz tylko wszystko wymazywać, jakby nigdy nie istniało.

Oblivion obraca głowę.

- Szkoda, że ty... - zaczyna, lecz nie kończy zdania.

Drzwi się uchylają. Bez jednego dźwięku. Po drugiej stronie ciemność. Oblivion wypuszcza wstrzymywane w płucach powietrze.

- Nieważne - mówi. Wchodzi do środka. Pochłonięty przez mrok. Fogg, po chwili wahania, idzie za nim.

7. BIURO, teraz

Zakurzony korytarz. Nagie ściany. Pusty. Żadnych okien. Nic nie wskazuje, by kiedykolwiek tutaj sprzątano. Drzwi zamykają się za nimi bezszelestnie. Wewnątrz jest ciemno.

Przy wejściu stoi mały drewniany stolik, na nim roślina w doniczce. Liście smętnie zwisają. Kwiat wygląda na ledwo żywy. Fogg go dotyka. Oczarowuje go miękkość roślinnej tkanki, faktura listków.

- Czy nikt go od wojny nie podlewał? - pyta.

Oblivion nie zwraca uwagi. Rusza dalej korytarzem. Fogg pozostawia roślinę jej połowicznemu rozpadowi. Idzie za towarzyszem.

- No a co z samochodem? - rzuca.

- Zajmą się nim.

Fogg pamięta ten korytarz. Przypomina sobie ten sam doniczkowy kwiat, sprzed wielu dekad. Podobnie jak oni, jest przemieniony. Kto wie, gdzie go Stary wypatrzył. Fogg czuje z rośliną dziwne powinowactwo. Nikt nie wybiera, czym się staje. Zauważa, że na podłodze nie zebrał się kurz, wyciera go nazbyt wiele nóg, przez zbyt wiele długich lat - wskazówka podpowiadająca, że budynek wcale nie jest tak opuszczony, jak mogło się w pierwszej chwili wydawać. Na końcu korytarza winda. Brak przycisków.

- Wiele się tu nie zmieniło — mówi Fogg.

- Stary nie jest entuzjastą zmian — odpowiada Oblivion.

Co zakrawa na ironię, myśli Fogg, ale milczy. W ogóle nie ma zamiaru tej nocy wiele mówić. Prawdę powiedziawszy, planuje powiedzieć tak mało, jak tylko zdoła. Obawia się jednak, że oni już wiedzą. Pozostaje zatem jedno właściwe pytanie. Jak dużo?

Dzwonek windy. Rozsuwają się drzwi.

- Nikt nie lubi zmian - stwierdza Oblivion.

Wsiadają. Winda się zamyka, więżąc ich w kabinie.

8. BIURO, teraz

Migocące światła. Pierwsze, co zauważa Fogg, to bardziej nowoczesne urządzenia. Oparta na otwartym planie przestrzeń, głęboko pod nawierzchnią ulicy Pall Mall. Może nawet poniżej poziomu dna Tamizy. Biuro. Londyńskie podziemia od zawsze tworzą istny labirynt i Pall Mall nie stanowi wyjątku: tajne przejścia, tunele metra, kanały ściekowe, piwnice. Podziemny Londyn jest większy niż nadziemny. Biuro tego miejsca nie zbudowało, po prostu je skolonizowało. Mrówki w króliczej norze. Albo rozsiewający zarodniki grzyb. Porównanie wybierzcie sobie sami.

Komputerowe ekrany, biurowe fotele na puszczających kółkach. Pozbawione wszelkich osobistych pamiątek biurka. Pióra, notatniki, żółte karteczki. Segregatory na dokumenty wychodzące i przychodzące. Błyszczące diody serwerów, fluorescencyjne lampy na suficie, schludnie dzielące świat na obszary czerni i bieli. Stożące w szeregu urządzenia nasłuchowe. Obsługujące je kobiety - głównie kobiety - mają na uszach wielkie słuchawki przypominające zimowe nauszniki. Stukot klawiatur, bezustanne terkotanie, jak deszcz na dachu z blachy falistej.

Przechodzą przez część biurową i docierają do kolejnego korytarza. Lampy nad głowami mrugają. Identycznie praktyczny wystrój, ściany pokryte tanim, wytrzymałym plastikiem, przesłaniającym znajdującą się za nim ziemię, kamień bądź też inne Londyny. Światła migocą, przypominając Foggowi żarówki w pokoju przesłuchań. Kiepska instalacja, myśli. Na korytarzu jest cicho.

Mijają zamknięte drzwi. Fogg rozpoznaje je i wzdryga się. Na drzwiach

tabliczka. „Pokój szyfrów”. Głosy z drugiej strony. Fogg przystaje, słucha. Oblivion odwraca się do niego, lekko już zniecierpliwiony. Nie odzywa się jednak.

Trzeszczące głosy z radiowego odbiornika. Nikłe. Zniekształcone zakłóceniami. Niczym echa z przeszłości. Kamyki na plaży. Fogg nie chce tego słyszeć, lecz nie może się oderwać. Głos przetacza się niczym fala.

-Vomacht... instalacja na Morzu Północnym... zespół ratunkowy...
przerwano... zamieć.

W miejsce każdego wielokropka szum zakłóceń. Nie wiadomo, kto mówi. Słyszając ostatnie słowo, Fogg wyraźnie się spina.

- Zamieć? - powtarza. Wypowiada ten wyraz jak imię.

-Jakaś operacja na Morzu Północnym, coś poszło nie tak - odpowiada Oblivion. Kręci głową. — To ciebie nie dotyczy. — Stuka w drzwi pokoju szyfrów. Prawie ostrzegawczo. Dźwięk gwałtownie się urywa. -
Chodź już.

Prowadzi Foggą dalej. Fogg wcale nie chce iść, lecz nie ma wyboru. Odgłos ich kroków jest w tej chwili jedynym dźwiękiem na całym korytarzu. Docierają do ostatnich drzwi. Tabliczki brak. Lecz Fogg zna je doskonale. Bierze głęboki wdech. Oblivion zwraca ku niemu swe przypominające rzeźbę oblicze.

- W porządku? - rzuca.

Fogg potakuje skinieniem.

- Chcę mieć to już za sobą - odpowiada.

Oblivion otwiera drzwi i wchodzi do środka.

9. GABINET STAREGO, teraz

Fogg przypomina sobie pewną noc w Paryżu. W pokoju jest gorąco i duszno, mimo że na zewnątrz panuje ziąb. Mgła puka do okien. Ukrywa ich wewnątrz. Łono. Schronienie. Pokój pachnie ich seksem. Wilgotna pościel. Piętro niżej gra radio, nadają jakiś utwór w wykonaniu orkiestry dętej. Zdołał ich schować przed całym zewnętrznym światem, lecz nie przed tą melodią. Przeniknęła i tak. Marszowa, wojenna muzyka. W pokoju trwa zawieszenie broni.

Spleceni. Nie uciekli do tego innego miejsca. Zostali w terazniejszości. Jej ciało rozgrzane jak piec, woń świeżo upieczonego chleba. Przywarty do niej. Ponownie podniecony. Wszędzie ginęli ludzie. Oni się kochali. Mgła tłumiła ich głosy.

Była niewinna. Fogg był o tym przekonany, przed i po. Jedyna pośród nich, która mogła tak o sobie powiedzieć, wbrew wszystkiemu, lecz on nigdy jej nie zrozumiał, tak jak nigdy nie rozumie się ludzi, których się kocha. Może tak ją po prostu widział, przez opary, przez mgłę; może, myśli, nigdy nie zobaczył jej wyraźnie.

Fogg otrząsa się i wraca do terazniejszości. Próbował uniknąć tego gabinetu, jego samotnego właściciela. Pomieszczenie jest słabo oświetlone. Regały z książkami. Blurko, siedzący za nim mężczyzna. Na ścianach stare plakaty. Jeden przedstawia mówiącego żołnierza, jego słowa wiją się z ust stalową spiralą, na której ostry koniec nadziane zostały trzy udrećzone postacie, unoszą dłonie do twarzy, cierpią katusze. „Gadaniem możesz zabić towarzyszy” - przestrzega podpis. Na innym widnieje Wuj Sam mierzący w oglądającego oskarżycielsko palcem. Ubrany w swoją tradycyjną pelerynę i trykot z wielkim wyzywającym S na piersi. „Dasz radę sprostać wyzwaniu? Wuj Sam cię potrzebuje”. Obok stary niemiecki plakat propagandowy. Wzbijający się w powietrze lotnicy z plecakami odrzutowymi mierzący w niebo dłońmi wyciągniętymi w nazistowskim pozdrowieniu. Poniżej mapa Europy z zaznaczonymi granicami, padają na nią długie cienie lecących. Na samym dole angielskie tłumaczenie hasła: „Każdy Niemiec jest Übermenschem - Adolf Hitler”. Fogg pamięta, jak wielkie papierowe chmury tych plakatów spadały spod błękitu na Londyn, w

trakcie bitwy o Anglię.

Obrazy i hasła przywołują wspomnienia. Paryż. Leningrad. Berlin. Nie, nie chce o tym myśleć.

Zdjęcie na ścianie. Nieczęsto spotykana fotografia. Stary ściskający dłoń Winstona Churchilla. Obaj uśmiechnięci. Churchill ze swoim nieodłącznym cygarem. Długie płaszcze. Zima. Na regale książki. Fogg dobrze je zna. „Le Dictionnaire Biographique des Surhommes” Stanleya Liebera. Standardowe źródło. Francuskie wydanie. Dzieło w Wielkiej Brytanii przez długie lata zakazane. Na kartach tej pracy można nawet znaleźć sylwetki niektórych pracowników Blura. Stoi tuż obok pozycji zatytułowanej „Superman. Mit i ikonografia”, wydawnictwo Siegel i Shuster.

Za biurkiem drga cień. Męska sylwetka pochyla się. Głęboki, szorstki głos.

- Witaj, Fogg - wita się.

Fogg zwraca się ku niemu, opornie. Jakby był w stanie cokolwiek odwlec, najchętniej na zawsze. Jakby jego moc pozwalała zatrzymać czas. Tak jednak nie jest. Patrzy na gospodarza. Wciąż stary człowiek. Stary od bardzo dawna. Nieogolony. Mocne dłonie. Błękitne, głęboko osadzone oczy. Wydatne czoło. Włosy w kolorze ginącym gdzieś pomiędzy czernią a bielą. W nieładzie. Miejscami sterczą nieprzczesane kosmyki. Fogg odpowiada skinieniem, z rezerwą.

- Sir - odpowiada.

- Siadaj.

Obcesowo. Ile to czasu minęło?

Czas wszakże stracił już swoje znaczenie. Nie liczy się w tym gabinecie, w pozbawionym okien pokoju, z jednym jedynym wyjściem. Oblivion zamyka drzwi. W ich trzasku pobrzmiwa nuta

nieodwracalności.

Przed biurkiem i jego właścicielem stoją dwa krzesła. Oblivion zajmuje to po prawej. Na blacie ściana się papiery. Ten gabinet wstrzymuje entropię. Istnieje niczym kieszonkowy wszechświat. Zamknięty w sobie, zapieczętowany wraz z Foggiem.

- Siadaj, powiedziałem!

Fogg wzrusza ramionami. Siada po lewej, blisko ściany. Stary wzdycha, odchyła się w fotelu.

- Już kiedy cię werbowałem, powinienem był wiedzieć, że będą z tobą kłopoty — mówi.

DWA

LUDZIE CIENIA

KINGSTON-CAMBRIDGE
1926-1936

10. KINGSTON UPON THAMES, 1926

Cambridge. Chociaż jeszcze nie. Wcześniej, przed czasami Cambridge. Chłopak z Londynu. Nie, to kłamstwo. Z Kingston, w hrabstwie Surrey. Ojciec handluje na rynku warzywami. Przysadziści wieśniacy przyjeżdżają wozami wypakowanymi owocami i warzywami. Rozładunek. Fogg pomaga. Wątle mięśnie prężą się pod naporem masywnych skrzynek. Jego ojciec, mieszanka woni tytoniu i natki.

- Do niczego nie dojdiesz, jeżeli nie... - Kręci głową. - Spójrz tylko na siebie — dodaje.

Rozczarowanie. Słabość syna. Fogg Père dla rozrywki podnosi ciężary - na dożynkowych festynach odgrywał atletę. Pewnego dnia Fogg podsłuchiwał na rynku dwóch facetów.

- Prawdziwy postrach miasta — powiedział jeden. - Wciąż pamiętam. Bałem się go.

- Też pamiętam - potwierdza drugi.

Dociera do niego, że mówią o ojcu. Niski, podczas gdy Fogg wystrzelił ku górze. Szeroki, podczas gdy Fogg jest chudy. Są dla siebie niczym oryginał i odbicie w krzywym zwierciadle. Fogg Père za młodu często bywał w pubach i wdawał się w bójki. Matka Fogga pracuje w domu, gromadzi rzeczy, maluje ceglane ściany. Kiedy każda miała inny odcień, kobietę dręczyła bezsenność. Mają trzy psy. Owczarki szkockie. Spaceruje w Bushy Park.

- Henry - powtarzała. - Henry.

Ukrył się w książkach. Był cichym dzieckiem. Niewiele mówił. Zresztą i tak nikt nie chciał go słuchać. „W osiemdziesiąt dni dookoła świata”. „Koralowa wyspa”. „Kopalnie króla Salomona”. Któregoś dnia znalazł jedną z sekretnych lektur matki. „Smutki Szatana”.

Marie Corelli. Nie spodobała mu się. Półka taty, szereg groszowych okropieństw. „Błękitny karzeł”, część siódma. Miał potem koszmary. Na okładce ohydne monstrum podkradało się do łóżka śpiącej kobiety.

Ukrył się w książkach. Drzwiach do innych światów. Miał też ulubioną kryjówkę nieopodal torów kolejowych, własny tajemniczy ogród. Wracał tam, by wąchać rozmaryn. Wszystko jednak jest zamazane, wszystko sprzed czasów Vomachta. Miał jedną siostrę, Agnes. Zmarła w siedemdziesiątym trzecim. Tak mu powiedziano. Świat ostro podzielony, przed i po. Nawet kiedy to się stało, nie dowiedział się od razu.

11. KINGSTON UPON THAMES, 1932

Stoi przy torach kolejowych. Żeby się tutaj dostać, wyciął dziurę w siatce. Jest już na to trochę za duży, ale przecież wciąż lubi oglądać przejeżdżające pociągi. Składy do Hampton Court, do Londynu. Mgła klei się do ich metalowych cielsk. Reflektory lśnią o świcie niczym żółte ślepia. Stoi. Pada deszcz, niezbyt rześisty. Ziemia nie zdążyła jeszcze zamienić się w błoto. Londyńskie lato. Grunt pod jego stopami zaczyna dudnić. Zbliża się pociąg. Para bije w powietrze. Piękne są te pociągi. Wtem coś się zbliża.

Rozrastająca się bańka ciszy. Rozszerza się coraz bardziej. Zakłócenie, zniekształcenie, które nie ma nazwy. Czas na krótką chwilę zamiera. Henry wyciąga rękę, mgła przywiera do jego dłoni, bańka ciszy sunie w zwolnionym tempie, spowija go, zatrzymuje, po czym pęka. I gna dalej. Znika.

Wtedy wszystko się zmienia.

Tak po prostu. Mija go pociąg. Oblicza w oknach. Każde we własnej bańce ciszy. Każde na swój sposób przemienione, lecz na większości nie da się tego zauważyć, to rzecz nie do wykrycia, niczym pojedyncza plamka pigmentu na skrzydle motyla.

Z Henrym jest inaczej. Podobnie jak z mgłą, która nagle wokół niego ożyła.

Nagle zaczęła... reagować.

Przestraszyła go. I to bardzo.

Kiedy wszystko się zmieniło.

12. CAMBRIDGE, 1936

Błękitne niebo rozciąga się aż po horyzont. Wisi na nim żółte wiosenne słońce. Czarny rolls-royce phantom II pochłania światło. Sam niemal jaśnieje. Wóz jak spod igły: skórzana tapicerka jest świeża i czysta niczym brytyjski poranek.

Czasy pokoju. Jack Payne z orkiestrą BBC wykonują „Happy Days Are Here Again”. Stary na tylnym siedzeniu. Na kolanach ma teczkę. Używa teczek do tego, do czego inni posługują się pistoletami. Czujne oczy, intensywnie niebieskie, olśniewające. Za oknami suną pola. Trasa z Londynu. Cambridge wiosną. Na szosie niewiele samochodów. Stary zagląda do akt. Fotografia młodego mężczyzny odpowiada mu własnym spojrzeniem. Wypisane czarnym atramentem nazwisko. Henry Fogg. Stary zamyka teczkę. Jego własnego nazwiska nie poznamy nigdy. Pogrzebał je bardzo starannie. Archiwom nie można ufać, już nie. Znamy go wyłącznie jako Starego.

Prowadzi Samuel.

Cambridge, Trinity College. Rolls się zatrzymuje. Morze trawy. Grupki studentów siedzą w słońcu. Samuel obchodzi samochód i uchyla pasażerowi drzwi. Stary wysiada. Przeciąga się. Ciepłe promienie omiatają mu twarz. Otwiera niewielkie metalowe puzderko, wydobywa papierosa i zapala. Samuel zamyka drzwiczki wozu, cicho. Obok przechodzą studenci, wciśnięte pod pachy książki.

Śmiechy. Stary się uśmiecha. Spogląda w jedną stronę, w drugą. Szuka czegoś. Poluje.

- Sir?
- Bądź w pogotowiu, Samuel — mówi Stary.

Rusza w stronę wejścia college'u, wspaniały kamienny budynek wznosi się niczym starożytne zamczysko. Stary uśmiecha się ponownie, do siebie, i zauważa śpieszącego ku niemu człowieka.

Dość młody. Przystojny żydowską urodą. Tweedowa marynarka. Okulary. Gęste ciemne włosy. Zbliża się do Starego zwawym krokiem. Przystaje. Wyciąga na powitanie dłoń, co Stary ignoruje.

- Deutsch - przedstawia się mężczyzna. - Arnold Deutsch. - Nie z dumą. Po prostu przekazuje informację. - Spodziewałem się pana wizyty.

Jeszcze przez moment utrzymuje rękę w powietrzu. Wreszcie ją opuszcza. Badamy go, ukradkiem. Deutsch. Znamy to nazwisko. Genialny człowiek. Austriak. Żyd. Jak również komunista, ale tego jeszcze nie wiemy, nie wtedy. I jeszcze bardzo długo nie.

13. TRINITY COLLEGE, CAMBRIDGE, 1936

- Gdzie jest ten chłopiec? - pyta Stary.
- Czeka - mówi Deutsch.
- Zatem nie zwlekajmy, dobrze? Nie chcemy kazać paniczowi czekać zbyt długo.

Deutsch potakuje skinieniem. Spokojny, mimo że wyczuwa ze strony Starego wrogość, być może nie wie, jak się do niej ustosunkować.

- Oczywiście, że nie - odpowiada. „Sir” pozostaje

niewypowiedziane. Stary wydmuchuje z ust kłęb dymu. Rzuca cygaro na ziemię i zgniata je podeszwą.

- Chodźmy zatem - ponagła.

Rusza przed siebie. Sadzi długie kroki. Deutsch nie ma wyboru, musi podbiec.

14. TRINITY COLLEGE, 1936

W opuszczonej przez studentów sali siedzi samotnie młody mężczyzna. Nie ma fotografii dokumentujących ten moment. Gdyby istniały, oglądających zapewne rozbawiłby jego odświętny garnitur, kiepska fryzura. A także wrażenie wiercenia się, widoczne nawet na nieruchomym obrazie. Zdjęć jednak nie ma. Zostały zniszczone. Zza szyb wpada rozmigotane światło. Zapach skoszonej trawy. Śmiech. Promienie słońca przenikają przez szkło. Jedno z okien jest do połowy uchylone. Wpuszcza ciepły powiew. Chłopiec - mężczyzna — poprawia się niespokojnie na siedzisku.

Drzwi stają otworem.

Chłopak podnosi głowę. Rozpoznaje jednego z przybyłych, drugiego nie.

- To właśnie on - przedstawia Deutsch. - Henry Fogg.

Nazwisko, jego nazwisko, zawisa w powietrzu. Ujawnione.

Dwa lata wcześniej ojciec doznał wylewu. Prowadzenie straganu z warzywami przejęła matka. Prawdę mówiąc, szło jej to lepiej niż mężowi. Henry pomagał, lecz powiedziała „nie”. Umarła jej ciotka, w zasadzie nie ciotka, nie taka prawdziwa. Daleka krewna z dużymi pieniędzmi. Część zapisała starej matce Henry ego.

- Dla chłopca - powiedziała. - Ty się zdeklasowałaś, wychodząc za mąż, nie pozwól, by jego spotkało w życiu to samo.

- Nie mamy wiele - tłumaczy Henry emu matka. - Nie mamy wiele, ale wystarczy. Krew i pieniądze pozwolą ci wstąpić na Cambridge. - Raczej krew niż pieniądze, bo to przecież Anglia.

- Dobrze ci szło w szkole, Henry. Powinieneś pojechać - dodaje nagląco pewnej nocy. Ojciec siedzi w swym fotelu, gapi się. Porusza ustami. Bezdźwięcznie. Ślina cieknie z kącika warg. Z lewego. Prawego z perspektywy Henry ego. Mężczyzna wpatruje się w syna dziwnym wzrokiem. Jakby wiedział.

- Wszystko już załatwione — ciągnie matka. Wciska mu do rąk złożoną kartkę. On ją rozkłada, wygląda. Bilet kolejowy. - Jesteśmy z ciebie bardzo dumni. - W jej głosie słychać zmartwienie.

Siostry Henry'ego nie ma wtedy w domu. Wyszła na potańcówkę. Chyba. Wspomnienia z tamtego okresu są dość mgliste. Na dworze pada deszcz, przepędza mgłę.

Tory kolejowe ogrodzili siatką. Na Tamizie parzą się łabędzie, Henry obserwuje mijających go wioślarzy, błoto na brzegu rzeki, dojrzałe jeżyny, czarne jak gotowe do wyłupienia oczy.

- Po prostu pojedź — naciska matka.

Pojechał. Ciche, olbrzymie sale bibliotek; książki niczym armia wskrzeszonych umarłych. Schronienie, pomyślał.

Ucieczka.

Aż do teraz.

- Wstań, Henry! - rzuca Deutsch.

Podnosi się. Niechętnie. Za oknami zmienia się pogoda. Słońce blednie, powoli. Stojący obok Deutscha mężczyzna zerka na zewnątrz, jakby chciał coś potwierdzić. Wraca spojrzeniem na salę. Deutsch wskazuje na nieznanomego. Jego jabłko Adama porusza się

w górę i dół.

- Poznaj, proszę... - zaczyna.
- Wystarczy, Deutsch, dziękuję - przerywa mu nieznajomy - Możesz nas zostawić samych.
- Z Londynu - informuje Deutsch. Z lekko zgryźliwą miną. Nieco bezczelnie. Za co Fogg jest mu w pewien sposób wdzięczny.
- Wystarczy, powiedziałem!

Deutsch kiwa głową, raz.

- Oczywiście - mówi. Ten sam kpiący uśmiezek, sięgający tym razem oczu. Jakby wiedział o sprawach, o jakich nawet Stary nie ma pojęcia. -Wedle życzenia - dodaje. Zerka na Fogg'a. Na mężczyznę obok siebie. Na człowieka z Londynu. - Powodzenia, Henry — dodaje. Otwiera drzwi sali. Znika na korytarzu i zamyka za sobą.

Teraz zostali już sami. We dwóch. Fogg i ten staruszek. Wygląda jak czyjś dziadek. Przyglądają się sobie.

- Siadaj, do cholery - syczy mężczyzna.

Fogg obserwuje. Nie porusza się. Gdzieś głęboko wzbiera w nim gniew. Od dawna pogrzebany, ukryty.

- Kim pan jest, do diabła? — pyta.

Stary się uśmiecha. Jakby Fogg zdał właśnie jakiś cholerny egzamin.

- Słyszałeś Deutscha. Jestem człowiekiem z Londynu.
- Wiele osób pochodzi z Londynu. Niektóre okazują się nawet ludzkie - komentuje Fogg.
- Tak, uprzedzano mnie, że niełatwo się podporządkowujesz-

zauważa Stary. Fogg, mimo że jeszcze o niczym nie wie, już zaczyna go w ten sposób nazywać. Starzec. Stary. - Podoba mi się to. A teraz siadaj, chłopcze!

Fogg, prawdę powiedziawszy, jest nieco wstrząśnięty tą demonstracją charakteru. Siada. Stary kiwa głową.

- Znakomicie - mówi. Podchodzi do ławki Fogg. Kładzie na blacie teczkę. Otwiera ją. Fotografia Fogg spogląda ku górze.

Stary sunie palcem w dół strony. Znaki szczególne. Historia rodziny. Fogg spina się w sobie.

- Komuś takiemu jak ty niełatwo jest dostać się do Cambridge - stwierdza Stary.

- Słucham?

- Będziesz się odzywać, kiedy już powiem, że wolno.

Rzucone ot tak. Naturalnie. Kontroluje. Jakby posiadał Fogg na własność. Jakby cała ta konwersacja należała wyłącznie do niego. Fogg, psiakrew, nie odzywa się już nawet słowem. Na zewnątrz gęstnieje mrok.

Słońca nie widać już wcale. Podnosi się gęsta mgła. Napiera na szybę. Wnika przez otwarte okno do sali. Stary, jeśli ją nawet zauważa, zupełnie tego nie okazuje.

- Twój ojciec handluje zieleniną? - pyta Stary. - Ma u nas teczkę, wiesz?

- dodaje. — Zdarzyło mu się kilka zatargów z prawem, prawda? -

mówi. - Z drugiej strony weteran. To trzeba uszanować. Ranny w dziewięćset siedemnastym, podczas ataku gazowego. Rozumiem, że ma od tamtej pory kłopot z nerwami?

Fogg milczy. Jedyna taktyka, jaką można wobec Starego przyjąć, wtedy i teraz.

- A matka? - dopytuje Stary.
- Proszę zostawić moją matkę w spokoju!

Mgła wdziera się do sali, snuje się pod powałą, pod ławkami. Mgła niczym żywe stworzenie.

- Ta kobieta zupełnie mnie nie obchodzi - informuje Stary.
Prowokuje go, aczkolwiek Fogg tego nie rozumie, jeszcze nie wtedy.

- Od dnia dzisiejszego począwszy — podejmuje Stary — przestajesz być studentem Trinity College.

- Co? - rzuca Fogg. Podrywa się z miejsca.

W pomieszczeniu jest w tej chwili ciemno. I zimno. Stary ciągnie, jakby chłopak w ogóle się nie odezwał.

- Zostałeś... wymazany. Nie chciałbym posługiwać się tu słowem wydany. W końcu ty to nie Flashman. - Mężczyzna chichoce pod nosem.

Fogg przygląda mu się, ogarnięty wściekłością i zdumieniem.

- Twoje nazwisko zostanie usunięte z oficjalnych archiwów - tłumaczy Stary. - Z praktycznego punktu widzenia będzie tak, jakbyś nigdy tych studiów nie podejmował.

Fogg na powrót siada. Zaparło mu dech w piersiach. Jak my byśmy się zachowali w podobnych okolicznościach? Czy właśnie tej wizyty obawiał się przez cały czas? Wiosna nie trwa wiecznie - oto pierwsza i najbardziej sroga lekcja, jaką wszyscy odbieramy od życia.

- Dlaczego? - pyta Fogg. Szeptem. — Kim jesteś? Czego chcesz?

Stary rozciąga usta w uśmiechu.

- Mam dla ciebie propozycję pracy - mówi.

15. TRINITY COLLEGE, 1936

Szara mgła wpada kłęбами do sali. Klei się do mebli. Przemyka chyłkiem dokoła. Gęstnieje niczym chmura popiołu. Opary są wszędzie. Dławią światło. Przesłaniają tablicę, puste ławki. Mgła ukrywa ich obu, rozdziela ich - Fogga i Starego. Zasłona dymna. Szuranie krzesła drapiącego nogami o parkiet. Potem zapada cisza.

Stary stoi w całkowitym bezruchu. Niemniej uśmiecha się. Mało sympatycznie. Nie widzimy tego uśmiechu, lecz dobrze wiemy, że tam jest. Na jego twarzy. Znów ten ruch głową. W jedną stronę, w drugą, Jakby za czymś węszył.

Jakby polował.

I jakby się tym rozkoszował.

Ukradkowa kroki. Słysząc je we mgle. Stary rusza. Nie na oślep. Jakby wszystko doskonale widział. Zasłona mgły faluje niczym parawan na wietrze. W jej szczelinach dostrzegamy skrawki obrazów. Idącego Starego, jego wyciągające się ramię. Uchylone okno. Twarz Fogga. Ręce chłopaka na parapecie. Chce wyjść na zewnątrz.

Dłoń Starego. Łąduje na barku Fogga. Lekki dotyk, lecz młodszy mężczyzna natychmiast zamiera. Jakby został właśnie przemieniony w kamień.

- Usuń ją - rzuca Stary. Cicho. Słowa opuszczają jego usta wraz z białym obłoczkiem pary. Mgła wisi w powietrzu. - Usuń ją, powiedziałem.

Pęknięcia we mgle ukazują nam ich obu w tej zastygłej scenie. Błada twarz Fogga, zupełnie odpłynęła z niej krew. Jego niespokojne oczy strzelają na boki. Schwytany w potrzask. Niezglobiony wzrok Starego. Ręka na ramieniu Fogga. Ciemne od krwi palce ściskają.

Mgła zaczyna rzednąć. Wycofywać się. Nagle zza okna wpadają

oślepiające promienie słońca. Snopy światła omiatają salę niczym więzienne szperacze, wywabiają siwe opary. Powietrze się oczyszcza.

Powracają hałasy z zewnątrz. Brzęczenie pszczoł. Śmiechy studentów. Woń skoszonej trawy, ponownie. Mgła stopniowo blednie, odsłaniając puste ławki i krzesła, na których nikt nie siedzi. Tablicę. Ułamany w połowie kawałek kredy.

- Za chwilę cię puszczę — informuje Stary. — A kiedy to zrobię, wrócisz na swoje miejsce. Usiądziesz. I uważnie mnie wysłuchasz.

Fogg jednak nadal się nie porusza. Nie odzywa. Może nie jest w stanie. Może Stary o tym wie.

- Dobrze? - dodaje. Wygląda na zadowolonego. Cofa dłoń.

Fogg w ruchu. Niczym zwolniony z haczyka pstrąg. Obraca się gwałtownie na pięcie. Na białej cerze pojawiają się wściekle czerwone plamy. Nieruchomieje. Stary wciąż go obserwuje. Chłopak wraca na swoje krzesło. Na to samo miejsce, choć przecież mógł wybrać dowolne inne. Siada. Czeka.

- Znakomicie - mówi Stary.

Cofa się i staje za biurkiem wykładowcy. Za plecami ma tablicę. Jakby miał poprowadzić seminarium.

- Myślałeś, że cię nie zobaczę, chłopcze? — zaczyna. — Ja widzę was wszystkich, każdego. Jesteście jak jasne punkciki światła. Chociaż akurat w twoim wypadku nie jest szczególnie jasny.

Śmieje się z własnego dowcipu. Fogg marszczy czoło. Schwytany. Ten człowiek musi wiedzieć, myśli. Tylko skąd?

- Rozświetlacie mapę jak latarnie morskie. Widzę cię, chłopcze. Wiem, kim jesteś - mówi Stary.

- Proszę - rzuca Fogg. - Proszę.

Stary przekrzywia lekko głowę. Spogląda na Foggę pytająco.

- Co chcesz ze mną zrobić?

- Przyjechałem tutaj, by cię zabrać do wyjątkowej szkoły. Szkoły dla wyjątkowych ludzi. Takich jak ty. Do szkoły, w której będziesz szczęśliwy - mówi Stary.

Fogg chce wierzyć. Nadzieja w jego spojrzeniu. Tak łatwo ją odebrać. Niemniej chce, by to była prawda, pragnie tak gorąco, że aż boli.

- Naprawdę? — pyta.

- Oczywiście, że nie, chłopcze - odpowiada Stary. - Nie bądź tak cholernie głupi. Przyjechałem tutaj, by dać ci pracę.

Co w tym momencie myśli Fogg? Czy czuje ulgę? Konsternację? Gniew? Musi wiele przetrwać, to bardzo nagła zmiana w jego życiu, moment w pewnym sensie równie graniczny jak chwila, kiedy uderzyła go fala Vomachta.

- To nie jest propozycja - ciągnie Stary. Być może wziął milczenie Foggę za upór. - To założenie, fakt. Będziesz dla mnie pracować. A w ostatecznym rozrachunku będziesz pracować dla króla.

- Co? - dziwi się Fogg. - Gdzie?

Nie rozumie.

Stary się uśmiecha.

- W służbie cywilnej - mówi. Potem, prosto w konfuzję Foggę. - A teraz chodź. Jeśli mamy zdążyć do Londynu na herbatę, musimy się pośpieszyć.

16. BERLIN, 1946

Dawne pewniki wyszarpane, niczym niezastąpione.

- Co czyni człowieka? - To Franz zadał mu to pytanie. Wspomnienie wstrząsa Foggiem. Sprawy, o jakich już od dawna nie myślał, o których zdołał z powodzeniem zapomnieć na całe dekady. Stary, dobry Franz. Niegdyś, w powojennym Berlinie, informator Fogga. - Co czyni....

Franz waha się, szuka właściwego angielskiego słowa. Siedzą w kawiarni na Breitscheidplatz w pobliżu Kościoła Pamięci Cesarza Wilhelma. W pobliżu tego, co z niego zostało po bombardowaniu. Na zewnątrz ludzie szczury. Tak właśnie nauczył się myśleć o berlińczykach po wojnie. Ludzie szczury poszukujący w rynsztokach jedzenia, miłości, dowodów tożsamości, nadziei. Bomby i żałoba ograbiły ich z wszelkich pozorów idealnego germańskiego humanizmu.

- Co czyni... - powtarza Franz, myśli. - Pozaczłowieka - kończy z lekkim wahaniem.

Rzednące włosy, ściągnięta twarz. Na froncie wschodnim stracił dwa palce u stopy. Okulary w okrągłych oprawkach. Za szklami blade, wodniste, piwne oczy. Nikt nie zobaczyłby w nim Aryjczyka.

- Nadczałowieka - prostuje Fogg.

- Tak, tak - mówi Franz, nieco niecierpliwie. W dłoniach tuli filiżankę gorącej czekolady, niewyobrażalny luksus.

Płaci Fogg. Z tego, co nazywają szczurzym funduszem.

Fogg nie jest pewien, o co pyta Franz.

- Nadczałowiek działa w moralnej próżni nihilizmu, wytwarzając nowe wartości - dodaje Franz.

Fogg uświadamia sobie, że rozmówca cytuje lub być może parafrazuje Nietzschego. Kręci głową.

- Skąd, do diabła, mogę wiedzieć, co czyni człowieka? Co czyni Ponad-Człowieka?

Z zewnątrz wpada blade światło. Ruiny domów, ziejące w ulicy kraterzy. Szczury. Berlin.

- Na froncie wschodnim - podejmuje Franz i milknie. Obejmuje gorącą czekoladę. Kolejne słowa dobywa z siebie krótkimi seriami. Jakby zapomniał, jak się mówi. - Na froncie wschodnim śnieg był poharatany lejami po bombach. A jednak wydawało się, że ciągnie się aż po samą wieczność. Wie pan, Herr Schleier? Migotał jasnym błękitem. To lód tak się skrzył. A niebo było niesamowicie czarne, niezmacona czerń, tak bardzo dziwna, nieludzka. — Zaczepuje niepewnie powietrza, przebiega go dreszcz. — A pośród niej gwiazdy. Tak wiele gwiazd — ciągnie i upija kilka łyków czekolady. Jabłko Adama podskakuje i opada. - Tak wiele gwiazd.

A każda z nich jest słońcem, skrywającym liczne planety, inne światy. Być może na wszystkich tych światach trwa wojna. - Śmieje się. Roluje w palcach papierosa. Kupionego przez Fogga, ze szczurzego funduszu. Franz zapala. Zaciąga się głęboko. — Wszyscy mieliśmy być Pozaludźmi — podejmuje. Z lekkim smutkiem. - Nie wiedzieliśmy, Herr Schleier. — Tak go właśnie nazywa. Schleier oznacza mgłę lub opary. — Nie wiedzieliśmy.

17. W DRODZE DO LONDYNU, 1936

Jest nienawykły do tego pojazdu, do jego niewyobrażalnego luksusu.

Smugi dymu skupiają się i łączą we wnętrzu samochodu. Ciepłe powietrze wlatuje ponad opuszczoną szybą. Fogg z dłońmi na kolanach. Ze strony Starego cisza. Milczenie wyczekujące, pragnące czymś się wypełnić.

- Co się ze mną stanie? - pyta nagle Fogg. Stary obraca ku niemu spojrzenie. Jakby czekał.

- Boisz się? - pyta. Łagodnie.

-Jak mnie znaleźliście? - rzuca Fogg. Niemal rozpaczliwie. - Skąd wiedzieliście?

Stary, te głęboko osadzone, zwodniczo senne oczy. Można się w nich zagubić. Wiemy o tym.

- Deutsch jest obserwatorem - mówi. - Płacimy mu pensję. To znaczy drugą pensję. Kiedy pojawia się ewentualny kandydat, zostajemy o tym powiadomieni.

- My? — pyta Fogg.

Zęby Starego otaczają cygaro. Nierówne. Nieco wysunięte kły. Sprawiają, iż kojarzy się z podstarzałym wilkiem.

- Jak już mówiłem.

Stary wydmuchuje szaroniebieski obłok. Dym reaguje na obecność Fogg. Szepce do niego. To, co zmieniło się w jego wnętrzu, powoduje, że dym i mgła nie są już zwykłymi zjawiskami przyrodniczymi, lecz czymś niemal ożywionym, czymś, czym Fogg jest w stanie, jakkolwiek śmiesznie by to brzmiało, w pewien sposób manipulować.

- Służba cywilna Jego Królewskiej Mości - ciągnie Stary. - A konkretnie Biuro Spraw Przeszarych.

Pali i czeka. Ma w oczach isierki. Jego uśmiech jest uśmiechem wilka.

- Nie rozumiem — przyznaje Fogg. Szuka czegoś w głowie. Znajduje. - Czym wy się zajmujecie? Emeryturami?

Kierowca uśmiecha się w lusterku. Samuel, aczkolwiek Fogg pozna jego imię dopiero znacznie później.

- Tak, myśl o nas jak o... systemie emerytalnym. Dla Imperium.

Fogg kręci głową. Znow cisza. Podobnie jak wcześniej, pełna wyczekiwania. Wabiąca. Jadą dalej tą samą drogą, mijają ich jadące z przeciwka pojazdy. Na polu koń ciągnie wóz, na którym piętrzy się kopa siana. Kiedy przejeżdżają obok, farmer zwraca ku nim twarz. Stary również obraca głowę, gwałtownie. Patrzy, intensywność spojrzenia przeraża. Jadą przed siebie. Farmer wraz ze swoim wozem znikają w oddali, pomniejszeni do rozmiarów mrówek. Szosa wiedzie prosto naprzód. Stary wzdycha, pociera skronie, jakby bolała go głowa.

- Chyba coś poczułem - mówi.

Fogg może się tylko zastanawiać, czy pewnego dnia - niebawem - owego anonimowego rolnika odwiedzi niespodziewany gość, czy na jego drodze również pojawi się ten sam rolls-royce, zmuszając do podniesienia zaskoczonego i wylęknionego wzroku.

- Powiedział pan, że Deutsch jest obserwatorem - podejmuje Fogg. - Że wypatruje... Czy to znaczy, że są inni?

- A jak sądzisz? - pyta Stary.

- Taką miałem nadzieję. Ale nikogo nie poznałem.

Po tych słowach ulga. Głęboki wdech. Woń leżącego na polach siana. Mijają szereg uli — niskie kwadratowe pudła otoczone rozbrzęczaną, ciemną chmurą.

- I bałeś się. - To Stary. Nadspodziewanie łagodnie.

- Pan by się nie bał? - rzuca Fogg.

- Strach to zdrowe uczucie - stwierdza Stary. Spogląda w lusterko, w oczy kierowcy. Wzdycha. - Tak - dodaje. - Bałbym się. Bałem.

Coś wspólnego, wzajemny związek. Rzeczy niewypowiedziane. W tych trzech słowach zawiera się cały świat znaczeń. Nie jestem sam, myśli Fogg. Z jakiegoś powodu sięga myślami do ojca. Z czasów kiedy on, Henry, był mały. Kiedy ojciec wydawał mu się niczym drzewo, tak duży i silny, i kiedy kochał go bezwarunkowo, nawet gdy ta miłość bolała.

- Czyli pan jest... - odzywa się z zachwytem w głosie.

-Tak - przyznaje Stary. - W pewnym ograniczonym sensie.

- Co się ze mną stanie? - rzuca Fogg w wyczekującą ciszę.

- Będziesz służyć - odpowiada zwięźle Stary.

WOJSKA HITLERA DOKONUJĄ INWAZJI NA POLSKĘ

1 września 1939

WARSZAWA. Wojska hitlerowskich Niemiec wtargnęły na terytorium Polski. Oburzenie i głosy potępienia rozlegają się w całej Europie. Według wstępnych doniesień atak rozpoczął się w Gdańsku, kiedy niemiecki pancernik Schleswig-Holstein otworzył ogień w kierunku obsadzonej polskim garnizonem placówki Westerplatte. Jednocześnie dywizje niemieckiej piechoty, przy wsparciu licznych eskadr Luftwaffe, zapoczątkowały właściwą część inwazji. W chwili obecnej Warszawą wstrząsają ciężkie bombardowania.

Dzisiejsza napaść jest kolejnym z serii dokonanych przez Hitlera aktów agresji. We wrześniu 1938 przywódca Rzeszy wymusił przekazanie swemu krajowi „etnicznie niemieckiego” regionu czechosłowackich Sudetów, a w marcu 1939 roku rozpoczął okupację

całego terenu Czechosłowacji.

WIELKA BRYTANIA WYPOWIADA WOJNĘ NIEMCOM

3 września 1939

LONDYN. Wobec niedotrzymania terminu postawionego Niemcom ultimatum, na mocy którego miały wycofać się z Polski, premier Neville Chamberlain wypowiedział Niemcom wojnę. Podobny ruch wykonał rząd Francji, który oczekiwał wypełnienia warunków własnego ultimatum. W Anglii powołano nowy gabinet wojenny. Pierwszym lordem admiralicji został mianowany Winston Churchill. Król Jerzy IV powiedział w wystąpieniu radiowym: „Czeka nas niezwykle trudne zadanie. Idą mroczne czasy, a nadchodząca wojna nie będzie już konfliktem ograniczonym do pól bitewnych. Wciąż jednak możemy robić to, co uważamy za słuszne, i z czcią powierzyć się boskiej opiece”.

Obowiązek służby wojskowej w czasie wojny spoczywa na mężczyznach pomiędzy 18 a 41 rokiem życia.

TRZY

ZAMIEĆ

**LONDYN-BERLIN-WARSZAWA-LENINGRAD
1941-1945**

18. LONDYN, 1944

Jedna z rzadkich przepustek do domu. Matka jeszcze wtedy żyła; ojciec - jak mu powiedziano - zmarł dwa lata temu. Oczywiście nie był na pogrzebie. Henry Fogg przestał istnieć. Nawet z księgi parafialnej zniknęła adnotacja o jego urodzinach. Biuro działa skrupulatnie.

Schronienie znajduje w ciemnym kinie w pobliżu Leicester Square. Mundur utrzymuje na dystans grasujące po okolicy bandy kobiet wręczających cywilom białe piórka, oznakę wstydu, echo wcześniejszej wojny. Dlaczego nie służysz?

A przecież on służy.

Kuli się głęboko w foteliku, w lodowatym wnętrzu, w za dużym płaszczu. Kino jest prawie zupełnie puste. Za każdym razem, gdy wraca do Londynu, zastaje miasto bardziej odmienione, bardziej mroczne, bardziej groźne. W tym roku nalotów już nie było, lecz wcześniejsze przeobraziły stolicę na stałe, jak szalenie uderzający kogoś brzytwą w twarz. Naga przemoc jednak przyprawiła Fogga o zobojętnienie, wtedy.

Skulony w szynelu pali lucky strike'a - amerykański papieros. Dym unosi się pomiędzy projektorem a ekranem. Niebieska, magiczna mgła, przez którą przenika światło. Na wojnie wszyscy palą. W tylnym rzędzie romansuje para dzieciaków. Z przodu siedzi weteran o twarzy przypominającej kamieniołom, oczy jak wywiercone świdrem dziury. Fogg próbuje zapomnieć o tej przeklętej wojnie, choćby tylko na minutę.

Niestety, kronika filmowa.

D-Day.

Amerykańskie wojska lądują w Normandii. Ziarniste czarno-białe obrazy. Tłoczące się na morzu okręty wojenne. Lądujące na plaży

amfibie, żołnierze wylewający się z nich jak owady, lecące po niebie samoloty. Strzały. Początkowo relacja oszczędza nam widoku poległych.

Narrator: „D-Day! Dzielni amerykańscy wojacy szturmują normandzkie wybrzeże i dostają się pod zmasowany ogień nieprzyjaciela!”.

Promienie projektora oświetlają siedzącego przed Foggiem weterana. Nieogolone policzki, bezdźwięcznie poruszające się wargi.

Narrator: „Nikczemne szkopy bronią się rozpaczliwie, lecz nie są w stanie dotrzymać pola heroizmowi Amerykanów!”.

Fogg pali, wierci się. Już wie, co zobaczy za moment.

Narrator: „Oto nadchodzi Człowiek Tygrys!”.

Na piasku osiadł kolejny statek. Pomalowany krzykliwie, barwnie, widać to nawet mimo czarno-białej palety zdjęć. Jakby przeniknął tam prosto z książeczki dla dzieci. Otwiera się właz. Na plażę wychodzi mężczyzna.

Wygląda jak cyrkowiec. Jest ubrany w ciasny trykot. Ma długą grzywę jasnych włosów i nagą pierś - chociaż panuje przenikliwy chłód. Człowiek Tygrys ryczy bezgłośnie do kamery, demonstruje zęby. Dzikie spojrzenie. Pieprzony bohater, myśli Fogg. Co czyni człowieka? Człowiek Tygrys raz jeszcze zanosi się rykiem, odwraca, przechodzi połowiczną transformację — ktoś w tylnym rzędzie widowni głośno się zachłystuje, romansująca parka wydaje własne dźwięki, nie patrzy na ekran. Fogg ogląda. Oblicze Człowieka Tygrysa przechodzi przemianę, rozwierają się szczęki, widać przypominające broń kły, tygrysie. Ryczy. Wyciągnięte w stronę obiektywu palce zmieniają się w pazury. Na nagiej skórze pojawiają się paski. Do diabła, co za cholerne zwierzę, myśli Fogg.

W otwartych trzewiach pojazdu materializuje się drobniejsza sylwetka.

Narrator: „A oto i Cyklon!”.

Kobieca postać. Drobna, z niemal elfimi uszami, ciemnowłosa, obdarzona uśmiechem diabła - nie schodzi na brzeg, lecz wyskakuje w powietrze, przemieniając się w niewielką burzę, sunący ponad zimnymi wodami kanału La Manche stożek powietrza. Pociski lecą w jego stronę, wir je chwyta i odsyła z powrotem, kamera się trzęsie, grupa niemieckich żołnierzy ginie pod gradem kul. Obraz się przesuwa, znowu ukazuje Cyklon: coraz bardziej wściekły lej wichru. Ostatecznie osiada na plaży, obok Człowieka Tygrysa. Przeobraża się w kobietę. Przecież to jeszcze niemal dziewczynka, myśli Fogg. Na jej twarzy wciąż maluje się ten sam uśmieszek. Staje przy towarzyszu.

Fogg opiera się wygodniej. Wbrew sobie zafascynowany. Jęki z tylnego rzędu osiągają crescendo i nagle milkną. Zawstydzony chichot. Weteran z przodu rozgląda się, patrzy to w jedną stronę, to w drugą. Światło projektora otacza jego głowę niczym aureola.

Na ekranie umierają niemieccy żołnierze, drgają dziwnie przyspieszonymi ruchami.

Narrator: „Elektryczne Bliźnięta!”.

Dwóch młodych, identycznych mężczyzn w roboczych kombinezonach i kaskach. Wyglądają jak elektrycy lub górnicy. Poważne oblicza. Żadnych uśmiechów. Ostrożnie schodzą po rampie na piasek. Zatrzymują się obok pozostałych. Podają sobie ręce.

Ciała bliźniaków dygocą, targane konwulsjami. Między nimi, niczym żywa istota, przeskakuje prąd elektryczny, otacza ich niebieska mgiełka, zimny ogień. Wskazują coś, tworząc grot ze złączonych ramion, mierzą. Strzelają błyskawicą, która wylatuje z koniuszków ich palców i, trzaskając niczym bat, trafia w niemiecki czołg. Potężny wybuch kołysze dziko kamerą. Kiedy obraz się stabilizuje, zamiera na moment na płonącym pojeździe, po czym wraca do Elektrycznych Bliźniąt. Opuścili już ręce. Spoglądają w obiektyw. Tylko przez chwilę. Zadowolone miny. Odwracają wzrok.

Amerykanie, myśli Fogg.

Jedno wielkie, cholerne przedstawienie, myśli.

Narrator z ekranu: „Zielooooooooony Rewolwerowiec!”.

Choć nie jest nawet zielony. Skórę ma czarną. Schodzi z rampy. Miarowy krok. Mężczyzna jest nieco starszy od pozostałych. Szerokoskrzydły, kowbojski kapelusz. Buty z ostrogami. Jego jaja zapewne brzęczą przy każdym kroku stałą, myśli Fogg. Ten zawadiacki sposób bycia. Strój jest zapewne zielony. Nie da się stwierdzić. Ozdobiony roślinnym motywem. Buty, kłamra pasa. Na obu udach wiszą kabury. W ustach niezapalone cygaro. Rozgląda się po polu bitwy. Niespiesznie. Kamera się obraca. Niemieccy snajperzy celują. Zielony Rewolwerowiec po prostu się uśmiecha. Wyciąga broń. Strzela.

Nie kulami.

Strzela pnączami. Zielonymi mackami. Rosnącymi z niesamowitą prędkością. Kielkującymi z samego Zielonego Rewolwerowca. Oplatają wrogich snajperów. Zakorzeniają się. Wypuszczają pączki, kwitną. Rozpościerają duże mięsiste liście.

Gęstwina pochłania ludzi. Już po chwili całe zbocze wzgórza wygląda inaczej. Zielony Rewolwerowiec wsuwa pistolety do kabur. To wcale nie są pistolety - dociera do Fogga. Zwykle atrapy. Zielony Rewolwerowiec uśmiecha się szeroko. Zapala cygaro. Schodzi z rampy. Dołącza do reszty.

Liga Obrońców.

Fogg kręci głową. Kaszle. Rzuca niedopałek na podłogę. Zgniatą obcasem. Wpatruje się w ekran.

Narrator: „Surferka i Człowiek Żaba!”.

Ostatni członkowie grupy. Surferka pojawia się pierwsza. Jej deska ślizga się po wodzie, ponad falami, amerykańscy żołnierze obserwują z brzegu, wiwatują.

Dziewczyna w kostiumie kąpielowym nie czuje zimna. W rękach trzyma parę karabinów maszynowych, strzela. Krótko przycięte jasne włosy, grzywka i zimne szare oczy niczym obce morze. Z wody wyskakuje Człowiek Żaba - przypominająca ropuchę ludzka istota, pokryta łuskami skóra, w zdeformowanych błoniastych dłoniach ściska niemieckiego nurka. Człowiek Żaba miażdży ofiarę w objęciach. Zanurza się z powrotem, pociągając Niemca ze sobą. Surferka ląduje na plaży. Wbija deskę w piach. Człowiek Żaba pojawia się znów na powierzchni, holuje za sobą zakrwawione zwłoki ofiary. Układa je na brzegu. Przechodzi nad nimi. Dołącza do Surferki i pozostałych. Stoją na piasku w szeregu.

Narrator: „Fryce nie sprostają Lidze Obrońców! Odwracają się losy wojny! Łachudry nie oprą się potędze sprawiedliwości! Siły dobra są jak kobra!”. Kamera obraca się, sunie w bok; siódemka w jarmarcznych strojach wpatruje się w obiektyw. Grupowa fotografia, amerykańska potęga. Człowiek Tygrys, Cyklon, Elektryczne Bliźnięta, Zielony Rewolwerowiec, Surferka, Człowiek Żaba.

Obraz nieruchomieje, po czym znika, ekran migoce i Fogg wzdycha. Ulga, nieświadomie wstrzymywany oddech. Zaraz zacznie się film, nareszcie.

19. GABINET STAREGO, teraz

Przypomina sobie ten film, właśnie teraz. „Wyjęty spod prawa” nakręcony rok wcześniej, zanim go obejrzał. Kiedy na ekranie po raz pierwszy pojawiła się Jane Russell, zaparło mu dech w piersiach. Wspomnienie wywołuje uśmiech. Potem widział ten obraz po raz drugi, z Oblivionem, w jakimś amerykańskim obozie, w pół drogi do Berlina, niedługo przed upadkiem. Oblivion rzucił potem jakiś komentarz. Pili akurat whisky od Amerykanów. Coś o tym, że

przypominają filmowe postacie, Fogg i on. Jak Doc Holliday i Billy the Kid. Fogg nie był pewien, który miał być którym.

Sprawy, o których nigdy z Oblivionem nie rozmawiali.

Zbyt wiele niedomówień. Jedna z odebranych na Farmie lekcji. Mówić mało, powiedzieć jeszcze mniej.

To był pierwszy raz, gdy Jane Russel wystąpiła na srebrnym ekranie.

Przypomina sobie momenty, kiedy oglądał ją później. Po wojnie. Ukrywając się w tym samym zaciemnionym kinie w piwnicy nieopodal Leicester Square, w budynku rozebranym w latach sześćdziesiątych. Calamity Jane w „Bladej twarzy”. Dorothy w „Mężczyźni wołają blondynki”...

- Co się tak szczerzysz, do cholery? - pyta Stary.

Fogg gwałtownie wraca do terażniejszości.

- Po co mnie sprowadziłeś? - rzuca.

Jednakże Stary nigdy nie zaczynał tak po prostu. Fogg zna tę grę, choć oczywiście nie jest to wcale zabawa. Swędzą go dłonie. Wie, że wszystko zostało zorganizowane, zaplanowane z największą starannością. Wypowiada w końcu wyciągnięte z niego wbrew woli słowa:

- Kiedy mijaliśmy przed chwilą pokój szyfrów... - Zawiesza głos pytająco.

-Tak? - dopytuje Stary. Jasne, drapieżne spojrzenie.

- Co się stało na Morzu Północnym? - wyrzuca z siebie Fogg.

- Nie twoje zmartwienie - odpowiada Stary. Czeka.

- Usłyszałem pseudonim.

-Tak?

- Zamieć — mówi Fogg.

Stary rozsiada się wygodniej. Jakby na ten właśnie moment czekał. Dłuższą chwilę wpatruje się w Foggę swymi jasnymi oczyma. Oczyma, które widzą, dokądkolwiek pójdziesz. Gdziekolwiek byś się ukrył. Odzywa się wreszcie, cicho:

- Ale nie tak nazywał sam siebie, prawda Fogg?

- Nie — mówi Fogg.

Ty bydlaku. Przynajmniej już się zaczęło, myśli.

- Więc, Fogg, jak nazywał sam siebie? - pyta Stary.

Fogg spogląda na Obliviona. Szuka pomocy. Ale tam jej nie znajdzie. Oblivion siedzi jak posąg. Jego pobladała, kanciasta twarz jest piękna niczym oblicze greckiej rzeźby. Fogg odwraca wzrok.

- Schneesturm - odpowiada. - Mówił o sobie Schneesturm.

Słowa zawisają w powietrzu jak sople lodu. Stary się uśmiecha.

Smakuje chwilę. Fogg przypomina sobie, jak Stary przesłuchiwał więźniów, po wojnie. Mały pokój, bez okien, coraz to nowy przywiązany do krzesła niemiecki jeniec.

20. OBÓZ DLA PRZEMIESZCZONYCH, BERLIN-MARIENDORF, 1945

Wielki teren, ludzki tłum niemożliwy do poprawnego sklasyfikowania i oznakowania. Niemniej trzeba to zrobić, trzeba ich wszystkich posortować, skatalogować, przepytąć. Osoby przemieszczone. OP. Podobne obozy są rozsiane po całych Niemczech i w sąsiedniej Austrii, w miejscach takich jak Bad Reichenhall, Cornberg, Mittenwald i

Pocking. W miasteczkach, o których nigdy nikt nie słyszał. Ani nawet nie chciał. Fogg w życiu nie widział niczego podobnego. Kobiety jak chodzące szkielety, skóra naciągnięta na wystające żebra, nagie pokryte strupami stopy, głowy ogolone w asyście rozłazących się po zimnej ziemi wszy. Mężczyźni o spojrzeniach mówiących, że nic i nigdy już ich nie wzruszy. Lekcja, na której ciemnowłosa kobieta — poznał ją przelotnie, nazywała się Anda Pinkerfeld - uczyła dzieci hebrajskich piosenek. Szedł akurat pod oknem, z którego dolatywał ich śpiew, Za Foggiem ciągnęły się w brudnym śniegu ślady butów.

- Sortowanie i klasyfikacja - tłumaczy Stary. Fogg uprzejmię kiwa głową. - Sortuje się według wytycznych Naczelnego Dowództwa Alianckich Sił Ekspedycyjnych. W obozie znajdują się ludzie z całej Europy, sortowani i oznaczani wedle wspomnianych wytycznych na: osoby ewakuowane, uchodźców wojennych bądź politycznych, więźniów politycznych, pracowników przymusowych bądź dobrowolnych, pracowników organizacji Todt, byłych żołnierzy sił podległych dowództwu niemieckiemu, osoby deportowane, osoby wydalone z innych krajów, osoby internowane, byłych jeńców wojennych i bezpaństwowców.

Powyższa lista nie zawiera jednej szczególnej kategorii.

Foggowi nie podoba się ten obóz, nie podoba mu się też praca dla Blura, niemająca nic wspólnego z sortowaniem bądź oznaczaniem. To przesłuchania, zwykłe, normalne, mające tylko jeden cel. Odnaleźć i zatrzymać wszystkich Übermenschów próbujących ukryć się wśród cywilów.

Ten ślad butów w mokrej brei prowadzi stąd poza klasę, z której biją słabowite, dziecięce głosy, poza kolejki czekających cierpliwie kobiet i mężczyzn, poza pilnujących ich żołnierzy z papierosami, na zaplecze długiego, parterowego budynku i przez nieoznakowane drzwi (kolejny ulubiony motyw Starego). Wewnątrz ziąb wydaje się jeszcze bardziej dotkliwy. Wypływające nam z ust powietrze zamienia się w parę. My wiemy. Widzieliśmy już wnętrze tego budynku. Jest tam metalowe

biurko i przymocowane przed nim do podłogi metalowe krzesło. Za biurkiem drugie krzesło, bardziej wygodne, pozbawione skórzanych pasów. Na blacie czeka jaskrawo świecąca lampa, lecz Stary rzadko musi z niej korzystać. Teatralnymi ruchami rozkłada na biurku papiery. Teczki. Akta. Posługuje się dokumentami jak inni obcęgami i nożami. Fogg jest tam w charakterze obserwatora. Siedzi nieco z boku, w milczeniu. Gra rolę tego, którego nie znamy, nie potrafimy rozgryźć, nie rozumiemy, co tutaj robi, boimy się go, ponieważ go nie rozumiemy.

- Wprowadzić — rzuca Stary.

Fogg wykonuje polecenie. Podchodzi do drzwi. Daje znak żołnierzom. Wpuszczają pierwszą osobę. Kobieta po trzydziestce. Popielata blondynka. Na małym palcu lewej dłoni nie ma paznokcia. Siada. Spogląda na Starego z... Z czym? Z buntem w spojrzeniu? A może z wyrazem kapitulacji, pogodzenia z losem?

- No dobrze - mówi Stary. Szeleści papierami. Otwiera teczkę. Z czarno-białego zdjęcia wyziera twarz tej samej kobiety, lecz młodszej, bardziej szczęśliwej.

- Maria Becker - dodaje Stary.

- Tak? - odzywa się kobieta. Drżącym głosem. Co chwila zerka na Foggę, który stoi oparty o ścianę, ze splecionymi na piersi ramionami. Patrzy na niego, nie rozumie, co on tutaj robi.

- Czy zechcesz mi o czymś opowiedzieć? — pyta Stary.

- O czym na przykład? - odpowiada Maria.

Stary przewraca kartkę i jeszcze jedną. Czeką.

- O czym? - powtarza Maria. Znow spogląda na Foggę.

- Opowiedz mi o Schneesturmie - mówi Stary. Sugeruje.

Twarz Marii skręca dawny ból.

- Ja nic nie wiem - odpowiada.
- Wszyscy tak twierdzą - zauważa Stary. - Nikt o niczym nie wie.
- Ale ja naprawdę nie mam pojęcia! - rzuca ona. Stary przewraca kolejną stronicę.

Na zewnątrz krzyki. Jakieś zamieszanie. Później Fogg dowie się, że kilku żydowskich osadzonych rozpoznało między sobą kapo, strażnika z jednego z obozów zagłady. Zanim docierają do nich żołnierze, jest już za późno, człowiek zamienia się w leżącą na śniegu kupę krwi i mięsa.

- Schneesturm - odzywa się wreszcie Maria, jakby smakując słowo.
- Nie jesteś mu nic winna — wtrąca Stary. — A my chcemy z nim tylko porozmawiać.

Cisza w pokoju. Na zewnątrz pada strzał. Maria krzywi się, dygocze. Fogg stoi nieruchomo.

- Poznałam go w Warszawie - podejmuje w końcu kobieta, niechętnie. - W czterdziestym trzecim. - Z trudem wypowiada słowa. Nagle wybucha: - Nie jestem mu nic winna!
- Nie jesteś - przyznaje Stary. Zgadza się. Kiwa zachęcająco głową.
- Ale ja naprawdę nie wiedziałam, kim on jest.

Stary opiera się wygodniej. Tym gestem wzbudza w przesłuchiwanej zaufanie. I Maria mówi.

21. OBÓZ DLA PRZEMIESZCZONYCH, BERLIN-MARIENDORF, 1945

Marta Becker bezgłośnie płacze. W pokoju przesłuchań jest cicho. Fogg zauważa na podłodze ciemne plamy. Część z nich to zaschnięta krew, myśli. Inne to mocz. Maria Becker szlocha. Stary siedzi po przeciwnej stronie biurka, z dłońmi płasko ułożonymi na zimnym blacie. Czeka.

- Opowiedz mi o Ericu Bühlerze - zachęca.
- Poznałam go w Warszawie. Był przystojnym mężczyzną... a ja czułam się samotna.
- Co robiłaś w Warszawie?
- Pracowałam jako sekretarka Obergruppenführera Krügera w Schutzstaffel.

Stary rozpira się w krzesle. Ten błysk w jego oczach. Sprawia, że Fogg zastanawia się, kim był przed przemianą. Jaką zajmował się pracą. Pytania, które nigdy nie padają.

- Chodzi o Obergruppenführera Friedricha-Wilhelma Krügera?
- Tak.

Schutzstaffel. SS.

- Dowódcę SS i policji na okupowaną Polskę?
- Tak.
- Byliście ze sobą blisko?
- Był dobrym człowiekiem - mówi Maria. - Przyzwoicie mnie traktował.
- Popełnił samobójstwo — wyjawia Stary. — W Austrii. Wiedziałaś o tym?
- Nie, nie wiedziałam.

Fogg zdaje sobie sprawę, że ludzie pokroju Marii nieszczególnie aliantów interesują. W tych łowach liczy się wyłącznie gruba zwierzyna — osoby w typie Göringa, Eichmanna, Ribbentropa, Speera, Mengele. Sekretarka SS nie obchodzi nikogo i Maria dobrze o tym wie. Jej największą szansą jest mówić, dać im wszystko, czego zechcą. A Stary, jak się wydaje, chce Ericha Böhlera, pseudonim Schneesturm, dawniej szanowanego członka elitarnego, nazistowskiego Übermensen Korps, obecnie poszukiwanego listem gończym zbrodniarza wojennego, ukrywającego się przed wymiarem sprawiedliwości.

- Poznałam Ericha, kiedy przyjechał do biura. Miał umówione spotkanie z Obergruppenführerem. Wychodząc, zatrzymał się i chwilę gawędziliśmy. Ładnie się uśmiechał. Wtedy go nie rozpoznałam. Potem pokazywał mi wycinki z gazet. Schneesturm, bohater Leningradu. Czasami, kiedy się kochaliśmy, sprawiał, że dokoła zaczynał sypać śnieg. Tulił mnie wtedy, czułam żar jego ciała... Potrafił być naprawdę romantyczny. Czy to pana szokuje?

Stary się uśmiecha.

- Przykro mi, ale nie. - W jego głosie słychać szczery żal.

Maria ponownie zerka na Fogga, lecz jego twarz jest pozbawiona wyrazu, nie zdradza niczego.

- Myślałam, że mnie kocha — dodaje kobieta.

Stary czeka.

- Wykorzystał mnie - podejmuje Maria. — Tak jak wszystkich innych. Chciał informacji na temat działań SS. Przynosiłam mu dokumenty. Friedrich-Wilhelm, to znaczy Obergruppenführer Kruger, był wówczas bardzo zapracowany. Świeżo po awansie. A Żydzi... - Wzdycha przeciągle. - Żydzi wznieśli w getcie powstanie. Straszny zamęt. Masa papierkowej roboty. Musiała wkroczyć armia. Oni byli jak szczury... - Znowu zaczyna płakać, bezgłośnie, jakby łąy stanowiły ochronę przed

przesłuchującymi.

Musiła być ładna, dawniej, myśli Fogg.

Wojna ze wszystkich uczyniła starców. Wiemy.

- Mówiłaś o powstaniu w warszawskim getcie - ponagła Stary.
- Tak. Erich chciał wszystko wiedzieć. Wówczas nie miałam pojęcia, dlaczego. Teraz chyba wiem.
- Dlaczego?
- Moc — mówi Maria Becker i to pojedyncze słowo zawisa w nieruchomym, zimnym powietrzu pokoju jak mgła. - Potrzebował mocy. Pewnego razu coś mi powiedział. Pił wtedy przez całą noc, siedzieliśmy w moim pokoju. Był nagi, zwrócony do mnie plecami, jego pośladki odciskały się na cienkim materacu. Patrzył za okno. Na dworze padał śnieg. I wtedy to powiedział: „Ja już nie wierzę”.

22. WARSZAWA, 1943

Sklejamy ten obraz ze sprzecznych relacji. Zeznania Marii Becker, czego Fogg dowiedział się potem, nie są ani trochę prawdziwe.

- Ja już nie wierzę.

Erich siedzi nagi na cienkim materacu. Jest blady na całym ciele. Maria sunie po jego plecach paznokciami, lecz męczyzna otrząsa się z dotyku.

Na stoliku obok łóżka stoi butelka wódki. Polubił ją w Rosji, tak mówi. Opowiedział też Marii o martwych, zamarzniętych na ulicach koniach, o dzieciach wycinających mięso z boków zdechłych zwierząt. W Leningradzie nie ma już koni. Erich wygląda przez okno. Unosi butelkę do ust. Pije. Na zewnątrz szaleje śnieg, mokre placki puchu biją w szybę.

Wewnątrz jest ciepło, w powietrzu wciąż daje się wyczuć zapach seksu. Maria się unosi, wtula w plecy Ericha, ciężkie piersi chłodzą rozgrzane gorączką plecy.

- Nie możesz tak mówić — rzuca.

On nie odpowiada, jakby jej nie zauważał. Kobieta wyciąga rękę, by go dotknąć, jej dłoń otacza sztywnego fiuta, lecz mężczyzna i teraz się otrząsa.

- Masz rację - stwierdza Erich. - Zapomnij, że cokolwiek powiedziałem.

Teraz Maria zaczyna się bać.

- Pomyśl o przyszłości - szepce do niego.

Przemieszane obrazy w barwach podstawowych. Czerwono-białe flagi ze swastyką łopocą na wietrze, błyszczące rakiety wzbijają się pod niebo, drapacze chmur wyrastają nad Dunajem, Tamizą, Wołgą i Renem. Blondwłose dzieci bawią się w jaskrawym słońcu Afryki, w mundurach perfekcyjnie wyprasowanych przez służących niewolników. Nieopodal, w montowniach volkswagenów pracują nowoczesne kobiety a Maria i Erich, w górach, wraz z trójką swych dzieci zanoszą się śmiechem, trzymając się za ręce. Jeden z malców znajduje w śniegu dziwny przedmiot, sześcioramienne złotą gwiazdę na łańcuchu.

- Co to jest? - pyta chłopiec.

- Nic - odpowiada Maria. Odbiera mu błyskotkę i wyrzuca.

- Widziałem getto - mówi Erich.

Cholerne powstanie. Żydzi nie chcą opuścić getta. Pociągi, gotowe już do podróży do Oświęcimia, stoją puste na peronach. Marta, zakłopotana, lekko się wzdyga. Próbuje nie przeglądać codziennie

przepływającej przez jej biurko korespondencji. Pogłoski na temat obozów. Listy od doktora Mengele, któremu potrzebne są bliźnięta. W biurze czasem nawet z tego żartują. Później prośby nabierają innego brzmienia. Utajnione listy o niewyobrażalnej treści. Czy w getcie są Übermenschowie? Czy możecie to potwierdzić? Pilnie potrzebne kolejne okazy. Szaleństwo.

O którym mówi się ściszymi głosami, zupełnie jak podczas rozmów o samym Vomachcie. Maria nienawidzi Warszawy. Nienawidzi Polaków, spojrzeń, jakimi obrzucają ją na ulicy ci obdarci mężczyźni i kobiety cuchnący porażką, w pewien sposób nie do końca ludzcy, tak odmienni od niej.

-I co tam zobaczyłeś? - pyta. Ponownie próbuje popieścić Ericha dłonią. Tym razem mężczyzna pozwala. Wyraźnie twardnieje.

- Widziałem, jak umierają - mówi.

-Trwa wojna - mówi kobieta. Wojna. Ostre słowo. Krieg. Prosto z gardła. Krrrieggg.

- Wojna — powtarza Erich. — Wojna. — Wpatruje się w okno. Zamieć za szybą przybiera na sile. Połyka wszystko, zamyka ich w pokoju niczym więźniów. - Wojna - mówi.

Maria pieści go aż do wytrysku.

23. WARSZAWSKIE GETTO, 1943

Dzieci z żółtymi gwiazdami Dawida na ramionach biegną po ulicy, szukają schronienia. Pobliski budynek stoi w płomieniach. Getto obraca się w ruinę, budynki tulą się jeden do drugiego, kobiety w chustach wyglądają z okien. Młodzi mężczyźni stoją na dachach i rzucają koktajlami Mołotowa w czołgi przegrupowujące się poza murami zamkniętej dzielnicy. Oglądamy, widzimy, rejestrujemy. Schneesturm wzbija się w powietrze nad gettem, pędzący chłopcy

zamierają, wskazują palcami niebo. Niemiec ma na sobie biały mundur, bliźniacze błyskawice SS zamknięte wewnątrz wielkiego U umlaut. Dwuosobowa obsada zainstalowanego na dachu zdobycznego karabinu maszynowego otwiera ogień. Wokół Schneesturma zbiera się śnieg, maskuje go.

- Czy to ptak? Czy samolot? - pytają podekscytowani chłopcy. Nie, to najprawdziwszy niemiecki Übermensch.

Schneesturm obserwuje. Nie wkracza do akcji. Nie przybył tu oficjalnie. Nagle jednak na dachu pojawia się nowa postać. Mężczyzna o nagim torsie mimo panującego chłodu. Mocno opalona skóra, niemal zielona. Ukryci chłopcy szepczą. Niemieccy żołnierze strzelają, lecz nie mogą się wychylić. Żydzi, jak dotąd, trzymają ich w szachu. Mężczyzna na dachu zaczyna się rozpędzać. Boso. W biegu rósł, rozrastał się. Śnieg się rozprasza, pojawia się biała postać niemieckiego Übermenscha.

Erich przygląda się ciekawie zawieszony w powietrzu. Obserwuje biegnącego Żyda, rosnącego, coraz bardziej zielonego, karmiącego się słońcem. Nagle ze skóry mężczyzny na dachu wyrastają wielkie kolce, z ramion, nóg, stóp.

Skacze. Wybija się w powietrze.

Niesamowicie wysoko. Gettem wstrząsa ryk. Buntowniczy i wściekły. Niewidoczny niemiecki snajper strzela, lecz pocisk, nawet jeżeli trafia, nie wyrządza widocznej krzywdy, a strzelec, zdradziwszy swą pozycję, ginie wyeliminowany przez żydowskiego bojownika ukrytego w jednym z mieszkań getta. A ten człowiek, ten frunący pod niebem Übermensch, wygląda jak półroślina, dysponuje nieludzkimi mocami. „Sabra, Sabra” — szepcą do siebie chłopcy.

Gdy Sabra osiąga jego pułap, Schneesturm wydaje się wstrząśnięty. Żyd wyciąga kolczaste, kłujące ramiona i chce go objąć w zabójczym uścisku. Niemiec posyła na przeciwnika grad sopli. Sabra, rycząc, rozbija je rękoma w pojedyncze płatki śniegu. Tłukące lód kolce

wydają dźwięk podobny do drapania gramofonowej igły.

Schneesturm wzbija się wyżej. Unika starcia. Sabra opada na dach innego budynku, Niemcy strzelają, w boku Żyda otwiera się rana, z której cieknie zielona maź, lecz zaraz zaczyna się zamykać, zarasta kaktusowym ciałem. Sabra przykłęka, podpira się ramieniem, zamiera, tylko na mgnienie. Wyraźnie widzimy jego sylwetkę. Zaraz potem wzbija się ponad getto, wypływając z siebie obelgi w kierunku niemieckich żołnierzy w ich własnym języku. Tłum wiwatuje, chłopcy podskakują w miejscu. Obserwujący to wszystko z wysoka Schneesturm spowija się śnieżną zasłoną i znika. Koszmarne widmo zostało, być może, pokonane przez tego ponadludzkiego Żyda.

Być może.

24. GABINET STAREGO, teraz

- Schneesturm — odzywa się Stary. — Zamieć. — Odwraca spojrzenie od Fogg, na moment. - Wybieramy sobie takie pretensjonalne pseudonimy, prawda, Oblivion?

- Sir?

Oblivion drga. Prawie jak wyrwany ze snu. Fogg nie daje się zwieść. Ani na chwilę. Stary również kręci głową na taką głupotę. Wyciąga teczkę i kładzie ją na blacie. Pozwala jej przez chwilę poleżeć w spokoju. Bębni w okładkę palcami. Jakby do rytmu niesłyszalnej muzyki. Otwiera. Ze starego zdjęcia spogląda przystojny, młody mężczyzna. O włosach tak jasnych, że aż białych. Jasne i niewinne, niebieskie oczy. Uśmiecha się do aparatu. Za jego plecami widać śnieg.

- Naprawdę nazywał się Erich Bühler. Pamiętasz Ericha, prawda Fogg? Fogg pamięta. Nie odzywa się słowem.

- Przystojny młodzieniec, zgodzisz się? — dodaje Stary.

- Zginął - odpowiada wreszcie Fogg, niechętnie. - W Berlinie, w

czterdziestym szóstym.

Przypomina sobie ich pierwsze spotkanie.

25. LENINGRAD, 1942

I znów w śniegu i lodzie, obaj niechętni obserwatorzy Starego. Fogg i Oblivion. Oblivion i Fogg. Wloką się noga za nogą. Niebo jest ciemne, bezchmurne. Słońce zachodzi przed nimi, ostatnie promienie padają na zimowy pejzaż.

- Misja obserwacyjna na froncie wschodnim z ramienia Blura Spraw Przeszarżanych Jego Królewskiej Mości. Kurde, ale mróz — rzuca Fogg.
- To co? Koniec raportu? - pyta Oblivion.

Jest zimno, lecz jednocześnie w dziwny sposób pięknie. W dali majaczy Leningrad, wznoszą się wieże budynku admiralicji oraz soboru Zbawiciela na Krwi, a powyżej - niczym orły bądź nietoperze - suną samoloty Luftwaffe, zabarwiając niebo intensywnym szkarłatem. Unoszący się dym kusi Fogga, by wyciągnął dłoń i nadał mu kształt, by go rozproszył.

- Pieprzyć Starego - dodaje Oblivion. - Pieprzyć Rosję i pieprzonych faszystów.

Fogg jest tak głodny, że zabiłby psa. Albo cokolwiek. Bo tutaj nie ma psów. Oblivion macha ręką, wymazując śnieg i lód, bardzo swobodnie, wydaje się, że mógłby to zrobić z całym światem. Powietrze wokół mężczyzny jest przejrzyste, trzaska przy każdym ruchu ramienia, czuć specyficzną woń ozonu.

- Pieprzyć - przytakuje Fogg. Wraca do układania w głowie raportu. - Znajdujemy się poza linią niemieckiego frontu - mówi. - Leningrad mamy przed sobą w odległości około... Oblivion?

- Skąd mam wiedzieć, cholera?

- Skąd mamy, cholera, wiedzieć — powtarza Fogg uroczyście. -
Niemniej miasto jest przed nami.

Spogląda w tamtą stronę. Wyobraża sobie wszystko, co się dzieje za murami tego starożytnego grodu, tego Petersburga, tego Leningradu. Głodujące dzieci ścigają szczury z myślą o kolacji, uzbrojone szkielety mężczyzn patrolują ulice, wysuszone jak sklepowe manekiny kobiety dołączają do szeregów walczących, uważając, że przetrwają choć chwilę, że to sytuacja rodem z kiepskiej powieści, z przedrewolucyjnej książki, powstałej, zanim człowiek nazwiskiem Hitler doszedł do władzy i przepisał świat na nowo niczym marną opowieść.

- Dzięki Bogu, że nas tam nie ma - zauważa Fogg.

- Jestem głodny - mówi Oblivion.

- Reasumując, sądzimy, że wkraczając do Rosji, Niemcy popełnili błąd - mówi Fogg.

- Wielki, krwawy błąd - dodaje Oblivion.

- Sugerujemy zostawić Hansów i Iwanów samym sobie, a my tymczasem wrócimy na łono starej, dobrej Anglii. Kurwa, ależ zimno.

- Koniec raportu — mówi Oblivion. - Fogg?

- Tak, Oblivion?

- Padnij!

Fogg, mocno szarpnięty za ramię, ślizga się na lodzie, pada twarzą w śnieg. Przeklina pod nosem.

-Co?!

- Patrz.

Leżąc na brzuchach, podnoszą głowy, zadzierają je ku niebu:

Za nimi, z za ich pleców, sunąc w kierunku miasta, wzlatuje pod chmury flota ludzi z raketowymi plecakami. Pstrzą ciemniejący horyzont niczym stado czarnych ptaków, z ich grzbietów strzelają pióropusze płomieni, stalowe hełmy lśnią w zamierających promieniach zachodzącego słońca. Przelatują, jeden za drugim, coraz ich więcej, horda latających ludzi, a warkot ich maszyn mąci ciszę. Rozlega się terkot karabinów, strzelają z ziemi w powietrze i jeden z lotników eksploduje jaskrawym wybuchem i rwanym, śmiertelnym wrzaskiem. Faszystowski Ikar spada z nieba, jego płomień gaśnie, kiedy ciało uderza w śnieg i nieruchomieje. A jednak pojawiają się następni, aż niebo wypełnia się tymi nie-ptakami, nie-samolotami, żołnierzami Rzeszy.

- Mój Boże - rzuca Fogg.
- I Jego słuگو, doktorze Vomachcie.
- Spójrz - szepce Fogg.

Z miasta wzbijają się pod chmury. Związek Bohaterów Radzieckich, budzących grozę Swierchliudiej ZSRR, startuje w powietrze. Obrońcy Ojczyzny przeciwko najeżdżającym szkopom.

Unosząc się, rosną na niebie i Fogg dostrzega ich lecącego przywódcę. Czerwony Sierp frunie na czele pozostałych: Rusalki, Kościeja Nieśmiertelnego i odzianej w swe szarozielone barwy Baby Jagi. Jest też Koktajl Mo-łotowa i Wielki Sowiet. Korzystając ze swych mocy, atakują nieszczęsnych

Niemców z raketowymi plecakami. Niebo przepelniają odgłosy rozdzierania i wybuchów, martwy deszcz zalewa biały śnieg. Pojawiają się samoloty Luftwaffe, lecz Czerwony Sierp podlatuje do jednego z nich i wyciąga pilota prosto z kokpitu. Mężczyzna szamoce się i krzyczy, próbuje uciec, na jego obliczu maluje się czysta groza. Czerwony Sierp unosi go bez trudu, jakby chwycił dziecko, i odlatuje od maszyny, która kieruje się nosem w dół i opada, pociągając za sobą dwóch lotników z plecakami, nie zdążyli się usunąć; Czerwony Sierp

przez długą, pełną czułości chwilę tuli do siebie pojmanego pilota, po czym wypuszcza go i wrzeszczący człowiek spada, coraz niżej i niżej, prosto na oczekujący lód. Niebawem krzyk milknie w pół dźwięku zastąpiony obrzydliwym wilgotnym plaśnięciem.

Na niebie roi się od samolotów, ludzi, pocisków smugowych i rozbłysków niezemskiej energii, a pod tym wszystkim Fogg i Oblivion widzą pełznące czołgi i przemykających za nimi piechocińców. Zupełnie jakby przedwcześnie nadeszła apokalipsa.

- Cholerna wojna — stwierdza Oblivion, a Fogg przyzywa mgłę, która opada dokoła niczym koc, kryjąc ich obu przed ludzkim wzrokiem. - Ta cholerna wojna.

Mgła spowija Anglików, a lód staje się ich wspólnym łóżkiem. I na chwilę znowu są ze sobą, razem i samotni.

CZTERY

FARMA

DEVON
1936

26. FARMA, DEVON, 1936

Koła autobusu obracają się miarowo. Fogg siedzi z przyciśniętą do okna twarzą i wygląda na zewnątrz. Dzień jest piękny. Zielone pola rozciągają się pod intensywnie błękitnym niebem, na którym jak łabędzie fruną białe chmury. Oszalamiająco żółte stokrotki przełamują zielenią wzgórz niczym miraż. Z radioodbiornika płynie piosenka. Cliff Edwards śpiewa „I'll See You In My Dreams”. W swoim stroju Fogg czuje się lekko absurdalnie. Szorty koloru khaki, zbyt ciasna niebieska koszulka, białe skarpety, czarne buty. Skaucik zafajdany. W autobusie nie jest sam. Są też pozostali. Zebrali się wczesnym rankiem na londyńskim Smithfield Market, wraz z nawoływaniem rzeźników, wonią krwi, chłodem lodówek. Za ladami wiszą rzędy wieprzowych żeberk. Tasaki miarowo unoszą się i opadają. Kielbasy niczym wnętrzności. Stoją tam w ten zimny poranek, chuchając na palce, by choć trochę je rozgrzać. Wszyscy czują się nieco niedorzecznie. Na miejsce stawili się ich ośmiu lub dziesięciu. Czekają na żółty autobus - który wreszcie nadjeżdża. Kierowca garbus, zaczesane na bok czarne i przerzedzone już włosy, na policzkach szorstki zarost.

- No, na co czekacie, panowie? - rzuca.

Wchodzą do środka. Nie rozmawiają ze sobą. Nie patrzą na siebie. Fogg wygląda przez okno zahipnotyzowany jazdą. Poza Londynem, wraz ze wschodem słońca, znika przynosząca mu tak wiele ukojenia mgła. Nie jest pewny, kim są pozostali. Pozbawieni twarzy chłopcy i dziewczęta oraz jakaś starsza pani. Ona wydaje się tu szczególnie nie na miejscu. Jasne jest jedno - tym autobusem podróżują dziwne osoby.

Kierują się na południe. W oddali na wzgórzu wznosi się kamienne zamczysko. Bydło na polach spokojnie przeżuwa. Siedzący za Foggiem olbrzym kicha. Niemal - cholera - urywa Foggowi głowę. Wymamrotane zza pleców „Bardzo przepraszam”. Cichy głos jak na tak wielkiego faceta. Skąd oni wystraszyli tych wszystkich ludzi?

- *Przyjechałem tutaj, by zabrać cię do wyjątkowej szkoły. Dla wyjątkowych ludzi. Takich jak ty. Do szkoły, w której będziesz szczęśliwy — mówi Stary. Fogg chce wierzyć. Nadzieja w jego spojrzeniu. Tak łatwo ją odebrać. Niemniej chce, by to była prawda, pragnie tak gorąco, że aż boli.*

- *Naprawdę? - pyta.*

- *Oczywiście, że nie, chłopcze — odpowiada Stary. — Nie bądź tak cholernie głupi.*

Mimo wszystko wierzy. Za oknem miga drogowskaz z napisem Exeter.

- Devon - stwierdza wielkolud. Przejeżdżają wiejskimi szosami, mijają labirynty żywoplotów, które po pewnym czasie otwierają się — nagle i niespodziewanie - na dolinę. Autobus toczy się w dół zbocza i widzą wąski strumyk, trawiaste pola oraz kilka długich parterowych budynków z białego kamienia. Całość otacza płot, na łące pasie się stadko krów, a przy bramie stoi budka wartownika. Właśnie tam się zatrzymują.

Strażnik ma znudzoną minę, chudy mężczyzna z cerą koloru nikotynowej płamy. Komicznie szerokie uszy. Rozmawia z kierowcą, krótko. Kiwa głową. Otwiera bramę. Garbaty uruchamia silnik, wjeżdża na teren i kieruje się podjazdem ku dużemu budynkowi w kształcie litery L. Zatrzymuje się przed szerokimi kamiennymi schodami.

Opodal parkują inne samochody; jest wśród nich rolls-royce phantom II.

- Wysiadka, panowie - rzuca kierowca.

Fogg zarzuca torbę na ramię i dołącza do innych w niewygodnej dreptaninie do wyjścia. Wielkolud idzie za nim, ciężko dysząc, próbuje precyzyjnie swe wielkie ciało wąskim korytarzykiem między siedzeniami. Docierają do drzwi i Fogg zeskakuje na ziemię. Staje w

słońcu. Gwałtownie mruga zaatakowany jasnymi promieniami. Pozostali za nim. Kierowca wysiadł z drugiej strony, przystaje w cieniu autobusu i skręca sobie papierosa. Powietrze pachnie tu czystością, znacznie bardziej świeże niż w mieście. Jest też bardzo cicho. Brakuje pomruku pociągów, ludzi i wózków. Fogg słyszy ptaki. Dwa motyle ścigają się w stronę długiego budynku w oddali. Fogg zauważa stojących tam ludzi. Ubranych w tym samym guście - tudzież z jego brakiem - co on. Z autobusu wysiedli już wszyscy. Przechadzają się dokoła. Przeciągają. Fogg przygląda się im ukradkiem. Wielkolud: zdecydowanie ponad dwa metry dziesięć, pewnie bliżej dwóch i pół. Szerokie bary, mocna pierś i ramiona. Kiedy stali na Smithfield, to on przyciągał najwięcej spojrzeń, zresztą zupełnie zasłużenie.

Oczy mężczyzny są zielone, wodniste. Twarz ma łagodną i miękką, co dziwnie kontrastuje z potężną sylwetką, z całym jego ciałem. Musi być młody, uświadamia sobie nagle Fogg. Na pewno nie starszy ode mnie.

W grupie znajduje się również stara kobieta. Ma na sobie identyczny komplet jak pozostali. Szorty w kolorze khaki, niebieska bluzka i białe skarpety naciągnięte na pokryte żyłkami nogi. Wygląda tu równie nie na miejscu, jak czuje się Fogg. Nie jest pewien, co ma się teraz wydarzyć. Wyczuwa na sobie skupione spojrzenia niewidocznych oczu. Stojący obok autobusu kierowca dopala papierosa. Wsiada z powrotem do środka. Uruchamia silnik. Odjeżdża, przez podjazd, za bramę. Znika w oddali, powoli cichnie warkot silnika. Zostawia ich, porzuca.

Farma.

Jakiś dźwięk zwraca uwagę Fogg. Odwraca się. Z budynku wychodzi trzech ludzi. Jednego z nich rozpoznaje. To Stary.

Drugi: młody mężczyzna o smukłej twarzy, w białym kitlu, świeża cera, gładko ogolony. Ledwie po dwudziestce. Trzeci: posiwiaty żołnierz w mundurze, pięćdziesiątkę ma już na pewno za sobą, gęste wąsy i oszłamiająco zielone oczy. Wyprostowany jak drut. Wszyscy trzej

stają u szczytu schodów i spoglądają w dół. Patrzą badawczo, oceniają ich. Fogg i jego towarzysze kręcą się dokoła. To tu, to tam. Nie wiedzą, co robić. Trójka powyżej, jakby podjąwszy jakąś decyzję, schodzi po stopniach, zrównuje się z nimi poziomem.

- Zbiórka! - rzuca Stary. - Zbiórka, powiedziałem! Stańcie porządnie w szeregu.

Fogg dołącza do reszty. Ustawiają się rzędem. Każdy z nich trzyma w ręku torbę. Stawiają je u swoich stóp. Stoją jak na apelu. Trzej nieznajomi wciąż ich obserwują, ten w mundurze przechodzi powoli wzdłuż szeregu, kolejno obrzucając przybyłych nieprzyjemnym spojrzeniem.

- Nigdy nie widziałem tak żalosnej zgrai - stwierdza.

Mężczyzna w białym kitlu uśmiecha się lekko.

- Witajcie na farmie, chłopcy i dziewczęta - odzywa się Stary.

Patrzy na nich.

- Panie i chłopcy - poprawia się. Kiwa głową w kierunku starszej kobiety, która odpowiada podobnym gestem. Stary wskazuje palcem mężczyznę w mundurze. - Poznajcie sierżanta Browninga - przedstawia. - To on tutaj dowodzi.

Browning, choć wydawało się to niemożliwe, jeszcze bardziej pręży grzbiet. Stary zwraca się ku ostatniemu, młodemu mężczyźnie.

- To jest doktor Alan Turing - podejmuje. - Znalazł się tutaj z nami w charakterze konsultanta.

- Witam - odzywa się Turing nieśmiało.

- Oczekuję od was, że będziecie ich obu słuchać - ciągnie Stary. - Są tutaj, by wam pomóc. I po to, by kogoś z was zrobić.

Stary lustruje wzrokiem Fogga i resztę.

- Każdy z was dysponuje czymś wyjątkowym — mówi dalej. - Szczególną cechą bądź umiejętnością. I otrzymaliście równie wyjątkową okazję, by służyć królowi i Anglii. To wielki zaszczyt.

Olbrzym w szeregu przestępuje z nogi na nogę. Także Fogg potrzebuje odwiedzić toaletę. Niemniej słowa są prawdziwe. Pozostają w głowie na długo. Służyć. Stać się kimś. Wszyscy wyjątkowi. Skrywane marzenie każdego chłopca.

27. KINGSTON UPON THAMES, 1926

Henry się ukrywa. Jest w ich domu strych, wiatr przywiewa zimno pomiędzy dębowymi belkami. Podłogowe deski skrzypią, kiedy chłopiec po nich stąpa. Na poddaszu stoi skrzynia. Stare książki, od których bije woń stęchlizny lat, pożółkłe stronice, plamy. Jim na „Wyspie skarbów”, Huck Finn na Mississippi. Henry Fogg z kocem na kościstych ramionach. Lampa naftowa rzuca na ukośne ściany fantazyjne cienie. Chłopiec czyta. Wśród słów jest wolny, na kartach książek może stać się każdym.

Bohater.

„Co czyni bohatera?” - pyta młody chłopiec. Odpowiedź jest jednak łatwa. Bohater stawia czoło niesprawiedliwości. Bohater zwycięża wbrew wszelkim przeciwnościom. Bohater walczy z piratami, żegluje na tratwie po zdradliwych wodach, bohater jest chłopcem, a chłopiec jest bohaterem, dobro triumfuje nad złem.

Z dołu dolatują odgłosy ich kłótni, krzyczą jedno na drugie. Ojciec grozi pijanym głosem, że przebije dziwce serce nożem. Brzęk tłuczonych naczyń. Wrzask. Dziura w podłodze, między deskami, można przyłożyć do niej oko i zerknąć, spojrzeć na tam. Tego jednak Henry nie chce, kuli się pod ścianą, książka niczym parawan przed jego oczyma. Zatyka palcami uszy, nuci. Miarowo kołysze się w

miejscu. W wyobraźni jest wolny, frunie, posiada szczególne moce, jest silny, supersilny, silniejszy od ojca, i to bez konieczności podnoszenia ciężarów lub dźwigania beczek i skrzyń z warzywami. Jest w stanie powalić ścianę, popychając ją palcami, potrafi przeskakiwać najwyższe przeszkody. Matka płacze z wdzięczności, gdy chłopiec bez najmniejszego wysiłku podnosi ojca i odrzuca go. Bierze mamę na ręce i wzbija się w powietrze, między chmury, prosto ku jaskrawemu słońcu.

- Henry, jesteś najlepszym chłopcem na świecie - mówi kobieta. - Nie miałam pojęcia, że to wszystko potrafisz.

-Ja wiedziałem od zawsze - odpowiada on - ale to tajemnica. Nikt nie może się o mnie dowiedzieć.

W Paryżu z „Trzema muszkietierami”. Henry Fogg ze szpadą w dłoni, walczy z siepaczkami kardynała, u boku ma towarzyszy, swoich przyjaciół. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! Nikczemny hrabia de Rochefort w dziwny sposób przypomina jego ojca, matka na dole krzyczy:

- Odłóż to! Zawołam policję!

Znowu głośny trzask, to przewraca się stół i siostra zaczyna pisać, lecz Fogg świszczącym ostrzem wytrąca z ręki broń hrabiemu de Rochefort.

- Na kolana! - rozkazuje i czarny charakter wykonuje polecenie.

- Proszę, nie rób mi krzywdy, już nigdy nie podniosę ręki na ciebie ani twoich bliskich.

Fogg, wielkodusznie:

- Zatem musisz stąd wyjechać, szczurze.

Kłótnia na dole ustaje, głos ojca:

- Och, Gertrude, co ja zrobiłem, tak bardzo cię przepraszam, lalczko.

- Zostaw mnie, pijany chamie. - Płacz matki.

- Gertrude, Gertrude.

Dźwięki dwóch ciał będących blisko siebie.

Fogg nuci głośniej, z całych sił zaciska powieki, świszczącą szpadą rozprawia się z hrabią de Rochefort, biegnie po paryskich dachach, skacze wysoko w powietrze, z bronią w dłoni, leci, nic go nie może zatrzymać, frunie do Nibylandii, w powietrzu wiruje magiczny pył.

- Piotrusiu, Piotrusiu! - nawołuje go Wendy.

Ląduje na pokładzie statku. Kapitan Hak odwraca się ku niemu i krzywi paskudnie. Obliczem dziwnie przypomina ojca Henry'ego, lecz zamiast dłoni ma hak, który nagle błyska i chłopak paruje uderzenie swą szpadą.

- Henry! - woła z dołu matka. - Co ty tam robisz? Zejdź natychmiast!

Udaje, że nikt go nie może zobaczyć. Jest jak doktor Griffin z Wellsa, ma współczynnik załamania identyczny jak powietrze, jest niewidzialny, może sunąć przez tłum, przeniknąć niczym wiatr, nikt go nie dostrzeże, podczas gdy on sam widzi wszystkich. Włamuje się do banku, otwiera sejf, wpadają strażnicy, ale nie są w stanie go wypatrzyć, rozbijają ich i umyka z łupem, może zrobić wszystko, może być każdym, dysponuje wyjątkową mocą, sam jest szczególny, wyjątkowy...

- Henry Foggu, zejdź tu w tej chwili!

28. KINGSTON UPON THAMES, 1932

Stoi przy torach kolejowych, w swojej specjalnej kryjówce, zmierza ku

niemu pociąg z Londynu, w powietrzu rozchodzą się zmarszczki, uderza go fala czegoś, czego nie potrafi opisać, czas zwalnia, świat zamiera, a on dostrzega każdy liść na każdym drzewie, widzi robaka wpełzającego z powrotem pod odwrócony kamień - małą, białą, niewidzącą istotę wwiercającą się pod ziemię. Wyczuwa wszystkie zapachy: świeżej gleby, deszczu, pary, oleju, larw. Ma uniesione ręce, jakby do tańca, mgła oblepia mu ramiona, porasta go niczym sierść. Kiedy ta chwila nadchodzi, okazuje się zupełnie inna, niż się spodziewał. Marzył o niej, lecz nigdy w nią nie wierzył, i teraz, gdy stała się rzeczywistością, ogarnął go lęk.

Co czyni bohatera? - zastanawia się Fogg-chłopiec. Czas rusza naprzód, pociąg przemyka obok, jedzie dalej w głąb Surrey, ludzie ze środka wyglądają z przypominających oczy okien, oni również to poczuli, to, co się stało, co się dzieje. Henry unosi dłoń i mgła podąża za nią jak pies, opuszcza rękę, rozwiera palce i opar rozprzestrzenia się wokół, układa się w powietrzu w kształt, porusza się, jakby kiwał mu głową. Wystraszony Henry ucieka. Pędzi do domu. Jego stopy zostawiają na brzegu błotniste odciski. Trop, dzięki któremu każdy mógłby go wysledzić. I śledzi go mgła. Nie potrafi jej uciec. Opar sunie za nim do domu, na strych, kuca przy nim i wtedy, wreszcie, wyczerpany chłopiec otula się mgłą niczym kocem.

29. FARMA, DEVON, 1936

- Służyc - mówi Stary. Kiwa głową. - Zostawiam was w rękach bardzo zdolnych ludzi. I pamiętajcie, że obdarzyłem was zaufaniem. Nie zawiedźcie mnie.

Rusza w kierunku czekającego rolls-royce'a. Samuel, jego kierowca, materializuje się nagle u boku szefa. Otwiera przed nim drzwiczki. Stary wsiada do wozu. Jaką umiejętnością dysponuje Samuel? Jak to możliwe, że pojawia się w ten sposób, zupełnie znikąd? Nigdy się nie odzywa. Również jest przemieniony, uświadamia sobie Fogg z niejakim zaskoczeniem. Samuel zajmuje miejsce za kierownicą i uruchamia silnik. Ekskluzywny czarny samochód odjeżdża. Fogg

odprowadza go wzrokiem. Wszyscy za nim patrzą. Ostatnie ogniwo łączące ich ze światem poza Farmą. Auto przejeżdża przez bramę, która się za nim zaraz zamyka. Rolls wspina się na wzgórze i po chwili niknie za grzbietem.

- Baaa... czność! - krzyczy sierżant Browning.

Wszyscy się odwracają, spoglądają na niego. Sierżant wpatruje się w ich twarze, kolejno. Jest mocno opalony, jego oblicze przecinają zmarszczki. On nie jest jednym z nich - stwierdza odruchowo Fogg. Ani stojący obok niego Turing. To dzieciak, widać że jego miejsce jest w laboratorium, w bibliotece, wszędzie, tylko nie na tej zagubionej gdzieś w Devon farmie, nie przed Foggiem i resztą przemienionych.

- Może jeszcze coś z was będzie - podejmuje Browning. Przechadza się powoli, dłonie splecione na plecach. Ponownie mijają każdego. - Cóż, pokażcie, co potraficie.

30. FARMA, DEVON, 1936

Budynek, w którym zostają zakwaterowani, jest długi, podzielony na część męską i żeńską, urządzono w nim oddzielne sale do różnych zajęć. W środku panuje chłód. Z zewnątrz jest to niska konstrukcja z białego, spękanego kamienia, miejscami porośnięta pnączami bluszczu. Wewnątrz mają do dyspozycji piętrowe łóżka, prysznice, szereg czystych, białych umywalek, rząd solidnych szaf. Fogg dzieli pokój z Czołgiem, Panem Blurem i dwoma innymi. Wiemy. Widzimy. Pani Tinkle wsuwa głowę przez otwarte drzwi.

- Juhu! - woła.

- Witam panią, pani Tinkle - wita się Pan Blur.

Pan Blur jest achondroplastycznym karłem. Ma normalnej wielkości głowę dorosłego człowieka i mały korpus o krótkich nogach i ramionach. Jest mocno umięśniony, niebieska koszulka ciasno opina

pierś. Goli się.

- Więc co takiego potrafisz, wielkoludzie? — pyta, zwracając się do Czołga.

Oczywiście nietrudno jest się domyślić, co potrafi Czołg. Jest olbrzymi i porusza się w ten specyficzny sposób, w jaki wysocy ludzie próbują - bez powodzenia - wydać się drobniejsi.

-To - odpowiada Czołg i zrywa z parapetu stalową płytę. Równie łatwo, jakby miał do czynienia ze źdźbłem siana. Następnie zgina płytę w rękach, swobodnie zaplatając ją w kokardę jak na urodzinowym prezencie. - Jestem Czołg - dodaje nieśmiało.

Nie zostali jeszcze sobie oficjalnie przedstawieni. Browning pozwolił im się rozejść. Turing zaprowadził do laboratorium medycznego, gdzie zostali zmierzeni i przebadani. Następnie wysłano ich do kwater, by się rozgościli. Zbliża się kolacja; czują dolatujący z głównego budynku zapach jedzenia. Czołgowi burczy w brzuchu, huk głośny niczym uderzenia sztormowych fal. Pani Tinkle, wciąż z głową w drzwiach, co sprawia, iż wygląda jak żółw, mówi:

- Ładnie wyrosłeś, nie ma co!

- Przedtem nie byłem taki wielki - odpowiada nieśmiało. - Urosłem po przemianie.

Czołg zerka na Pana Blura.

- Ty też zmaląłeś po przemianie? - pyta.

- Nie - odpowiada Pan Blur. - Ja się taki urodziłem.

- A jaki masz talent?

- Uważaj.

Pan Blur... rozmazuje się. Rysy jego twarzy rozplývają się, jakby każda

z tworzących jego ciało cząsteczek zaczęła się naraz poruszać z niebywałą prędkością. Wydaje się, że na przemian znika i się pojawia. Ta rozmyta chmura zakłóceń pędzi przez cały pokój, okrąża wielkoluda i wraca, zanim ktokolwiek zdążył choć drgnąć. Na powrót pojawia się kształt, zakłócenia ustępują i po chwili Karzeł uśmiecha się szeroko, trzymając w dłoni jakiś medalion.

- Mówcie mi Pan Blur - mówi.
- Hej! To moje! - oburza się Czołg.
- A co to właściwie jest? - Przez usta Blura przemyka uśmieszek. - Masz tam zdjęcie dziewczyny?
- Oddawaj! - woła Czołg.

Pan Blur znów się rozplywa. Znika i śmiga po całym pomieszczeniu. Czołg porykuje i ściga go, rozbijając po drodze kilka sprzętów.

- Ojejku - rzuca Pani Tinkle.

Jej głowa znika z otwartych drzwi. Fogg wzdycha i składa ubrania na starannie zaścielonym łóżku. Nie do końca tego się spodziewał.

31. FARMA, DEVON, 1936

Jedzenie serwują we wspólnej świetlicy. Studenci - o ile nimi właśnie są ci młodzi mężczyźni i kobiety — nakładają sobie posiłek z dużych metalowych wózków. Zgromadzili się tu wszyscy co do jednego. Fogg zauważa bardzo wysokiego bladego człowieka, stojącego w towarzystwie niskiej ciemnowłosej dziewczyny. Oboje przez moment spoglądają w jego kierunku, po czym odwracają wzrok. Zupełnie jak w szkole — uznaje Fogg. Takie samo niekomfortowe, dziecinne, pełne złośliwości środowisko, ten sam dylemat, przy którym stoliku usiąść, ukryte prądy popularności i odrzucenia. Niemniej Fogg nie jest już dzieckiem. Nikt z obecnych nie jest.

Fogg odbiera swoją tacę, znajduje zupełnie wolny stolik i siada. Blisko okna. Na zewnątrz panuje pogodna noc. Jego palce zaciskają się na tępych nożu, przywołuje za szybę nieco mgły. Od razu czuje się lepiej.

Przed sobą ma rozkład zajęć. Odbity na powielaczu niebieski atrament na cienkim ryżowym papierze. Zaczyna jeść, bez większego apetytu. Ryba, frytki i brejowaty zielony groszek. Nabiera sporą porcję na widelec, wsuwa do ust. Przeżuwa. Wedle rozkładu od jutra ma zacząć pracę w kuchni. Farmę obsługują sami studenci. Pozostali mają zająć się zmywaniem, sprzątaniem kwater, pracami w ogrodzie warzywnym. Fogg nie wiedział, że jest tu ogród warzywny. Nadal siedzi sam. Podoba mu się to. Na jego tacę pada cień wielkoluda.

- Mogę się dosiąść?

Potakuje skinieniem. Czołg zajmuje miejsce naprzeciwko. Nagle, zupełnie znikąd, pojawia się Pan Blur. Nieproszony przez nikogo siada obok Fogga. I nagle Fogg nie jest już przy stoliku sam.

Uczucie, jakiego się nie spodziewał. Mgła na zewnątrz rzednie.

- Widzę, że udało się wam jakoś wyjaśnić wcześniejszą różnicę zdań? - rzuca.

Doznaje wrażenia lekkości. Pan Blur szczerzy się w uśmiechu.

- Tak się tylko zgrywałem - odpowiada.

Czołg dotyka palcami wiszącego na szyi medalionu.

- My, nowi, musimy się trzymać razem - mówi.

Fogg uśmiecha się z ustami pełnymi jedzenia.

32. FARMA, DEVON, 1936

Dorośli, z braku lepszego słowa, zajmują oddzielny stolik. Browning,

Turing, dwóch innych młodych mężczyzn w kitlach, wartownik spod bramy, kilka kolejnych osób: wygląda na to, że pracownicy Farmy dzielą się w równych częściach na wojskowych i naukowców. Kilka miejscowych kobiet pracuje w charakterze kucharek. Dziwna krzyżówka letnich kolonii i wojskowego obozu szkoleniowego, myśli Fogg, przyglądając się ludziom na sali.

Przy pobliskim stoliku dziewczyna o świeżym spojrzeniu chlusta wodą w twarz towarzyszki - reakcja na uwagę, której Fogg nie dosłyszał. Płyn frunie zakrzywioną linią, lecz nie dociera do celu. Woda zbija się w kulę, migoce w powietrzu niczym oszlifowany brylant, po czym strzela ku górze i eksploduje jak fajerwerk, ochlapując siedzących najbliżej, którzy głośno protestują. Dziewczyna wybuchła śmiechem. Browning rzuca jej niezadowolone spojrzenie od swojego stolika, lecz nie odzywa się słowem. Farma, myśli Fogg. Miejsce, w którym zasady rzeczywistości ulegają, na krótki moment, zawieszeniu. Za dnia było pięknie - jasne, podstawowe barwy. Błękit nieba, żółte słońce, zielona trawa i biały kamień. Nocą pojawił się efekt chiaroscuro, gra światła i cienia. W miarę zapadania mroku kolory się wypłukują. Powietrze stygnie, chociaż wewnątrz wciąż jest ciepło, temperaturę zapewniają ściśnięte ludzkie ciała i kuchnia.

Czołg gawędzi z Panem Blurem. Fogg odsuwa od siebie talerz.

— Słuchajcie, potem was znajdę — mówi. — Muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Podnosi tacę. Znosi ją do kosza na śmieci, wyrzuca resztki, oddaje brudne naczynia poważnie spoglądającemu chłopakowi w mundurze Farmy. Wychodzi. Chłód powietrza. Z ziemi podnosi się mgła. Dodaje otuchy

33. MIŃSK, BIAŁORUŚ, 1941

Obu brytyjskich obserwatorów nie powinno tu być, nie teraz, lecz Stary zarządził, a on zawsze stawia na swoim. Osłania ich mgła.

Niemieckie czołgi tańczą na lodzie niczym migrujące gęsi. Artyleryjski ostrzał przeobraża stare miasto w demoniczny plac zabaw, powietrze aż parzy siarką, budynki zalane są czerwonym blaskiem. Dym i płomień wywołują na niebie drugi zachód słońca. Oblivion podaje Foggowi butelkę wódki, kradzionej. Miasto opuszczają kolumny ewakuowanych cywilów. Radziecka artyleria odpowiada ogniem mierzonym w zbliżających się Niemców, lecz każdy wybuch przypomina raczej zakłopotane kaszlnięcie, ciche przyznanie faktu, że miasto jest już stracone.

- Co my tu, do diabła, robimy? — rzuca Oblivion, Fogg pociąga łyk alkoholu.

Zostali zrzućeni na spadochronach, jedyna nadzieja na ucieczkę spoczywa teraz w nich samych i ich umiejętnościach. Fogg zadaje sobie pytanie: czy oznacza to, że są bohaterami, czy może durniami? Prawda wygląda tak, że dla miasta i jego mieszkańców nie mogą zrobić nic. Są tutaj tylko po to, by obserwować. Znaleźli schronienie w tym porzuconym domu, na grubym dywanie rozłożonym przed wielkim kominkiem. Ogień płonie jednak tylko na zewnątrz. Ze ścian przyglądają im się niechętnie rodzinne portrety.

- Co to takiego? - pyta Oblivion.

Fogg przygląda się przedmiotowi.

- Chyba jakiś żydowski świecznik — odpowiada.

Jest zimno. Słychać strzały. Układają się na dywanie. Przykrywają kradzionymi kocami. Tulą się do siebie, stykają ciałami, żeby je rozgrzać.

-Tęsknisz za Farmą? - pyta Oblivion.

Na zewnątrz płonie miasto. Dom otacza mgła. Niewidzialni. Jutro przedrą się z powrotem przez linie wroga, do punktu zbiórki.

- Farma - mówi Fogg.

Wspomina.

Tulą się jeszcze mocniej do siebie, próbują znaleźć ciepło.

34. FARMA, DEVON, 1936

Stąpa w gęstej trawie, niemal bezgłośnie. Noc. Z okien jadalni bije światło, lecz na zewnątrz jest chłodno, ciemno i cicho. Mgła otula go niczym znoszony płaszcz. Poza budynkami rozciąga się pole, księżyc wisi na niebie jak srebrny medalik.

Rozlega się czyjś głos. Aż drgnął. Miękkie kroki we mgle. Wysoka, szczupła sylwetka. Błada, biała skóra, delikatne kości policzkowe. Nawet komiczny mundurek nie narusza jego wewnętrznego milczenia i poczucia pełni.

- Nowy - mówi.

Fogg przystaje, odwraca się.

- Czego chcesz? - pyta.

Tamten wskazuje ruchem ręki.

- Nie siedzisz ze wszystkimi?

- Tam jest jak w ZOO - odpowiada Fogg.

Nieznajomy się uśmiecha.

- Dlatego że to jest ZOO - stwierdza. - A my jesteśmy zamkniętymi w nim okazami.

Fogg zastanawia się nad tymi słowami.

- W jaki sposób cię znaleźli? - rzuca.

Tamten wybucha śmiechem.

- Zgłosiłem się na ochotnika - mówi. Wyciąga papierośnicę. Otwiera. Podsuwa Foggowi. - Zapalisz?

- Pewnie - mówi Fogg.

Tamten podaje mu ogień. Fogg się zaciąga. Kaszle, kiedy dym wpływa mu do płuc. Nieznajomy się uśmiecha. Jakby sporo wiedział. Prawdę mówiąc, Fogg nigdy przedtem nie palił. Nakłania dym do tańca wokół własnych palców. Biały pełzający wąż.

- Jest u nas jedna dziewczyna - podejmuje ten drugi. - Potrafi rozpalić ogień - dodaje. - Ot tak. - Pstryka palcami.

- Przydatne - zauważa Fogg.

Tamten wzrusza ramionami. Zaciąga się. Wypuszcza kłęb dymu. Fogg, w roztargnieniu, układa siwe smugi w sterówce, które po chwili rozwiewa wiatr.

- Mamy też dziewczynę, która pluje. Ale jej splunięcia przypominają wystrzały. Jej ślina ma niszczycielską siłę — mówi nieznajomy, trzymając papierosa w ustach.

-Trochę obrzydliwe — komentuje Fogg.

Rozmówca przygląda mu się badawczo. Głębokimi, ciemnymi oczami.

- Niespecjalnie jesteś towarzyski, prawda? - pyta.

Fogg wzrusza ramionami.

- Nazywasz się Fog, tak? Mgła?

- Fogg — prostuje Fogg. - Przez dwa G. Henry Fogg. A ty?

- Oblivion — przedstawia się tamten.

Coś między nimi przeskakuje.

- Głupie są te pseudonimy - mówi Fogg.
- Ale niezbędne - odpiera Oblivion. Nagle stał się poważny. Nawet zły. Chociaż głos wciąż ma spokojny. — Chciałbyś się posługiwać prawdziwym nazwiskiem? Żeby wszyscy wiedzieli, kim jesteś? Co potrafisz robić? Sądzisz, że ktokolwiek cię za to polubi? Może nawet podziękuje? Ja potrafię wymazać rzeczy z istnienia. Wiesz, co by się stało, gdyby Stary mnie w porę nie odszukał?

Dopiero potem Fogg zrozumiał, iż tej nocy Oblivion był wyjątkowo rozmowny.

Zazwyczaj jest dość lakoniczny.

Fogg wzrusza ramionami.

- Co my tu właściwie robimy? - pyta.
- Szkolimy się - odpowiada Oblivion. - Żeby zacząć robić coś pożytecznego.
- Tu jest jak w ZOO - powtarza własne słowa nieco poirytowany Fogg.
- Sam właściwie nie wiem, co ci powiedzieć - mówi Oblivion. - Ja też nie przepadam za ludźmi. Ale ty wydajesz się dość interesujący, Fogg. Nie wiem, czy cię lubię, chociaż jesteś chyba porządny. Nie wyjawiaj nikomu zbyt wiele. Połowa z tych błaznów wyleci w ciągu tygodnia. A powiem ci, że nie mam pojęcia, co się dzieje z kandydatami, którzy oblewają egzaminy. I wcale nie chcę. Więc po prostu dobrze radzę. Ten Stary, on nie sprowadził nas tutaj dla zabawy. Znalazł dla nas zastosowanie. I jest w stanie nas ochronić. Przed innymi. Rozumiesz?

Inni, myśli Fogg. Papieros zmusza go do jeszcze jednego kaszlnięcia. Odrzuca niedopałek w trawę. Dławi żar podeszwą.

35. KINGSTON UPON THAMES, 1932

Henry ego otaczają inni. Dopadli go w czasie przerwy. Pięciu. Dwóch starszych chłopaków i trójka kolegów z jego klasy. Ich mundurki są ciemne, a twarze zarumienione ekscytacją myśliwego.

- Ty, Fogg - odzywa się Roberts, najstarszy z chłopaków. -
Pozwoliłem ci uciekać?

- Dajcie mi spokój! - rzuca Henry.

Inni się śmieją.

- Dziwadło z ciebie - mówi Roberts. Jest przywódcą. I to słowo. Dziwadło. Natychmiast zyskało nową konotację. Henry wolałby nie być w ten sposób nazywany.

- Zostawcie mnie w spokoju — mówi. — Nie zrobiłem nic złego.

- Nie zrobiłem nic złego. Nie zrobiłem nic złego - przedrzeźnia go Roberts niczym echo.

Inni się śmieją. Otaczają go ostre, okrutne głosy. Wyczuwa mgłę, która bardzo chce się pojawić, aczkolwiek na razie kryje się w korzeniach drzew, ukradkiem rozpościera szarobiałe palce, bada.

- Nie zaczynaj — rzuca Henry. Nie wie, czy mówi do siebie, czy do tych chłopców.

- Oddawaj pieniądze - rozkazuje Roberts. - Wiemy, że masz.

- Właśnie! - dopowiada głośno Thornton, zastępca Roberta, z wykrzywioną emocjami twarzą. - Dokładnie! Dawaj forszę!

Podchodzą bliżej, napierają.

- Mój ojciec was zbije — ostrzega Fogg.

-Twój ojciec jest pijakiem.

Mgła się podnosi. Jej tuman przyćmiewa mu myśli. Drobne pięści łądują na twarzy Robertsa, na jego brzuchu. Thornton i reszta próbują Henry'ego odciągnąć, rzucić na ziemię. Kopniak w żebra rozsyła sygnały palącego bólu na całe ciało. Mgła się unosi, przybywa naraz zewsząd, rozcapierza lepkie palce.

- Co to?! - Chłopcy.

Kolejne kopnięcie. Henry zwija się w kabłąk, chroni głowę w dłoniach, ale wciąż ją wyczuwa. Czuje mgłę wszędzie dokoła — mgłę, która otacza wyrostków. Jeden z nich krzyczy.

- Proszę, nie... Proszę — mówi ktoś inny.

Napastnicy uciekają. Ich kroki cichną we mgle.

- Nic nie widzę! - wrzeszczy jakiś chłopak.

Słowa jednak tracą pierwotną ostrość, stają się nikłymi szeptami, znikają we mgle, która wciąż się rozrasta, przesłania drzewa, ziemię, przyćmiewa słońce, tamuje drogę ucieczki. Henry leży, z rękoma na głowie. Boi się choć drgnąć.

Czeka, by wrócili inni.

36. FARMA, DEVON, 1936

- Rozumiesz, co powiedziałem? — powtarza Oblivion.

- Tak - odpowiada Fogg.

Oblivion wydaje się zakłopotany swym wcześniejszym wybuchem. Fogg zaczyna się tego domyślać, patrząc na niego, obserwując ten prywatny, zamknięty świat. Zawarty w sobie samym wszechświat, z którego bardzo niewiele się wydostaje i do którego niezbyt wiele

dociera.

- Dlaczego nazwałeś się Oblivion? - pyta.

Oblivion pochyla się, podnosi z trawy kamień. Niewielki, taki, jaki można znaleźć na brzegu rzeki, wygładzony wskutek działania wody i czasu. Ktoś mógłby się zdziwić, że taka skałka znalazła się w samym środku devońskiego pola. Dobrze leży w ręku Obliviona. W jego — jak to się niekiedy mawia - palcach pianisty. Mężczyzna łagodnie muska kamień opuszką, sprawdza. Kamyk nie zaczyna migotać, nie topi się, nie obraca w pył, nie rozpada. Po prostu znika, ulatuje, jakby nigdy nie zaistniał: w jednej chwili spoczywał w dłoni Obliviona, a już w następnej po prostu go nie było.

Wygląda to wstrząsająco przyziemnie. Przypomina proste sztuczki magiczne, którymi dorośli popisują się na przyjęciach przed dziećmi. Nie ma w tym żadnego błysku. To po prostu negacja, myśli Fogg.

- Zanim nauczyłem się tę zdolność kontrolować... — odzywa się Oblivion i milknie. Zaczyna znowu: - Zanim zdałem sobie sprawę...

Fogg zachęca go skinieniem.

- Na świecie istnieje wiele różnych rzeczy, nie tylko kamyki.

- W jaki sposób to działa? - pyta Fogg.

Oblivion wzrusza ramionami.

- Po prostu działa - odpowiada. Rozciera koniuszki palców, jakby zaboląła go nieobecność kamyka. Opuszcza ręce do boków. — No cóż, zapewne niebawem zobaczymy się znowu — podejmuje Oblivion.

- Hej? - rzuca Fogg.

-Tak?

- Dzięki.

Oblivion się uśmiecha. Ta nieoczekiwana mina przeobraża całą jego twarz, rozświetla ją od wewnątrz. Fogg niepewnie wyciąga rękę. Coś między nimi. Być może tyle tylko, że obaj są samotni. Oblivion się waha. Po chwili jego ramię pokonuje dzielącą ich przestrzeń i ujmuje dłoń Fogga. Uścisk.

- Czasami każdy potrzebuje przyjaciela - mówi Oblivion.

37. FARMA, DEVON, 1936

Tak więc, pewnego leniwego słonecznego popołudnia, Straceni Chłopcy i Dziewczęta z Nibylandii. Oblivion, Fogg, Spit, Czołg, Pan Blur i Pani Tinkle. Niektórych znamy dobrze, część znacznie słabiej. Taka jest natura rzeczy. Są również inni, aczkolwiek wielu z nich polegnie w czasie zbliżającej się wojny i następnych, a pozostali zaginą, wyparują, miejsce pobytu nieznane. Być może usuną się do swych niesamowitych lodowych pałaców lub zasiedlonych przez nietoperze jaskiń, w głąb wulkanicznych stożków ukrytych na porośniętych dżunglą wyspach Mórz Południowych, do nieprzystępnych, lśniących chromem i stalą wieżowców, albo nawet do gotyckich zamków. A może też — bardziej prozaicznie - wycofają się do walijskich posiadłości. Dotyczące tego tematu archiwa zostały zamknięte i zaszyfrowane.

Pan Blur siedzi pod drzewem, pisze list. Zeszyt ułożył na kolanach. Mruga w słońcu, porusza piórem powoli, starannie. Zostawił w domu dziewczynę. Kolejne słowa układa jak człowiek nienawykły do pięknej mowy, któremu znaki przestankowe przypominają żołnierzy w okopie. Czołg leży na plecach obok, w trawie, w plamie cienia. Czyta książkę pożyczoną z niewielkiej biblioteki Farmy. „Tarzan i klejnoty Oparu”. Potężna pierś wznosi się i opada, opada i podnosi się miarowo. Ściągnął wargi w skupieniu.

W pewnej odległości od nich Spit uczy Panią Tinkle rzucać nożem. Pani Tinkle chichocze koszmarnym śmiechem. Skąd pochodzi ta

drobna, stara kobieta pochwycona przez przemianę, równie niecodzienna jak Stary? Dla takich osób, niezwykłych i nielicznych, czas zwolnił, zatrzymał się. Doktor Turing, myśli Fogg, bez wątpienia ma już wyjaśniającą to zjawisko teorię. Czasami jednak uzasadnienie nie jest potrzebne, może za nie wystarczyć dotyk magii, szczypta czarodziejskiego pyłu.

Palce pani Tinkle splatają się na rękojeści ostrza. Staruszka porusza nim sprawnie. Wyważa broń w dłoni i ciska. Sztylet zagłębia się dokładnie w środku celu. Spit przygląda się temu, żując kosmyk czarnych włosów. Promienie słońca rozświetlają na mgnienie jej twarz, jest śliczna. Fogg, który na nią patrzył, drga, ona spogląda ku niemu, po czym odwraca wzrok. W obliczu Spit na powrót pojawia się zajadłość. Dziewczyna zbiera w ustach ślinę i pluje w kierunku celu, który rozpada się na dwoje niczym otwierająca się skrzynia. Nóż spada na ziemię. Pani Tinkle cmoka z niezadowoleniem i pochyla się po ostrze.

- Skąd jesteś, kochanie? - pyta.

Spit wzrusza ramionami.

- Z północy - odpowiada wymijająco.

Oblivion siedzi po turecku na trawie i medytuje nad trzymanym w rękę kamykiem. Fogg przechadza się wokół. Pełen niespokojnej energii, na otwartym terenie czuje się skrępowany, odsłonięty przez jasne słońce. Pszczoły bzyczą, ptaki śpiewają, łagodnie szeleszczą liście. Zerka na Obliviona, który podnosi wzrok z uśmiechem. Żółte promienie oświetlają bladą, posępną twarz.

Być może w miejscu, w którym jesteśmy młodzi, lato nie kończy się nigdy.

Utrwalony w pamięci dzień. Nieczęsta chwila spokoju.

PIĘĆ

CIENIE NA ŚNIEGU

**MIŃSK
1941**

38. MIŃSK, BIAŁORUŚ, 1941

Miasto upada. Staje się to dla nich oczywiste wczesnym rankiem. Nagła upiorna cisza zalega wokół tylko na chwilę. Na dostatecznie długą chwilę. Wykradają się z zajętej posiadłości. Chroni ich mgła. Na ulicach widać już niemieckie czołgi. Rozpoczyna się operacja Barbarossa, to wiemy: inwazja Niemiec na Związek Radziecki. Niemniej prędkość, z jaką Wehrmacht zajmuje Mińsk, zdumiewa. Miasto dostaje się w ręce wroga szybciej, niż Fogg i Oblivion się spodziewali, i teraz muszą się w jakiś sposób wydostać.

Oczywiście nie jest to wielki problem. Nie dla Fogg'a i Obliviona. A może nie dla Obliviona i Fogg'a? W Mińsku panuje chaos. W pobliżu rozlegają się strzały i jakiś męczyzna chwiejnym krokiem wpada w ich mgłę, krew bluzga mu z piersi. Pada Anglikom do stóp, spogląda ku górze, patrzy na nich. Zaraz potem oczy zachodzą mu szklaną mgłą i nieruchomieje.

Oblivion przechodzi nad ciałem.

- Musimy znaleźć punkt obserwacyjny.
- Jakież pomysły?

Mijają płonąca synagogę. Witraże z gwiazdą Dawida jakimś cudem ocalały.

- Powinni tu przysłać kogoś, kto potrafi latać - marudzi Oblivion. - Nie nas. Niczego w tej mgłę nie widzę.
- Niemcy też nie - przypomina Fogg. — Ani czerwoni.
- Bolszewizm ma kilka dobrych stron - stwierdza Oblivion, wcale nie ironicznie. I jeszcze: - No chodź.

Obok pełźnie niemiecki czołg. Stanowczo zbyt blisko. Oblivion

wyciąga rękę, prostuje palce. W zasadzie nie dotyka maszyny, po prostu rozkłada dłoń, jakby tkał z jej pomocą pajęczynę. Pancerna maszyna jęczy. Rozlega się dźwięk wyginanej stali. Metal się wygina. Pęka.

- Co ty, do diabła, robisz? - pyta Fogg. - Nie możemy zwracać na siebie uwagi.

- A kto tu zwraca uwagę? - odpowiada pytaniem Oblivion.

Zniekształcona konstrukcja czołgu, wrzaski z wnętrza, niewyobrażalnie skręcona wieża. Oblivion dopiero teraz dotyka metalu, który odpada, odsłaniając rosnący otwór. Wpatrzeni w nich niemieccy żołnierze, ściśnięci niczym sardynki w puszcze.

- Cóż, wykonuj swą pracę - naciska podrażniony Oblivion, cytując Emersona.

Fogg formuje z siwych oparów dłoń, która sięga do wnętrza czołgu. Dotykająca mgła, muskająca, głaszcząca, czująca. Szara ręka bada. Oblivion przekreśla nadgarstek, raz po raz, i nicość ogarnia bojowy wóz, jeden z żołnierzy gapi się z niedowierzaniem w miejsce, gdzie przed chwilą znajdowała się jego ręka. Teraz już jej nie ma.

- Podpowiesz mi, w jakim celu to robimy? - odzywa się Fogg.

- Obserwujemy - odpowiada Oblivion. - Stary kazał obserwować.

Fogg stara się prześledzić wnioskowanie towarzysza. Nie przybyli tu obserwować Wehrmachtu zajmującego Mińsk. Przecież w Anglii nikt się Mińskiem nie przejmuje. Ani trochę. Nikt tam nawet nie wie, gdzie leży to miasto.

Przejmują się za to - i to bardzo - tym, gdzie zostali rozmieszczeni niemieccy lub rosyjscy odpowiednicy pracowników Blura.

Übermenschowie, by użyć innego określenia.

- Wasze zadanie jest proste - powiedział Stary w swym gabinecie, wpatrując się w stojących na baczność Fogga i Obliviona.

W ciągu ubiegłych dwóch lat siedziba Blura mocno się zmieniła. Większe pomieszczenia. Świeży personel. Wszyscy umundurowani. No, może prawie wszyscy. Nie sam Stary. Który powiedział:

- Naziści zamierzają dokonać inwazji na Rosję. Na Związek Radziecki - poprawił się.

Niemcy opanowali już Polskę. Francję. Traktat z Włochami. Niemiecka ekspansja przypomina rozchodzące się po tafli stawu zmarszczki. Koncentryczne, rozszerzające się coraz bardziej. Stary:

- Wasze zadanie jest proste. Obserwować.

- A jeżeli się nie uda?

- Wtedy sprawicie, by tamci sami do was przyszli.

Oblivion i Fogg sprawiają, by sami do nich przyszli. Mińsk o świcie. Słońce świeci poprzez dym niczym przez pryzmat. Czołg stęka. Żołnierze w środku wyją. Fogg przywołuje postać. Człowieka z Mgły. Urabia go z cząsteczek wody i kryształków lodu. Z dymu bijącego nad płonącymi wagonami, nad budynkami i ludźmi. Formuje go z koszmaru, w jaki przeobraziło się miasto.

Uczył go wysokim. Uczył go podobnym do Obliviona. Sprawia, że góruje nad budynkami, wyraźny niczym latarnia morska, sprawia, że jego kukła wyciąga lepkie, szare palce ponad dymy i mgłę. Oblivion obraca rękę, czołg stęka, słysząc gwałtownie nadawane przez radio komunikaty.

- Czas, żebyśmy znaleźli ten punkt obserwacyjny - mówi Fogg. - Póki jeszcze możemy.

Przemieszczają się. Przez opary i mgłę. Biegną i znajdują schronienie

za nietkniętym daimlerem. Obserwują. Człowiek z Mgły rozwiewa się z wolna na wietrze, rozpada się z powrotem na swoje części składowe, dym i wodę. A czołg... Oblivion porusza nadgarstkiem po raz ostatni, na jego bladej jak kość słoniowa twarzy pojawia się grymas wysiłku, połyskujący pot. Im dłużej korzystasz ze swej mocy, tym więcej oddajesz własnej energii. Oblivion kręci ręką... wymazuje czołg. Fogg może się tylko przyglądać. Nie rozumie Obliviona ani trochę bardziej niż pierwszego dnia. Na ulicę wtaczają się kolejne czołgi. Snajper otwiera ogień z dachu. Fogg widzi dziecko, chłopca biegnącego w stronę opancerzonych pojazdów. Za malcem pędzi wrzeszcząca kobieta. Fogg nie rozumie słów, lecz doskonale pojmuje znaczenie. „Wracaj!”.

Strzały.

Dym.

Chłopiec toczy się po ziemi niczym piłka na boisku. Kobieta frunie za nim jak raniony ptak, tyle że ona nie frunie, ona pada. Czołgi jadą naprzód, przetaczają się po nich obojgu, mgła pochłania towarzyszący temu dźwięk.

- Utrzymuj tę mgłę, do cholery! - rzuca Oblivion. Fogg podnosi głowę z ziemi, ociera usta. - Patrz.

Nadjeżdża dżip. Wysiada z niego mężczyzna. Niski, żylasty, z krótko przyciętymi srebrzystymi włosami i twarzą opaloną, jakby wiele czasu spędził daleko stąd, w którymś z krajów nad Morzem Śródziemnym. Węszy w powietrzu.

- Co, do jasnej...? — zaczyna Fogg.

- Zamknij się — ucina spięty Oblivion. Klęka obok niego.

Mężczyzna na ulicy sztywnieje. Obraca głowę w jedną stronę, w drugą.

Wącha. Zwraca się z wolna w ich kierunku. Fogg wyciąga rękę.

Znajduje dłoń Obliviona. Zimną. Ściskają mocno kciukiem i palcem wskazującym.

Oblivion kręci głową. Bardzo nieznacznie. Trwają tak, przykucnięci w całkowitym bezruchu. Mężczyzna kojarzy się Foggowi z wilkiem. Jego srebrne włosy, postawa. Zupełnie jakby mógł w jednej, niezauważalnej chwili zerwać się do skoku. Sposób, w jaki węszy w powietrzu. Jakby wyczuwał ich zapach. Mężczyzna się uśmiecha. Powoli. Ukazuje zęby. Wysuwa długi język. Oblizuje wargi.

Fogga ogarnia panika.

Później nie był w stanie tego wytłumaczyć. Irracjonalny lęk. Pojawił się znikąd. Uderzył z zewnątrz niczym prawdziwy, fizyczny cios. Oparzył go. Spanikowany Fogg rzuca się do ucieczki. Człowiek Wilk szczyrzy się za nim szeroko, rusza jego śladem.

- Fogg! Fogg, ty...

Warknięcie Obliviona. Fogg odwraca się, widzi towarzysza i Człowieka Wilka. Stoją twarzą w twarz, bez jednego ruchu, twarz obcego zastygła w zębatym uśmiechu. Oblivion unosi rękę. Fogg nigdy nie widział, by jego przyjaciel patrzył tak zimno i twardo.

- Oblivion, zabij go!

Strach znika równie błyskawicznie, jak się pojawił.

- Ja nie,, nie mogę. - W głosie Obliviona słychać napięcie. Szybszy oddech.

Człowiek Wilk zbliża się. O krok. Oblivion się cofa. O krok.

Wszystko dokoła zamiera. Drobinę popiołu zawisają w powietrzu. Płomienie na horyzoncie przestają się poruszać, znieruchomiłe smugi czerwieni na szarym tle. Zaraz jednak powraca groza, jeszcze potężniejsza niż chwilę temu. Przytłacza Fogga, każe mu paść na

kolana. Tętno rośnie, jakby serce próbowało wydrzeć się z piersi. Jego gołe dłonie na lodzie. Skomli, niczym raniony pies. Człowiek Wilk uśmiecha się jeszcze szerzej i znów rusza do przodu. Oblivion, z pokrytą potem i białą jak kość słoniowa twarzą, po raz kolejny się cofa. Fogg przypomina sobie Roberta ze szkoły. Jego i innych osiłków. Wstaje na równe nogi. Wściekłość wypala panikę. Co czyni człowieka? Co czyni bohatera? Wykrzykuje głośno i biegnie, szarżuje prosto na Niemca, zaskakując jednocześnie jego i Obliviona. Zderza się z Człowiekiem Wilkiem, który głucho stęka - z bólu lub zdumienia - i pada na tyłek. Lęk ulatuje równie dokumentnie, jak wcześniej ogarniał. Mężczyzna na lodzie warczy, zwierzęca twarz emanuje dziwnym pięknem.

- Uciekaj! - rzuca Oblivion.

Uciekają.

Biegną przez Mińsk. Mgła ich spowija, gromadzi się dokoła, jakby Fogg samą tylko siłą woli był w stanie wypełnić oparem całe miasto, ukryć przed ludzkim wzrokiem tę ohydną inwazję. Ciała na ulicach, płonące domy, nacierające czołgi. Biegną i ściga ich strach, lecz w tej chwili jest słabszy i cały czas maleje, wraz z rosnącą odległością. Wreszcie docierają na przedmieścia. Dyszą. Teraz jest im gorąco. Pocą się pod zimowymi ubraniami.

- Nie cierpię tych cholernych mrozów - zauważa Fogg. Nadal nie przywykł do przekleństw. Wywołuje uśmiech Obliviona.

- Musimy się stąd zbierać - mówi.

- Czyli dość się już napatrzyłeś?

Oblivion przestaje się uśmiechać. Posępnieje.

-Tak, sądzę, że widzieliśmy tu wystarczająco wiele - odpowiada. Szeptem.

Lecz przecież wciąż jeszcze nie wydostali się z miasta.

39. BIURO, 1941

- Dobra robota — chwali Stary.

Fogg z brudną, siwą brodą. Oblivion jakimś cudem nigdy nie musi się golić, lecz oczy ma wynędzniałe, wychudzoną twarz. Ich ubrania cuchną. Sami też śmierdzą.

Przez Białoruś nad Bałtyk, na pokład czekającego z migającymi światłami pozycyjnymi kutra rybackiego, potem nocny rejs do szwedzkiej Uppsali, tam prowizoryczny pas startowy i samolot...

Błyskawicznie przewiezieni z wojskowego lotniska do Blura, następnie zmuszeni do oczekiwania, jako że Stary miał spotkanie w sztabie. Poczęstowano ich herbatą. Fogg trzyma ją w tej chwili w dłoni, palce ciasno zaplecione na kubku. Dygoce mimo panującego w podziemnej kryjówce ciepła.

- Opowiedzcie mi o tym Człowieku Wilku - podejmuje Stary.

Notuje w teczce. Pióro z niebieskim atramentem. Podnosi wzrok.

- Ma dar widzenia? - pyta.

Podobnie jak on.

- Tak - mówi Oblivion.

- Ale potrafi też coś więcej?

- Tak - odpowiada Oblivion. Lakonicznie.

- Rozwiń, proszę - zachęca Stary.

- Negator - mówi Oblivion.

Stary podnosi brwi w niemym „Czyżby?”.

-W jakiś sposób zdołał pozbawić mnie mojej... - Oblivion milknie.

- Mocy rozplątania cząsteczkowego? — podsuwa Stary.

Oblivion wzrusza ramionami.

Stary ślini palec, przewraca kartkę.

- SS? - pyta.

Fogg marszczy czoło.

- Nie - odpowiada. - Nie nosił munduru. Czarny skórzany strój, bez żadnych oznak czy emblematów. W kaburze miał pistolet, lecz nawet po niego nie sięgnął. Traktował go trochę jak ozdobę.

- Gestapo - stwierdza beznamiętnie Stary.

Na łodzi widzieli rzeczy, których nikt nie powinien ujrzeć i przeżyć.

Stary popycha teczkę w ich stronę. Wygląda z niej twarz. Ich Człowiek Wilk. Fogg znowu się wzdryga. Chłód.

- Brigadeführer Hans von Wolkenstein - odzywa się Stary. Z rozmarzonym spojrzeniem. Srebrnowłosa mężczyzna wpatruje się w nich z fotografii. - Honorowy członek SS - dodaje Stary. - Przydzielony do Gestapo, tajnej niemieckiej policji. Wydział F.

- Wydział F? - dopytuje Fogg.

Gestapo dzieli się na pięć wydziałów. A - zwalczanie wrogów, B - sekty i kościoły (w tym wydział B4 zajmujący się wyłącznie Żydami), C - administracja i sprawy partyjne. D - terytoria okupowane (w którym można by się spodziewać Brigadeführera Hansa von Wolkensteina, jako że pojawił się na Białorusi) i wreszcie E - kontrwywiad.

- Wydział F - potwierdza Stary.
- Übermenschowie - mówi Oblivion.
- Tia - rzuca Stary, nieudolnie naśladowując podmiejski akcent. - Niemiecki odpowiednik naszego Blura Spraw Przeszłych.
- Wydawało mi się, że naziści lubią się popisywać swoimi Übermenschami - przyznaje Fogg.

Stary się uśmiecha.

- Niektórymi owszem - przytakuje. - Tymi, którzy się do tego nadają. Aryjczykami. I rzeczywiście są to osoby o wielkiej wartości propagandowej.
- Ty naprawdę nie rozumiesz, prawda? - wtrąca Oblivion.
- Czego? - pyta Fogg.

Stary przygląda się im, z niezmiennym, cierpliwym uśmiechem.

- Gestapo to nie SS - mówi Oblivion.

Fogg wie, że SS dysponuje własnym oddziałem Übermenschów. Noszą białe mundury, a podwójne błyskawice SS na ich piersiach są zamknięte w wielkim U umlaut. SS - Schutzstaffel - Eskadra Ochronna - stanowi część armii. Gestapo to policja...

-To oni kierują łowami na Übermenschów - mówi Fogg szeptem. Dotarło do niego.

Stary uśmiecha się posępnie. Kiwa głową.

- Brigadeführer Hans von Wolkenstein - podejmuje. - Austriak. Zwolennik partii narodowo-socjalistycznej od początku jej istnienia. Ulubieniec Adolfa Hitlera. Błyskawicznie wspinał się po stopniach partyjnej kariery, po czym, mniej więcej rok temu, zniknął. Nasze

informacje na temat Wydziału F są bardzo skąpe. Aż do tej chwili nie byliśmy nawet pewni, że von Wolkenstein posiada dar widzenia, aczkolwiek tak właśnie zakładaliśmy...

- Co robił w Mińsku? - pyta Fogg.

Oblivion zerka na niego z ukosa.

- Jednym ze zmartwień Niemców jest fakt, że niewiele wiadomo o skutkach i zakresie przemiany na terenie Związku Radzieckiego - mówi Stary.

- Polował — stwierdza Oblivion. — Na takich jak my.

- A znalazł? - pyta Stary.

Fogg i Oblivion wymieniają spojrzenia.

40. BIAŁORUŚ, 1941

Dalej przez lód. Miasto rozciąga się we wszystkich kierunkach. Nacierający Niemcy po jednej stronie, wycofująca się Armia Czerwona po drugiej, Fogg z Oblivionem w środku. Psy wyją ku niebu. Fogg podrywa z ziemi cząsteczki lodu i osłania ich mgłą niczym parawanem. Wieść się rozeszła. Syreny w oddali. Dudnienie dział. Hurgot toczących się kół. Przemykają od domu do domu, od drzwi do drzwi. Niemieccy żołnierze są wszędzie. Anglicy widzą spędzanych na ulice Białorusinów, niektórzy zostają odprowadzeni, innych, znacznie większą liczbę, rozstrzeliwują po prostu na miejscu. Dokoła walają się spalone ciała. Mężczyzna z oddartą twarzą. Fogg po raz kolejny przywołuje Człowieka z Mgły. Postać idzie sztywnym krokiem z przodu lub za nimi. Odstrasza ludzi. Człowiek z Mgły jest szaroczarny, wysoki jak dom, potrafi sięgnąć do wnętrza czołgu. Fogg przekazuje mu dość energii, by zaczął oddziaływać fizycznie — może policzkować, deptać, krzywdzić. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie zrobił, nigdy nie skorzystał ze zmysłu mgły do tego stopnia. Oblivion

idzie obok, nie odzywa się. Czasami usuwa im z drogi przeszkody. Wymazuje je z istnienia. Ludzi, budynki, czołgi. Sam jeden jest niczym miniaturowa inwazja Wehrmachtu.

Biegnać, ściągać na siebie wszelką możliwą uwagę. Powietrze przenika nieziemska energia. Fale Vomachta. Przemiana. Świat jest białym bezmiarem zbryzganego czerwienią lodu. Czerwienią ognia, czerwienią krwi. Nagle unosi się przed nimi - powstaje z lodu - potwór. Sama ziemia wypycha się ku górze, puchnie i formuje groteskowego lodowego golema, złowrogą istotę o grubych ramionach. Fogg i Oblivion omijają ją, ślizgając się co chwila. Człowiek z Mgły traci za ich plecami konkretność. Warkot silników i ponownie pojawia się dżip. Kierowca i Człowiek Wilk na siedzeniu pasażera. Przez dym przebija się czołg. Panzer II. Wieża sterczy niczym sprośna wypustka. Strzela, raz. Pióropusz dymu i huk. W piersi lodowego golema zieje dziura. Wyraźnie widać przez nią niebo.

Oblivion klnie, cicho. Leżą na brzuchach, na lodzie. Obserwują. Człowiek Wilk wysiada z samochodu. Uśmiecha się. Mroźny golem rusza na niego, góruje nad nazistą, lecz z każdym krokiem waha się bardziej, traci pewność, aż wreszcie rozmazuje się i topnieje, woda spływa po nim cienkimi strużkami, jakby się pocił. Wreszcie przystaje, ledwie krok od Człowieka Wilka, zamiera z konsternacją na śnieżnej twarzy.

- Co, do...? - szepce Fogg.
- Zamknij się - odpowiada równie cicho Oblivion.
- Brać go - rzuca Człowiek Wilk.

Ze stojącej za dżipem, ukrytej we mgle ciężarówki wylewają się żołnierze. Szare mundury, dziwaczne stroje gestapowców, suną strumieniem przez lód, otaczają znieruchomiłego golema. Z ziemi podnosi się ubrany w biały kamuflaż człowiek. Unosi ramiona, śnieg eksploduje z podłoża, niczym pięści. Wymierza ciosy żołnierzom. Mężczyzna porusza rękoma jak dyrygent kierujący koncertem białego

puchu. Człowiek Wilk obnaża zęby, wyciąga otwartą dłoń, skupia się. Mężczyzna w bieli zatacza się do tyłu, śnieg opada na ziemię. Żołnierze podrywają się na równe nogi, ruszają na niego.

- Nie możemy pozwolić, żeby go pojмали! - syczy Fogg.
- Mamy tutaj wyłącznie obserwować! — przypomina Oblivion.
- Obserwować znaczy zmieniać - zauważa Fogg.

Koncentruje się podobnie jak Niemiec. Przywołuje z powrotem Człowieka z Mgły. Który wraca jak gigantyczna pacynka. Nieporadny na lodzie.

- Chodź, Oblivion - mówi przez zaciśnięte wargi.

Mgła gęstnieje. Lód w powietrzu nadaje jej wagę, konkretność. Za nimi rozlegają się krzyki. Człowiek Wilk odwraca się, lecz zbyt wolno. Człowiek z Mgły, ten mgielny golem, bo i tak możemy go nazwać, macha długą szarą ręką stworzoną z lodowatych kryształków. Mierzy prosto w głowę Człowieka Wilka.

Trafia i rozlega się chrzęst. Srebrnowłosa mężczyzna pada na kolana. Człowiek w bieli odzyskuje nagle swobodę. Wznawia swój lodowy koncert, białe ramiona strzelają ze zmarzniętej ziemi. Wrzaski, chrupnięcia miażdżonych kości. Foggowi robi się niedobrze. Łuki jaskrawej krwi na śniegu, łuki kalającej czystą biel czerwieni.

41. FARMA, DEVON, 1936

- Na jaką odległość jesteś w stanie wywierać oddziaływanie?

Fogg zaczyna się koncentrować. Doktor Turing zapisuje coś w notatniku. Stoją na rozległej łące nieopodal głównego budynku farmy. Słoneczny dzień. Tylko kilka chmur. Fogg skupia się bardzo mocno. Podnosi w powietrze rzadką mgiełkę. Opar zawisa. Gęstnieje.

- Czy można uznać, że jest to uzależnione od lokalnych warunków meteorologicznych? - pyta Turing.

- Skąd mam wiedzieć, do diabła? - rzuca Fogg.

Doktor Turing nie zwraca uwagi na komentarz.

- Spróbuj ją rozciągnąć jak najdalej w linii prostej - sugeruje.

Fogg zbiera się w sobie. Mgła formuje strzałę, kondensuje się. Wreszcie rusza z miejsca, szybuje naprzód. Trzydzieści stóp nie sprawia żadnego kłopotu. Przy pięćdziesięciu pojawia się lekkie wahanie. W odległości siedemdziesięciu stóp mgła się rozprasza. Fogg czuje występujące mu na skórę krople potu. Słońce przygrzewa. Doktor Turing skrzętnie notuje.

- Dobrze, dobrze - mówi.

Fogg opuszcza ramiona.

- Jak? - pyta. - W jaki sposób się to dzieje?

- Splątanie kwantowe — odpowiada doktor Turing. — Pomyśl o umyśle jako o... — Chwila niepewności, zastanowienia. — Jak o maszynie. O komputerze. Wiesz, co to takiego komputer?

- Maszyna licząca?

- Oczywiście, najzupełniej słusznie. — Na twarzy doktora Turinga pojawia się nieśmiały uśmiezek. — Pomyśl o mózgu jak o urządzeniu obliczeniowym, istniejącym w kilku stanach probabilistycznych jednocześnie.

- Chyba nic z tego nie rozumiem - przyznaje z powątpiewaniem Fogg, lecz niezrażony Turing kontynuuje. Fogg wyczuwa w nim młodego, samotnego mężczyznę, nawykłego do toczenia długich konwersacji we własnej głowie.

- Na mózg można spojrzeć jak na biologiczną odmianę komputera kwantowego - tłumaczy Turing. - Jako taki oddziałuje z rzeczywistością zarówno w świecie obserwowalnym, jak i na poziomie subatomowym. To oznacza, że mózg dyktuje zachowanie rękom i nogom, całemu ciału, którego czujesz się mieszkańcem, lecz pracuje również w skali mniejszej, takiej, której nie jesteśmy w stanie obserwować. Przedtem nie byliśmy jej również w stanie kontrolować. W świecie rządzonym przez rachunek prawdopodobieństwa...

- Ja naprawdę nie...

- Fala Vomachta była falą probabilistyczną - stwierdza Turing.

- Cóż, skoro pan tak mówi — odpowiada Fogg. Zaczyna się denerwować. Jest poirytowany. Wokół niego gęstnieje mgła. Naukowiec się uśmiecha, sporządza kolejną notatkę.

-Tak, bardzo interesujące — mówi.

42. BIURO, 1941

- Organizacja „Gibor” - mówi Stary.

- Że jaka?

Wciąż zdają mu raport. Stary przechadza się po gabinecie. Z jakiegoś powodu jest podenerwowany.

-Żydowski podziemny ruch oporu. „Gibor” oznacza po hebrajsku bohatera. Sądzymy, że niektórzy z jej członków działają w charakterze wspieranych przez NKWD partyzantów. NKWD czyli radziecki Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych. Mówiliście, że jak on się nazywa?

- Anton - odpowiada Oblivion. - Ale sam mówił o sobie Kerach.

43. BIAŁORUŚ, 1941

Mężczyzna w bieli spogląda w ich kierunku. Fogg po raz pierwszy dostrzega jego twarz. Niezwykle brzydką twarz. Nieznajomy jest pozbawiony włosów, nie ma nawet brwi. Cerę ma pokrytą bliznami i śladami po ospie, wygląda jak powierzchnia bombardowanego od milionów lat przez meteoryty Księżyca. Bładoniebieskie oczy mężczyzny są tak jasne, że niemal białe. Obcy uśmiecha się do nich, nagle i niespodziewanie. Grymas przeobraża jego oblicze, rozświetla je. Skrzący się lód znaczą wnętrzości i krew. Człowiek Wilk podnosi się i staje na czworakach, ma pociągłą, wygłodniałą twarz. Wbija w nich spojrzenie czerwonych ślepiów, przesuwa z mężczyzny w bieli na Obliviona i Foggę.

- Uciekaj - mówi Oblivion. Nic innego nie można w tej chwili powiedzieć.

Uciekają.

Niełatwo jest biec po lodzie. Mgła sunie w ślad za nimi, ukrywa ich. Tupot kroków obok. Fogg odwraca głowę. Widzi mężczyznę w bieli, gnającego z tą samą prędkością co oni, z tym niebywałym uśmiechem na twarzy. Cieszy się na ich widok. Zupełnie jakby przyjaźnili się od zawsze. I tak po prostu na siebie wpadli, przypadkiem, gdzieś na Białorusi, akurat w dniach hitlerowskiego najazdu.

Kryjówkę znajdują już poza miastem, za zagrzebanym do połowy w lodzie, zniszczonym radzieckim czołgiem. Opierają się o maszynę plecami.

Ciężko dyszą. Mężczyzna w bieli wyciąga niewielką paczuszkę, dobywa z niej długi pasek czegoś szarego lub może brązowego. Podsuwa Foggowi.

- Co to jest, do cholery?

- Jakiś rodzaj suszonej wołowiny - tłumaczy Oblivion. - Tak mi się wydaje. - Przyjmuje od nieznajomego poczęstunek. Przeżuwa. - Nieźle - ocenia.

Siedzą spowici mgłą, dotykają plecami stali. Jedzą.

- Amerykanie? - odzywa się mężczyzna w bieli. Głos ma głęboki, gardłowy.

- Brytyjczycy - odpowiada Oblivion.

- Przecież Amerykanie w ogóle nie biorą w tej wojnie udziału! — rzuca Fogg. Z jakiegoś powodu nie spodobał mu się ten władający lodem i śniegiem człowiek.

Oblivion szturcha towarzysza łokciem, mocno.

- Nazywam się Oblivion - przedstawia się. Powoli i wyraźnie. — A to jest Fogg. Jak ty się nazywasz?

- Anton - odpowiada mężczyzna. Przywołuje na twarz swój szaleńczy uśmiech.

Potężny jest ten facet, uświadamia sobie Fogg. Duże, kwadratowe zęby, rozdzielone wąskimi szparkami.

- Na imię mam Anton! - Klepie Fogga po ramieniu. - Ale wy nazywajcie mnie... - Waha się, jakby dopiero w tej chwili podejmował decyzję. - Kerach - ustala w końcu.

Ten gardłowy dźwięk, więznące w krtani „eh”.

- Kerrrrach - dodaje Anton. Wskazuje na lód.

Białe tafle zaczynają gwałtownie dygotać - Fogg podskakuje.

- Jezu! - rzuca.

- Kerach, znaczy lód? - dopytuje Oblivion.

- *Da!* Lód - potakuje Anton. Podciąga rękaw kurtki, demonstruje obnażone ramię. Tatuaż. Wpisana w błękitną gwiazdę Dawida

uniesiona pięść.

- Jezu! - powtarza Fogg.

Anton entuzjastycznie kiwa głową.

- Jezus - zgadza się.
- Musimy się stąd wynosić - decyduje Oblivion.

Fogg zgadza się całym sercem. Anton, jakby mimo nieznajomości języka zrozumiał, o co im chodzi, potakuje skinieniem. Mierzy w nich wyciągniętym palcem. Następnie celuje ręką w dal. Potem pokazuje siebie. I kierunek, z którego przyszli.

- Zabijać Niemców - tłumaczy zadowolony z siebie.

Oblivion kiwa głową. Podnosi się. Fogg i Anton robią to samo. Oblivion wyciąga rękę, podaje ją żydowskiemu Übermenschowi.

- To szaleństwo, że chcesz tam wrócić - zauważa Fogg.

Anton po raz kolejny szeroko się uśmiecha, a Foggowi mina kojarzy się z grymasem bólu.

- Zabijać Niemców - powtarza Anton.
- Tak, cóż - odpowiada Fogg. - Na pewno ci ich nie zbraknie.

Wraz z Oblivionem ruszają dalej przez lód. Anton stoi, odprowadza ich wzrokiem. Wkrótce pochłania go mgła.

44. BIURO, 1941

-Ten jego tatuaż jest, jak myślę, specjalną, wymyśloną przez NKWD zachętą do walki — odzywa się Stary.

- Jak to? - dziwi się Fogg.

- Nosząc coś takiego na skórze, mają dodatkowy powód, by nie dać się schwytać.

Fogg myśli o losie Żyda schwytanego przez nazistów. Nie, nie przez nazistów. Przez Człowieka Wilka.

Zastanawia się, co mogło spotkać Antona. Nie, Anton wolałby otworzyć w lodzie przerębłę i wskoczyć do środka niż dać się pojmać żywcem, stwierdza w duchu.

Nie spodobały mu się spojrzenia, jakimi wymieniali się Anton z Oblivionem. Nie podobało mu się również to, co tamten potrafił zrobić z lodem.

Dalsza część ich ucieczki była czerwona, biała i szara.

Umykali przez zamarznąłą krainę. Powoli. Klucząc. Nie spotkali już jednak żadnych Übermenschów. Otaczała ich mgła. Fogg przez cały czas boleśnie skupiony, kwantowo splątany z cząsteczkami lodu i wody, z dymem i kurzem. Oblivion oczyszczał drogę za każdym razem, gdy spotykali wrogie siły. A wrogie było wszystko co żywe.

Większość czasu pozostawali niezauważeni. Stali się dwiema bezkształtnymi sylwetkami we mgle. Raz jednak natknęli się na grupę piechurów. Żołnierze stali półkolem, otaczając grupę kapiących dół białoruskich cywilów. Niemcy zaczęli strzelać jeszcze zanim jama nabrała głębokości. Ciała padały jedno na drugie bezgłośnie, jak się wtedy Foggowi wydawało.

Bezgłośnie. Powinni byli odejść, ominąć tę dziurę i stertę ciał. Jednak nie. Nie skorzystali nawet z tego, z czego skorzystać mogli. Posłużyli się nożami. Zapomnieli o dyscyplinie, o dniach na Farmie, o musztrach i rozkazach Starego: zapomnieli o wszystkim.

Niczym ogarnięci bojowym szałem barbarzyńcy rzucili się na żołnierzy ze sztyletami. Wojna pozbawia ludzi heroizmu, podobnie jak człowieczeństwa. Ząbkowane ostrza. Fogg pamięta, jak wbił nóż w

trzewia dowodzącego oddziałem oficera, pamięta też, jak go wyciągnął. Parujące wnętrzości polały się na lód, mgła wzbiła się w powietrze jak sztylet. Fogg pamięta, jak przeciągnął ostrzem po ludzkim gardle, jak poczuł na dłoniach i twarzy gejzer ciepłej krwi. Kiedy żołnierze podnieśli wreszcie lufy, obaj Anglicy zrozumieli nagle, co zrobili. Dysząc ciężko, niemal jak podczas seksualnego zespolenia, Fogg uformował z otaczającego ich powietrza nowy oręż. Oblivion wybijał w ludziach otwory nieistnienia. Ciała żołnierzy topniały.

Ostatnia część ucieczki przebiegła bez żadnych wydarzeń.

- Niwelujemy się nawzajem - mówi Stary. Zdążył już też powiedzieć „spocznij”. Mówił do siebie.
- Sir? — rzuca Oblivion.
- Gdyby Übermenschowie walczyli tylko po jednej stronie konfliktu - odpowiada Stary. - Gdyby dysponowali nimi na przykład wyłącznie Niemcy, wojna mogłaby potoczyć się inaczej. Skoro jednak walczą dla obu stron, nikomu nie przynoszą wymiernej korzyści. Obawiam się, panowie, że na tej wojnie jesteśmy niczym więcej niż zwykłymi żołdakami.

Wydaje się, że traci zainteresowanie. Jakby ich misja nie skończyła się, ostatecznie, sukcesem. Odprawia podkomendnych machnięciem ręki.

- Dobra robota - mówi jeszcze, kiedy wychodzą. Bez przekonania.

Na zewnątrz Fogg zapala papierosa. Oblivion też. Trwa wojna. Na wojnie palą wszyscy. Opuszczają siedzibę Blura. Ruszają wzdłuż Pall Mail w stronę rzeki. Na nabrzeżu panuje przenikliwy ziąb. Wpatrują się w wodę. Szarozieloną, mętną.

- Co byś zrobił... - odzywa się Fogg. - Co byś zrobił ze sobą, tak w życiu, gdyby nie znalazł cię Stary?

Oblivion jest wyraźnie zaskoczony. Nie odpowiada. Fogg tak niewiele

wie na jego temat. Tak niewielu informacji zdołaliśmy się dokopać. Skąd pochodzi?

- A ty? - pyta Oblivion.

Fogg wzrusza ramionami, zongluje pytaniem. We mgle poruszają się kształty, cienie rzucane przez reflektory statków, schwytane w pułapkę i wyświetlone na ekranie duchy.

- Może stolarzem - odpowiada. Nie wyjaśnia dlaczego.

Oblivion się uśmiecha.

- Stolarzem - powtarza.

- Tak. - Fogg kiwa głową.

- Coś podobnego - rzuca Oblivion.

Fogg próbuje sobie wyobrazić świat, w którym nie stoi przy torach kolejowych, gdzie nie pędzi ku niemu rozchodząca się fala. Nie widzi znieruchomiałych twarzy w oknach nadjeżdżającego pociągu, nie ma tego krystalicznego drżenia powietrza, zbierającej się mgły, uderzającego go strumienia probabilistyki, zmieniającego go w mikroskali, poddającego przemianie, z jakiej Fogg zdaje sobie sprawę dopiero kiedy się już dokonała, a twarze w oknach ożyły. Pociąg gna dalej, a mgła otacza go niczym żywa istota... Nie, jednak nie potrafi sobie tego wyobrazić, ta alternatywna teraźniejszość stanowi w jego umyśle puste miejsce. Kim by został? Poszedłby w ślady ojca na stragan, rozładowywałby warzywa, pokrzykiwał. „Funt za funta! Świeżutkie jabłuszka, pani kochana, jeszcze wilgotne od porannej rosy!”. „Proszę, brachu” — mówiłby. Grzyby w brązowej papierowej torebce; waga, stara kasa, picie w pubie, w piątkową noc bicie żonki. W niedzielę kościół, Bóg spoglądający z góry na nieodmieniony świat.

- Fogg? Co z tobą? - odzywa się Oblivion.

- Vomacht czy nie Vomacht - odpowiada mu Fogg, tam na brzegu rzeki, gdy w mieście zaczynają wyc syreny alarmowe - i tak bylibyśmy żołnierzami, Oblivion. I tak wybuchłaby wojna.

SZEŚĆ

MISJA W TRANSYLWANII

**TRANSYLWANIA
1944**

ARMIA NIEMIECKA WKRACZA NA WĘGRY

19 marca 1944

Siły nazistowskich Niemiec dokonały w zaskakującym posunięciu bezkrwawego zajęcia terytorium Węgier. Operacja nosiła kryptonim „Margarethe”. Węgierski premier Miklós Kallay, dawny sojusznik Adolfa Hitlera, został w dniu 15 marca zaproszony przez Führera do pałacu Klessheim pod austriackim Salzburgiem na negocjacje. Według części źródeł pan Kallay mógł wcześniej prowadzić z aliantami tajne rozmowy dotyczące zawieszenia broni.

Podczas gdy pan Kallay przebywał w Austrii, wojska niemieckie wkroczyły bez rozgłosu na Węgry i nie oddając jednego wystrzału, zajęły kraj. Pan Kallay powrócił do Budapesztu 19 marca, gdzie zastał już armię dawnego sprzymierzeńca. Miklós Horthy, węgierski regent, nie miał wyboru i został zmuszony do kapitulacji.

45. TRANSYLWANIA, 1944

Karpaty cechują się swoistym, starożytnym majestatem. Pod odległymi ośnieżonymi szczytami drzemią senne wioski. Dym spokojnie bije z kominów. Pokonujące górskie przełęczę pociągi puszczają kłęby pary, ich *ciuch-ciuch* przypomina dziecięce kołysanki.

...o ile ktoś zawierzy staremu, zaufanemu bedekerowi.

Który nie uznaje za stosowne wspomnieć o jadących do Polski wagonach, o dudniących krokach fabrycznie produkowanych buciorów, ubijających zimową, zmarzniętą ziemię, kiedy ich właściciele chodzą od drzwi do drzwi, wyszukując i zbierając transylwańskich Żydów niczym dodatkowy bagaż do odesłania do obozów. Co do miejscowych Cyganów, ich los nie różni się od losu Żydów. Napastnicy atakują tabory tuż przed świtem, wyrywają dzieci z objęć rodziców, podpalają wozy, konie konfiskują na potrzeby wojska,

a mężczyzn, kobiety i dzieci wsadzają do pociągów, które odjeżdżają wyładowane po brzegi, a wracają już puste. Wysoko w górach głębokie ciemne lasy kryją ludzi, których ma odnaleźć Fogg. Wysoko w górach śnieg spoczywa na ciemnych liściach, posapujące, pomrukujące niedźwiedzie przemierzają swe szlaki, a wilki skarżą się, wyjąc do księżyca. Stąd właśnie pochodzimy. Ale to nie jest historia o nas.

Fogg siedzi skulony przy ognisku. Przeklina zimę i to lesiste zadupie zapomnianego przez Boga i ludzi kraju. Zupełnie nie pojmuje zachwyty bedekera, tych wszystkich uwag o starożytnym majestacie. Przeklina Starego, który go tu przysłał. Rozgląda się dokoła, z boku na bok. Straszą go cienie. Dźwięki wśród drzew. Jego pierwszej nocy na polanę, na której biwakowali, wyszedł niedźwiedź. Zwabiony zapachem ich mizernego zapasu jedzenia. Nikt zwierzęcia nie zauważył do chwili, w której zbliżyło się na tyle, że Fogg obudził się, czując woń mokrego futra i cuchnący oddech. Zobaczył kły.

- Głodny jest, biedaczysko - wytłumaczył Dracul. Zmaterializował się na polanie, chudy cień.

Szczerze mówiąc, nie na żarty przeraził Fogga. Podszedł prosto do niedźwiedzia, położył mu rękę na karku, na co zwierzę padł na cztery łapy, powęszył przez chwilę, po czym pokornie wyszedł za Draculem z polany i zniknął w gęstwinie.

- Ale my też - dodał Dracul, już potem.

Jedli przy ognisku steki. Pierwsze od wielu tygodni kęsy czerwonego mięsa. Anglik domyślił się tego, widząc, jak pozostali partyzanci zaatakowali posiłek. Fogg nie miał serca pytać, skąd się to jedzenie wzięło. Wcale zresztą nie musiał.

Biedny niedźwiedź. Cholera.

Dracul jest wychudzonym i zasuszonym mężczyzną, nienaturalnie wydłużonym, rozciągniętym. Na nim nie ma mięsa, jego skóra wygląda jak martwa, oczy zieją czarnymi dziurami. Zaskakująco dobrze

postępuje się angielskim. Nauczył się od dwóch poprzednich oficerów rozpoznania.

Fogg nie musi pytać, gdzie podzieli się tamci. Wojna to bilet w jedną stronę do miejsca, gdzie kończą się tory. Partyzanci mieli już wcześniej u siebie Anglika, niejakiego Mallory'ego, a przedtem Amerykanina lub Ormianina — Fogg nie jest pewien, wie jednak, że obaj skończyli w wykopanym w śniegu dole.

Dracul jest niewierzącym Żydem. Jest również mężczyzną pozbawionym wszelkich gorętszych namiętności i raczej nieznanym gniewu.

Kiedy zabija, robi to niemal z żalem, z przepaszającym wzruszeniem ramion. Jego ludzie siedzą wokół ogniska i ostrzą kije. Nie jest łatwo nabici człowieka na pal. Potrzeba w tym celu twardego drewna, ostrego i mocnego, oraz siły wystarczającej do nadziania ludzkiej istoty; zwierzęcej siły koniecznej do opanowania rzucającej się w ręce oprawców ofiary, rozwrzeszczanej, miotającej przekleństwa lub błagania. Miłosierdzia jednak nie ma.

Wcześniej tego dnia Fogg wybrał się z partyzantami na drogę do Marosvasarhely. Niemcy zdają sobie co prawda sprawę, że w tym rejonie działa ruch oporu, lecz nie zawsze są w stanie wystawić odpowiednią eskortę. Partyzanci zatrzymali ciężarówkę i wyciągnęli obu kierowców.

Jechali z miasta Cluj. Ich ładunek okazał się zupełnie bezużyteczny. Materiały budowlane. To nie miało dla Dracula znaczenia. Wydał rozkaz.

Pale zostały wkopane w ziemię, a obaj ludzie nabici. Fogg patrzył na kije wnikające w odbyty, przenikające wnętrzości i wychodzące ustami. Nadziani i porzuceni na pewną śmierć na poboczu drogi, wiadomość pozostawiona dobrze znanym, starożytnym alfabetem.

- Jak Vlad - zwraca się do niego Dracul. Materializuje się przy ogniu i

siada, by pogawędzić. Zupełnie jakby zajmował krzesło w budapeszteńskiej herbaciarni.

Fogg nasłuchuje odgłosów nocy, poruszających się wśród listowia istot.

Wokół obozu rozstawiono strażę. Zajęli wysoki punkt obserwacyjny.

Miasto Marosyasarhely leży daleko poniżej. Tutaj SS-mani nie powinni zdołać się do nich podkraść. Aczkolwiek Fogg ma co do tego pewne wątpliwości.

- Vlad? - pyta.

- Vlad Trzeci - wyjaśnia Dracul. - Vlad Tepes. Nazywali go Palownikiem. — Partyzant zaciera ręce żałośnie. Szelest suchej skóry podobny do szmeru przewracanych kart książki. — To rodzaj pradawnej wiadomości dla mojego ludu - dodaje. - Vlad był chrześcijaninem. Powiadają tu, w Transylwanii, że jako chłopiec przebywał u Turków w charakterze zakładnika. Został wielokrotnie zgwałcony. Kiedy wyrósł na mężczyznę, zaczął z nimi walczyć, nabijając pojmanych na pale, co stanowiło przestrożę i przesłanie. - Dracul wydaje z siebie specyficzny dźwięk, coś pomiędzy splunięciem i śmiechem. - Przez odbył! - oświadcza.

Partyzanci wybuchają śmiechem.

- Dla twojego ludu? - dopytuje Fogg.

- Tak, dla mojego ludu - odpowiada Dracul. — Transylwania to pełnoprawny kraj. Teraz mieszkają tu Madziarowie, Rumuni — w tym miejscu znowu zbiera się do splunięcia — Cyganie, Niemcy i Żydzi. Ale to my byliśmy tutaj pierwsi. My, z Transylwanii. Mamy to we krwi, przyjacielu. I jest to w tutejszej ziemi.

Niemcy też, myśli Fogg. Mniejszość w górzystej krainie, podobnie jak Żydzi, chociaż ich wojenne losy toczą się bardzo odmiennie.

- I ty starasz się go naśladować? — podejmuje.
- Oczywiście! Vlad był obrońcą Transylwanii.

Fogg nie wie, co o tym myśleć. Nieco wcześniej znalazł podniszczony egzemplarz „Draculi” Stokera. Angielskie wydanie, z jakiegoś powodu zachowane przez partyzantów. Dwa odręczne podpisy wewnątrz sugerowały, że książka znajdowała się przez jakiś czas w posiadaniu jego poprzedników. Fogg uznał to za zły omen. Unika tej lektury.

- Ukształtowały mnie te lasy i ta kraina - oświadcza Dracul. - Jestem z tej gleby. Ja jestem tą glebą!

Często przemawia w ten sposób, zawsze, kiedy w ogóle się odzywa. Deklamuje szaleńcze manifesty. Ludzie Dracula chłoną każde jego słowo. Zbieranina wyrzutków, łotrów i pokrzywdzonych. Widzą w tym Übermenschu półboga, inkarnację samego Włada Trzeciego. Fogg, dygocąc mimo żaru ogniska, próbuje skierować rozmowę - o ile można ją tak nazwać - ku bardziej nagłym kwestiom.

- Brigadeführer Hans von Wolkenstein - mówi.

Przy ogniu zapada nagle milczenie. Mężczyźni zwracają czarne jak noc spojrzenia na tego Anglika, na tego Foggga. Dracul wciąż siedzi nieruchomo. Fragment nocy, skrawek starej skóry, Człowiek Nietoperz w kraju pełnym opowieści o starożytnej grozie.

- *Der Wolfsmann* - potakuje. Bardzo cicho.

Tak bardzo cicho, że Foggga przenika dreszcz. Tak samo cicho jak wówczas, gdy rozkazał wbić jeńców na pal.

- Tak - potwierdza Fogg. Prosto w tę ciszę. Otula się ciasniej płaszczem. Nerwowo. Mgła majaczy na skraju polany. Reaguje na niepokój Foggga. Tutaj, wśród wysokich szczytów, jest inna niż opary z dolin. Tutejsza mgła reaguje wyraźniej, niemal ochoczo, jej dotyk na skórze Anglika przypomina muśnięcia jedwabiu. - Tak, *Der Wolfsmann*

- powtarza szeptem.

- Dlaczego o nim wspominasz? - pyta w końcu Dracul.

Ludzie wokół ogniska nerwowo się rozluźniają. Wracają do własnych spraw, koniec milczenia. Fogg jednak wie, że nadal przysłuchują się podjętej na nowo rozmowie.

- Moi londyńscy przełożeni bardzo się Herr Wolkensteinem interesują - przyznaje Fogg.

- Tak — rzuca Dracul. Wydaje się, że traci zainteresowanie. Ogląda w blasku ognia paznokcie. Długie i nierówne jak szpony.

Fogg zastanawia się po raz kolejny, jaki dowódca partyzantów był przed przemianą. Przed Vomachtem. Nazwisko przywołuje nieprzyjemne uczucia. Emocje, o których chciał zapomnieć. Które zepchnął głęboko w ciemne czeluści umysłu.

- Tak - mówi Fogg.

-To dopiero cholerny nazista - stwierdza Dracul, marnie naśladowując angielski akcent.

Jego towarzysze wybuchają śmiechem, posłuszni.

- No proszę, Dracul - nalega Fogg. Nie cierpi tego pseudonimu. - Daj mi coś pożytecznego.

- Tak, jest tutaj - odpowiada Dracul. - Herr hrabia von Wolkenstein. *Der Wolfsmann. Ja?*

Teraz już nie słyszeć wesołości. Ognisko rzuca krąg wąskiego światła. Na skraju ciemności młody chłopiec - Peter? Jakoś tak - szepce:

- *Wolfskommando.*

Oczy młodzika są okrągłe i blade niczym księżycy. Dracul rzuca mu

przeszywające jak sztylet spojrzenie. Chłopak dygoce.

-Ja, tak - mówi Dracul. - *Wolfskommando*.

Udaje znudzonego.

Gestapo, wydział F. Łowcy Übermenschów. Oddział składający się z najgorszych niemieckich Übermenschów i pomyj europejskiego społeczeństwa. Banda Niemców, Ukraińców, Polaków, paru Francuzów, mnóstwo Skandynawów. Człowiek Wilk ich znalazł, Człowiek Wilk ich wyszkolił, Człowiek Wilk wypuścił ich zdziczałych na wolność w tym zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku świata. *Wolfskommando*.

- On cię szuka - zauważa Fogg.

Świta zrozumienie. Dracul się uśmiecha, zęby ma spiłowane jak zaostrzone pale. Partyzanci wybuchają śmiechem. Jakby usłyszeli puentę świetnego dowcipu.

- Ach, doprawdy? - rzuca Dracul. Kiwa głową.

Wilk przeciwko Nietoperzowi, cholera jasna, myśli Fogg, lecz nie odzywa się słowem.

- A ja - dodaje Dracul i urywa, ponownie rzucając ten swój uśmiech, niemal chłopięcy. - A ja szukam jego - kończy tak cicho, że Fogg ledwie cokolwiek usłyszał.

46. TRANSYLWANIA, 1944

Gdy Fogg - wiele lat później - wspomina Karpaty, myśli o nich z mieszanką przerażenia i zachwytu. Słońcem wschodzącym ponad nagimi zboczami, przypominającymi strachy na wróble ludźmi nabitymi na pale osadzone w zmarzniętej ziemi. Nawet jedna mucha nie zniekształca wyrazu ich twarzy, zastygłych krzyków agonii. Ciała zachowane niemal idealnie w tym zimnym, czystym powietrzu.

Niemniej Fogg próbuje - bardzo usilnie - nie wspominać Karpat wcale.

- Jada!

Pierwsze ciężarówki wojskowego konwoju wyłaniają się poniżej z za zakrętu, na górskiej drodze. Dracul i jego ludzie wysoko nad Niemcami, ukryci przed spojrzzeniami. Fogg wraz z nimi. Słońce wysoko na niebie. W dalekiej dolinie, nieopodal miasta, wije się wązowo rzeka Marusza. Fogg uклада się wygodniej na twardym podłożu. Lornetka mocno uciska go wokół oczu, jakby chciała je uwięzić.

- Jesteś pewien?

Dracul zanosi się cichym śmiechem. Woń ziemi i kurzu. Ma całą sieć informatorów rozmieszczonych w miastach i wsiach Transylwanii. Ludzi oddanych mu równie mocno, jak partyzanci. Podziw bądź strach, tego Fogg nie wie. Kombinacja obu czynników. Dracula drażnić nie należy.

Fogg obserwuje konwój. Samochody jada powoli. Przełęcz jest niebezpieczna, ostre zakręty, żadnych barierek, które powstrzymałyby pojazdy przed kilkusetmetrowym spadkiem. Duże ciężarówki. Opancerzone?

W środku konwoju dżip. Na siedzeniu pasażera wyprostowana jak słup postać. Fogg dostosowuje ostrość, patrzy. Połączenie pogardy i strachu, nad którym nie do końca potrafi zapanować. Zła krew, historia. Historia składa się z pociętych kawałków niczym surowe mięso. Niczym otwarte rany. A ta rana wciąż boli. Paryż. Sprawy, o których lepiej nie myśleć. Zbyt niebezpieczne. Niemniej Paryż. Ziejąca w duszy Fogg rana.

- Chcę, by umarł - mówi. Szeptem, nie wiedząc nawet, że odezwał się na głos.

Obok niego chichocze Dracul. Pobrzmiwa w tym dźwięku jakaś

obsceniczna nuta.

-Ale nie chcemy, by umierał zbyt szybko, prawda? - komentuje.

- Możesz go zdjąć? - pyta Fogg.

Niestety są zbyt wysoko, są tu jedynie obserwatorami.

- Być może - odpowiada Dracul. Wpatruje się w pokonujący górską przełęcz konwój.

W pewnej chwili samochody zwalniają. Zatrzymują się. Ludzie wyglądają z dachów ciężarówek. Broń w pogotowiu. Dżip na środku. Człowiek Wilk wysiada, Fogg obserwuje. Mężczyzna wydaje się teraz nieco bardziej szczupły, a jego krótko przystrzyżone włosy przyprószyła na skroniach siwizna. Rozgląda się. W jedną stronę, w drugą. Uśmiech. Kły pobłyskują w słońcu. Węszy w powietrzu.

- Sukinsyn - syczy Fogg.

- Nie mam czystego strzału - mówi jeden z ludzi Dracula, oparty o skałę, z karabinem.

Dracul macha zdawkowo ręką.

- Patrz - mówi.

Zbyt daleko, by doleciały ich głosy. Lecz Człowiek Wilk porusza ustami, wydaje rozkaz. Niemcy wysiadają z pojazdów. Rozpraszają się. Fogg ich obserwuje. Nie dostrzega białych mundurów Übermenschens Korps. Nie są to też wojskowi.

Gestapo.

Trudno się na nich patrzy. Ich rysy zmieniają się, rozmywają. W tym pokazie widać każdy rodzaj przemiany. Bo to właśnie nic innego jak pokaz.

Demonstracja, specjalnie dla Fogga. Lub rzucone Draculowi wyzwanie. Jeden z mężczyzn jest okropnie otyłą istotą, tłuszczy jakby mu ściekał z ramion i nóg. Jego brzuch zaczyna się rozszerzać. Nie. Cały pęcznieje. Jak nadmuchiwana ropucha.

I ten obok niego. Fogg rozpoznaje go z akt, z dreszczem. Blutsauger.

Lata potem zobaczy go ponownie...

Fogg wyczuwa reakcję Dracula, jest świadom swych własnych emocji, wywołanych przez widok tego zdeformowanego stworzenia: skóra jak u nietoperza, rozpięte pod pachami krótkie i brzydkie skrzydła, jakby ohydnie rozciągnięte ciało. Długa i wąska łysa głowa oraz te ciemne oczy. Twarz pomarszczona jak u noworodka, pasujący do wizerunku pseudonim, kolejny karpacki horror, tym razem ożywiony: Blutsauger - Wysysacz Krwi. Niewiarygodnie szeroko otwiera usta, ziewa bądź się uśmiecha. Wewnątrz widać zbyt wiele zębów. Oblizuje wargi długim, skórzastym językiem. Blutsauger. Łopocze skrzydłami, uśmiecha się i wacha powietrze, poszukując zapachu krwi.

- Cholera — rzuca Fogg.

Partyzanci obserwują w milczeniu.

Kolejny z mężczyzn na dole unosi ręce. On również czegoś szuka.

- Padnij! - szepce Dracul.

Fogg przywiera do ziemi. Powietrze faluje. Liście szeleszczą na drzewach. Mężczyzna poniżej jest wysokim, bladym Skandynawem. Rzadkie blond włosy. Oczy niczym jasnoblękitne szklane kulki. Liście spadają im na głowy. Jakby czyjeś niewidzialne ręce sięgały aż na to zbocze i potrząsały drzewami, wyszukując ich po omacku.

Wreszcie jednak się cofają. Niski mężczyzna o jasnej skórze i słowiańskich rysach kreśli w powietrzu koła. Powietrze drży, twardnieje, powstają w nim eliptyczne zwierciadła. Kolejny z nich jest

kudłaty niczym pies. Staje na czworakach. Niesamowicie szeroko otwiera usta, lśnią pokryte śliną zęby.

- Wolfskommando - mówi ktoś niespokojnie.

Partyzanci wymieniają się spojrzeniami.

Dracul uśmiecha się niewesoło obok Fogga. Poniżej Człowiek Wilk daje sygnał skinieniem. Jego ludzie wracają do ciężarówek. On sam wsiada do dżipa. Silniki zaczynają warkotać, dźwięk dociera do grupy Dracula z opóźnieniem, wzmocniony. Fogg patrzy za konwojem, który ostatecznie pokonuje górską przełęcz i znika im z oczu.

Fogg wypuszcza wstrzymywane powietrze. Odrywa lornetkę od twarzy.

- O co tu chodziło? — dziwi się.

Dracul rozciąga wargi w uśmiechu. Wstaje: najpierw leżał, zaraz potem stoi. Żadnego przejścia. Cień.

- *Der Wolfsmann* się popisuje — mówi.

Fogg nie pyta, przed kim. Spogląda Draculowi w oczy. Żydowski partyzant odpowiada tym samym. Zrozumienie przeskakuje między nimi jak iskra.

47. SIGHISOARA, TRANSYLWANIA, 1944

Do Sighisoary wkraczają nocą. Drogę oświetla im srebrzysty księżyc, sierp na ciemnym niebie. Gwiazdy niczym dziury wycięte nożem w kopule niebios. Sighisoara to przyjemne średniowieczne miasteczko. Czarujące stare kościoły, brukowane uliczki. Chłodne i czyste górskie powietrze przywraca zdrowie cierpiącym na suchoty. O ile wierzyć bedekerowi. Żydzi z Sighisoary zostali zapędzeni do getta w Cluju, po czym załadowani do pociągów. Gestapo urządziło swą kwaterę główną na miejscowym zamku. Niedysiejszej siedzibie Władcy Trzeciego,

Smoczego Syna. Urocza starożytna cytadela, wzniesiona przez Sasów. *Castrum Sex*, jak nazywano ją po łacinie. Co oznacza zamek o sześciu bokach.

Partyzanci są jak duchy wśród nocy. Przemykają przez wyludnione ulice, jest godzina policyjna. Z rzadka przechodzi patrol, znudzeni żołnierze. Wygląda na to, że wartość Fogg w oczach partyzantów wzrosła. Mgła podnosi się znad kocich łbów i gęstnieje jak mleko przeradzające się w śmietanę. Mijają zamknięte sklepy, nieliczne latarnie. Zrozpaczone miasto milczy. Dracul przeskakuje od cienia do cienia. Porusza się jak nietoperz nocą. Fogg nie ma pojęcia, skąd dowódca partyzantów czerpie siłę, co go napędza. Dracula cechuje specyficzny rodzaj fatalizmu.

- Postaramy się — mówi, nieco żartobliwie. - Dla ciebie, panie Fogg z Londynu. Spróbujemy zająć zamek.

Samobójcza misja. W razie starcia z *Wolfskommando* ludzie Dracula nie mają szans. W cytadeli nie widać nawet znaku życia, lecz Fogg wie, że forteca nie została opuszczona. Wręcz przeciwnie. Wyczuwa wypatrujące z wewnątrz spojrzenia. Zastanawia się w głębi ducha, czy Dracul nie chce aby zostać schwytany. Czy nie tęskni za końcem. Niemniej Fogg daje się porwać, podąża z innymi zgodnie z planem. Zdobędzie coś dla Starego.

Cokolwiek, co usprawiedliwi tę wycieczkę na skraj wojny, gdzie poza masowymi deportacjami Żydów nie dzieje się nic.

Ku zamkowi skradają się kosmyki mgły. Delikatnie, powoli - by nie wystraszyć niewidocznego wroga, by gęstniejące pasemka wydawały się zjawiskiem naturalnym. Na murach poruszają się ciemne kształty. Fruwają bezszelestnie nietoperze. Mgła sunie dalej. Dracul i Fogg obserwują z drzwi piekarni. Dracul wskazuje, najpierw na siebie, następnie na Fogg. Jasny przekaz. Idziemy we dwóch. Reszta zostaje z tyłu.

Partyzanci otaczają cytadelę, kryją się wszędzie, gdzie tylko mogą, w

bramach i na schodach. Na dachach. Jest z nimi ten chłopak, Peter. Fogg nie poznał jego historii. Ojciec i wujek odesłani do obozów. Matka wraz z dwiema siostrami przemycona przez granicę, ukryta w wozie rumuńskiego sąsiada. Fogg nie wie, dlaczego Peter tu został. Partyzanci traktują go jak maskotkę. Chłopak rzadko się odzywa. Podziwia Dracula. Jest jego dalekim kuzynem. Urodzony już po przemianie: w jego oczach Übermenschowie są czymś równie zwyczajnym jak komory gazowe.

Fogg przemierza krótki dystans do cytadeli. Kryje się we mgle. Nagle tuż obok pojawia się Dracul. Strażnicy na schodach. Rozmowa prowadzona łamanym niemieckim. „Zimno, cholera”. „Przestań wreszcie narzekać, Ropuchu. Przecież jesteś tak tłusty, że pewnie i tak nic nie czujesz”. W odpowiedzi śmiech i burknięcie. Fogg zerka na Dracula. Rozdzielają się.

Chwytają ich we mgle. Fogg podrzyna gardło wysokiemu Skandynawowi, temu, który na przełęczu wyciągał ku nim ramiona. Bez jednego dźwięku. Po prostu podchodzi z tyłu i tnie. Po tylu latach stał się ekspertem. Delikatnie podtrzymuje upadającego. Wyciera nóż o jego mundur.

Zasłona mgły na moment się rozwiewa. Fogg dostrzega otyłego mężczyznę, którego nazywają Ropuchem. Obok pojawia się Dracul. Ropuch otwiera usta do krzyku. Reaguje, puchnie. Dracul trąca go ręką. Pazur Dracula jest jak ostrze. Przebija skórę Ropucha, przebija mu serce. Zaatakowany więdnie, uchodzi z niego powietrze. Drugi cios trafia w gardło. Ropuch bezgłośnie bulgoce i pada do wtóru mokrego plaśnięcia. Dracul unosi dwa palce. Nieme pozdrowienie. Dwóch z głowy. Wielu do załatwienia.

Otwierają się przed nimi drzwi. Wślizgują się do środka.

48. SIGHISOARA, TRANSYLVANIA, 1944

W przestronnym holu cytadeli rozlegają się echa. Pasemka mgły

wpływają i snują się w ciemnych przestrzeniach. Księżycowa poświata przebija się przez wysokie okna, rozjaśnia wiekowe gobeliny i groteskowe malowidła. Fogg przyłapuje się na gapieniu na portret Włada Palownika. Wąska twarz. Wydatne kości policzkowe, orli nos, duże, przenikliwe oczy. Oblicze zdominowane przez gęste wąsy i łukowato uniesione brwi. Vlad nosi długie, opadające na ramiona włosy. Na głowę włożył filcową, przystrojoną klejnotami czapkę.

Obraz wisi na przeciwległej ścianie. Podchodząc bliżej, Fogg zauważa w nim dziury. Rany o nierównych brzegach. Z czoła Włada sterczy wbity w płótno sztylet. Obok rozlega się chichot Dracula. Nagle. Fogg nie umie się przyzwyczaić do tych niespodziewanych objawień partyzanta.

Ogarnia go niepokój. Coś jest nie tak. W cytadeli panuje zbyt głęboka cisza, milcząca ciemność sugeruje niewidoczne oczy.

- Za mną - rzuca Dracul.

Cicho stąpają po kamiennej posadzce, ku prowadzącym w dół schodom. Bezruch.

Nagle słychać pijane śmiechy, z góry. Fogg zamiera.

Dracul ociera się o niego, popycha. Zwykle małomówny człowiek z nienacka ożywa.

„Nie zgrywaj bohatera”. To właśnie poradził Foggowi Stary, kiedy go tu wysłał. „W Blurze nie ma miejsca dla bohaterów. Nie daj się złapać i zdobądź dla mnie potrzebne informacje”.

Fogg drży. Ziąb przenika go do szpiku kości, do samej duszy. Jest niemal gorzej niż na froncie wschodnim. Ale nie. Nie może być gorzej niż tam. Docierają na dół. Ciężkie, wprawione w mur stalowe drzwi. Nowe. Gryzą się ze średniowiecznym otoczeniem, chociaż w pewien sposób do niego pasują. Jakby kryło się za nimi coś zaczerpniętego wprost z bajek braci Grimm. Otwierają się bezgłośnie. Fogg kręci

głową. Jakby chciał powiedzieć: „Chodźmy stąd. Te drzwi powinny być zamknięte. Tu powinni stać wartownicy. Zbyt łatwo nam idzie. Nie powinniśmy się tak swobodnie dostać do środka. Możemy mieć problem z powrotem”.

Dracul toczy bitwę ze sobą. Nieco szerzej uchyla drzwi. Za nimi ciemność. Zupełnie nie widać, co czeka po drugiej stronie. Fogg uświadamia sobie nagle, że wcale nie chce tego sprawdzać. Wyschnięte usta, kłuszące mu wnętrzności szczury.

- Wracamy - mówi. - Już. - Wchodzi na stopnie.

Dracul ulega, pojawia się obok.

- Cholera, do diabła, kurwa mać! - rzuca Fogg.

Te słowa stały się bez mała jego ostatnimi. Hol zamku zalewa jasne światło. Razi oczy, Fogg na moment ślepnie. Gdy wzrok się przyzwyczaja, dostrzega drobiny kurzu - widzą je też gestapowcy mierzący do Anglika i Dracula z karabinów maszynowych. Fogg spogląda bezradnie ku prowadzącym na zewnątrz drzwiom, lecz w nich pojawia się jeszcze więcej nieprzyjaciół.

Pułapka. Powinien był się tego domyślić. Czeką na uderzenie kuli, ale żadna go nawet nie rani. Zapada dziwna cisza. Nikt się nie porusza. Fogg patrzy na Dracula. Oblicze partyzanta wykrzywia przypominający uśmiech grymas. Fogg pociąga go za rękaw.

- Daj spokój - mówi szeptem.

Wycofują się ostrożnie, obserwując twarze gestapowców. W stronę schodów. Ku drzwiom. Wciąż nikt poza tymi dwoma się nie porusza. Dracul, niemal pogardliwie, otwiera drzwi na oścież. Za nimi czerni. Przekraczają próg i wchodzi.

W mrok. Serce Foggga zaczyna bić szybciej, pocą mu się dłonie. Przynajmniej raz nie jest mu zimno. Dopiero po chwili - kiedy uderza

ich upał - uświadamia sobie, że to wcale nie reakcja organizmu na sytuację. Taka temperatura panuje w tym pomieszczeniu. Ciepłe, bez mała tropikalne powietrze. Aż nazbyt słodkie. Goździkowe. Drzwi zatrząskują się za ich plecami. Fogg odwraca się moment za późno i widzi już tylko dławiony skrawek światła. Tak czy inaczej, tędy nie uciekną. Została tylko śmierć.

Krok naprzód, jeszcze jeden. Uderza o jakąś powierzchnię. Mocno. Muska ją palcami. Obła ściana, gładka, szklista. Dracul jest gdzieś blisko. Oddycha szybko, głęboko. Zły. Fogg bada przedmiot przed sobą. Przypomina kolumnę. Szeroką i rozszerzającą się dodatkowo ku górze. Jak odwrócony dzwon. Fogg cofa się o krok. Wyciąga papierosy i zapalniczkę. Wsuwa papierosa między wargi, gestem bardziej buńczuczny, niż trzeba. Ledwie czuje go w ustach. Pstryknięciem otwiera wieczko zapalniczki. Zapala.

Salę zalewa jaskrawy blask. Elektryczne pręty jak łuki światła wysoko powyżej. Fogg znów się cofa, słaby płomyk zapalniczki ginie w powodzi bieli.

Niemniej przytyka ognek do papierosa i zaciąga się. Przekonany, że to jego ostatni raz. Mruga, by osuszyć załzawione oczy. Jeszcze jeden krok w tył.

Powoli pojawiają się detale. Stoi w długim, przestronnym pomieszczeniu. Wysoko zawieszony sufit. Klinicznie biała podłoga, przewody wiją się po niej niczym ciemnoskóre gady. Tym jednak, co wyrывa z piersi Fogga przekleństwo oraz nerwowy kłęb papierosowego dymu, są rozsiane po pustej sali dzwony.

Ponieważ to naprawdę są dzwony. Olbrzymie dzwony z hartowanego szkła, przykręcone do podłoża grubymi żelaznymi śrubami. A wewnątrz...

Fogg kręci głową, potrząsa nią jak przemoknięty pies. Dracul martwieje obok, zupełnie jak jeden z zamkniętych w dzwonach.

A wewnątrz tych przezroczystych słoików...

Fogg wpatruje się w najbliższy, ten, o który uderzył po omacku. Wypełniony wodą. Wodą niebieską, pełną bąbelków, być może nadmiernie natlenioną. W wodzie unosi się człowiek.

Jego skóra zdaje się nienaturalnie twarda. Zbroja. Karapaks. Błękitnozielona. Dłonie, przyciśnięte w niemym błaganiu do szkła, wyposażone są w zrosnięte błoną palce. Dokoła szyi bezgłośnie otwierają się i zamykają wąskie szpary. Skrzela, dociera do otępiatego Fogg. Istota wygląda niczym wyjęta z dawnej legendy o syrenach, jest jak skorupiak z górskiego potoku, Człowiek Krewetka. A jego oczy wpatrują się w Fogg. Czy żyje? A może w jakiś niesamowity sposób został w swym życiu przyhamowany, tam, w szklanym więzieniu?

Tego Fogg nie wie. Rozgląda się. Patrzy na pozostałych więźniów, na resztę pojmanych w szklane słoje eksponatów.

Dziewczyna, z której włosów i palców wyrasta bluszcz. Liście, niczym biżuteria, pokrywają jej nadgarstki i kark. Grube pnącza napierają na szkło. Również wpatrzona w Fogg. Anglik się odwraca. Dzwonów jest wiele, ciągną się we wszystkie strony. Nie wie, na co patrzeć: to menażeria, laboratorium, więzienie. W jednym z naczyń mężczyzna nieustannie przeobraża siebie samego, jego ludzki kształt bez końca ginie i pojawia się na nowo, nieukoiona magma. W innym młody chłopak uderza w szkło dziobem i zielonymi, pierzastymi skrzydłami. Fogg nie może tego oglądać. Odwraca wzrok. Musi wrócić do Londynu. Do Starego. Żeby mu powiedzieć.

Tylko co właściwie miałby mu powiedzieć?

- Moi ludzie — odzywa się stojący obok Dracul. Obraca się dokoła. Jak uwięziony nietoperz. - Moi ludzie. Co oni wam zrobili?

- Weź się w garść! — rzuca Fogg.

W pomieszczeniu jest gorąco. Woń goździków lub czegoś innego.

Storczyków. Jak w oranżerii albo w szklarni, tyle że bez roślin i bez cieni, którym nie pozwalają powstać świecące pod sufitem elektryczne łuki. Strach tak nagły i słodki, że Fogg drży i kuli się w sobie. Czeką na uderzenie. Jest w tym miejscu coś wstrętnego, coś nienaturalnego, wszystkie te słoje. Wolałby umrzeć niż trafić do jednego z nich. Podbiega nagle do najbliższego. Zderza się z nim. Pałący ból. Wzmocnione szkło. Nie da się stłuc. Ci wewnątrz nie mają szans na ucieczkę.

- Panowie — rozlega się czyjś głos. Z galerii po drugiej stronie sali. Ostrożny. Człowiek Wilk.

- Zabiję cię - obiecuje Dracul.

Człowiek Wilk szczerzy się w uśmiechu.

- To dla mnie zaszczyt. Od bardzo dawna na tę chwilę czekałem - mówi. Zeskakuje z balkonu.

Tandetny czarny charakter z brukowej powieści, myśli Fogg. Wciąż otępiały. Wilk mierzy się spojrzeniem z Nietoperzem, ponad jasno oświetloną posadzką. To przecież absurdalne, myśli Fogg.

- Dracul, nie... - rzuca.

Żydowski partyzant migoce. W jednej chwili jest tuż obok, zaraz w następnej jego sylwetka pojawia się w połowie długości podziemnej hali. Człowiek Wilk wyje i rusza pędem ku przeciwnikowi. Spotykają się w powietrzu. Dracul zostaje odrzucony, pada bez tchu na ziemię. Człowiek Wilk - negator, myśli Fogg. Przypomina sobie. W ten sposób nie można z nim walczyć.

Wyciąga pistolet. Z bronią palną w ręku przynajmniej wie, na czym stoi. Celuje. Pociąga za spust.

Huk wystrzału wstrząsa pomieszczeniem. Człowiek Wilk nie stoi już tam, gdzie przed momentem. Ktoś wytrąca pistolet z dłoni Fogg. Ktoś

go chwyta i boleśnie wykręca ramiona do tyłu.

- Dracul!

Żydowski partyzant leży na ziemi. Człowiek Wilk stoi nad nim, a w dłoni trzyma długi przyrząd - stalowe ramię zakończone szponiastymi, chwytnymi palcami. Elektryczny pastuch na ludzi, myśli Fogg. Dracul podnosi twarz ku powale. Otwiera usta. Krzyk, bezgłośny krzyk o bardzo wysokiej częstotliwości, ultradźwięki. Anglik czuje ból w uszach, trzymający go mężczyzna rozluźnia na chwilę uścisk...

Fogg się odwraca. Tego przemienionego nie widział nigdy wcześniej. Olbrzym, wygląda nieco jak Czołg. Wspomnienie kolegi wywołuje nienawiść i gniew - Fogg zbiera wokół siebie resztki mgły, formuje z cząsteczek gorącego powietrza pięść, uderza mężczyznę w brzuch, wielkolud chwieje się, spogląda niepewnie, z uszu cieknie mu krew.

Człowiek Wilk kopie Dracula w zębra. Mocny cios. Zbolały krzyk milknie.

- Dość - rzuca Człowiek Wilk. Wyszczekuje rozkazy.

Pojawiają się ludzie, wszędzie naraz.

- Umieścić tych dwóch w słojach - poleca. - Odeślemy ich do Polski. Już doktor ich przebadają. - Traci zainteresowanie - Ach, i wyłapcie resztę jego chłopaków na zewnątrz.

W pułapce. Fogg otaczają gestapowcy. Rozumie, że wszystkim nie da rady. Ryzykuje spojrzenie na Dracula. Partyzant patrzy mu w oczy. Fogg nie jest w stanie odczytać znaczenia tej miny. Podchodzą do Fogg, powoli. Obraca się i obraca, jakby grał z nimi w berka.

Obraca się, obraca i obraca.

49. GABINET STAREGO, 1944

Po wszystkim, podczas składania końcowego raportu...

- Trochę spieprzyłeś, prawda Henry? - zagaja Stary.
- Słucham, sir?
- W Transylwanii, Henry.
- Tak jest, sir.
- A co ci przedtem powiedziałem? Co zawsze wam powtarzam?

Fogg czuje się, jakby z powrotem był na Farmie. Jak nieuważny uczeń.

- Że jesteśmy tylko obserwatorami — odpowiada.
- A rozumiesz dlaczego?

Fogg wzdycha — długie, bolesne westchnienie.

- Dlatego że obserwować znaczy zmieniać — recytuje.

50. FARMA, DEVON, 1936

Sala lekcyjna. Tablica. Za katedrą wykładowcy Alan Turing. Wyczekująco przygląda się studentom. Z tym swoim nieśmiałym uśmiechem.

- Obserwować dane wydarzenie oznacza wywierać na nie wpływ — tłumaczy. - Na poziomie kwantowym.

Ta skala wielkości mniejszych od atomów, te dziwne tajemnicze cząsteczki. W późniejszych latach fizyk nazwiskiem Murray Gell-Mann ochrzci je kwarkami, opierając się na słowie zaczerpniętym z „Finneganów trenu”.

- W chwili gdy Vomacht nacisnął przycisk - ciągnie Turing - zmieniło

się wszystko. Fala Vomachta była falą probabilistyczną.

Dziewczyna podnosi rękę. Spit. Fogg poznał ją już przelotnie, podobnie jak wszystkich pozostałych. Sieroty Starego.

- Tak? - pyta Turing.
- Mutacja - stwierdza Spit.
- Bardzo słusznie - przyznaje nauczyciel. - Owszem. Fala dokonała genetycznych zmian na poziomie subatomowym. Mutacja to rzeczywiście inne określenie tego zjawiska. Mutacje zdarzają się również naturalnie w... - odkasłuje - w świecie przyrody.
- Ale ta nie była naturalna - komentuje Spit.
- Nie - mówi Turing. Znowu kaszle. Spotyka się spojrzeniami z Oblivionem, na krótki moment, po czym odwraca wzrok i Fogg czuje nagły, niewytłumaczalny przypływ zazdrości. - Uderzenie fali - wyjaśnia Turing - zmieniło każdego i wszystko, od motyli, przez rośliny uprawne, po ludzi. W większości wypadków jednak przemiana była niezauważalna. Drobniutka. Minimalna. Z miliardów żyjących na tej planecie ludzi być może kilka setek stało się... wami. Zawieszonymi w czasie.

51. SIGHISOARA, TRANSYLVANIA, 1944

Fogg wpatruje się w eksponaty, w Übermenschów zawieszonych w czasie za szklanymi ścianami słoików.

- Obserwujemy - powiedział mu wcześniej Stary. — Przyglądamy się. Jesteśmy ludźmi cienia toczącymi wojnę cieni.
- A co z Amerykanami? - zaprotestował Fogg. - Ich Übermenschowie noszą mundury, są kolorowi. Występują w kronikach filmowych i pojawiają się w czasopiśmie!

Stary machnął ręką, odprawiając ich obu.

- Propaganda - skwitował. - Bardziej przydatni jesteście niewidzialni.
- Dracul! - woła teraz Fogg.

Żydowski partyzant leży na ziemi, tamci pochylają się nad nim. Anglik zauważa wbijającą się w ramię towarzysza igłę strzykawki. Człowiek Wilk podchodzi do Fogg'a z uśmiechem i Anglik po raz kolejny czuje emanujący od mężczyzny przemożny, kaleczący strach.

- Paryż - szepce Fogg.

Uśmiech Wilka staje się jeszcze szerszy. Na to wspomnienie.

Fogg cofa się przed nim, kuli. Przerazenie wyżera mu wnętrzności. „Nie zgrywaj bohatera, do cholery” — powiedział Stary, kiedy go tutaj wysyłał. A teraz umieszczą go w jednym z tych słoików i odtransportują do Polski, tam, dokąd trafił Czołg.

- Proszę - rzuca Fogg. - Puść mnie. Ja nie... ja nie...
- Nie co? - pyta Człowiek Wilk.
- Proszę — powtarza Fogg. - Proszę...

W tym samym momencie eksploduje sufit.

Między Człowieka Wilka i Anglika spada deszcz kamieni, elektrycznych przewodów i ciał. W głowie jednego ze strażników pojawia się dziura na przestrzał. Jest bardzo martwy. Człowiek Wilk traci swój uśmiech i strach Fogg'a nagle znika, paruje niczym mgła. Niemiec zadziera głowę.

- Co to ma znaczyć? - Dobywa broni...

Na górze, ponad wybitym w powale otworem stoi cień. Znajomy dźwięk - znajomy Foggowi. Wilgotne, pełne śliny charknięcie. Coś

mokrego i twardego pędzi w powietrzu. Trafia w słój, w którym zamknięto człowieka ze skrzelami. Szkło pryska.

Woda zalewa pomieszczenie. Mężczyzna wypada na twardą betonową podłogę i nieruchomieje. Człowiek Wilk strzela, lecz znów rozlega się świst splunięcia i wybucha drugi pojemnik. Dziewczyna-bluszcz wstaje pośród sypiących się okruchów szkła i wyciąga ramię - bluszcz rozrasta się niczym chwasty, dławi bezradnego niemieckiego żołnierza. Owija mu gardło i miażdży krtań. Zaraz potem z sufitu spadają dwie postacie i Fogg słyszy nad sobą wymianę ognia. Widzi ich i nie do końca rozumie, skąd się tu wzięli, w jaki sposób się tu dostali.

Oblivion i Spit.

Człowiek Wilk wyje z wściekłości i ucieka do pozostałych gestapowców.

- Henry, niech cię szlag trafi! — syczy Oblivion.

Fogg nigdy nie widział go tak złego.

- Co ty wyprawiasz? — dodaje Spit. — Chodź, musimy się stąd wydostać!

- Dracul! — rzuca Fogg.

Do pomieszczenia wkraczają partyzanci, strzelają. Niemcy się wycofują, pękają kolejne szklane słoje, uwalniając przetrzymywanych wewnątrz Übermenschów.

- Zajmą się nim - stwierdza Oblivion. - Idziemy.

- A reszta?

Oblivion wzrusza ramionami.

- No chodź! - ponagla Spit.

Chwyta Fogga za rękę i wbiegają po schodach. Dziewczyna podaje mu pistolet. Wymiana ognia wciąż trwa, lecz w ogólnym zamieszaniu nikt ich nie zauważa i wydostają się na zewnątrz, na zimne czyste powietrze, na mgłę i światło gwiazd.

- Ty przeklęty idioto! - karci przyjaciela Oblivion, kiedy są już daleko poza miastem, tam, gdzie czeka na nich samochód, którym mają przejechać przez granicę, do Rumunii. — Ty przeklęty idioto! — Tuli Fogga do siebie, mocno, niemal łamiąc mu kości, Fogg czuje na ramieniu gorący oddech Obliviona. - Ty przeklęty durniu.

- Przepraszam — odpowiada Fogg. — Przepraszam.

Wsiadają do samochodu i odjeżdżają z wyłączonymi światłami. Spit na siedzeniu pasażera. Prowadzi małomówny Węgier. Fogg i Oblivion z tyłu, blisko siebie. Oblivion nie odzywa się przez całą drogę, po prostu siedzi, spogląda czasem na Fogga, potem się odwraca. Przemówił tylko raz, jednym słowem. „Paryż”. To nie było pytanie, więc Fogg nie musiał odpowiadać.

SIEDEM

VOMACHT

PARYŻ-AUSCHWITZ
1943

52. PARYŻ, 1943

Fogg obserwuje dziewczynę. Skulony w bramie budynku, otoczony mgłą. Pali taniego francuskiego papierosa. Wpatruje się w okna kawiarni, obserwuje dziewczynę.

53. PARYŻ, 1943

Zapach deszczu. Echa odległych wystrzałów. W oknie powyżej pojawia się zarys, profil ubierającej się kobiety. Ale Fogg obserwuje wyłącznie dziewczynę w kawiarni.

Widzi, jak pochyla się do swojego towarzysza. Składa dłoń na jego rękę. Między nimi stoi wysoka szklanka z gorącą czekoladą. I popielniczka, chociaż żadne z nich nie pali.

Miłości nie można rozpatrywać pod względem kwantowym.

A może jednak można? Niektórzy powiadają, że sama świadomość jest zjawiskiem cząsteczkowym. W świecie subatomowym każde wydarzenie stanowi tylko spektrum nieskończonych możliwości. Dopiero obecność obserwatora sprawia, że z tego wachlarza wylania się jeden konkretny stan.

Deszcz. Fogg obserwuje dziewczynę w kafejce. Czy miłość jest jedynie zjawiskiem chemicznym? A może to związek dusz natury religijnej? Fogg nie wie. Nie może przestać obserwować dziewczyny Rusza za nią, kiedy opuszcza kawiarnię i podąża przez labirynt uliczek do niewielkiego hotelu, hotelu zarezerwowanego dla wysokich rangą niemieckich oficerów.

Obserwuje ją, patrzy też na idącego obok niej starego mężczyznę. Odnosi momentami wrażenie, że dziewczyna zdaje sobie sprawę z jego obecności. Widzi to po sposobie, w jaki ona obraca głowę, jak przypatruje się mgłę.

W tych chwilach czuje dreszcz ekscytacji. Coś w jej oczach przypomina słońce na czystym błękitnym niebie. Słońce w idealny letni dzień.

54. PARYŻ, 1943

Obserwuje ją ponad ulicą, siedzącą za szybą, pijącą gorącą czekoladę, widzi siedzącego naprzeciw niej starego mężczyznę. Widzi, jak dziewczyna odwraca głowę i wygląda przez okno, wpatrzona we mgłę.

Zauważa, że jej towarzysz również ją obserwuje.

Zabić tego, pocałować tę.

Możliwości nie zbiegły się jeszcze w jedno wydarzenie.

Dziewczyna popatruje zza szyby, jakby go widziała. Uśmiecha się. Przepętniony nadzieją nieśmiały uśmiech.

I wszystko się zmienia, dla Fogga.

55. PARYŻ, 1943

Być może rzeczywiście trwa wojna, być może na Polach Elizejskich faktycznie stoją niemieckie czołgi, a do Marais spędzają Żydów, ale - do jasnej cholery — przecież to wciąż jest Paryż. Piekarze we wszystkich *arrondissements* nadal pieką bagietki, a jeśli kina muszą nawet co jakiś czas pokazać ku uciesze żołnierzy niemiecki film - na przykład opowiadający o wyprawie do Tybetu dokument H.A. Lettowa i Ernsta Schaffera „Lhasa-Lo - Die verbotene Stadt” - to trudno. Paryż wciąż się weseli, w kafejkach wciąż gra muzyka, a w *brasseries* wciąż rozlewa się wino. No i czyż niektórzy z tych niemieckich żołnierzyków nie są naprawdę przystojni?

Paryż upadł szybko, to wiemy.

„Z nieopisaną radością, głęboko poruszeni i przepętnieni gorącą wdzięcznością dzielimy z Tobą, mój Führerze, Twój i Niemiec

najwspanialszy triumf, wkroczenie wojsk niemieckich do Paryża” - napisała Leni Riefenstahl w datowanym na tysiąc dziewięćset czterdziesty telegramie do Hitlera. - „Swymi niezrównanymi w dziejach czynami przekraczasz granice ludzkiej wyobraźni”.

W oczach Fogga to miasto jest żywą istotą. Muzyka i woń tanich cygar mieszają się z wszechobecną mgłą, dźwiękiem frunących samolotów Luftwaffe, zapachem świeżego chleba, wilgocią mieszkania, zmarszczkami na kartach książki, którą ospale wertuje, czekając.

Oblivion stoi przy oknie, patrzy przez szkła lornetki. Fogg zapala papierosa.

- Spit idzie — mówi Oblivion.
- Najwyższy czas, cholera.

Zamyka książkę, wstaje. Podchodzi powoli ku szybie i wygląda.

Dzielnica Łacińska. Gdzieś za tą wąską uliczką i wysokimi ceglanymi budynkami toczy swój nurt Sekwana. Z oddali wciąż słychać dzwony katedry Notre Dame. Bliżej, na ulicy, stragan bukinisty, kwaciarnia, piekarnia. Mężczyźni w prochowcach idą z opuszczonymi głowami, grupka roześmianych, niemieckich żołnierzy, kafejka z wypisanym kredą na tablicy menu. Za oknem, dokładnie naprzeciwko mieszkania, działa restauracja: „L'Auberge”.

Pada deszcz. Smugi wody ściekają po wykonanych z mrożonego szkła szybach lokalu. Niska, ciemna sylwetka sunie wzdłuż muru i znika w wejściu. Fogg wydmuchuje dym, zimny wiatr porywa siwe pasma. Oblivion przy oknie, niczym posąg składający się z białego marmuru i starannie wyciosanych dłutem kątów. Kroki na schodach. Otwierają się drzwi. Wchodzi Spit.

Oblivion i Fogg odwracają się jednocześnie. Założone za uszy mokre czarne włosy dziewczyny. Poważna twarz, drobna figura. Oblivion wydaje się przy niej wielkoludem.

- No i? — rzuca Fogg.

Spit się uśmiecha.

- Można — mówi.

Oblivion i Fogg wyraźnie się rozluźniają, gwałtownie. Napięcie, z jakiego nie zdawali sobie sprawy, znika zastąpione czymś innym, wyczekiwaniem. Wymieniają się szerokimi uśmiechami.

- Kiedy? - rzuca Fogg.

- O siódmej - odpowiada Spit. Również się uśmiecha i nagle na tej uważnej twarzy wykwita dzika mina. - Informacja potwierdzona - dodaje.

Fogg wygląda przez okno. Wpatruje się w „L’Auberge”. Wypuszcza strużkę dymu.

- A reszta? - pyta. Nie odwraca się.

- Będą tam, wszyscy - tłumaczy Spit.

Znow się spięli. Przez nacisk, jaki położyła na słowie „wszyscy”.

- Bankiet ma być ponoć huczny - dodaje Spit. - Gospodarzem jest sam SS-Obersturmbannfuhrer Lischka.

Fogg kiwa w roztargnieniu głową. Zapoznał się z archiwum. Zna akta każdego z nich. Lischka, Kurt. Syn bankiera. Ukończył wydziały prawa i nauk politycznych. Skromny człowiek z powiększającą się łysiną, w okularach o cienkich oprawkach. Naczelnik tutejszego Gestapo. Kierujący masową wywózką paryskich Żydów do obozów.

- Najwyższy bonzo - mówi Spit z tym swoim krzywym uśmieszkiem.

Normalnie by tak nie powiedziała, ale amerykańizmy wkradają się już do rozmów. Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Amerykanie

inaczej chodzą, odmiennie też mówią. Są więksi i bardziej hałaśliwi. Chodzą, myśli Fogg, jakby posiadali wszystko dokoła. Właściwie jakby już w tej cholernej wojnie zwyciężyli.

- Wszyscy - powtarza Oblivion. Z sugestią znaku zapytania.
- To normalna konferencja medyczna - odpowiada Spit. Przez moment udaje, że sprawdza nazwiska na wyobrażonej liście uczestników. -Herr Doktor Carl Clauberg - mówi. - Przyjechał z wizytą z jakiegoś obozu w Polsce... Auschwitz?

Herr Doktor Carl Clauberg nie obchodzi nikogo, myśli Fogg i przypomina sobie dossier tego mężczyzny. Ginekolog, kto by na to wpadł? Walczył w pierwszej wojnie. Tytuł profesora otrzymał na uniwersytecie w Królewcu. W czterdziestym pierwszym zgłosił się do Heinricha Himmlera z pomysłem nowego naukowego przełomu: najbardziej skutecznej z dotychczasowych metody sterylizacji kobiet. Żydówki okazały się znakomitymi myszami laboratoryjnymi, w obozach mieli ich bez liku. Badania polegały między innymi na wstrzykiwaniu do macic kwasu. Budżet programu nie obejmował zakupu środków przeciwbólowych.

- Wszyscy? - pyta ponownie Oblivion.

Spit teatralnie, raz jeszcze, zerka na wyimaginowaną listę.

- Herr Doktor Werhner von Braun, rakiety - mówi.
- Czy oni naprawdę są dla kogokolwiek istotni? - rzuca Fogg. Odwraca się od okna. Na ulicy gęstnieje mgła. Napiera na szyby.
- Von Braun? - powtarza Oblivion. - Coś mi to mówi.
- Naukowiec. Zajmuje się rakietami - wyjaśnia Spit.
- Paskudne cholerstwa, te rakiety - zauważa Oblivion.

Fogg spogląda na niego, jakby chciał powiedzieć: „Co?”.

- No dalej, Spit - naciska Fogg. Niemal błagalnie.

Dziewczyna pozwala mu czekać, po czym szepce.

- I Herr Doktor Vomacht - kończy dziewczyna.

Nazwisko zastyga w zimnym powietrzu.

56. FARMA, DEVON, 1936

Sala wykładowa jest długa i wąska. Składane krzesła pękają, obłazi z nich farba, jest też tablica i katedra dla prowadzącego zajęcia. Z zewnątrz wpada dzieńne światło. Fogg w swym absurdalnym stroju nadal czuje się komicznie. Jak przerośnięty uczeń. Siedzi wraz z innymi, jakby czas się cofnął, jakby wszyscy wrócili do szkoły.

Przed grupą stoi doktor Turing. Wcale nie jest od nich starszy. Ma na sobie biały fartuch. Zwrócony do klasy plecami pisze na tablicy. Kreda wydaje pisk, od którego aż dzwoni w zębach. Wreszcie się odwraca i odsuwa, by zobaczyć. To jedno jedyne słowo, odręcznie zapisane przez wykładowcę. Wyraźne niczym zawieszona na drzwiach sklepu tabliczka „Zamknięte”.

Vomacht.

Na sali cisza. Jedyne dźwięk wydaje Czołg wiercący się z tyłu na zbyt ciasnym krześle. Fogg bezgłośnie odczytuje słowo, wypuszcza je niemym oddechem z ust. Vomacht.

- Słyszeliście o tym człowieku? - pyta Turing.

Nikt nie odpowiada. Zupełnie jakby samo nazwisko rzuciło na nich urok, natchnęło dziwnym rodzajem podziwu.

- Znaleźliście się tutaj, ponieważ jesteście odmienni od reszty ludzi -

tłumaczy Turing. - Musicie jednak pamiętać, że to samo można powiedzieć o wszystkich ludziach. Od pozostałych różnicie się tym tylko, że jesteście odmienni na inny sposób.

Niektórzy uczniowie wybuchają śmiechem. Fogg nie. Ponownie przypomina sobie tory kolejowe, mgłę. Dzień, kiedy zmieniło się wszystko.

- Jak myślicie, dlaczego jesteście inni? - pyta łagodnie Turing.

57. PARYŻ, 1943

- Vomacht — mówi Fogg. Zdziwiony. — Nigdy nie myślałem, że to prawdziwa postać.

Oblivion przechadza się po pokoju.

— Zaczekamy, póki nie przyjadą — stwierdza. — Spit i Czołg zablokują ulicę. A potem uderzymy, Fogg i ja, zanim wejdą do restauracji.

Fogg przytakuje skinieniem. Co mogłoby się nie udać?

Wszystko, wie o tym, lecz nie odzywa się słowem. Wraca na swoje krzesło. Bierze do ręki książkę.

O czym myślał przez cały ten tydzień w Paryżu, czekając na wezwanie? W okupowanym mieście poruszał się jak cień, jak wszechobecna mgła. Ukrywał swą obecność, własne istnienie. Informator, zagnieżdżony głęboko w nazistowskiej administracji Paryża, skontaktował się z Blurem, wyjawiał, że ma dojść do tego spotkania. Prawdę mówiąc, wiadomość brzmi nieco zbyt pięknie, by mogła być prawdziwa.

Vomacht! Zaufane źródła donoszą, że rzeczywiście pojawił się w stolicy Francji.

Fogg zastanawia się przez moment, co takiego może łączyć Vomachta z naukowcem zajmującym się rakietami i człowiekiem, który prowadzi podobno eksperymenty na ludziach: nieświęta trójca niemieckiej nauki i techniki, trójca praktycznie symbolizująca tę nową, trzecią już Rzeszę.

Tydzień obserwacji, czekania. Tydzień zmiennych informacji od bezimiennej wtyczki. Otrzymywali coraz to inne miejsca, godziny, daty -wreszcie znaleźli się tutaj, na Rue Boutebrie, w pobliżu bulwaru Saint Germain. Obserwują restaurację - niemal wszyscy agenci Blura, minus pani Tinkle zajęta czymś innym. Szkoda, myśli Fogg. Akurat jej talent bardzo by się teraz przydał.

Spit przechodzi na środek pokoju. Zatrzymuje się przy niskim stole. Odkłada teczkę. Zdjęcia. Fogg wstaje, by je przejrzeć, mimo że zna już wszystkie te twarze na pamięć.

Kurt Lischka - dowódca paryskiego Gestapo — wygląda jak student seminarium. Krótko przycięte po bokach włosy. Gładko ogolone policzki, proporcjonalne rysy, aryjskie. Lekko wygięte ku górze usta, zapewne chętnie się uśmiecha.

Doktor Carl Clauberg stanowi jego dokładne przeciwieństwo. Żaden Aryjczyk nie może być dumny z takiej aparycji. Nieogolony, ciemne okulary w grubych oprawkach, wydłużona czaszka, mocno cofnięta już linia włosów, podwójny podbródek przydający mu wyglądu wiecznie niezadowolonego. Trochę jakby trzymał w ustach cukierek.

Za to von Braun... Ten robi wrażenie nawet na Spit, a przecież dziewczyna zazwyczaj nie wyraża najmniejszego zainteresowania mężczyznami.

Von Braun przypomina w zasadzie Amerykanina. Swobodna postawa, przystojny, ostro zarysowana twarz, uroda filmowego gwiazdora. Gęste, zaczesane do tyłu włosy i przenikliwe spojrzenie. Oblivion przesuwając palcem po jego zdjęciu. Wreszcie odrywa dłoń, dość niechętnie - jak zauważa Fogg.

Wreszcie Vomacht. Niewyraźna, wykonana z oddali fotografia. Nie mają zdjęć naukowca wśród ludzi. Zamknięty w sobie. Tutaj stoi nad jeziorem, trzyma za rękę małą dziewczynkę. Ubrany w garnitur. Ona w sukience. Na wodzie przy brzegu czeka łódź. Trudno rozpoznać rysy. Niełatwo dowiedzieć się czegośkolwiek. Zwykły człowiek.

Herr Doktor Vomacht.

58. PARYŻ, 1943

Po wszystkim, po nieudanej akcji, rozpierzchają się. *Przerwać misję, ewakuacja.* Z Paryża uciekają pojedynczo, Oblivion i Spit.

Fogg nie.

Fogg zostaje.

Leży na wąskim hotelowym łóżku i obserwuje karalucha przemykającego po brudnej podłodze łazienki. Uniesione lekko okno wpuszcza chłodny powiew, lecz Fogg nie czuje zimna. Wierci się niespokojnie. Odrzucony koc spoczywa obok. Fogg mocno się poci. Zgrzyta zębami. Kiedy zamyka oczy, wciąż to wszystko widzi, rwane fragmenty.

Fogg i Oblivion obserwują restaurację.

Przed budynkiem zatrzymuje się czarny mercedes.

Z samochodu wysiada trzech mężczyzn.

Lischka. Clauberg.

Von Braun.

Gestapowiec. Nazistowski lekarz. Konstruktor rakiet.

Herr Doktora Vomachta nie ma.

Fogg w swoim pokoju wierci się i rzuca na łóżku, gniecie pościel. Znad Sekwany wzywa go mgła. Ukrywa się w anonimowym hoteliku, pod nowym, nieużywanym dotąd nazwiskiem. Szwajcarski handlowiec, do Paryża przyjechał w interesach. Uznał, że jest raczej bezpieczny. Powinien wracać do Londynu, ale jeszcze nie może. Najpierw musi załatwić swoje sprawy.

Fogg przygląda się karaluchowi, który odpowiada spojrzeniem. Owad znieruchomiał. Czarna, opancerzona sylwetka, zupełnie jak niemiecki czołg. Tarasuje przejście do łazienki. Za jego plecami kryje się cała armia. Co czyni bohatera? — zastanawia się Fogg. Przygryza wargę, a dłonie zaciska w bezużyteczne pięści. Cokolwiek czyni bohatera, Fogg się do nich nie zalicza.

- Oblivion, stój! To pułapka!

Leży w łóżku, dygoce. Ale nie z zimna. Jakiś czas temu odkręcił prysznic i wszedł do brodzika: letnia woda, słabe ciśnienie. Stał tak, póki strumień nie zrobił się lodowaty, jakby chciał wszystkie te wspomnienia zamrozić.

-To pułapka...

Von Braun unosi ramiona. Przystojny, nie drgnie nawet jeden ułożony włos. Podnosi ręce, lecz nie w geście kapitulacji.

To gest dyrygenta.

Błyskawica. Dym. Fogg spogląda ku niebu.

I wtedy ich widzi.

Von Braun wyciąga ramiona niczym kierownik orkiestry i z nieba zlatują żołnierze z raketowymi plecakami. Fogg klnie i dobywa broni. Zaczyna strzelać. Twarze lotników ukryte są pod maskami. Grecko-

rzymski styl. Wyglądają zupełnie jak starożytni legionieści, obdarzeni mocą lotu przez współczesnego Dedala.

Opadają wśród szalejącego ognia i wzbijającego się dymu. Tym razem Fogg nie może się na nic przydać. Dym, kwaśny i ciężki, przesłania wszystko poza wystrzałami i płomieniami. Fogg jest tak samo ślepy jak pozostali. Mierząc wysoko, pociąga za spust, trafia w zbiornik jednego z raketowych lotników. Przez moment nie dzieje się nic, a potem żołnierz eksploduje w rozdzierającej kuli ognia. Na głowy spada im ciemny deszcz. Twarz Fogg'a zbryzgana krwią. Ściera ją rękawem i strzela ponownie.

Lotnicy pękają niczym tłuste muchy. Jak owady nieostrośnie zbliżające się do lampy naftowej. Potem Fogg dowie się, że przy budowie raket Wernhera von Brauna zginęło znacznie więcej osób niż w dokonanych za ich pomocą atakach. Podobnie jest z ludźmi frunącymi na tych plecakach, uświadamia sobie. Szybują na śmiercionośnych językach ognia. Młodzi, ukryci w swych stalowych zbrojach chłopcy z karabinami maszynowymi w rękach. Krótko ostrzyżone blond włosy wciśnięte pod niby historyczne kaski. Oblivion wydaje z siebie okrzyk gniewu lub odrazy. Ściąga rękawicę i celuje dłonią w tych podniebnych Straconych Chłopców. Raketowe plecaki znikają wymazane. Niemcy spadają, jeden za drugim. Któryś uderza w czarnego mercedesa, runął prosto na dach. Stal się ugina, rozdziera. Chrupnięcia kruszonych kości. Zwłoki rozplaszczają się na samochodzie, po wyprostowanym ramieniu cieknie na ulicę krew. Wyciągnięty oskarżycielsko palec. Na ziemi powstaje kałuża.

Von Braun kuli się i umyka. Kryje się w restauracji pod osłoną zaporowego ognia. Gestapowiec, Obersturmbannführer Kurt Lischka nie ucieka. Jakby przeniósł się na Dziki Zachód, do jednej z powieści Karola Maya, jakby był Old Shatterhandem zmagającym się z nikczemnymi Indianami, wyciąga dwa pistolety naraz i otwiera ogień. Na cel bierze Fogg'a.

Fogg pada na ziemię i przetacza się w bok. Dokoła, rozpaczliwie,

podnosi się mgła. Próbuje ukryć Anglika. Rozerwane szczątki raketowych lotników ścielą się na bruku w nieświętej komunii ludzi i maszyn.

Fogg wstaje, on również trzyma bliźniacze pistolety. Przez chwilę wpatruje się w Lischkę ponad czarnym mercedesem. Twarze obu mężczyzn rozjaśnia łuna płonących ciał. Niemiec krzywi się w paskudnym uśmiechu, zęby ma jak drapieżne zwierzę. Obaj strzelają jednocześnie.

Fogg leży w łóżku, nie może zasnąć. Budzą go miarowe rozbłyski światła z zewnątrz. Ramię, tam gdzie drasnęła go kula, wciąż boli. Ślad po kuli Lischki.

Fogg próbuje zasnąć. Stara się myśleć o niej, o ponownym spotkaniu. Wciąż jednak widzi tylko padającego Lischkę. Tę zaskoczoną minę, krew wykwitającą na piersi gestapowca niczym kwiat tysięcznej nocy.

Oblivion wyciąga dłoń i dotyka lekarza SS-mana, Clauberga. Robi to delikatnie, jak kochanek. Niemiec znika wymazany z istnienia. Nie zostaje z niego nic. Fogg ciężko dyszy. Na ulicy nagle zapada cisza. Fogg spogląda na Obliviona. Oblivion patrzy na Foggę. Jest zimno. Nagle zrobiło się tak bardzo zimno.

Wtedy właśnie go zauważa. Ubranego w biel Übermenscha.

Dwie błyskawice zamknięte w czerwonym obrysie U umlaut.

Rozpoznaje tego człowieka. Przeglądał w Blurze jego akta.

Schneesturm.

Zamieć.

Zaraz potem śnieg uderza ich z siłą łopaty.

Wiatr siecze okruchami lodu. Sople tną i przebijają niczym strzały.

Fogg słyszy śmiech Schneesturma. Rzuca się na jezdnię. Próbuje przyzwać na pomoc mgłę, by podjęła walkę z innym żywiołem, z tą śnieżycą, z zamiecią rozszalałą pośrodku paryskiej ulicy. Wszystko przesłania biel, wszystko staje się tak bardzo białe. Fogg nie widzi już Obliviona. Wstaje i śnieżna pięść trafia go w bok głowy, Anglik się zatacza. Ponownie dolatuje go ten śmiech. Fogg strzela, lecz nie ma pojęcia, w co lub kogo mierzy.

- Oblivion?

-Fogg!

Fogg potrząsa głową, dotyka ręką ramienia. Krwawi. Stara się skupić, próbuje skorzystać z tej ukrytej w głębi siebie mocy, która pozwala mu wpływać na niewidzialne esencje mgły. Udaje mu się wytworzyć połowicznie istniejący kształt: formuje nieporadnego, mglistego golema. Niekonkretnego, wysokiego i chudego. Na oczach Fogga ze śniegu wyrasta lustrzane odbicie jego dzieła, człowiek śniegu. Wielki. Prawdziwy gigant. Uśmiecha się szeroko jak bałwan śniegowy. Ktoś obdarzony poczuciem humoru podarował mu nos z gnijącej marchewki - odpadek z pobliskiej restauracji, uświadamia sobie Fogg. Śnieżna postać macha lewym ramieniem. Trafia w mglistą postać. Rozprasza ją. Fogg odczuwa to tak, jakby sam został uderzony. Zatacza się w tył, człowiek z mgły blednie.

- Oblivion? Oblivion!

Dopada go strach. Niczego nie widzi. Śnieżna ślepotą. Potyka się o coś miękkiego i twardego jednocześnie. Upada. Spogląda na przyjaciela, który otrzymał mocny cios w tył głowy. Oblivion leży na ziemi - nie jest w stanie walczyć - i do Fogga dociera, że obaj są zgubieni.

Gdy podnosi wzrok, śnieg się porusza, nieznacznie. Widzi mężczyznę w białym mundurze. Übermenscha.

- Herr Fogg - odzywa się ten człowiek. Blondyn o przyjemnej twarzy, przystojny i bezbarwny zarazem. - Wiele o panu słyszałem - mówi z

uśmiechem i celuje w Fogga palcem, jak z pistoletu.

- Schneesturm - odpowiada Fogg. Bezbronny.
- Spotkanie z własnymi bohaterami zawsze przynosi spore rozczarowanie — stwierdza Schneesturm.

Niemiec strzela z dłoni jak bawiący się chłopiec. Tuż przed koniuszkiem palca skupia się, kondensuje lodowa strzałka, długa i ostra, która pędzi w stronę Fogga, chybiając ledwie o kilka cali. Roztrzaskuje się na ziemi. Schneesturm wzrusza ramionami. Mierzy ponownie. W tej chwili już się nie uśmiecha. Jego oczy, błękitne i zimne, wpatrują się w Fogga i Fogg rozumie, że za chwilę umrze.

W hotelu ostatecznie rezygnuje z prób zaśnięcia. Wstaje, otwiera okno na oścież i wygląda na ulicę. Drewniany parapet zaczyna butwieć. Słowiata biała farba odłazi płatami. Fogg dygoce i przypomina sobie spojrzenie śnieżnego człowieka, biorącego go na cel tym nedorzecznym, wymyślonym pistoletem. Fogg wie, że ten człowiek go zaraz zabije, zabije Obliviona...

Nagle ryk, znajomy głos, dźwięk ciężkich kroków bez trudu miażdżących śnieg i lód. Schneesturm odwraca głowę, teraz już niepewny, a zza zasłony wciąż sypiących płatków wypada potężna, rozwścieczona postać. To Czołg, Czołg przyszedł im na ratunek...

Wielkolud bierze zamach gigantyczną pięścią, rozcina ze świstem powietrze, lecz Schneesturm jest szybki, unika ciosu, po czym zamieć wyje głośniej i Niemiec znika, rozplywa się wśród śnieżycy. Rozgniewany Czołg ryczy i...

Fogg chwyta Obliviona, potrząsa nim. Oblivion otwiera oczy, mamroce:

- C-co?
- Musimy się stąd wynosić. Dasz radę wstać?

Podpiera go ramieniem, dłoń Obliviona spoczywa na jego barku.

- Dostałeś? - Oblivion przygląda się przyjacielowi.
- To nic - odpowiada Fogg.
- Henry...
- Chodźmy. Trzeba się zbierać...

W śniegu, na oślep. Jakby ponownie znaleźli się w Mińsku. Nim jednak udaje im się odejść....

Śnieżyca ustaje, lecz jej płatki zlepiają się, tworząc twardą kulistą klatkę. We wnętrzu dostrzegają człowieka śniegu, stworzonego przez Schneesturma golema, większego jeszcze niż przedtem. Szczegóły giną na szerokiej piersi istoty: para niewielkich, niekształtnych uszu z węgielków, nos zastępuje gnijąca marchewka, oczy to guziki ze swastykami, zerwane z rękawów martwych raketowych chłopców. Golem i Czołg zaczynają ze sobą walczyć. Wymieniają się ciosami pięści. Czołg wydaje z siebie zbolące pomruki, ożywiony bałwan milczy. Oblivion przystaje.

- Musimy mu pomóc - mówi.
- Nie możemy - odpowiada Fogg. - Musimy uciekać. Misja się nie udała.
- Nie zostawię go tutaj — protestuje Oblivion.
- Nie mamy wyboru! - Fogg unosi go naprzód. Obraca się jeszcze do porzuconego towarzysza.

Czołg rzuca im przelotne spojrzenie i uśmiecha się na pożegnanie.

59. GABINET STAREGO, teraz

- Czołg - mówi Stary, posępnie.
- Tak - rzuca Fogg.
- Ale ty wydostałeś się bez szwanku - zauważa Stary. - Ty i Oblivion.
- Tak. Uciekliśmy. Dzięki Czołgowi zyskaliśmy czas. Chociaż i tak nie było łatwo. Gestapo obstawiło ulicę. Umknęliśmy we mgle. Oblivion nie był w stanie... Nie był w stanie nic zrobić. Zabiłem jednego... nie, dwóch... Dwóch Niemców. I to w zasadzie tyle. W jakiś sposób zdołaliśmy dotrzeć do miejsca, gdzie z samochodem czekała Spit. Pojechaliśmy do kryjówki na mieście. Następnego dnia się rozdzieliliśmy.

Wydarzyło się jednak coś jeszcze. Spod śnieżnego stożka zamieci wyszli prosto na czystą paryską ulicę. Nagle zaświeciły im w oczy jaskrawe lampy, połowicznie ich oślepiając. Fogg, korzystając z ostatka mocy, rozsunął dokoła nich mgłę, pomógł im uciec.

Niemniej, zanim opar zdążył się podnieść, zobaczył. Mrużąc oczy przed blaskiem, widzi go, stojącego w towarzystwie uzbrojonych ludzi za rozstawionymi szeregami punktowymi reflektorami. Czekającego.

Brigadeführer Hans von Wolkenstein.

Der Wolfsmann.

- Cóż - rzuca Stary. Zerka do swojej teczki. Przewraca kartki. - Rzeczywiście, nie udało nam się wtedy dopaść Vomachta. — Wzrusza ramionami, jakby porażka nie miała większego znaczenia. - Dorwaliśmy za to Lischkę — przypomina. - Dostarczał Claubergowi Francuzów do eksperymentów. A Clauberg pracował dla Vomachta, prawda, Fogg?
- Czym właściwie zajmował się Vomacht? - pyta Fogg.
- Badania naukowe — odpowiada Stary. Wzdycha. — Lischka i

Clauberg. Obaj zostali oczywiście natychmiast zastąpieni. W dodatku nie doceniliśmy wówczas znaczenia von Brauna.

- Pan Rakietą.

Tak brzmiał ich dawny wewnętrzny kryptonim naukowca. Stary ponownie wzrusza ramionami.

- Dla nas rakietę nigdy nie stanowiły priorytetu - zauważa. - Co innego dla Amerykanów.

-I w końcu to Amerykanie przejęli go na wyłączność - przypomina sobie Fogg.

60. WOJSKOWY INSTYTUT BADAWCZY PEENEMUNDE,

WYSPA UZNAM, 1945

Oglądamy kompleks z góry. Z perspektywy aparatów fotograficznych zamontowanych na alianckich samolotach szpiegowskich przypomina okopane na wyspie czarno-białe mrowisko. Sama wyspa leży na Bałtyku, pomiędzy Niemcami a Polską. Lokalizację zasugerowała twoja matka, Emmy von Braun (z domu von Quistorp). „To znakomite miejsce dla ciebie i twoich przyjaciół” — powiedziała. Pracownicy przymusowi wydrążyli tajne tunele i zbudowali bazę. Wybierałeś ich osobiście spośród więźniów obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie.

Posiadanie własnej bazy na wyspie gwarantuje masę zabawy. W takim miejscu można projektować rakietę, można sprawować pieczę nad ich produkcją i próbami. V-2, broń masowego rażenia. Zabawa w filmowy czarny charakter może być naprawdę przednia: człowiek czuje się niezwykły.

Aczkolwiek nie wiosną czterdziestego piątego. Nie, kiedy Rosjanie

zbliżają się coraz bardziej. Nie, gdy są tak blisko, jak twierdzą twoi pośepni koledzy. W powietrzu można już praktycznie wyczuć opary wódki. Wobec nazistów nie czujesz się lojalny. Hitler to szaleniec. A ty masz przecież marzenie, marzenie ważniejsze od rakiet, wojny czy tych komicznych lotników z odrzutowymi plecakami - swoją drogą, od samego początku uważałeś ich w głębi ducha za jeden z najtrudniejszych do obrony pomysłów Führera. Nie. Kiedy znikną wreszcie na dobre, nie będziesz za nimi tęsknić. Nie, ponieważ marzysz o czymś innym, o kosmosie: o kosmosie i gwiazdach.

Jeżeli więc nawet epoka nazizmu dobiegnie końca, to bez wątpienia pojawią się inni żądni twych usług. Nie ma powodu nadmiernie panikować. Faszyci, jak skrycie sądzisz, są niecywilizowani. Sam jednak jesteś pragmatykiem. Podjęcie pracy dla Hitlera oznaczało dla ciebie tę wyspę, sekretną bazę, współpracę z najlepszymi umysłami, jakie zrodziła niemiecka ziemia (nie, jednak nie z najlepszymi - przyznajesz - jako że twoi żydowscy koledzy zbiegli do Ameryki lub zostali wymordowani w obozach), więc w każdym razie z jednymi z najlepszych, nie wspominając o niewyczerpanym źródle niewolniczej siły roboczej. Prawie szkoda, że nadszedł czas zmienić strony. Nadszedł czas, by się poddać.

Jest wiosna i powietrze pachnie kwiatami i bronią. Zbierasz swych ludzi. Zapada decyzja. Sowietom się nie poddacie. Rosjanie to zwierzęta. Mogliby was potraktować jak zwykłych jeńców wojennych. Lub jeszcze gorzej: mogliby was potraktować jak zbrodniarzy.

W tej sytuacji pozostaje tylko jedno.

Musisz znaleźć Amerykanina.

Wycofanie wymaga czasu. Trzeba koniecznie porzucić Peenemiinde. Naczelne dowództwo niemieckie już teraz nabiera wobec ciebie podejrzeń - zresztą, przyznaj szczerze, oni nigdy nie darzyli cię wielkim zaufaniem. A Peenemiinde jest zbyt narażone, Sowietci dotarli już zbyt blisko. Mobilizujesz się wraz ze swymi ludźmi, zostajesz

przerzucony pociągiem w Alpy, do Oberammergau, gdzie SS może mieć cię na oku i zapewnić sobie twoją lojalność. Jest z tobą twój brat, Magnus.

I to właśnie Magnus umożliwia ci kapitulację. Magnus, który na rdzewiejącym rowerze ściga jankeskiego szeregowca z 44. dywizji piechoty, nawołując go swą naznaczoną ciężkim niemieckim akcentem angielszczyzną: „Nazywam się Magnus von Braun. Mój brat wynalazł V-2. Chcemy się poddać!”.

Chcemy się poddać.

Pod koniec wojny - wiemy o tym - wszyscy chcieli się poddać.

61. GABINET STAREGO, teraz

- Niemniej - powtarza Stary — ty się w końcu wydostałeś. Oczywiście razem z Oblivionem.

— A Czołg nie - dopowiada Fogg i te słowa zawisają w pomieszczeniu niczym dym. Nie chcą się rozwiać.

— Nie - potakuje Stary. - Czołg nie. Niestety.

— Odesłali go z Paryża - mówi Fogg. - Wywieźli do Polski.

Myśli o Czołgu walczącym ze Schneesturmem, świadomym, że gestapowcy czekają tuż za zasłoną śniegu. Świadomym, że nawet jeżeli zwycięży w tym pojedynku, i tak już przegrał. Świadomym tego, że zyskał tylko nieco czasu, by Fogg i Oblivion zdążyli uciec.

Myśli o Czołgu uśmiechającym się po raz ostatni do odchodzących towarzyszy.

- Tak, Fogg - mówi Stary. - Wysłali go do Polski.

Nie daje mu wytchnienia. Wymusza wspomnienia. Pamięć.

Świadomość tego, co zrobił, lub czego nie zrobił. Tego, że odeszli, uciekli.

- Do naszego starego znajomego, doktora Mengele - dodaje Stary.

I jeszcze:

-Jak już powiedziałem... Niestety.

Fogg zamyka oczy. W gabinecie panuje intensywna cisza. Znajdują się głęboko pod ziemią. Nikt nie słyszy jego krzyku.

62. AUSCHWITZ, POLSKA, 1943

Z zamykaniem oczu wiąże się pewien problem: taki mianowicie, że nie-widzenie - akt niepostrzegania — nie powstrzymuje wydarzeń, których wolimy nie oglądać. Czołg oczu nie zamyka. Skuty niczym Androkles, pojmany w niewolę Czołg siedzi skulony w opancerzonej ciężarówce, samotny w swej klatce. Czeką. Teraz może już tylko czekać. W samochodzie panuje okrutny ziąb, lecz Czołg ma pewną szczególną cechę, taką mianowicie, że niełatwo dociera do niego zimno. Jest oszołomiony wskutek bicia i narkotyków, które jeszcze w Paryżu polecił mu podać ten gestapowiec, von Wolkenstein. Gdy zadziały, von Wolkenstein przyszedł i przyglądał się Czołgowi dłuższą chwilę. Z poważną miną złożył więźniowi dłoń na ramieniu i powiedział.

-Wielka szkoda, że nie urodziłeś się Niemcem.

Potem wprowadzają go do ciężarówki. Jeszcze więcej narkotyków, żadnego jedzenia i długa podróż przez Europę, wśród śniegu. Dwaj kierowcy zmieniają się co jakiś czas za kółkiem, zatrzymując się tylko za potrzebą i żeby zatankować. Zresztą nawet i to robią pośpiesznie, na co Czołg uśmiecha się pod nosem. Boją się go, boją się, że ucieknie, lub że ktoś spróbuje go odbić. Nic podobnego się jednak nie dzieje i Czołg ponownie zapada w drzemkę.

Ciężarówka się zatrzymuje. Kierowcy przez chwilę po prostu siedzą. Jakby odpoczywali. Lub na coś czekali. Następnie rozlega się dźwięk otwieranych drzwiczek, słychać kroki okrążających samochód ludzi. Chce zerwać kajdany i rzucić się na nich, zaraz gdy wejdą. Niestety, nie ma już energii, ledwie podtrzymuje w górze powieki.

Ciężarówka staje otworem. Promienie słońca zalewają mroczne wnętrza, rażą oczy wielkoluda. Wyciągają go i wysiada chwiejnie. Czołg staje na zimnej ziemi, prostując się po raz pierwszy. Wyczuwa, że Niemcy się odsuwają, i szczerzy się w uśmiechu. Unosi ręce, brzęczą uderzające o siebie kajdany.

Czołg mruga w jasnym świetle. Kierowcy się wycofali, lecz zbliżają się żołnierze, mierzą do niego z karabinów, jest ich bez mała tuzin. Krótka wymiana zdań. Większości słów nie rozumie.

— Co to?

- Przesyłka dla doktora Mengele.

Kierowcy wsiadają do ciężarówki i odjeżdżają. Żołnierze przystają w bezpiecznej odległości, nie opuszczają wycelowanych w niego luf i czekają. To wszystko.

Następną rzeczą, jaką zauważa, są tory kolejowe. Ciągną się aż po horyzont, lecz kończą się w miejscu, do którego go przywieźli. Ostatni przystanek, stacja docelowa.

Trakcja urywa się przy obozowej bramie. To kolejne, na co zwraca uwagę. Obóz. Ogrodzenia z drutu kolczastego, wieżyczki strażnicze, niskie budynki z cegły. Rozległy teren, największy obóz jeniecki, jaki Czołg kiedykolwiek widział. Nad bramą wisi napis, wykute z żelaza litery. „Arbeit Macht Frei”. Jego wargi bezgłośnie składają te trzy słowa. Nie zna niemieckiego, niezbyt dobrze. Uczyli się trochę na Farmie, ale... Napis nie jest prosty. Wygina się nad bramą w łuk.

„Arbeit”... „Praca”? - zastanawia się.

„Frei” zna, to słowo oznacza „wolnego”.

„Arbeit macht frei”. „Macht” - robi. Praca czyni cię wolnym?

Trud odczytania hasła wystarczył, by Czołg poczuł zmęczenie. Żołnierze wciąż po prostu stoją, obserwują go. Musiał znowu przysnąć, ponieważ kiedy otwiera oczy, na stacji stoi już jakiś pociąg i trwa właśnie rozładunek. Czołg przygląda się szeroko otwartymi oczyma. Wszyscy pasażerowie mają na sobie podniszczone ubrania, na rękawach lub na piersiach noszą żółtą gwiazdę Dawida. Zatem - wnioskuje Czołg - muszą to być Żydzi. W większości są bardzo wychudzeni. Wsiadają z wagonów. Ludzie starzy, dzieci, matki, ojcowie i młodzież. Oficerowie wyszczekują do nich rozkazy, pojawia się znacznie więcej żołnierzy, popędzają ich dalej. Wszyscy kierują się do obozu. Brama stoi otworem i wchodzą.

Żydowski exodus. Nikt nie spogląda w jego stronę, nawet raz. Zupełnie jakby go tutaj nie było.

Jakby bardzo usilnie starali się go nie dostrzegać.

Obserwuje ich, kiedy przechodzą przez bramę. Nie niosą ze sobą żadnych bagaży. Rodzice trzymają dzieci za ręce. W oddali zauważa mężczyznę. Sztywno wyprasowany mundur. W dłoni pejcz, rytmicznie postukuje nim o udo. Stuk. Stuk. I wskazuje palcem. Sortuje nowo przybyłych, dzieli ich na dwa strumienie. Lewo. Prawo. Lewo. Prawo. Stuk. Stuk. Stuk.

Nieco dalej bije pod niebo czarny dym. To również zauważamy. Ten czarny dym. Czołg także go widzi. Niemożliwe jest go nie dostrzec. I ten zapach. Powietrze jest nim przesiąknięte, aż dławi. Ostro kontrastuje z dolatującą spoza terenu obozu wonią świeżego siana i drzew. To bardzo urokliwy zakątek Polski. W pobliżu jest niewielka wioska. Są też lasy.

I ten czarny dym, ten przeklęty, bijący pod niebo czarny dym.

Po chwili wszyscy Żydzi rozeszli się już na lewo bądź prawo i mężczyzna z pejczem przechodzi przez bramę. Nie śpieszy się. Ma czas. Pejcz rytmicznie uderza o nogę. Stuk. Stuk. Stuk, cholera, stuk, myśli Czołg. Nieznajomy podchodzi do niego, przygląda się i rzuca nikły uśmiešek zadowolenia. Wielkolud odpowiada własnym spojrzeniem. Przemyka mu przez myśl, że narkotyki przestają działać. Ze może mógłby spróbować. Swobodnym gestem sprawdza kajdanki, potrząsa nimi. Uśmiech mężczyzny lekko się rozszerza.

- Nazywam się doktor Mengele - przedstawia się. — Ciebie, jak rozumiem, nazywają Czołgiem.

Czołg przygląda się temu człowiekowi. Spogląda na celujących do niego z karabinów żołnierzy. Patrzy w dal. Dochodzi do wniosku, że nie ma szans. Mimo wszystko próbuje.

Kajdany ciągną mu ręce w dół. Bierze zamach, lecz doktor stoi za daleko i łańcuch świszcze tylko przed twarzą, niecelnie. Mengele nawet nie drgnął. Stoi po prostu i się uśmiecha.

- Cóż za piękny okaz - mówi.

Daje znak ruchem głowy i ktoś strzela, nie ołowianym pociskiem, lecz jakąś strzałką. Czołg zostaje trafiony w szyję i powoli obojętnieje.

- Zabrać go do menażerii - poleca doktor Mengele.

To ostatnie słowa, jakie Czołg przez jakiś czas usłyszy.

63. AUSCHWITZ, LABORATORIUM DOKTORA MENGELE, 1943

Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy trwa dzień, czy nastąpiła już noc. Tutaj nie ma okien. Kiedy wchodzi do środka, Czołg otwiera oczy, odzyskuje przytomność. W pomieszczeniu cuchnie gównem, sikami, płynem do czyszczenia i potem. A przede wszystkim śmierdzi

zwierzęcym strachem. Czołg nieczęsto się boi. Zna jednak ten fetor, swąd sprawiający, że sam ma ochotę skomleć jak zwierzę.

Nie jest tu sam.

Długi korytarz, jasno oświetlony białymi lampami elektrycznymi. Po obu stronach przejścia stoją klatki. W każdej z nich zamknięty jest okaz.

Podobnie jak to jest z więzieniami zwierząt w egzotycznych menażeriach, klatki okazów są ufajdane ich własnymi odchodami. Okazy są bardzo chude - zauważa Czołg. Czy raczej - próbuje nie zauważyć. Podobnie jak Żydzi przechodzący przez bramę Auschwitz próbowali nie widzieć jego. Wielkolud gwałtownie mruga. Stojący przed nim doktor Mengele odwraca się i krzepiąco uśmiecha.

- Fantastyczny powrót do normy - zauważa. Daje skinieniem znak komuś stojącemu za Czołgiem.

Coś dotyka nagiej skóry olbrzyma, leciutko. Całe ciało Anglika ogarnia płomień dojmującego bólu. Ogień rozlewa się niczym płyn, sprawia, że cały organizm jak dzwon rozbrzmiewa cierpieniem. Po chwili dotyk znika, ból ustępuje. Czołg spogląda za siebie i widzi ludzi w białych kitlach. W rękach trzymają długie elektryczne pastuchy. Prąd. Właśnie porazili go elektrycznością. Patrzy z powrotem na doktora. Mengele się uśmiecha.

- Rozumiemy się? - pyta.

Czołg rozumie prąd. Potakuje ruchem głowy. Co innego mógłby zrobić? Przechodząc korytarzem, przygląda się klatkom. Idą powoli. Doktor Mengele, Czołg i asystenci Niemca z elektrycznymi pastuchami. Powoli, jak na wystawie, myśli Czołg, zaglądając przez pręty. Kobieta o wielobarwnej skórze patrzy mu prosto w oczy. Z jej nagich łopatek wyrastają łabędzie skrzydła. Ma czarne włosy i oczy. W innej klatce płonie mężczyzna, ludzka pochodnia. W kolejnej znowu kobieta - szklany posąg, ma przezroczyste ciało. Czołg wyraźnie widzi

przez nią brudną ścianę za jej plecami.

Übermenschowie.

Czołg nie określiłby się mianem wielkiego myśliciela, lecz patrząc na okazy doktora Mengele, nie może przestać myśleć i żadna z tych jego myśli nie jest przyjemna. Übermenschowie. Przygląda się tym biednym, zdeformowanym istotom w klatkach i zastanawia się, co to właściwie znaczy: być Ponad-człowiekiem. Jak to jest być bohaterem? Nie ma pojęcia, w jaki sposób trafili tutaj, do Auschwitz. Zebrani niczym rzadkie eksponaty. Blizny na ciele mężczyzny w kolejnej klatce. Przeciętnego wyglądu. Nagi. Cały pokryty bliznami. Blizny na twarzy, na ramionach, na piersi. Blizny przypominające znaki jakiegoś nieznanego pisma. Niektóre ropiejące. Inne już zasklepione, wyleczone. Blizny na brzuchu i podbrzuszu. Blizny na udach. Kiedy Czołg przechodzi obok, mężczyzna patrzy na niego bez słowa. Człowiek Blizna.

W sąsiednim boksie białoskóry człowiek zamknięty w lodowym świecie. Lód pokrywa ściany i podłogę, szron oblepia pręty. Mężczyzna nosi na rękawie podartą żółtą gwiazdę Dawida. Ma jasnoniebieskie, blade oczy. On również spogląda na Czołga. Uśmiecha się. Uśmiech przeobraża jego twarz.

- Nazywam się Kerach - odzywa się. - A ty?

Asystenci podchodzą natychmiast. Wsuwają swoje pastuchy przez kratę. Uderzają człowieka lodu. Mężczyzną targają drgawki, pada na plecy. Nie przestaje się uśmiechać. Nie przestaje wpatrywać się Czołgowi w oczy.

- Cholerni hitlerowcy - mówi.

Mengele przystaje. Spogląda na mężczyznę, niezadowolony marszczy czoło.

- Zapiszcie pana Keracha Żyda na jutrzejszą operację - poleca.

Kerach nie zwraca na niego uwagi.

- Skąd jesteś? - pyta. - Anglik? Uczę się angielskiego w więzieniu - tłumaczy. - Obóz z angielskimi oficerami, zanim Herr Doktor mnie tu przywiezie. Anglicy dobre!

Czołg chce odpowiedzieć, lecz w tym samym momencie znów czuje dotyk pastucha i elektryczność śpiewa w całym jego ciele. Prawie mdleje.

- Dosyć! — rzuca Mengele. — Zabrać go na salę zabiegową.

Resztę drogi Czołg pokonuje ciągnięty po podłodze. Wzdłuż klatek, obok okazów, do jasno oświetlonego pomieszczenia z metalowym stołem na środku i jaskrawą lampą powyżej. Przywiązują go do stołu paskami.

Skóra wpija mu się w ciało. Usuwają jego ubranie skalpelem, po chwili jest nagi. Światło boleśnie razi w oczy. Świeci prosto w twarz. Wielkolud widzi szybujący nad sobą zarys twarzy doktora. Mężczyzna odzyskał dobry humor.

- Znakomicie — cieszy się Mengele. Gładzi skórę więźnia. - Tak niewiele dostajemy tu brytyjskich okazów — dodaje. Podnosi coś, tak by Czołg zobaczył wyraźnie.

Skalpel, uświadamia sobie Anglik. Połyskuje w jasnym świetle. Próbuje zerwać więzy, lecz nie ma już siły.

Mengele go obmacuje, głaszcze.

- Co za mięśnie! - mówi. - Jakie ciało!

Opuszcza skalpel. Koniuszek ostrza dotyka piersi Czołga. Zaczyna napierać na skórę. Światło zalewa leżącemu oczy. Ostrze wnika, a wraz z nim nadciąga ból. Wreszcie Czołg wydaje z siebie wrzask.

OSIEM

SOMMERTAG

**PARYŻ
1943**

64. GABINET STAREGO, teraz

- Tego rodzaju sytuacje po prostu się zdarzają — stwierdza Stary. Jakby w próbie pocieszenia Fogga.

- Ta przydarzyła się Czołgowi — odpowiada Fogg.

Stary wzdycha.

- Wojna pociąga za sobą ofiary, Fogg — mówi.

Przyglądają się sobie, w tym momencie panuje cisza. Stary, starając się skierować rozmowę - przesłuchanie - na właściwy tor, przewraca kolejną stronę leżącego przed nim dossier.

- Operacja w Paryżu - podejmuje.

- Tak, sir?

- Ta operacja się nie powiodła - mówi Stary — ponieważ na danych wywiadu nie zawsze można polegać. Zapewniam cię, że z informatorem odpowiednio się policzyliśmy, potem.

Foggowi stają przed oczyma zwłoki, unoszące się twarzą w dół na wodzie. Czy właśnie coś takiego miał na myśli Stary? Czy może raczej ciche zabójstwo na ulicy, po godzinie policyjnej, w ciemności, kulka w łeb, ciało na bruku.

Lub zwykłe zniknięcie. Nazistowski funkcjonariusz, który pewnego dnia po prostu zaginął. W paryskich katakumbach jest tyle miejsca, tak wiele mrocznych i cichych zakamarków, w których można złożyć tego rodzaju ofiarę. Sposób, w jaki policzyli się z bezimiennym informatorem, nie ma dla Fogga najmniejszego znaczenia. Metoda ani sam fakt niczego nie zmieniają. Sprawiają za to, że rozmowa ze Starym staje się w pewnym sensie łatwiejsza. Jakby Fogg, na moment, zyskał przewagę.

- Ważne jest - mówi Stary - że ty się wydostałeś. Uszedłeś z życiem, Fogg.

- Tylko czy to było celem?

Stary przygląda mu się z przechyloną głową, trochę jak ptak. Fogg zaczyna się czuć niezręcznie.

- Vomachta tam nie było - podejmuje Stary. - Zastawili na was pułapkę, teraz wiemy już o tym obaj. Pozostali Niemcy byli tylko wabikami. Poświęcone pionki, a tymczasem Vomacht był przez cały czas bezpieczny. Mam rację?

-Tak...

I w tej chwili Stary się uśmiecha - nieznaczny, sztywny uśmiech. Jakby wcześniejsza chwilowa równowaga sił w ich rozmowie dobiegła właśnie końca i to on ponownie przejął ster statku, prowadząc go ku niewidocznym rafom, których Fogg nie ma ochoty odwiedzać.

- Ale miałeś wtedy przeczucie, Fogg, prawda?

Stary mówi cicho, praktycznie szeptem. Fogg siedzi jak zahipnotyzowany, w gabinecie jest bardzo gorąco. Oczy Starego niewolą go swym spojrzeniem.

- Zostałeś — ciągnie Stary rzeczowo. — Wbrew temu, że odwołaliśmy wszystkich, ciebie i pozostałych. Zostałeś w Paryżu. Obserwowałeś mgłę. Czego tam szukałeś, Fogg? I co znalazłeś?

Głos Starego przeobraził się w pejcz, domagający się odpowiedzi. Fogg zwilża wargi.

- Nic! — odpowiada. Słowo rozbrzmiewa słabo, samotne w dusznym pomieszczeniu. - Nic - powtarza. - Niczego nie znalazłem.

Stary patrzy mu prosto w oczy. Fogg odwraca wzrok.

Drzwi, jakby cudem, stają otworem.

- Ach, herbata — rzuca Stary.

Do środka wchodzi Samuel, jego dawny kierowca. Uśmiecha się zimno do Fogg. Z Oblivionem wita się skinieniem. Niesie na tacy zastawę do herbaty. Stawia całość na biurku i ostrożnie nalewa trzy filiżanki.

- Mleko? Cukier?

Fogg tylko kręci głową.

- Mleko i cukier - mówi Stary. - Dla nas obu, jeśli łaska, Samuel.

Oblivion w milczeniu unosi dwa palce. Samuel podaje herbatę i wychodzi. Fogg ustawia filiżankę na kolanach. Stary upija łyk ze swojej i wzdycha.

- Paryż - podejmuje. - Tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci.

- Dawne dzieje — stwierdza Oblivion. Sączy herbatę.

- Dzieje, historia, zabawna rzecz — komentuje Stary. — Mają interesujący zwyczaj przypominać się ludziom, kiedy ci najmniej się tego spodziewają.

65. PARYŻ, 1943

Fogg się przygląda. Podobnie jak my oglądamy w tej chwili. Dym z francuskich papierosów kłębi się niczym mgła. Anglik układa z jego smug kształty. Wypuszcza w powietrze maleńkie siwe ludziki. Szybują nad jego głową, gdzie po chwili z wolna się rozwiewają.

- Jesteś dobrym obserwatorem, prawda, Fogg? - pyta Stary po trzech miesiącach na Farmie. - Jesteś obserwatorem, Fogg. Wolisz pozostawać

w ukryciu, niż działać aktywnie, znajdować. - Ojcowskim gestem składa dłoń na jego ramieniu. — Przyda się nam ktoś taki - stwierdza.

Później, na stoisku bukinisty przy Charing Cross Road w Londynie, Fogg przegląda kolorowe amerykańskie czasopisma. W rodzaju „Thrilling Tales of the Beyond-Men”. Tekst autorstwa Jacoba Kurtzberga, napisany tonem gorącego podziwu. A jednak oko raz po raz ucieka do obrazków: jaskrawe uniformy, ziarnisty czterokolorowy druk. Jest Człowiek Tygrys, ukazany w dramatycznej pozie na szczycie Empire State Building, trzymający w uścisku kajającego się szefa podziemnej organizacji. Jest Zielony Rewolwerowiec ścigający banitów w teksańskiej dziczy. Elektryczne Bliźnięta dopadające w Detroit Ala Capone. Wszystkie te ilustracje bez mała Foggą hipnotyzują, ich tupet, krzykliwość barw. Na Charing Cross Road pada deszcz. Szary poranek, ludzie śpieszą pod osłoną czarnych parasoli.

- Jesteś dobrym obserwatorem, Fogg - mówi Stary i te słowa Fogg zabiera ze sobą. - Potrzebujemy takich jak ty. Niech cię nie kuszą Amerykanie, ich donośne głosy, jasne kolory. My jesteśmy szarzy, jesteśmy ludźmi cienia, obserwujemy, lecz sami pozostajemy niezauważeni.

Co zobaczyłeś w Paryżu, Fogg? Co tak skrzętnie obserwowaleś?

Dziewczynę, Starcze. Obserwowałem dziewczynę.

Fogg bawi się dymem jak obracaną w palcach monetą. Obserwuje kawiarnię, dziewczynę i jej starszego towarzysza. Widzi sposób, w jaki ona się pochyla i muska palcami grzbiet jego dłoni. Sposób, w jaki trzyma swoją czekoladę na gorąco. Widzi ukrywający jej twarz, spływający po szybie deszcz. Są tam sami, tylko dziewczyna i stary mężczyzna, żadnych opiekunów z Gestapo. Żadnych cieni z SS. Żadnych Übermenschów. Tylko ich dwoje. Tylko oni i Fogg.

66. GABINET STAREGO, teraz

- W raporcie brakuje informacji o tych dniach w Paryżu - mówi Stary.

Oblivion wierci się obok Fogga. Fogg nie reaguje.

-To zrozumiałe - podejmuje Stary.

Fogg podnosi spojrzenie. Oblivion zakłada nogę na nogę. Stary mówi cichym, współczującym głosem.

- Szukałeś tam Vomachta, prawda Fogg? - pyta.

Vomacht. Vomacht. Znowu to nazwisko. Zawisa w gabinecie niczym smuga dymu. Fogg nie odpowiada. Nie potwierdza i nie zaprzecza. W tonie Starego pojawia się zdecydowana nuta. Zupełnie jakby mówił: „Nie spotkaliliśmy się tutaj, by opowiadać sobie bajeczki. Próbuujemy dojść prawdy”.

- Uznałeś, że nawet w fałszywych danych wywiadu musiało tkwić ziarno prawdy - podejmuje Stary.

Przewraca kolejną kartkę w tej cholernej teczce na biurku. Kiwa głową gestem mędrca. Hitler powiedział kiedyś coś podobnego. Żeby kłamstwo okazało się skuteczne, musi zawierać odrobinę prawdy. Lub coś w tym rodzaju.

Milknie. Oblivion spogląda w bok, na Fogga. Przelotnie spotykają się wzrokiem. Fogg odwraca głowę. Stary upija kolejny łyk herbaty. Odstawia porcelanową filiżankę z powrotem na spodek. Delikatnie. Kiedy naczynka się stykają, słychać dźwięczny brzęk.

- Co więc tam zobaczyłeś, Fogg? - Stary. Cicho.

Jest jak myśliwy, który właśnie zastawił wnyki.

- Byłeś moim najlepszym obserwatorem, Fogg. Najlepszym.

Cisza. W niej głos Starego, szept, insynuacja.

- Co widziałeś, Fogg, co widziałeś w czasie tego brakującego tygodnia w Paryżu?

67. PARYŻ, 1943

Przez dwa dni śledzi dziewczynę krok w krok. We mgle i w deszczu, starając się nie myśleć o Czołgu, o spartaczonych operacji, o raketowych lotnikach porzucanych na ziemi niczym zepsute mechaniczne zabawki. Jest późno w nocy. Fogg leży na wąskim łóżku w pokoju zarówno zbyt zimnym, jak i zbyt gorącym. Myśli o pozostawionej w Anglii matce.

O gwizdki pociągu. O woni mokrych liści. O odległym miejscu zwanym Auschwitz, o którym niewiele wiadomo, zagubionym gdzieś w Polsce, dokąd jak lemingi zdążają Żydzi.

Jednakże to nie myśl o Czołgu nie pozwala mu zasnąć; nie ona sprawia, że wierci się i przewraca z boku na bok. Nie myśli o operacji; nawet nie o Vomachcie.

Fogg myśli wyłącznie o dziewczynie.

Fogg miał przecucie. Fogg został w Paryżu, po kłótni z Oblivionem, po gorzkim starciu.

Stoją na Gare du Nord. Gwiżdże pociąg. Pachną wilgotne liście. Woń drogich perfum i tanich papierosów. Wysoka sylwetka spowitego w prochowiec Obliviona. Fogg jest po prostu Foggiem. Okolicę patrolują znudzeni niemieccy żołnierze. Spit wyjechała osobno, w tym momencie była już za granicą.

- Musimy wsiadać - odzywa się Oblivion. - Chodź, Fogg. - Wyciąga do niego rękę.

Fogg odsuwa się, wzdryga.

- Powiedziałem już, że nie jadę - mówi.

Biała twarz Obliviona wygląda jak wyciosana z marmuru. Przypomina klasyczny rzymski posąg. Gniew płonie wyłącznie w jego oczach. Podejmuje głosem zimnym niczym deszcz.

- Nie wiesz, co robisz - stwierdza. - Fogg, posłuchaj mnie.
- Nie. Muszę...
- Fogg, cholera!
- Oblivion, daj mi spokój!

Niemiec z patrolu obraca głowę, zwraca na nich uwagę. Trąca łokciem kolegę. Teraz patrzą obaj. Dwaj wymyślający sobie na peronie mężczyźni przyciągają zainteresowanie. Fogg zmusza się do spokoju. Mowa ciała. Uśmiecha się. Oblivion odpowiada tym samym. Poklepuje go po ramieniu.

- Nie zostawiasz mi wyboru — mówi cicho, nie przestając się uśmiechać.

Żołnierze odwracają się z powrotem, znudzeni. We Francji często się widuje krzyczących na siebie mężczyzn. Typowe.

- Nie — przyznaje Fogg. — Nie zostawiam.

Konduktor dmucha w gwizdek. Dłoń Obliviona wciąż spoczywa na ramieniu Fogga. Jego palce wpijają się mocno w ciało, w kości, Fogg czuje ból.

- Wsiadaj do pociągu - powtarza cicho Oblivion, z niegasnącym uśmiechem. - Już, Fogg. Musimy stąd wyjechać.
- Zabierz ręce, Oblivion.
- Cholera jasna, Henry! - W głosie Obliviona pojawia się inna nuta.

Zraniłem go, uświadamia sobie Fogg. Dziwnie się z tym czuje. Niemal

ulega przyjacielowi.

- Nie - mówi. Szeptem. Składa dłoń na nadgarstku Obliviona. Wyczuwa przez skórę jego tętno. - Oblivion, ja muszę, muszę to zrobić. Proszę.

- Proszę.

Oblivion patrzy prosto na niego. Fogg zastanawia się, co takiego czai się za tymi bladymi, niebieskimi oczyma. Tęczówki Obliviona są przejrzyste jak okna, nie ma za nimi nic poza błękitem nieba. Błękit nieba i chmury. Fogg czuje, że nacisk na ramieniu powoli słabnie. Czuje rytm serca Obliviona, coraz szybszy. Słyszy gwizdek konduktora, kolejny już. Czuje woń wilgotnych liści, oleju silnikowego, kobiecych perfum.

- Po prostu muszę to zrobić - dodaje.

Oblivion kiwa głową. Wyraz jego twarzy nie zmienia się ani na moment. To, co dzieje się wewnątrz, zdradza jedynie tętno, wyraźne pod opuszkami palców Fogga.

- Żegnaj, Henry - mówi.

Fogg przestępuje z nogi na nogę, nagle poczuł konsternację. Wciąż zostało mu kilka rzeczy do powiedzenia, lecz nie ma ich jak powiedzieć.

- Usprawiedliw mnie jakoś w domu - prosi.

Oblivion odpowiada skinieniem, pojedynczym. Następnie odwraca się, wsiada do pociągu i znika.

Fogg stoi na peronie. Patrzy na zaczynające się obracać koła. Para bije w powietrze, pociąg drga i przyśpiesza. Fogg spogląda za znikającymi w oddali wagonami. Wreszcie wychodzi z dworca.

Na światło, powietrze i deszcz. Idzie wzdłuż Sekwany, otoczony spadającymi z nieba kroplami wody. Zza chmury wygląda słońce. Na krótką chwilę blask przedziera się przez wodną zasłonę i Fogg widzi tęczę, złudzenie barw wykwitające z wody i światła. Jasny łuk rozciąga się ponad rzeką, ponad katedrą Notre Dame, niczym wiadomość, której nie jest w stanie rozszyfrować, nagła eksplozja kolorów wśród czarno-białego świata. Fogg na moment przystaje i nabiera głęboko powietrza, jakby był w stanie odetchnąć nie tylko tlenem, lecz światłem i barwami. Jakby tym jednym cielesnym aktem umiał przywrócić się do życia, nabrać konkretności, przybrać kształt, konkretność i wymiary.

Ale to wciąż tylko powietrze i Fogg stoi nad wijącą się poniżej rzeką. Zahipnotyzowany obserwuje unoszącą się nad Sekwaną tęczę, podniebny most, niewiarygodny sen o kolorach; wreszcie chmura na powrót przesłania słońce i barwy bledną. Fogg nie rusza się z miejsca, stoi w deszczu, w zalanym szarością świecie.

Rusza, po jego prawej stronie toczy swe wody Sekwana. W oddali wznosi się katedra Notre Dame, mgła zbiera się dokoła Anglika, kryjąc go przed wzrokiem niemieckich patroli i nieprzyjaznych Paryżan. Jest człowiekiem cienia i skrada się ku swemu celowi. Znalazł ją wiedziony instynktem, szeptem, przeczuciem, że informator się jednak nie mylił.

Oto jak Fogg rozumował:

Co, pomyślał, jeśli informacja była mimo wszystko prawdziwa? Jeżeli Vomacht naprawdę odwiedził Paryż?

Co, jeżeli informator ich nie zdradził, tylko został pojmany przez Gestapo i to oni wykorzystali sytuację na swoją korzyść? Operacja mogła być już w toku. Fogg i Oblivion już w Paryżu, oddział wsparcia na miejscu, wszystko gotowe i kiedy Spit przyszła do nich ze szczegółami, informator był już wówczas przekabacony przez nazistów i akcja zmieniła się w potrzask. Vomacht pozostał w bezpiecznej odległości od maszerujących prosto w zasadzkę

brytyjskich Übermenschów. A wyrwali się tylko dzięki głupiemu zbiegowi okoliczności.

I nagle: Czołg się nie wyrwał, prawda, Fogg?

Nie.

Cóż, pieprzyć go, myśli z nagłą dzikością. Refleksja ma posmak winy bądź wstydu, ale co z tego. Pieprzyć tego wielkoluda. Wiedział, co ryzykuje, kiedy zgłaszał się do tej misji. Pieprzyć go. Nikt go nie prosił o pomoc. Nikt nie prosił, by wziął wszystko na siebie. Fogg nie chce myśleć o Czołgu.

Zamiast tego:

Jeżeli Fogg się nie myli, to Vomacht wciąż może przebywać w Paryżu

Dlatego szuka.

Szuka, lecz zamiast Vomachta znajduje dziewczynę.

68. GABINET STAREGO, teraz

W pomieszczeniu panuje cisza. Ciepło i drobinki kurzu. Fogg nagle bardzo tęskni za muzyką. Potrzebuje czegoś, co przecięłoby tę dręczącą ciszę oczekiwania. Przypomina sobie salę przesłuchań w obozie Berlin-Mariendorf, w czterdziestym piątym.

Echa z przeszłości, głosy kruche jak zeschnięte liście. „Opowiedz mi o Erichu Bühlerze” — sugeruje Marii Becker Stary. — „Opowiedz mi o Schneesturmie”. Głosy śpiewających na zewnątrz żydowskich dzieci. Dźwięk towarzyszący zastrzeleniu jakiegoś człowieka. Odgłos twardej pałki trafiającej w szczękę. Grzechot wypluwanych na podłogę zębów. Tyle że tym razem na krześle nie siedzi biedna Maria Becker, warszawska sekretarka SS Obergruppenführera Krugera. Teraz siedzi on, Fogg. A Stary wciąż zadaje pytania.

Fogg chce wstać. Krzyknąć: „Kończ z tym!”. Pozostaje na miejscu. Bez słowa. Stary oblizuje palec i przewraca stronę rozłożonego przed sobą dossier.

- Vomacht - odzywa się.

Oblivion drga.

- Vomacht. - Stary wyjmując z teczki zdjęcie. Podsuwa je po blacie Foggowi.

Tę samą fotografię dostali w Paryżu przed misją. Wykonane długim obiektywem, rozmazane. Nie istnieją żadne porządne zdjęcia szacownego doktora. Stoi nad jeziorem, obok młoda dziewczyna. Trzyma ją za rękę. Fogg sięga po fotografię. Spogląda na nią przelotnie. Odkłada na biurko. Herbata grzeje mu kolana. Czeka. Stary również czeka.

- Cóż, to nie ma większego znaczenia - podejmuje Stary. Zabiera fotografię. Bębni palcami o blat. - Vomacht, mimo wszystkich naszych wysiłków, wciąż nam umykał — mówi. — Prawda, Fogg?

- Jasne - rzuca Oblivion. Niezobowiązująco.

-Nie był sam, prawda? - mówi Stary.

-Sir?

- Plotka głosi, że miał córkę - wyjaśnia Stary. - Jedyńczę.

- Plotka — powtarza Oblivion.

Stary się śmieje. Krótko.

- Owszem - przyznaje. — A jednak. Pamiętasz, co jeszcze mówiły pogłoski, Oblivion?

Ignoruje Fogga. Wyłącza go z rozmowy. Palce Fogga zaciskają się na

porcelanowej filiżance.

- Tak - odpowiada Oblivion. Niechętnie, jak się wydaje, ale gra swoją rolę. - Mówili, że ma córkę. I że była z nim, kiedy w trzydziestym drugim uruchomił urządzenie. Gdy nastąpiła przemiana.

- Córka Vomachta - mówi Stary. - Tak. - Rozkłada ręce, porusza palcami, jakby poszukiwał w myślach sensu, odpowiedzi. — Jak ona się nazywała? - pyta. - Ta córka Vomachta? Pamiętasz, Oblivion?

Oblivion kręci głową. Być może to przeczenie, być może krytyka. Nie patrzy na Fogga. Stary tak.

- Fogg? Może tobie pamięć służy lepiej?

Fogg ma już dość. Odnosi wrażenie, jakby ogarnęła go czerwona mgła. Ten gniew, który wzbierał już od jakiegoś czasu; ciśnienie; czajnik, który musi upuścić nieco pary albo wybuchnie, kwestia prostej mechaniki...

Podrywa się gwałtownie na równe nogi. Bardzo przyjemnie tak po prostu uwolnić, wypuścić z siebie tę wściekłość. Podnosi filiżankę wraz ze spodkiem. Ciepły napar chlapie na podłogę, cieknie po ramionach Fogga, który wiruje niczym dyskobol i wypuszcza z ręki naczynia - fruną przez cały gabinet, zderzają się ze ścianą i zadowolająco roztrzaskują na kawałki. Stoi, ciężko dysząc, herbata spływa mu po rękach.

- Klara! Miała na imię Klara!

Palce zwierają się w pięść. Na ścianie plama herbaty. Okruchy porcelany na podłodze. Cisza. Stary upija łyk herbaty. Odstawia filiżankę. Kiwa głową.

- Klara Vomacht - odzywa się. - Właśnie.

Splata palce. Przygląda się Foggowi z namysłem.

- Ale nazywaliśmy ją jakoś inaczej, prawda Fogg? - pyta. - Miała jeszcze jedno imię. Pseudonim. Przypominasz go sobie, Fogg?

Fogg patrzy na Starego, Stary patrzy na Fogga. Który na powrót siada. Bez słowa. Oblivion wstaje i przynosi mu ściereczkę. Fogg wyciera z rąk herbatę. Oblivion odbiera szmatkę, rzuca ją na tacę i wraca na miejsce.

-Tak - przyznaje Fogg, zmęczonym głosem.

Stary czeka.

- Sommertag - mówi Fogg. Wyczerpany. Lecz wciąż jeszcze nie pokonany. - Nazywaliśmy ją Sommertag.

69. PARYŻ, 1943

Co jednak w rzeczywistości wiadomo na temat Sommertag? I co wiemy o Foggu? Teczki osobowe zostały starannie oczyszczone, ich karty są puste. Widzimy ją wyłącznie jego oczyma. Czy kłamie? Jego fantazja, jego letni dzień. Jej niewinność, słowo wokół którego wciąż krążymy. Lecz na tej wojnie nie było niewiniątek.

Czy możemy zaufać Foggowi?

Czy wolno nam zaufać komukolwiek?

Przesiewamy jego relację, lecz czy w nią wierzymy? Czy bierzemy wspomnienia Fogga za dobrą monetę? Otacza ją, przesłania, mgła historii. Detale nikną w szarówce.

Fogg, obserwator.

Obserwujący dziewczynę przez gęstą mgłę.

Ten tydzień w Paryżu. Czy naprawdę można się zakochać tak całkowicie i bez reszty? Być może Fogg, sparzony przez wojnę i

zdradę, potrzebował w coś uwierzyć. Potrzebował się czegoś uchwycić. Marzenia. Płomienia. Czegoś, co płonęłoby jasno, czysto i szczerze.

Każdy potrzebuje w coś wierzyć.

A jednak. Więc...

Paryż. Fogg. Dziewczyna:

Tym razem — wyjątkowo - jest sama. To trzeci dzień obserwacji i dziewczyna siedzi w kafejce w pojedynkę. Jej towarzysza nie widać nigdzie w pobliżu. Mgła podkrada się rynsztokami i pełźnie w górę po oknach kawiarni. Zastania Fogg. Zastania dziewczynę, która popija czekoladę na gorąco. Na ulicy ścielą się żółte i czerwone liście. Skądś dobiega dźwięk skrzypiec, niewidzialny uliczny grajek dobywa z instrumentu nawiedzone, pobrzmiwające samotnością melodie.

Fogg obserwuje dziewczynę oczarowany, jakby pod wpływem jakiejś niewidocznej siły. Turing na Farmie mówił o grawitacji i elektryczności, opowiadał o ruchach atomów, o jądrach i orbitujących wokół nich elektronach naśladujących krążące dokoła gwiazd planety. To, co bardzo małe, co do joty odpowiada temu, co bardzo duże. „Istnieją również zjawiska, których nadal nie rozumiemy” - przyznaje Turing swym cichym głosem. I ten sposób, w jaki niekiedy spogląda na Obliviona. Sposób, w jaki Oblivion niekiedy odpowiada własnym spojrzeniem. A potem przechodzi do jeszcze mniejszej skali, do elementów, z jakich zbudowane są elektrony, wkracza na teren czarodziejskiej krainy nieokreśloności. Tak właśnie Fogg czuje się w tej chwili, takich słów użyłby, gdyby musiał to opisać. Obserwuje dziewczynę tak, jak Turing czasami obserwował Obliviona. I być może, wśród tych nieobserwowanych przez nikogo kwantowych fluktuacji, nawiązuje się jakieś połączenie, przeskakuje niczym ładunek elektryczny. Dziewczyna wstaje, zostawia na stoliku pieniądze i wychodzi. Jest sama. Na moment przystaje w drzwiach lokalu, wacha powietrze. Spogląda przed siebie. Właściwie patrzy prosto na Fogg.

Który zachowuje się tak, jakby przestał panować nad własnym

przeznaczeniem. Być może — zastanawiamy się z lekkim niepokojem — nikt nad nim nie panuje. Fogg porusza się z powolną, zdumioną nieuchronnością. Jakby płynął. W stronę dziewczyny. Niczym magnetyty przyciągane do siebie mocą tajemniczej energii, przepływem niewidocznych cząsteczek, który zwiemy elektromagnetyzmem. Dziewczyna ma na sobie letnią sukienkę, narzuciła na nią płaszcz. Jej oczy są błękitne jak niebo, włosy barwy słońca. Fogg jest przy niej tak bardzo szary. Wreszcie zatrzymują się, on i ona również. Stają tam, pośrodku paryskiej ulicy, i patrzą sobie w oczy.

Foggowi zaschło w gardle. Pocą mu się dłonie. Dziewczyna zachowuje się bardzo spokojnie. Anglik nie jest w stanie czegokolwiek wyczytać z jej twarzy. Z jej oczu.

- Jesteś człowiekiem z cienia - odzywa się ona. Rzeczowo. Jakby samym aktem mowy sprawiła, że Fogg przestał być dla niej obcym.
- Co? — dziwi się on.
- Widzę cię wszędzie, gdzie tylko spojrzę.
- Jesteś córką doktora Vomachta - mówi Fogg. Słowa wydostają się na zewnątrz; zostały wypowiedziane i nie mogą już zostać cofnięte, odmyślane.

Dziewczyna przypatruje mu się z lekkim zdziwieniem.

-Tak - przyznaje. - To rzeczywiście ja. Mam na imię Klara.

- Klara.

Ona wybucha śmiechem. Radość rozpala w jej oczach drobniutkie iskierki. Fogg przestępuje z nogi na nogę. Wokół podnosi się mgła, spowija niczym pled, zamyka oboje w ich własnym świecie.

- Jesteś Brytyjczykiem? — pyta Klara.

- Tak - odpowiada Fogg.

Dziewczyna kiwa głową. Przygląda mu się badawczo. Jego twarzy.

- Przyjechałeś tu, żeby mnie zabić? — pyta.

- Co? - rzuca Fogg. Cofa się o pół kroku. Jak w tańcu. - Jak to? Dlaczego miałbym cię... — Słowa urywają się w pustce.

Klara po prostu stoi i patrzy na niego. Intensywność jej spojrzenia oddziałuje na Fogga niczym grawitacja.

- Jak to możliwe, że mnie zobaczyłaś? Przecież nigdy nie byłem widzialny.

-Ty również jesteś... przemieniony, prawda? - zauważa Klara. - Ja widzę każdego z przemienionych. Wszyscy jesteśmy braćmi i siostrami, dziećmi mojego ojca. To on nas stworzył.

- Wybacz mi — odzywa się Fogg, sam nie wiedząc, skąd biorą się te słowa, z jakiego głęboko ukrytego źródła tryskają. Skąd się bierze ich śmiałość. - Wybacz mi, proszę, ale... ja nie patrzę na ciebie tak, jak brat powinien patrzeć na siostrę.

- Ach... — odpowiada ona. Przez moment Fogg ma wrażenie, że dziewczyna skrywa uśmiech. — Ach — powtarza, odwraca wzrok, patrzy z powrotem na niego. Stoi bardzo blisko, Fogg czuje jej ciepło. — Ja również nie widzę w tobie brata — przyznaje Klara cicho.

Co jednak dziewczyna widzi? Wiemy wiele rzeczy, lecz nawet my nie do końca rozumiemy miłość. Być może miłość jest potrzebą, być może jest egoistyczna i dąży do samozachowania. Być może dziewczyna widzi przyszłość, która jej się nie podoba. Każdy kogoś potrzebuje, myślimy ponownie zdjęci niepokojem.

Fogg spogląda jej w twarz. Błada cera. Gładzi policzek Klary grzbietem palca wskazującego. Tego, który pociąga za spust. Pochyliła się niżej.

Czuje zapach jej włosów. Przypomina mu lato.

- Nie powiedziałeś mi, jak się nazywasz - szepce dziewczyna. Słowa delikatnie, leciutko muskają jego policzek.
- Henry - przedstawia się.
- Henry - powtarza ona, jakby smakując wyraz. - Henry.
- Klara - mówi on.
- Tak. - Dziewczyna się uśmiecha i ta mina przeobraża Fogga. W jej uśmiechu nie ma nic ze smutku czy zamyślenia, jest za to tak...

Niewinny, myśli. Jak przybysz z innych czasów. Klara wtula się w Fogga i jej wargi stykają się z jego ustami, w pierwszej chwili lekko, potem mocniej, napierają, on przyciąga ją ku sobie i całują się otoczeni kłębamii mgły.

70. GABINET STAREGO, teraz

Czy jednak Klara naprawdę była niewinna?

Przecież, myślimy, nikt z nas nie jest.

Stary przygląda się Foggowi badawczo. Niczym etymolog badający fascynujące słowo. Obraca je na wszystkie strony, poszukuje skaz.

- Im człowiek starszy, tym bardziej odczuwa upływ czasu - zauważa Stary.

Oblivion porusza się niepewnie.

- Sir?

Stary nadal patrzy na Fogga, który nie odpowiada. Który zamyka się w sobie, jak karciarz siedzący naprzeciwko drugiego gracza przed

rozstrzygnięciem losów rozdania.

-Czasu wykorzystanego - ciągnie Stary. - Czasu zmarnowanego... czasu zaginionego.

Filizanki są już puste. Żaden z mężczyzn nie wykazuje ochoty, by je ponownie napełnić. Naczynko Fogga leży strzaskane na podłodze. Stary robi się nagle bardziej wylewny. Wpada w filozoficzny nastrój. Rozsiada się w fotelu wygodniej. Głowę podpira na splecionych za nią dłoniach. Oczy ma jednak zimne, myśli Fogg, który setki już razy widział Starego w tej roli. Od obozu Berlin-Mariendorf w czterdziestym piątym po nieumeblowane mieszkania w bezimiennych miasteczkach, namioty na ziemi niczyjej, więzienia, cele, ośrodki detencyjne, pokoje przesłuchań Blura. Fogg zna każdy ruch, każdy krok tego niebezpiecznego tańca. Nie. Fogg nie daje się zwieść.

- Zaginiony czas - powtarza Stary. - Taki na przykład jak twój zagubiony paryski tydzień. - Spogląda na Fogga, który odpowiada wzruszeniem ramion. - Cóż - podejmuje Stary - jak sądzę, nie ma to aż tak wielkiego znaczenia. Ostatecznie trwała wojna.

- Tak - odzywa się Oblivion, jakby właśnie się ocknął. Patrzy na Fogga, odwraca się. Również nie zdradza niczego.

Stary sunie spojrzeniem od jednego ku drugiemu. Jakby rozważał w myślach całość ich zachowania, każdy maleńki, zdradziecki gest.

- Niemniej - odzywa się chłodniejszym głosem, lepiej współgrającym z temperaturą oczu. — Niemniej porządek w papierach być musi.

71. PARYŻ, 1943

Odsuwają się od siebie, zdyszani po pocałunku, i ta chwila zastyga, zamiera w czasie. Klara ze śmiechem bierze Henry'ego za rękę.

- Chodź! — mówi.

Pociąga go, a on idzie za nią.

My również pamiętamy, jak to jest pozwolić się prowadzić pięknej kobiecie trzymającej nas za dłoń. Sami także pamiętamy Paryż z naszych czasów. Przyspieszone tętno, mocniejszy puls, nasze młode ciała, poczucie obietnicy, wrażenie, że możliwe jest wszystko i cokolwiek. Być może jesteśmy nawet lekko zazdrośni. Teraz.

Przez ożywioną rozbawionym tłumkiem dzielnicę łacińską. Paryż, miasto miłości, miasto świateł, za sprawą jednego pocałunku przeobraża się w miejsce magiczne. Budzi się Śpiąca Królowna, zalana blaskiem i miłością. Noc przemienia się w karnawał. Paryż! Zza otwartych drzwi płyną zapachy gotowanych potraw: masło, czosnek, małe, szafran, śmietana, jajka, cukier, wanilia, czekolada, białe wino, ciasta i lukier. Przed piekarnią ustawiają się cierpliwie mężczyźni w garniturach i kapeluszach, czekają na swoją bagietkę lub półbagietkę; w pobliżu można też dostać szynkę, oliwki, sery brie i camembert; na rogu Boulevard Saint-Michel siedzi stara kwiaciarka, Henry kupuje czerwoną różę i wręcza ją Klarze, która ze śmiechem podrzuca ją w powietrze.

Tak pięknie w tej chwili wygląda, myśli urzeczony Fogg. Jest jak zamknięty w bursztynie, niczym starożytna, wymarła mucha z okresu wczesnej kredy. Uwięziony w jej chwili, w jej niezmiennej beczasowości. Dziewczyna stanowi dla niego wiadomość z wcześniejszych, szczęśliwszych i bardziej niewinnych czasów, a Fogg odpowiada na to posłanie pragnieniem, pożądaniem i zachłannością.

Niemiecki żołnierz odwraca głowę i uśmiecha się do zakochanych. Stary kioskarszczyzna się do nich serdecznie, bezzębnie. Akordeonista chodzi za nimi, wygrywając wesołą melodyjkę, i Henry rzuca mu kilka monet, które muzyk zwinnie wychwytyje w powietrzu. Roześmiani biegną ramię w ramię - Henry i Klara, córka Vomachta i Fogg - przez wąskie, kręte alejki dzielnicy łacińskiej, bez celu, jak się wydaje; szybują w świetle i powietrzu nietkniętego przez wojnę miasta, miasta uleczonego miłością.

— Chodź! — woła Klara. — Tędy!

Przecinają ogród niewielkiego kościoła i wychodzą po drugiej stronie. Cicha uliczka. Przy stercie śmieci czai się bezdomny kot, na niebie wisi uśmiechnięty księżyc. Na rogu, naprzeciwko świątyni, zamknięta księgarnia, okna skryte za okiennicami. Dziewczyna prowadzi go do prostych drewnianych drzwi w ścianie sąsiadującego z księgarnią budynku.

- Tutaj? - pyta Henry.

- Wszędzie i nigdzie — odpowiada Klara.

Henry wstrzymuje oddech. Blask księżycy podkreśla jej rysy, oblewa ją zaklętą poświatą i Henry myśli o czarach, być może istnieją naprawdę. Klara sięga do klamki, obejmuje ją dłonią i naciska, biała ręka na srebrnym metalu. Dziewczyna otwiera drzwi pchnięciem i ze środka bucha nagle jasne, niesamowicie jaskrawe światło; niesamowicie jasne promienie słońca oraz woń świeżego siana i trawy, i bzyczenie owadów, i szmer płynącej wody: zapach lata. Zachwycona Klara głośno się śmieje.

- Chodź! — zaprasza.

Słońce przeobraża ich róg ulicy. Dziewczyna otwiera drzwi na oścież i wchodzi, wciągając za sobą Henry'ego.

72. FARMA DR. VOMACHTA, wtedy

Słońce ogrzewa mu twarz. Henry oddycha głęboko czystym górskim powietrzem. Ciepłe promienie na jego policzkach. W trawie bzyczą owady. Otwiera oczy na idealny letni dzień. Błękitne niebo, po którym niczym smugi dymu snują się białe obłoki. W oddali góry, niemal granatowy zarys. Wszędzie dokoła zielona trawa. Wysypana białym żwirkiem ścieżka prowadzi na wprost, w stronę białego kamiennego domu. Z budynku dolatuje stłumiona muzyka. Stara francuska

piosenka. Klara widzie Henry ego po dróżce, po czym puszcza jego dłoń i zaczyna się obracać, wiruje wśród traw z rozpostartymi ramionami. Henry stoi w miejscu. Spogląda za siebie. Nie ma tam niczego, co mogłoby wyjaśnić, w jaki sposób się tutaj dostali, do tego nie-miejsca, w ten nie-czas.

- Gdzie my jesteśmy? - pyta zdumionym tonem.

Klara przerywa taniec.

-To po prostu... - odpowiada. — Po prostu takie miejsce, do którego czasem uciekam.

Henry patrzy w milczeniu. Muzyka wypływa z domu falami. W powietrzu, tuż obok wyciągniętej dłoni Klary, zawisa motyl.

Dziewczyna odzyskuje uśmiech, równie niewinny i darzący szczęściem jak ten dzień.

- Tak właśnie było przedtem - mówi z odnowioną pewnością. Niczym dziecko dzielące się ulubioną zabawką. - Zanim wszystko się zmieniło.

Uśmiech staje się szelmowski i Klara wskakuje na Henry ego. Okazuje się przy tym zaskakująco lekka, lecz pociąga go w dół, a on jej na to pozwala. Razem padają w trawę, Henry na plecy, dziewczyna okrakiem na nim. Pochyla się i całuje go w usta. Mężczyzna odpowiada wygłodniałymi wargami, obejmuje ją. Klara przyciska go do ziemi, spogląda prosto na niego. Ma oczy barwy nieba, a jej zapach jest wonią lata.

- Tutaj jest lepiej — mówi szeptem. I jeszcze: — Możemy tu zostać, na zawsze.

73. FARMA DR. VOMACHTA, wtedy

W tym miejscu nigdy nie zapada zmierzch. Niebo jest idealnie błękitne, powietrze ciepłe i wonne. Na zewnątrz, wśród zielonej trawy

brzęczą owady. Henry stoi przy oknie, z nagim torsem.

- Nie mam tutaj nad niczym władzy. Brakuje mi mgły.

Zwraca się do Klary, która uśmiecha się do niego z łóżka.

- Klaro, nie możemy tu zostać na zawsze - ciągnie. — To byłoby szaleństwo. Za coś podobnego mogą mnie postawić przed sądem polowym.

Dziewczyna zapraszająco poklepuje materac.

- Tutaj nie ma sądów polowych - zauważa. - Wracaj do łóżka, Henry. Mamy czas. Mamy tyle czasu, ile tylko zapagniemy.

- Gdzie my jesteśmy? - pyta Henry.

- Właśnie tutaj się to wszystko stało - odpowiada Klara. - W tym miejscu się zaczęło. Ty, ja. Wojna.

- Klaro, gdzie jest twój ojciec? - pyta on.

- Na zewnątrz. On nie może tu przychodzić. - Dziewczyna uśmiecha się radośnie. - To wyłącznie moja kryjówka.

Wyskakuje z łóżka. Swobodnie ubrana we własną nagość. Jest młoda, myśli Henry. Zawsze już będzie młoda.

- Chcesz to zobaczyć? - pyta Klara. Szeroki uśmiech. Jest jak dziewczynka dzieląca się cudowną tajemnicą.

Henry zbiera swoje rozrzucone po pokoju ubrania.

- Co takiego? - dopytuje.

Podeksytowana dziewczyna skacze w miejscu, łapie dłoń mężczyzny.

- Chodź! - rzuca.

Pociąga go za sobą, wyprowadza z sypialni, w dół po schodach, do kuchni. Przestronne, przewiewne pomieszczenie, zalane słonecznym blaskiem. Na ścianie, wraz z żelaznymi garnkami i patelniami wiszą warkocze czosnku. Na długim drewnianym stole stoi niewielka maszyna, mniej więcej rozmiarów podróźnej walizki. Nie można stwierdzić, co to takiego, do czego służy. Klara się zatrzymuje, Henry przystaje obok. Rozgląda się po kuchni, wpatruje w milczącą maszynę.

- Co? - odzywa się wreszcie.
- To właśnie to - wyjaśnia Klara. - To jest to urządzenie.
- Ale...
- Pamiętam jak dziś - dodaje dziewczyna. Wybuch śmiechem. Rozpościera szeroko ramiona i tańczy w miejscu. — Bo to jest dzisiaj! — podejmuje. - Zawsze jest dzisiaj. Och, Henry.

Zarzuca mu ręce na kark, trąca nosem jego szyję.

- Zawsze jest dzisiaj - szepce tuż przy skórze mężczyzny.

Idealny letni dzień. Po chwili dziewczyna odsuwa się od Anglika, poważnieje. Wskazuje na puste krzesło stojące pod kątem przy stole, obok dziwnej maszyny.

- Siedział dokładnie w tym miejscu - tłumaczy.
- Twój ojciec?
- Tak. Majsterkował. On bez przerwy majsterkuje. Dłubie w tej swojej kwantowej skrzynce. Mamroce przy tym o Heisenbergu. Heisenberg też był naukowcem. Ojciec pracował dla niego przez jakiś czas, lecz potem się poróżnili. Mówi też czasem o kotach w pudełkach. Wiesz? Miałam kiedyś kotkę, nazywała się Dina.
- Dina - powtarza Henry. Oblicze Klary wyraźnie markotnieje.

- Och, co tam! - rzuca dziewczyna. — Jakie to ma znaczenie? Jakie znaczenie ma teraz cokolwiek?

- Klaro, ja...

- Co? - pyta z nagłą agresją w głosie. - Nie chcesz tu zostać? Nie chcesz być ze mną? Przyjrzyj się lepiej sobie, w tym stroju człowieka cienia! Co tam, po drugiej stronie, jest tak bardzo ważne?

~ Klara - próbuje Henry - zaczekaj...

Ona jest już zła. W dziewczynie zachodzi nagła, przerażająca przemiana, jakby ktoś włączył, lub wyłączył jakiś przełącznik, żadnego stadium pośredniego.

- Po prostu wyjdź! — krzyczy.

Henry rozgląda się na wszystkie strony, niczym schwyte w potrzask zwierzę. Klara wykonuje dłońmi gest pchania. Co prawda nie dotyka go fizycznie, lecz coś zmusza mężczyznę do kroku w tył. Jakby silny podmuch powietrza, jakby coś wsysało go od tyłu. Wszystko - farma, ciepły dzień, słońce - blednie, ciemnieje i dokoła Henry'ego pojawia się szara mgła, spowija go, a Klara maleje w oddali, stojąc z wyciągniętymi przed siebie rękoma. Henry spada, spada wśród szarych, pochłaniających go oparów i wreszcie traci dziewczynę z oczu.

74. PARYŻ, 1943

Fogg ląduje nieporadnie, pojawienie się gruntu pod nogami mocno go zaskoczyło. Jest zimno i podnosząca się mgła oblepia mu skórę, wcale nie nieprzyjemnie. Znalazł się na lewym brzegu Sekwany. Na niebie majaczy księżyc w nowiu, skrawek księżycy, wiszący niczym sierp nad katedrą Notre Dame. Niemiecki patrol przejeżdża powoli ulicą. Fogg stoi, patrzy na nich, spogląda na ten nowy, kruchy księżyc.

75. GABINET STAREGO, teraz

— I to już? — rzuca Stary. - To wszystko?

Fogg czuje, że ma spięte mięśnie, pojawia się zmęczenie. Patrzy Staremu prosto w oczy. Jego tajemnice wyszły na światło dzienne, zupełnie jak wywieszzone do wyschnięcia na słońcu pranie.

- Nigdy więcej jej nie widziałem - mówi.

Stary nie odpowiada. Wertuje leżące na biurku dossier. Nuci.

- Była niewinna - dodaje Fogg, lecz nie jesteśmy pewni, kogo próbuje przekonać: Starego czy siebie.

Stary nadal nie odzywa się słowem. To jego dawna taktyka. Prowokuje Fogga.

- Potem wróciłem do Londynu - podejmuje Fogg, odpowiadając na niezadane pytanie. I jeszcze, gorączkowo: — Nie sądzisz, że gdybym tylko mógł, zrobiłbym wszystko, byle tylko Czołg przeżył?

- Naprawdę? - pyta Stary.

- Ona była niewinna.

- Nikt nie jest niewinny - komentuje Stary. Przerzuca kolejną stronę w teczce. Unosi brwi. - No więc?

- Wróciłem do Londynu - powtarza Fogg. - Przedstawiłem raport...

- Kłamliwy raport - zauważa Stary, niemal z wyrzutem.

- Każdy czasem kłamie - odpowiada Fogg.

Stary, w milczeniu, odwraca jeszcze jedną kartkę.

76. PARYŻ, 1943

Godzina policyjna.

W czym jednak godzina policyjna może przeszkodzić Foggowi, który ani trochę nie przejmuje się niemieckimi patrolami? Za podkład muzyczny służy mu cicha atmosfera opustoszałych ulic. Mgła, która właśnie się zbiera i lepi do ścian, pozostaje do jego dyspozycji. Krąży po mieście niczym niespokojny cień, zalewa go mieszanka gniewu, pragnienia i wstydu. Wstydzi się wspomnienia widoku pojmanego Czołga. Wstydzi się, że został wyrzucony, wypchnięty z tamtej kryjówki, z tamtego letniego dnia. Gniewa się na nią. Jej imię - Klara - odbija się echem po całym Paryżu. Słyszc ją w brzmieniu dzwonów, bijących w kościołach, którym pozwolono działać. Kla-ra. Kla-ra. Fale Sekwany kołyszą się, naśladując ich splecione ciała. Gniew Fogg grasuje wraz z nim po wąskich, brukowanych uliczkach Dzielnicy Łacińskiej, cień cienia.

Napotyka grupkę niemieckich żołnierzy otaczających dwie dziewczyny. Jedna jasna, druga ciemna. Obie ubrane w długie wojskowe szynele. Co robią o tej porze na ulicy? Oberschütze macha wściekle ręką na skulone młode kobiety.

- Dokumenty, gdzie wasze dokumenty? *Vos papiers!*

Jeden z żołnierzy chwytą dziewczynę za ramię, śmieje się. Ona zaczyna się szamotać, a wojak przypiera ją do muru. Druga krzyczy, dźwięk przeszywa noc i Fogg uświadamia sobie istnienie tych wszystkich twarzy za oknami i ścianami, wszystko słyszy. Kto jednak przybędzie jej na pomoc, tej nocy, w tym kraju, w tak strasznych czasach? Żołdak napiera. Jego głowa pochyla się do pocałunku, dziewczyna spluwa mu w twarz. Żołnierz ryczy, policzkuje ją i młoda kobieta pada na bruk, jej przyjaciółka wykorzystuje tę chwilę i ucieka.

Biegnie w stronę Fogg, w stronę dającej osłonę mgły, zbliża się ku niemu i księżycowa poświata oblewa jej blade, przerażone oblicze. Jest już tak blisko, Fogg mógłby ją złapać i wciągnąć do swojej kryjówki, zapewnić bezpieczeństwo. Dziewczyna otwiera szeroko oczy: dostrzega go. Anglik próbuje podać jej rękę. Rozlegają się dwa strzały. Dziewczyna pada na kocie łby. Ciemna plama na ulicy. Oberschutz

wsuwa pistolet do kabury: „*Verdammten Frauen*”, przeklina. Bardziej ze smutkiem niż z gniewem. Wskazuje na tę, która przeżyła. „Zabierzcie ją na Gestapo” — mówi - „to nie nasza sprawa”. Jego ludzie podnoszą dziewczynę z bruku i odprowadzają. Przechodzą obok Fogga i zabitej, bardzo blisko. Fogg żałuje, że nie ma przy sobie noża, broni. Że nie ma odwagi. Lecz przecież obserwować znaczy zmieniać.

Kiedy go wreszcie wymijają, Oberschutze zostaje na moment sam. Podchodzi bliżej i spogląda na zwłoki zastrzelonej. Kręci głową, mówi coś do siebie, zbyt cicho, by Fogg mógł usłyszeć. Księżyc na niebie. Na wskroś mniej gęstego fragmentu mgły widzi Morze Spokoju, jedno z oczu księżycowej twarzy. Coś w Foggu pęka. Wychodzi z kryjówki. Żołnierz zauważa nieznanego, który pojawił się wśród oparów niczym duch, i jego oczy otwierają się szeroko, podobnie jak przed chwilą oczy zabitej dziewczyny.

— Co...? — zaczyna mówić, podnosi dłoń, jakby chcąc obronić się przed Foggiem, zbyt wolno.

Fogg zaciska palce na szyi mężczyzny i dławi. Skóra Niemca jest miękka i ciepła, wewnątrz czuć puls, serce bije jak uwięziony w klatce ptaszek, próbuje się wyrwać i Fogg mu w tym pomaga, ściska, kciuki wbijają się w ustępliwe, sprężyste ciało, patrzy żołnierzowi prosto w twarz; przez cały czas spogląda w przerażone oczy, aż wreszcie ptaszek się uwalnia, odlatuje. Fogg rozluźnia chwyt i ciało łagodnie osuwa się na ziemię, tuż obok martwej dziewczyny. „Kochający się i mili przyjaciele, za życia i w śmierci nie są rozdzieleni” - przemykają Foggowi przez myśl słowa na pół zapomnianej biblijnej pieśni. Wrażenie jest dziwaczne, jest w tej parze coś obscenicznego, francuska dziewczyna i niemiecki żołnierz leżący razem na bruku. Foggowi wzbiera w gardle żółć, przełyka ją. Słyszy głosy nawołujących dowódcę żołdaków z patrolu. Wracają, lecz podnosi się mgła. Gubią się w niej, a Fogg znika. Przechodzi obok zamkniętych sklepów i domów mieszkalnych, sunie przez miasto niczym duch, bezszelestnym krokiem.

W pewnym momencie, kiedy trafia w ślepy zaułek i już ma zawracać, otwierają się drzwi.

Drzwi otwierają się w nocy, tuż przed nim. Drzwi do sklepu lub klatki schodowej jednej z kamienic, nie wie. Zwykle drzwi.

I światło. Wylewa się z nich tak wiele światła. Jasny blask letniego dnia. A Fogg stoi jak w transie, spogląda na wychodzącą przez te drzwi smukłą postać, kroczącą po zimnym chodniku, prosto w tę okupacyjną noc.

- Klara - szepce Fogg. - Klara.

Dziewczyna odwraca się i zauważa go. Uśmiech rozświetla jej twarz.

- Spójrz! — mówi. Wskazuje palcem księżyc. - Księżyc ma buzię! - Śmieje się uradowana. - Z tego drugiego miejsca jej nie widać. - Podbiega ku niemu. Tuli się.

Ten jej zapach, tak czysty. Fogg kryje twarz w zgięciu jej szyi i zaciąga się wonią dziewczyny.

- Przepraszam - mówi. - Przepraszam.

- Za co? - Klara się śmieje.

Odsuwa od siebie mężczyznę i patrzy mu głęboko w oczy. Jest nieco wyższy i dziewczyna musi się wspiąć na palce, by mu dorównać.

- Nie wracajmy tam — mówi ona. — Nie teraz i jeszcze nie przez jakiś czas. Chcę być z tobą w twoim świecie. W prawdziwym świecie.

Słowo „prawdziwy” wypowiada jednak z powątpiewaniem i być może w głębi ducha wcale w nie nie wierzy. Ten świat wydaje się przecież zbyt fantastyczny, ze swymi maszerującymi armiami, rakietami i obozami śmierci. To musi być rzeczywistość rodem z jakiejś taniej powieści. Klara otacza Fogga ramionami i przytula go. Po chwili

puszcza i w zamian bierze mężczyznę za rękę. Ma na sobie letnią sukienkę, lecz narzuciła na nią gruby wojskowy płaszcz.

- Popatrz - mówi, wkładając rękę do kieszeni. Wyciąga dokument. -
Moje papiery — wyjaśnia z dumą.

Jesteś córką doktora Vomachta, myśli Fogg i coś zimnego ściska go gdzieś głęboko w duszy. Dziewczyna chowa dowód i znowu zaczyna się śmiać, a jej ciepło wypełnia go całego; ten letni dzień obleczony w ludzkie kształty, ta Sommertag. Fogg pozwala, by poprowadziła go za rękę.

- Mam ochotę na muzykę! - oświadcza Klara. - Chcę potańczyć!

77. PARYŻ, 1943

Noc się rozmywa.

Idą milczącymi ulicami. Wpadają na patrol.

- Stać! - wołają żołnierze, lecz Klara natychmiast na nich naskakuje, zaczyna wykrzykiwać komendy.

- Czy wiecie z kim macie do czynienia? - rzuca. - Zaprowadźcie mnie zaraz do Le Chabanais!

Jeden z żołnierzy wygląda na mocno poruszonego, wstrząśniętego, lecz oficer wydaje się po prostu zrezygnowany.

- Proszę odeskortować Fraulein Vomacht i jej towarzysza dokąd zechcą - decyduje.

Niemcy usadzają ich w dżipie i zabierają na szybką przejażdżkę, przez rzekę, w kierunku Luwru. Fogg nie wie, gdzie jest ani co robi. Nie wie już nawet, kim jest. Wie jedynie, że światło lata przepędziło jego mgłę.

Wreszcie docierają do burdelu. Bo nie można tego miejsca określić

inaczej. Kobiety z odsłoniętymi torsami rozsiadają się w fotelach z wysokimi oparciami, leżą wyciągnięte na szeszlonych. W holu o wysokim suficie muzycy w muszkach grają Mozarta. Dokoła malowidła ściennie Toulouse-Lautreca. Obok przemyka kelner ze srebrną tacą, na której niesie szampana, stary rocznik.

- Fraulein Vomacht! Cóż za przyjemna niespodzianka!

Fogg odwraca się i staje twarzą w twarz z grubym Hermannem Göringiem, asem lotnictwa myśliwskiego z czasów pierwszej wojny światowej, znanym kolekcjonerem sztuki, marszałkiem Rzeszy, zaufanym człowiekiem Adolfa Hitlera, osobą wyznaczoną na jego następcę.

- Herr Göring - wita się Klara, dygając.

Gruby Hermann wychyla kieliszek szampana i delikatnie beka.

- Kim jest panienki towarzysz? - pyta zaciekawiony.

- Herr Schleier - odpowiada Fogg.

Marszałek Rzeszy mierzy go spojrzeniem od stóp do głów, po czym traci zainteresowanie. Znika na górze w asyście dwóch młodych Francuzek. Obie dziewczyny mają czarne, farbowane włosy. Fogg i Klara tańczą, popijają szampana. Od czasu do czasu podchodzą do nich wysocy rangą niemieccy oficerowie i zamieniają z dziewczyną kilka słów. Fogg jest człowiekiem cienia, równie dobrze mógłby nie istnieć.

- Nudzę się - oświadcza Klara nieco później.

Wymykają się na zewnątrz, prosto w noc i światła Luwru. Ręka w rękę przechodzą przez Jardin des Tuileries.

- Och, Henry - odzywa się dziewczyna. - Nie chcę, by dzisiejsza noc kiedykolwiek dobiegła końca. - Spogląda ze smutkiem.

Fogg gładzi jej twarz, policzek jest wilgotny od łez.

- Wszystko się kończy - dodaje Klara. — Wszystko, tylko nie my. -
Wymyka się jego dotykowi i odbiega.

Fogg rusza za nią. W głąb ogrodu. Zostają zupełnie sami, zaczyna padać śnieg. Fogg próbuje złapać dziewczynę, lecz ona czmycha ze śmiechem, dobiega do drzwi drewnianej szopy z narzędziami, otwiera je i w paryską noc wylewa się promienny blask lata. Klara znika wewnątrz i zostawia Fogga gapiącego się z głupią miną na te przeciętne, ogrodowe drzwi.

78. PARYŻ, 1943

Kiedy jednak wraca do swojego hotelu, drzwi piekarni naprzeciwko stają otworem i zamiast zapachu świeżego pieczywa, wypływa zza nich słońce, i Klara pojawia się na powrót, staje na śniegu. Jest w tej chwili spokojna, patrzy z błogością. Ujmuje dłoń Fogga. Teraz to on prowadzi, czując świeżą potrzebę, pożądanie. Wślizgują się do cichego hotelu i wspinają na palcach po starych rozklekotanych schodach do pogrążonego w mroku pokoju.

- Skąd wiedziałaś, kim jestem? - pyta on, szepcząc prosto w skórę jej szyi, czując tętniące pod nią życie.

- Światło rzuca cień - odpowiada równie cicho dziewczyna.

Być może rzeczywiście jest to aż tak proste. Trwa wojna, nie ma prawdziwych odpowiedzi.

Rozbierają niecierpliwie. Drżą mu dłonie. Klara ściąga z niego koszulę przez głowę i sunie ręką po nagim torsie. Fogga przeszywa dreszcz.

- Henry — odzywa się dziewczyna. — Henry.

On wyszeptuje jej imię i popycha ją na łóżko. Chłopak, dziewczyna, noc w Paryżu. Całuje ją, wszędzie. Jej ciało utrwalone na zawsze,

uwięzione w tej dawno minionej chwili. Smakuje jeżynami i słońcem. Klara podciąga go wyżej, całuje w usta. Wciąga Fogga na siebie.

- Kocham cię - szepce.

-Ja ciebie też kocham - odpowiada on, lecz czym jest miłość? Być może to pewna odmiana niewidzenia.

Potem leżą w łóżku, senni. Śnieg uderza w okienną szybę, sprawia, że myśli Fogga uciekają do Schneesturma, przypomina sobie o Czołgu i ponownie wzbierają w nim wstyd i nienawiść. Uświadamia sobie, że prawie Klary nie zna. Ledwie wie, kim ta dziewczyna jest, co lubi, czego nie. Jest wieloma postaciami naraz, jednocześnie przemieniona i nieprzemieniona. Jak wytłumaczyć jego uczucie? Nie jest racjonalne, nie jest czymś, co można obliczyć czy zbadać w laboratorium.

A może można? Może również i miłość poddaje się destylacji, teoretycznym wyjaśnieniom? Może i ją można wykorzystać w charakterze broni?

- Przytul mnie, Henry - prosi dziewczyna.

Przyciąga ją blisko do siebie. Jest tak ciepła, tak prawdziwa. To wojna jest zmyślona, zmyślona jest Luftwaffe i zmyślony jest Hitler, całe to cholerstwo. Tuli Klarę, aż wreszcie oboje zasypiają, a rankiem dziewczyny już nie ma. Drzwi do pokoju zostawiła lekko uchylone, przez szparę wpadają promienie słońca i Fogg udaje się za nią do te...

79. FARMA DR. VOMACHTA, wtedy

...go innego miejsca.

I później, dużo później:

- Muszę wracać - stwierdza Fogg.

- Możesz zostać ze mną. Tutaj. Na zawsze.

- Wiesz, że to nieprawda. Także i twoje miejsce jest w rzeczywistym świecie.
- Mogę się wycofać, zabezpieczyć drzwi - odpowiada Klara. - Potrafię to zrobić. Ta chwila jest tylko moja, ale mogłabym sprawić, że stanie się również twoja.
- Wrócisz do Niemiec — mówi Fogg. — A ja muszę wracać do Anglii.
- Nie chcę, żebyś tam wracał, Henry. W Anglii jest zimno, a Führer powiedział, że już wkrótce zwyciężymy. I co się wtedy z tobą stanie? - wnioskuje dziewczyna z zimną, dziecięcą logiką.
- Nie jesteś taka jak oni - mówi Fogg. - Nie jesteś jedną z nich. Przecież możesz pojechać ze mną, pomóc...
- Jestem potrzebna ojcu - przyznaje cicho dziewczyna. - Henry, jeżeli przegramy...

-Tak?

- Będiesz mnie wtedy szukał?

Przytula ją mocno do siebie; nie chce już nigdy tego uścisku rozluźnić.

- Tak, będę cię szukał - obiecuje.
- Nie chcę, by to się skończyło - mówi Klara i przez chwilę Fogg nie wie, czy dziewczyna ma na myśli ich wspólny pobyt tutaj, czy wojnę. Przebiega go dreszcz. - Przyrzeknij, że mnie znajdziesz - podejmuje ona.

Fogg gładzi jej włosy, tam, w tym miejscu, gdzie zawsze trwa letni dzień.

- Znajdę cię - mówi.

DZIEWIĘĆ

ZAGINIONA DEKADA

LONDYN

1954

NIEMCY KAPITULUJĄ 7 maja 1945

REIMS. Po samobójczej śmierci Adolfa Hitlera 30 kwietnia i zajęciu przez armię radziecką Berlina 2 maja, dnia dzisiejszego we francuskim Reims generał Alfred Jodl, szef sztabu niemieckich sił zbrojnych, podpisał w imieniu wszystkich rodzajów broni swego kraju akt bezwarunkowej kapitulacji, kończąc tym samym wojnę w Europie.

BOMBA ATOMOWA ZRZUCONA NA JAPONIĘ

6 sierpnia 1945

WASZYNGTON. Amerykański prezydent Harry S. Truman wydał w dniu dzisiejszym oświadczenie, w którym potwierdził, że na japońskie miasto Hiroszima została zrzucona bomba atomowa. W chwili bombardowania prezydent przebywał na pokładzie płynącego przez środkowy Atlantyk krążownika USS Augusta. Według podanych przez niego informacji urządzenie atomowe jest 2000 razy bardziej niszczycielskie od jakiegokolwiek użytej dotąd bomby konwencjonalnej. W Hiroszynie znajdowały się jedne z ważniejszych magazynów armii japońskiej.

Bomba została zrzucona o godzinie 8:15 czasu lokalnego, z pokładu bombowca B-29 nazwanego przez załogę „Enola Gay” Nad Hiroszimą wyrosła ogromna chmura w kształcie grzyba. W chwili obecnej nie ma jeszcze możliwości oceny skali spowodowanych przez wybuch zniszczeń. „Jeżeli teraz nie przystaną na nasze warunki” - powiedział prezydent - „mogą się spodziewać deszczu zniszczenia na skalę nieznaną dotychczas tej Ziemi”

Podczas wystąpienia w Londynie brytyjski premier Clement Attlee, który w budynku pod numerem 10 przy Downing Street zastąpił Winstona Churchilla, odczytał w Izbie Gmin przygotowane przez swego poprzednika oświadczenie. „Dzięki łasce Bożej * powiedział - „brytyjczy i amerykańscy naukowcy zwyciężyli w wyścigu z podobnymi

wysiłkami uczonych niemieckich. Nasi przeciwnicy doszli daleko, lecz zostali za nami równie daleko z tyłu. Gdyby w dowolnym momencie konfliktu Trzecia Rzesza weszła w posiadanie tego rodzaju potęgi, wynik wojny mógłby być inny”.

Prezydent Truman powiedział, że stworzenie bomby atomowej stało się świadectwem „ujarzmienia podstawowych sił rządzących wszechświatem”.

KORONACJA ELŻBIETY DRUGIEJ 2 czerwca 1953

LONDYN. Po kończącej szesnastoletni okres panowania śmierci króla Jerzego VI korona została przekazana jego dwudziestopięcioletniej córce Elżbiecie. Młoda królowa w czasie wojny służyła jako kierowca karetki i mechanik. Koronację w opactwie westminsterskim poprowadził arcybiskup Canterbury. W ceremonii udział wzięło osiem tysięcy dygnitarzy i głów państw z całego świata, podczas gdy rzesze poddanych Jej Wysokości wyległy na ulice, by choć przelotnie ujrzeć nową monarchinię. Miliony widzów na całym świecie śledziły uroczystości dzięki specjalnie przygotowanej przez BBC transmisji.

80. ELEKTROWNIA BATTERSEA, LONDYN, 1954

Maszyneria elektrowni Battersea wydaje z siebie miarowy pomruk. Za murami z brązowej cegły bez ustanku spala się węgiel, parowe kotły dygocą wskutek naporu uwięzionej wewnątrz energii. Nadpływające Tamizą barki dokują przy nabrzeżach, trwa niekończąca się pieśń załadunku i rozładunku. Nad kompleksem Battersea cały czas palą się światła, parowe turbiny trują się nieprzerwanie. Dym z wysokich kominów wzbija się w noc.

Oblivion czeka w cieniu gmachu elektrowni. Księżyc w nowiu. Nowa królowa. Premier Churchill na wylocie, już po raz kolejny.

Lata pięćdziesiąte. Lata powojenne. Jajka w proszku, jakże nie cierpi ich smaku! Bluro spowite cieniami. Spit gdzieś w Kenii, w związku z powstaniem Mau Mau. Oblivion ostro odwraca głowę. Księżycowa poświata podkreśla jego blade, wyraziste policzki. Kroki na żwirze. Mgła utrudnia rozpoznanie nadchodzącego.

- Oblivion.
- Fogg. Nie sądziłem, że przyjdiesz.
- Prawie się rozmyśliłem.

Obejmują się na powitanie, skrępowani.

- Powiedzieli mi, że odszedłeś. Przykro mi, że nie byłem na uroczystości.
- Dostałem medal - mówi Fogg. - Od króla. Zanim... - Wykonuje znaczący gest. - No wiesz.
- Zanim zrobiłeś się za stary na pracę w Blurze Spraw Przeszarżałych? Fogg wybucha śmiechem, niezbyt wesołym.
- Tak, właśnie tak.

Oblivion przygląda mu się uważnie, lecz Fogg, oczywiście, wygląda jak zawsze.

- Dlaczego odszedłeś? - pyta.
- Dobrze wiesz dlaczego.

Oblivion wyciąga piersiówkę. Odkręca korek i pociąga łyk. Podaje Foggowi.

- Już po wszystkim, Fogg - przypomina. - Skończone. Stary nie wie...
- Przestań — ucina Fogg.

Mierzą się spojrzeniami.

— Wróć — odzywa się Oblivion po chwili.

— Nie starzejemy się - mówi Fogg. - Nie zapominamy. Przeszłość nie umiera nigdy, nie do końca. Nie dla nas, Oblivion.

— Henry! Nie możesz na zawsze pogrzebać się w przeszłości!

— Gdzieś zawsze panuje lato — odpowiada Fogg i pije z piersiówki. Zwraca butelkę Oblivionowi. — Nie szukaj mnie już więcej — prosi cicho.

W Obliviona wstępuje jednak mściwy duch.

— Być może pewnego dnia będę musiał! — syczy. Nie podoba mu się brzmienie własnego głosu.

Fogg, który odwracał się już, by odejść, przystaje. Spogląda na Obliviona zboliałym wzrokiem.

— Wiem - przyznaje. — Żegnaj, Oblivion — rzuca.

Odchodzi, a Oblivion nie robi nic. Po prostu stoi i patrzy za nim.

— Fogg, cholera jasna... — odzywa się, ale cicho, wyłącznie do siebie. Za jego plecami parowe turbiny warczą, syczą i bekają.

Porządek w papierach, myśli Oblivion. W papierach zawierających słowa, których nie ważą się wypowiedzieć. Ale porządek zawsze musi być.

81. LONDYN, 1954

Oblivion rusza spod elektrowni i zmierza wzdłuż południowego brzegu Tamizy, po jakimś czasie przechodzi na drugą stronę rzeki przez London Bridge. Jest późno, chociaż wokół wciąż pojawiają się

ludzie i Oblivion tęskni za zapewnianą przez mgłę wygodną anonimowością. Zatrzymuje się na moście. Wyciąga monetę. Świeżo wybity pens z młodą królową na awersie. Obraca pieniążek w palcach. Berlin w czterdziestym szóstym. Ta sprawa, o której nie wolno im rozmawiać. Nie możemy nawet wspominać o tak wielu sprawach, myśli. Pstryka palcami i patrzy, jak moneta zatacza łuk nad barierką. Blask księżycy gra na młodzieńczym obliczu nowej władczyni. Oblivion śledzi wzrokiem spadający w dół pieniądz, spadający ku ciemnemu nurtowi rzeki. Pens uderza w taflę z ledwie słyszalnym pluskiem i pochłania go woda. Oblivion wypowiada w duchu życzenie; tak się przynajmniej domyślamy.

Rusza dalej. Noc jest zimna, lecz jemu to odpowiada. Mija twierdzę Tower, gdzie na straży Imperium stoją kraczące ochryple wśród nocy kruki. Zaczepia go samotna prostytutka, lecz on tylko kręci głową i śpieszy dalej, w mrok, w ciemne i kręte uliczki East Endu.

Wokół niego gęstnieje mgła. Na ulicach gruz. Zniszczone podczas bombardowań kamienice, wciąż jeszcze nieodbudowane. Ponura dekada. W porzuconych budynkach coś się porusza. Oblivion nie przyśpiesza kroku. Niech przyjdą, myśli z dzikim wyczekiwaniem. To do niego niepodobne. Dzisiaj czuje się jednak wściekły i zagubiony. Cholerny egoizm Fogga!

Idzie przed siebie. Rzekę ma z prawej strony, miasto po lewej. Przed nim pub. Wewnątrz światła i śmiech. Z drzwi wynurza się pijanym krokiem ciemna sylwetka, wychodzi na ulicę, niemal zderza się z Oblivionem.

- Patrz, gdzie leziesz, dziadku! — warczy Oblivion.
- Przepraszam, synu, przepraszam. — Opierają się na nim dłonie nieznajomego. Pijaczyna odzyskuje równowagę, prostuje się. Piwny oddech na twarzy Obliviona. — Czy ty nie jesteś przypadkiem....
- Co, przypadkiem? - Próbuje staruszka odepchnąć, lecz ten ani drgnie.

Oczy leciwego mężczyzny otwierają się szeroko.

- Synalkiem pani Cable - mówi. - Stamtąd... - Wskazuje kciukiem wylot wąskiej alejki. - Z okolic Stepney - dodaje. - No, pani Cable, tej akuszerki...

- Obawiam się, że bierze mnie pan za kogoś innego — odpowiada Oblivion chłodno i stary się cofa, obrzuca go spojrzeniem, od stóp do głów. Garnitur od krawca z Savile Row i elegancka laska. Wreszcie kręci głową.

- Przepraszam pana - podejmuje. - Wygląda pan identycznie jak ten jej chłopak. Tyle że on byłby teraz sporo starszy i nie...

-Tak?

-Nie byłby, za przeproszeniem pana szanownego, dżentelmenem. Ona była uczciwą kobieciną, ale jej młodzi... Nie, żaden nie był dżentelmenem.

- Zjeżdżaj stąd! - syczy nagle, gwałtownie Oblivion. Znacząco zaciska pięść, bladą i groźną.

Stary się kuli. Obronnym gestem podnosi ręce do góry, z wyprostowanymi dłońmi. Oblivion, jakby zdjęty wstydem, opuszcza kułak.

- Co się z nią stało? - pyta. - Z tą akuszerką.

Drżące ramiona staruszka opadają. Minę ma bardzo dziwną.

- No wie pan, zginęła w czasie wojny - mówi.

-Jak?

- Nalot. Nie zdążyła w porę dobiec do schronu. — Mężczyzna spluwa na ziemię. - Tak samo straciłem żonę - dopowiada.

- Przykro mi.

Stary wzrusza ramionami.

- Cóż, wie pan - mówi.

Oblivion patrzy bez słowa. Nieznajomy odpowiada mu własnym spojrzeniem, widać w nim niepewność.

- Proszę - odzywa się Oblivion. Sięga do kieszeni. Dobywa szylinga. - Proszę to przyjąć. Za pański czas.

Stary przyjmuje pieniądze. Z rezerwą.

- Dziękuję - mówi. Wciąż jednak patrzy Oblivionowi prosto w oczy, nadal z tym zdumionym wyrazem twarzy.

- Idź już! - rzuca Oblivion i ponaglony mężczyzna spieszenie odchodzi lekko chwiejnym krokiem.

Oblivion odprowadza spojrzeniem jego malejące plecy.

82. LIMEHOUSE, LONDYN, 1954

Wstąpił w niego niespokojny duch. Maszeruje zwawo, zamasyście. Brzegiem rzeki. Doki, przybijające i odpływające statki. Widoki, wonie i dźwięki imperium. Nawoływania marynarzy, tragarzy, latarnie. Światła wabią go jak ćmę.

Pub nazywa się „Charlie Brown's”. Z zewnątrz nie da się nawet stwierdzić, czy jest otwarty, czy nie. Portowa spelunka, knajpa dla wilków morskich. Oblivion waha się przed wejściem. Teraz działają już bardziej eleganckie miejsca. „Royal Vauxhall Tavern”. „The Spartan Club”. Tylko że one są zalane światłem. Ten lokal kryje się w cieniu.

Wchodzi.

Półmrok i papierosowy dym. Woń wina i piwa. W pubie goszczą wyłącznie mężczyźni. Ktoś włączył gramofon. Doris Day śpiewa „Secret love”. Oblivion znajduje przy barze wolny stółek i zamawia piwo. Pije, jakby chciał zmyć z siebie tę noc, wspomnienie przysypanych pyłem ulic. Obraca się nieznacznie na siedzisku. Przy wejściu do męskiej ubikacji stoi dwóch dokerów - jeden nawiązuje z nim kontakt wzrokowy. Oblivion się odwraca. Sący piwo. Znow patrzy. Pierwszy z dokerów zniknął, drugi wciąż tam tkwi. Spotykają się spojrzeniami, porozumienie. Oblivion osusza szklanke, jakby zbierał się na odwagę. Wstaje.

83. LIMEHOUSE, LONDYN, 1954

Kochają się światłocieniem, grą jasności i mroku, pośpiesznie, ukradkowo. Ten drugi mężczyzna przyparty do ściany, ich naga skóra, Oblivion zlizuje z górnej wargi partnera lśniąca warstewkę potu. Po wszystkim nie zamieniają nawet słowa, rozchodzą się w przeciwnych kierunkach. Oblivion poprawia pasek i spinki u mankietów. Kiedy wychodzi z powrotem do portu, niebo się zaciąga. Wzbija w nim do lotu dziki głód, forma nostalgii za tym, co było, odeszło i nigdy nie wróciło.

WPROWADZONO KODEKS KOMIKSU 23 września 1954

NOWY JORK. W następstwie publicznych wysłuchań przed podkomisją amerykańskiego senatu do spraw przestępczości nieletnich, które odbyły się w kwietniu i czerwcu bieżącego roku i dotyczyły rysunkowych opowieści kryminalnych i grozy (tak zwanych „komiksów”), powstało Stowarzyszenie Amerykańskich Wydawców Magazynów Komiksowych, mające na celu wprowadzenie wśród jego członków samokontroli publikacji. Kodeks nowego ciała stanowi między innymi, co następuje:

- We wszelkich wypadkach dobro musi zatriumfować nad złem, a

przestępcy zostaną za swe występki ukarani.

- Zakazane zostają wszelkie sceny grozy, nadmiernego rozlewu krwi, zbrodni makabrycznych i szczególnie okrutnych, jak również obrazy deprawacji, pożądliwości cielesnej, sadyzmu i masochizmu.
- Zakazuje się bluźnierstwa, obscenów, sprośności, wulgaryzmów tudzież słów oraz symboli, jakie mogły zyskać niepożądane znaczenia.
- Nie wolno sugerować ani przedstawiać niedopuszczalnych relacji płciowych.
- Fabuły miłosno-romantyczne winny kłaść nacisk na wartości rodzinne i świętość związku małżeńskiego. Namiętność oraz wzajemne zainteresowanie natury romantycznej nigdy nie będzie narzędziem służącym pobudzaniu uczuć niskich tudzież prymitywnych.
- Motywy zła ukazywane będą jedynie pod warunkiem, że zamieszczone zostaną z zamiarem zilustrowania problemów moralnych, ponadto zło w żadnym wypadku nie może być przedstawiane w sposób atrakcyjny dla czytelnika ani w celu wypaczenia jego wrażliwości. Redakcja naszej gazety gorąco pragnie, by także wszelkie inne wydawnictwa, od owych niskich lotów „komiksów” po bardziej wyrafinowane formy powieściowe, stosowały się w przyszłości do podobnych wytycznych.

DZIESIĘĆ

PROCES

**JEROZOLIMA
1964**

EGZEKUCJA ADOLFA EICHMANNA 1 czerwca 1962

JEROZOLIMA. Skazany wyrokiem sądowym nazistowski zbrodniarz wojenny Adolf Eichmann, powszechnie uznany za jednego z głównych architektów ludobójstwa dokonanego przez reżim hitlerowski na narodzie żydowskim, został wczorajszego wieczoru powieszony w izraelskiej Ramii, w więzieniu, w którym był uprzednio osadzony. Eichmann, członek SS w randze Obersturmbahnführera, był jednym z naczelnych zwolenników „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. Brał udział w konferencji w Wannsee, podczas której uzgodniono nazistowską politykę ludobójstwa, i kierował wywózką Żydów do obozów śmierci. Za swe zbrodnie przeciwko ludzkości został skazany przez Sąd Okręgowy Jerozolimy w dniu 11 grudnia 1961. Trzysobowy skład sędziowski wydał jednomyślny wyrok.

Ciało Eichmanna zostało poddane kremacji, a prochy rozsypano nad Morzem Śródziemnym poza granicami Izraela, „w celu zapewnienia, by jego pamięć nie została nigdy uczczona i żadne państwo nie mogło stać się dla niego miejscem ostatecznego spoczynku”.

Eichmann mieszkał przez kilka lat w argentyńskim Buenos Aires.

Podejrzewa się, że jest tylko jednym z wielu hitlerowskich funkcjonariuszy wysokiego szczebla, którzy, ukrywając się pod przybranymi nazwiskami, umknęli do Ameryki Południowej, gdzie wielu z nich może przebywać do dziś.

84. JEROZOLIMA, 1964

Stary przylatuje do Tel Awiwu samolotem British Airways. Na lotnisku odbiera go pracownik miejscowego konsulatu.

— Gorąco, prawda? — zagaja człowiek z konsulatu.

— Zawsze tak tu macie? - pyta Stary.

— Przez większą część roku — odpowiada przepaszającym tonem gospodarz.

Do Jerozolimy jadą wśród zmieniających się raptownie pejzaży. Z nadmorskich równin ku niskim wzgórzom, ku gwałtownie wyrastającym górcom, stromymi podjazdami. Stary melduje się w hotelu King David. Na obrzeżach jerozolimskiej starówki, dokładnie na linii demarkacyjnej oddzielającej Izrael od Jordanii. Hotel jest po brzegi wypełniony gośćmi z całego świata. Wszyscy przyjechali obserwować proces. W barze aż gęsto od dymu z papierosów i cygar, gęsto od pijących na potęgę dziennikarzy i -oczywiście - Übermenschów.

— To największe zgromadzenie Übermenschów w historii - ekscytuje się przed kamerą reporterka CBS. Zjawisko w tamtej epoce, w tamtych czasach, praktycznie niesłychane: kobieta relacjonuje najświeższe wiadomości.

Dziennikarka stoi tuż przed hotelem, kamera ukazuje przybywających i wyjeżdżających gości. Z tłumu wychodzi jeden człowiek, imponująca sylwetka, mięśnie kulturysty wciśnięte w ciasny wielobarwny strój z lycry. Obnażony tors, dziko zmierzwiłone jasne włosy, skrzący się wzrok, połyskliwy uśmiech...

— Człowiek Tygrys! Tutaj, Tygrysie!

Mężczyzna odwraca się powoli, z leniwym uśmiechem śledzi obiektyw kamery. Roztacza wokół siebie zwierzęcy magnetyzm. Przyciąga nas, widzów. Na policzkach reporterki zauważamy delikatny rumieniec. Prawdę powiedziawszy, sami również lekko się czerwienimy.

— Cześć, Thereso — wita się Człowiek Tygrys.

- Tygrysie, czy przyjechałeś tu z powodu procesu? W charakterze przedstawiciela departamentu stanu? Czy mógłbyś wydać

oświadczenie w...

- Dziękuję, Thereso - przerywa Człowiek Tygrys. Odgarnia swoją blond grzywę. Widzimy, jakie długie i ostre ma paznokcie. — Znalazłem się tutaj - oświadcza Człowiek Tygrys przed kamerą - prywatnie, jako zwykły obywatel. Przyjechałem wiedziony jedną prostą potrzebą: chcę zobaczyć, jak sprawiedliwości staje się zadość.

-Tygrysie, czy prawdą jest, że rząd Stanów Zjednoczonych wystosował oficjalny protest wobec władz Izraela, w związku z aresztowaniem i porwaniem osobnika posługującego się nazwiskiem de la Cruz?

- Na to pytanie nie mogę odpowiedzieć, Thereso — stwierdza Człowiek Tygrys i rzuca dziennikarce dziki uśmiech, szczerzy się jak demonstrujące kły zwierzę.

Reporterka cofa się przed nim o krok.

- Jestem jednak przekonany — ciągnie Tygrys — że my wszyscy chcemy jedynie tego, by w ciągu kilku następnych dni dokonana się historyczna sprawiedliwość.

- Dziękuję za wypowiedź, Tygrysie...

Übermensch odwrócił się już od dziennikarki i - gdy kamera ukazuje zbliżenie jego barków - widzimy, że dołącza do niego kobieta w niebieskim, obcisłym kostiumie. Ciemnowłosa, szczupła. Słyszymy, jak Theresa bierze głęboki wdech, po czym mówi:

- Wypowiedział się dla was nasz słynny Człowiek Tygrys, bohater narodowy, a osoba mu towarzysząca nie może być nikim innym, jak równie sławną Cyklon. Oni, podobnie jak wielu innych, przybyli do izraelskiej Jerozolimy, by obserwować proces określany już przez niektórych mianem procesu stulecia. Mówiła Theresa Conway, CBS, Jerozolima.

Stary uśmiecha się niewesoło i obserwuje znikającego wśród wąskich

uliczek Człowieka Tygrysa. Stary wchodzi do baru, siada, zamawia szkocką i okrężnymi ruchami miesza alkohol w szklaneczce. Jemu się do procesu nie śpieszy.

A teraz siedzi w sądzie, żałując, że szkocka przestała dotrzymywać mu towarzystwa. Czeka. Obserwuje. W Izraelu nie ma ławy przysięgłych. Trzech sędziów siedzi samotnie, na prostym podwyższeniu, powyżej ław prokuratury i obrony, ponad szeregami dziennikarzy i widzów. Na środku sali stoi przezroczyste pudło, akwarium wykonane z kuloodpornego szkła. Wewnątrz zainstalowano mikrofon, ustawiono krzesło, i to właśnie na nim siedzi ten mężczyzna. W szkło zostały wtopione cienkie włókna przewodów elektrycznych. Szklaną klatkę otacza nikły, nieziemski blask, jakby okrywało ją swoiste pole siłowe, zamykające wewnątrz mężczyznę i jego ewentualne moce. Dmuchaają na zimne ci sprytni Izraelczycy. Widocznie wyciągnęli wnioski z Buenos Aires...

Nie robi wstrząsającego wrażenia ten cały de la Cruz. Szary człowiek w szarym garniturze, o siwych, krótko obciętych włosach, w okularach ze staromodnymi oprawkami i nienagannie zawiązanym krawacie z szarego jedwabiu. Jemu również jest gorąco w tym szklanym akwarium.

Stary zajmuje miejsce na samym końcu sali. Stąd może obserwować, nie będąc widzianym. Na każdym z krzeseł wisi para dużych słuchawek, podłączonych kablem do zainstalowanego obok gniazdka. Postępowanie toczy się po hebrajsku, podczas gdy przesłuchania świadków mogą się odbywać w ich ojczystych językach lub po angielsku. Z myślą o wygodzie publiczności i przedstawicieli prasy zapewniono symultaniczne tłumaczenie, dostępne właśnie dzięki tym słuchawkom. Stary jeszcze ich nie zakłada. Przygląda się reporterom, fotografom i ludziom ze stacji telewizyjnych. Przybyli ze wszystkich zakątków Ziemi. Amerykanie mieszają się z Chińczykami, Rosjanie z Zachodnimi Niemcami, wszyscy chcą zdać relację z tego procesu, każdy chce zdobyć jak najlepszy materiał o mężczyźnie ze szklanego pudła.

Salę sądową wypełniają izraelscy oficjele w tanich, znoszonych garniturach; w koszulach z rozpiętymi kołnierzykami, ze splamionymi atramentem palcami. Wypełniają ją odziani w swoje kostiumy bohaterowie, siedzący przez większość czasu nieruchomo, w milczeniu; jedyne barwne plamy w dość burym pomieszczeniu. Mężczyzna w szklanym akwarium, ten anonimowy de la Cruz, milczy. Dłonie złożył na kolanach. Poruszają się jedynie jego oczy; gwałtownymi ruchami omiatają salę, strzelają na wszystkie strony i Stary wie, że mężczyźni umyka niewiele. W jego oczach widać żywą, przenikliwą inteligencję. Sędziowie porządkują papiery. W sądzie z wolna zapada cisza.

Woźny wstaje z miejsca. Odchrząkuje.

Proces wreszcie się rozpoczyna. Sprawa państwo Izrael przeciwko Joachimowi Vomachtowi.

85. JEROZOLIMA, 1964

Zeznania składane przez Antona Gierasimowa przerywa na moment szmer. Nawet izraelscy żołnierze, rozrzućeni wzdłuż ścian, stają na baczność, sędziowie unoszą wzrok, a zagraniczni korespondenci rozglądają się dokoła, jakby niepewni powodu zamieszania. Drzwi sali stają otworem i wchodzi do niej wysoki mężczyzna z, jak to się czasem powiada, wydatnym torsem. Ubrany jest w przykurzony strój koloru khaki i kapelusz, który Izraelczycy nazywają *tembel* - bawełniany, w kształcie dzwonu, kryjący przed słońcem jego ciemną twarz. Bo skóra tego człowieka jest naprawdę ciemna. Ale nie, nie czarna. Nie tyle czarna, ile w dziwacznym odcieniu głębokiej zieleni. Przybysz przystaje i rozgląda się wokół siebie. Pomruki przybierają na sile, aż wreszcie ktoś się zachłystuje:

- Sabra!

Wzrok Sabry sunie po całym pomieszczeniu, aż wreszcie odnajduje mężczyznę w szklanym pudle. Tam zatrzymuje się na dłużej. Stary

obserwuje to ze swojego miejsca z tyłu. W sali pojawia się napięcie, jakby przeskoczył prąd elektryczny (z pewnością nie odpowiadają za nie Elektryczne Bliźnięta, z których tylko jeden jest obecny). Sabra porusza głową, ma gruby kark, podnosi rękę i wyrastają na niej kolce, porastają pierścieniem szyję, unoszą się też na plecach. Chwilę potem wiotczeją i znikają, a Sabra przechodzi bezszelestnie na tył pomieszczenia, gdzie podenerwowany młodzieniec ustępuje miejsca wielkiemu człowiekowi, temu bohaterowi powstania w warszawskim getcie, wojny o niepodległość, operacji Kadesz i - naturalnie - samego porwania Vomachta. Stary spogląda na Sabrę i ten - tylko na krótki moment - odpowiada spojrzeniem. W oczach herosa pojawia się wyraz rozpoznania. Bez słowa kiwa głową. Stary robi to samo.

Stojący za pulpitem świadka Anton Gierasimow wraca do składania zeznań. Ubrany jest na biało. Prosty, jednocześnie strój. Mężczyzna nie ma włosów. Twarz pokrywają mu liczne blizny. Oczy połyskują chłodem i błękitem.

- Walczył pan w partyzantce? - pyta prokurator. Wysoki, smukły człowiek po sześćdziesiątce, w jarmułce i konserwatywnym garniturze.

-Tak.

Gierasimow ma głęboki, ochryply głos.

- Przeciwno Niemcom?

-Tak.

- Gdzie to było?

- Działalem na terenie Białorusi. Uczestniczyłem w obronie i upadku Mińska. Potem prowadziłem grupę towarzyszy przeciwko temu hitlerowskiemu zwierzęciu i Einsatzgruppen.

- Einsatzgruppen? - dopytuje prokurator.

- Brygady śmierci - wyjaśnia Gierasimow.

Prokurator potwierdza skinieniem i spogląda przelotnie w stronę sali, by się upewnić, czy obserwatorzy pojęli.

- Czy jest pan osobą przemienioną, panie Gierasimow?
- Kerach - mówi świadek.
- Rozumiem, że to pański pseudonim, mam rację?
- W ten sposób będzie się pan do mnie zwracać — rzuca mężczyzna zza pulpitu.

Prawnik czerwieni się, niezbyt intensywnie.

- Oczywiście - przytakuje. - Kerach.

Na sali słyhać śmieszki, głównie — co skrzętnie odnotowuje Stary - ze strony wystrojonych w kolorowe kostiumy Übermenschów.

- Jesteś przemieniony, Kerach? Jesteś Übermenschem?
- Tak.
- Czy mógłbyś... Czy mógłbyś dokonać dla nas prezentacji?

-Tutaj? Teraz?

- O ile Wysoki Sąd nie zgłasza sprzeciwu? - Prokurator odwraca się do sędziów.
- Zezwolimy - mówi przewodniczący składu, siwowłosa mężczyzna z zawieszonymi na łańcuszku okularami do czytania.

Stojący za pulpitem Kerach wzrusza ramionami.

- Proszę bardzo - mówi.

Podnosi rękę, otwartą dłoń ku górze, jakby chciał w nią złowić niewidzialne płatki śniegu. Temperatura na sali ulega zmianie, spada. Oddech Starego wykwita mu mgiełką przed twarzą. Lód wspina się na parapety, wpadające przez okna promienie słońca rozszczepiają się w nim i pojawiają się tęcze. Drewnianą podłogę powleka lśniąca, twarda warstewka. Kerach porusza ręką, delikatnie. Obraca złożone w koszyczek palce, wyciąga ramię ku mężczyźnie w akwarium. W cichej sali sądowej rozlega się przypominający wystrzał trzask i kuloodporna szyba pęka. Podnoszą się krzyki, żołnierze ruszają w kierunku pudła.

- Stać! — woła ktoś. — Stój!

Palce Keracha poruszają się, jakby komponowały niemą symfonię. Lód pełźnie po szybach i zamknięty wewnątrz mężczyzna zostaje nagle, bez jednego odgłosu, uwięziony. Zapieczętowany. Żołnierze Armii Obrony Izraela skaczą na Keracha i powalają go na ziemię. Nie opiera się. Unieruchamiają mu ręce za plecami, skuwają je, a on nadal nie stawia oporu.

- Zróbcie coś!

- Być może ja zdołam pomóc - odzywa się ktoś inny.

- Kim pan jest, do diabła? - rzuca główny sędzia.

Uczynny ochotnik ma na sobie płomiennoczerwony strój i mówi z teksańskim akcentem.

- Płomienista Bestia — przedstawia się.

Sędzia kiwa głową, niechętnie. Tekszańczyk pstryka palcami i w jego dłoni ożywa ogień. Łagodnym ruchem wyciąga ramię ku akwarium i dmucha w płomień, który strzela naprzód, rozrasta się, obejmując całe szklane pudło.

- Przecież to jedna wielka katastrofa, do cholery - jęczy ktoś.

Niemniej, moment później, Płomienista Bestia wygasza swój płomień i widać, że akwarium zaczyna rozmarzać. Woda zbiera się na podłodze w szerokich kałużach, więzień w klatce zaczyna z powrotem oddychać, trzyma się dłońmi za szyję, powoli odzyskuje kolory.

- Cholerna katastrofa — skarży się ten sam człowiek.
- Spokój! Spokój!
- Zabrać go, niech ochłonie — mówi siedzący po lewej sędzia. Zażywny mężczyzna z gęstymi czarnymi włosami. - I naprawić stanowisko oskarżonego. Posiedzenie zostaje odroczone. Sąd zbierze się ponownie w dniu jutrzejszym.

Uderza młotkiem. Obserwatorzy wstają z krzesel. Żołnierze odprowadzają Keracha. Który wciąż się nie opiera. Gdy przechodzi między zebranymi Übermenschami, ci żegnają go radosnymi okrzykami, wielu poklepuje go po plecach.

Stary kręci z niesmakiem głową i podnosi się. Resztę dnia może uratować tylko drink w klimatyzowanym hotelowym barze.

86. JEROZOLIMA, 1964

- Proszę wstać, sąd idzie!
- Proszę siadać.
- Panie prokuratorze, ufam, że dzisiejszego popołudnia świadek nie dopuści się obrazy powagi sądu?
- Wysoki sędzie, świadek udzielił mi zapewnienia, że wczorajsze niefortunne zamieszanie już się nie powtórzy.
- Znakomicie... - Sędzia wzdycha i ze znużeniem pociera grzbiet nosa. - Świadek należy do pana - oznajmia.

Prokurator zaczyna krążyć po sali. Mężczyzna w zreperowanej już szklanej klatce siedzi ze stoickim spokojem. Anton Gierasimow - Kerach -wrócił za pulpit świadka.

- Ustaliliśmy - odzywa się prokurator - że był pan partyzantem, działającym w czasie wojny na terenach Białorusi. Jest pan, o czym wszyscy przekonaliśmy się chyba dostatecznie przekonująco....

Cichy śmiech, jedyny odgłos na milczącej sali.

- Übermenschem. Przemienionym. Czy to się zgadza?

- Zgadza się - odpowiada Kerach.

- Rozumiem - ciągnie prokurator. - Jak długo pan działał? W czasie wojny? - pyta.

- Zostałem pojmany na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego, jeżeli o to chodzi - mówi Kerach.

- Pojmany?

- Przez hitlerowców, panie prokuratorze. Przez to zdegenerowane, nazistowskie zwierzę. — Świadek wykonuje ruch, jakby chciał splunąć. -Wolfskommando - dodaje.

Prawnik teatralnym gestem sprawdza coś w papierach, czym jednak nikomu nie jest w stanie zaimponować.

- Ma pan na myśli wydział F Gestapo? - dopytuje.

-Tak.

- Czyli specjalny departament tajnej policji faszystowskiego reżimu, odpowiedzialny za chwywanie alianckich Übermenschów?

-Tak.

W sądzie podnoszą się szepty. Prokurator nie zwraca na nie uwagi.

- Czy świadek może opowiedzieć o sytuacji, w której został pojmany?
- pyta.

Kerach wzrusza ramionami.

- Udaliśmy się do wioski wyznaczonej przez Niemców do likwidacji - mówi. - Działała tam specjalna szkoła dla niepełnosprawnych. Dla kalek. Nasze informacje wskazywały, że hitlerowcy wysłali jedną ze swoich brygad śmierci, by tę szkołę oczyścić.

- Oczyścić?

-Dokonać eksterminacji. Brygady śmierci korzystały z ciężarówek gazowych. Zamykali dzieci wewnątrz i gazowali. Uważali to za akt humanitarny.

- Rozumiem.

Na sali panuje śmiertelna cisza.

- Co się stało, kiedy dotarliście już na miejsce? - pyta prokurator.

- Spóźniliśmy się. Szkoła była pusta. Członkowie Einsatzgruppen wyprzedzili nas o kilka godzin. Ciała uczniów znaleźliśmy pochowane na pobliskim polu, w masowym grobie. Nie były... Nie zostały zakopane głęboko.

- Rozumiem.

Prawnik ponownie pozwala sobie na chwilę milczenia.

- Co się wydarzyło w następnej kolejności? - pyta wreszcie, łagodnie.

Odpowiedź Keracha nie ma zupełnie nic wspólnego z łagodnością.

- Okazało się, że zostaliśmy zwabieni w pułapkę — mówi. — To była

zasadzka. Czekali na nas i kiedy się znaleźliśmy we wsi, ruszyli do akcji. Zabili moich ludzi. Rozstrzelali ich nad tą samą wspólną mogiłą, do której wrzucili dzieci. Mnie jednak nie zamordowali. - Uśmiecha się ponuro. - Zrobili wszystko, co w ich mocy, by zachować mnie przy życiu.

- Oni?

- Brigadeführer Hans von Wolkenstein - mówi Kerach. Znow ten mrozący krew w żyłach uśmiech. — Der Wolfsmann.

Zachłyśnięcie. Gdy tylko świadek wypowiada to nazwisko na głos, w sali rozlega się głęboki jęk obserwatorów. Człowiek Tygrys ryczy ze swojego siedzenia w pierwszym rzędzie, Cyklon składa mu dłoń na ramieniu i czeka, by towarzysz się uspokoił. Prokurator wiedzie wzrokiem po widowni, po twarzach sędziów, po czym na powrót skupia uwagę na stojącym za pulpitem człowieku.

- Chodzi o naczelnika wydziału F Gestapo?

- Tak. Jest negatorem.

- Negatorem?

- W jego obecności przestają działać moce Übermenschów.

- Czyli świadek nie był w stanie...

- Nie.

Kerach ponownie błyska swoim lodowatym uśmiechem.

- Spotykaliśmy się już przedtem - dodaje. - On i ja. Ja nie potrzebuję korzystać z mocy, by walczyć z drugim człowiekiem. - Wypowiadając słowo „moce”, spogląda na mężczyznę w szklanym pudle. - Wystarczyłby mi zwykły ucziwy pojedynek. - Wzrusza ramionami. - Ale nie dostałem nawet takiej możliwości.

- Został pan pojmany.

-Tak.

- Co się stało potem?

- Początkowo zostałem osadzony w obozie dla jeńców wojennych, na granicy Polski. Ogólny obóz. Nie trzymali mnie tam długo. Zresztą przez cały czas miałem wrażenie, że to tylko tymczasowe rozwiązanie. Przeniesiono mnie już kilka miesięcy później. Tym razem do Auschwitz.

Cisza w sądzie.

- Auschwitz - powtarza cicho prokurator.

-Tak.

- A tam? - zachęca prawnik.

- Zostałem oddany do dyspozycji doktora Mengele — opowiada Kerach. - Doktora Josefa Mengele.

Pomruk na sali. Wszyscy dobrze to nazwisko znają.

- Jak to wyglądało?

-Trzymano mnie w specjalnym miejscu, odseparowanym od baraków pozostałych więźniów obozu — mówi Kerach. — Zarówno osadzeni, jak i personel nazywali je Menażerią. Budynek był szczególnie dobrze chroniony, więziono tam wyłącznie Übermenschów. Doktor Mengele otrzymał specjalne pozwolenie władz Rzeszy na prowadzenie eksperymentalnych badań nad naturą przemiany. W oddzielnym laboratorium przetrzymywał bliźnięta. On zresztą miał prawdziwą obsesję na punkcie bliźniaków. Bliźniaków i karłów. Nie mam pojęcia, ilu ludzi w czasie wojny trafiło w jego ręce. Nas w Menażerii było wielu.

- Czyli świadek twierdzi, że Mengele prowadził na nim eksperymenty?

- Na nas wszystkich. Gazował nas. Rozcinał. Badał naszą odporność na prąd elektryczny, na kwas. Chciał się przekonać, jak silne obrażenia jesteśmy w stanie znieść. Niektórzy, bardzo liczni, nie przetrwali takiego traktowania.

- Czy może pan opowiedzieć bardziej szczegółowo o tym, co Mengele robił?

- Pamiętam parę bliźniąt - mówi Kerach. - Nie były przemienione. I były dla niego nikim, niczym. Romskie. Cygańskie. Mengele... - W tym momencie Kerach po raz pierwszy zawiesza głos. Mruga. — Mengele zszedł ze sobą. Eksperyment miał pokazać, czy uda się chirurgicznie stworzyć bliźnięta syjamskie. Przetrwały operację, lecz zmarły później, wskutek zakażenia. Miał też dziecięcych pacjentów. W ich obecności nazywał się wujkiem Mengele. Częstoował te maluchy słodyczami. Pewnego razu wstrzyknął chloroform w serca czternastu par jednojajowych bliźniąt. Kiedy już umarli, otworzył je na stole operacyjnym, po czym mierzył i porównywał ich organy wewnętrzne. To, co robił z nami, wydaje się w porównaniu z tym dość łagodne. Byliśmy przecież Übermenschami, nas nie zdobywało się tak łatwo. Chociaż i tak nie wszyscy przeżyli. Tych, którym się nie udało, odwozili wózkami do krematorium. Nigdy nie zapomnę tego smrodu. Nie da się zagłuszyć smrodu trzech milionów umarłych. On już nigdy nie wywietrzeje. A reszta? — dodaje Kerach. — Ci, którzy ocalili? My mieliśmy po prostu szczęście.

Cisza w sądzie. Prawnik - niczym bocian - obraca głowę to w jedną stronę, to w drugą. Ostatecznie jego spojrzenie zatrzymuje się na siedzącym w akwarium mężczyźnie.

- Chcę, by dobrze się pan teraz zastanowił - mówi. Zwraca się do Keracha, lecz patrzy na człowieka w szklanym pudle. — Czy w... Menażerii pojawiali się kiedykolwiek goście? Naziści?

- Często - odpowiada Kerach. - Raz odwiedził nas sam Hitler, chciał sobie popatrzeć. Uznano wtedy, że nie powinien wchodzić do środka, ze względów bezpieczeństwa. Stwierdzili, że jesteśmy zbyt groźni. Zamiast tego to nas do niego wyprowadzali. Jednego po drugim. - Kerach wzrusza ramionami. — Odniosłem wrażenie, że Hitler mocno się nudził.

- Ktoś jeszcze?

- Martin Bormann, przyjechał razem z Hitlerem. Eichmann, dwukrotnie. Pojawił się też Alfred Rosenberg, główny twórca nazistowskiej filozofii, duchowy przywódca partii. Pamiętam, że spierał się z Mengelem. Mówił, że utrzymywanie Menażerii jest procederem oburzającym i że wszystkich nas powinno się natychmiast zlikwidować. To był jedyny moment, gdy widziałem, jak doktor stracił nad sobą panowanie. Był bliski łez. Powtarzał tylko: „To dzieło mojego życia, dzieło mojego życia”. No, ale Rosenberg nie postawił na swoim, ponieważ następnego ranka wciąż żyliśmy. A byłem wówczas głęboko przekonany, że sprawa skończy się inaczej.

- A ten człowiek? — pyta cicho prokurator.

Wśród panującej na sali całkowitej ciszy zaczynamy rozumieć, że to wszystko, te pytania i odpowiedzi prowadziły do tej jednej, konkretnej kwestii.

- Ten człowiek - powtarza prokurator swym łagodnym, kulturalnym tonem, wskazując palcem mężczyznę za szkłem. — Czy świadek widział go kiedykolwiek w swoim więzieniu w Auschwitz?

Kerach spogląda na człowieka z akwarium. Przygląda mu się dłuższą chwilę. Podsądny nie patrzy świadkowi w oczy. Siedzi w milczeniu, z dłońmi na kolanach.

- Tak - odpowiada Kerach.

- Cisza!

Kerach zachowuje stoicki spokój, podobnie jak mężczyzna w szklanym pudle. W sądzie panuje jednak dokładnie odwrotna atmosfera. Prokurator cierpliwie, z wyczuciem dramatyzmu chwili, czeka, by na sali zapanował porządek.

- Czy świadek jest w stanie go zidentyfikować? — podejmuje wreszcie.

- Nie zostaliśmy sobie nigdy... oficjalnie przedstawieni - mówi Kerach, co wywołuje kilka śmiechów. - Niemniej słyszałem, jak Mengele zwracał się do niego, posługując się nazwiskiem doktor Vomacht - dodaje Kerach i natychmiast powraca wrzawa.

- Vomacht - powtarza prokurator.

-Tak.

- Czy odwiedzał Auschwitz więcej niż raz?

Kerach wzrusza ramionami.

- Dwa lub trzy razy.

- Mógłby pan podać dokładną liczbę tych wizyt?

- Trzy - stwierdza Kerach. - Widziałem go w obozie trzy razy.

- I jest świadek pewien, że to właśnie ten człowiek? Nikt inny?

- Tak - potwierdza Kerach. Patrzy na mężczyznę w szklanym pudle, który nareszcie spokojnie odwraca głowę i spogląda mu w oczy. - Tak - mówi świadek. - Jestem pewien.

87. JEROZOLIMA, 1964

- Nie - mówi. Kręci swą wielką głową. - Nie, nie zrobię tego. Nie mogę.

Stary przeciera czoło chusteczką. Od piątkowego wieczoru i na całą sobotę Jerozolima staje się prawdziwą pustynią: zamknięte są sklepy, nie działa komunikacja. Nad starymi i nowymi dzielnicami zapada cisza. Stary wraz z licznymi gośćmi z zagranicy spędza te okresy, tłocząc się w otwartych barach, obsługujących głównie turystów i przyjezdnych. Teraz właśnie siedzi w jednym z takich lokali. „Mikes”. Czeką, żeby zadziałała klimatyzacja, popija dwunastoletnią szkocką i marzy, by ta niekończąca się rozprawa znalazła wreszcie swój finał.

- No to opowiadaj, Czołg. Co u ciebie słychać? — pyta.
- Żyję - odpowiada Czołg. - Dzień za dniem.

Stary przygląda mu się badawczo.

- Nie starzejemy się - stwierdza, lecz mówi cicho, w zasadzie wyłączając do siebie.

Widział już Übermenscha po wojnie, po wyzwoleniu obozu Auschwitz-Birkenau przez Armię Czerwoną. Dawny olbrzym ważył wówczas nieco poniżej pięćdziesięciu kilogramów. Chodzący szkielet. Luźna skóra zwisała płatami z kości, wypadły mu zęby i włosy. Stary znalazł podkomendnego w szpitalu polowym czerwonoarmistów. Wyciągnął go, krzycząc na rosyjskich oficerów, którzy odpowiadali niemymi, nieprzyjaznymi spojrzeniami. Brytyjski Übermensch — jakby sugerowali — nie stanowi dla nich najwyższego priorytetu.

Stary obejrzał również sam obóz. Widział ludzi, którzy umierali już po wyzwoleniu, nie wskutek przemocy, lecz od jedzenia, które dostali od niosących im wolność żołnierzy. Za duże porcje, zbyt szybko, to ich zabijało. Cóż, przynajmniej umarli jako wolni ludzie, myśli Stary. Widział krematorium, góry popiołów i stosy ludzkich kości. Widział komory gazowe. Sterty złotych zębów, wyrwanych, lecz nie odesłanych, rozgrabiane przez żołdaków. Przecież to nawet nie jest wojna — pamięta, że tak pomyślał. Nie miał pojęcia, jakimi słowami określić to, co tam zobaczył. Wyjechał z Czołgiem ze szpitala i nianczył go przez całą drogę do bazy. Był przekonany, że go straci.

Czołg jednak kurczowo trzymał się życia. Uparcie. Nie odrosły mu włosy. Zęby zostały zastąpione złotymi protezami. Nikt nie pytał, skąd się wzięły. Przybierał na wadze, powoli. Wrócił do siebie. Nigdy nie wyzdrowiał do końca, ale nie był też martwy. Zawsze to coś, myśli Stary.

- Nie Vomachta powinni zamknąć w tej szklanej klatce - mówi Czołg.
- Tam powinien siedzieć Mengele.

- Zrobiliby to, gdyby mogli - zauważa Stary. - On... Miejsce jego pobytu wciąż pozostaje nieznane.

- Gówno prawda - rzuca Czołg. — Siedzi w Ameryce Południowej, w Argentynie, jak wszystkie te szczury, które uciekły z tonącego okrętu.

Stary wzdycha.

- Ameryka Południowa jest dość duża — przypomina.

- Vomacht-podejmuje Czołg. - Owszem. Był tam, w Auschwitz. Dwa, trzy razy? Był nazistą. Wtedy, w jego kraju każdy był nazistą. Wiesz, Stary? Nie mając partyjnej legitymacji, można było od razu dać sobie ze wszystkim spokój. Za co go właściwie sądzą? Wyłącznie za to, że był Niemcem w najgorszym momencie niemieckiej historii? Jaki miał wybór?

- Mógł się przeciwstawić tym...

- I pozwolić się rozstrzelać? — Czołg kręci wielką głową. — Za co stanął przed sądem? - pyta ponownie, cicho. - Za to, że nie okazał się bohaterem?

Stary popija szkocką.

- Za to, co zrobił - mówi. Patrzy na zniszczone oblicze Übermenscha.
- Za nas - dodaje z nagłą gwałtownością. - Sądzą go za to, co zrobił nam.

Czołg kręci głową.

- Nie pójdę tam - oświadcza. - Nie będę zeznawał.

Stary wypuszcza powietrze z płuc i jakby przy tym maleje. Łagodnie składa dłoń na ramieniu podwładnego.

- Nie musisz - mówi.

Kończy swoją whisky, a Czołg odchodzi.

88. JEROZOLIMA, 1964

- Proszę podać imię i nazwisko.

- Stanley Martin Lieber - przedstawia się stojący za pulpitem świadka mężczyzna.

Stary zdjął ciężkie słuchawki, w których szepce głos tłumacza. Przynajmniej to jedno przesłuchanie prowadzone jest w starej, dobrej an-gielszczyźnie.

- Zawód świadka? - pyta prokurator.
- Historyk i pisarz.

Lieber jest chudy i żylasty, niedługo po czterdziestce; ma równe białe zęby, opaloną twarz i nowojorski akcent.

- Między innymi - dopowiada prokurator - jest świadek autorem publikacji encyklopedycznej, zatytułowanej „Le Dictionnaire Biographique des Surhommes ”?
- Tak. — Mężczyzna uśmiecha się szeroko, odnosimy wrażenie, że uśmiech łatwo mu przychodzi.
- Pracy nigdy niewydanej po angielsku, co więcej, zakazanej zarówno

w Stanach Zjednoczonych, jak i Wielkiej Brytanii?

- Owszem... to dość... niefortunne.
- Pracy, której tytuł mógłby w przekładzie brzmieć „Słownik biograficzny Nadludzi”?
- Można tak założyć - stwierdza Lieber, co wywołuje stłumione śmiechy obserwatorów. - Übermenschów - podejmuje świadek. - Bo cóż właściwie pod tym pojęciem rozumiemy? Ponad Ludzi? Bohaterów? Przemienionych?
- To właśnie chciałbym usłyszeć od pana — mówi cicho prokurator.

Lieber wzrusza ramionami.

- Ta dziedzina nauki otoczona jest aurą tajemnicy i wieloma przesadami - mówi. — Mamy do czynienia z licznymi danymi apokryficznymi i próbami dezinformacji. Sporo historii jest utajnionych. Ja osobiście próbowałem, jeśli nawet nie rozjaśnić, to przynajmniej usystematyzować, co już wiemy. Lub co nam się wydaje, że wiemy. Niemniej nawet po wojnie, w zasadzie zwłaszcza po wojnie, rząd mojego kraju patrzy na tego typu badania mocno niechętnie.
- Z jakiego powodu? - pyta cicho prawnik.

Na sali panuje napięta atmosfera. Cisza. Lieber, po raz pierwszy, spogląda nerwowo.

- Nie jestem pewien, czy powinienem - zastrzega.
- Panie Lieber, proszę pamiętać, że składa pan zeznania pod przysięgą.
- Ma to związek z Operacją Spinacz — odpowiada świadek. Kolejne słowa wyrzuca z siebie prędko, pośpiesznie, jakby chciał się ich jak najszybciej pozbyć. W sądzie na moment wzrasta poziom hałasu, lecz

podniesione głosy szybko milkną. Stary dostrzega u dziennikarzy skupienie, koncentrację. Dla pismaków to atrakcyjny moment.

- Operacja Spinacz, panie Lieber?
- Tę operację prowadził mój kraj, armia Stanów Zjednoczonych, przez kilka lat tuż po zakończeniu wojny — wyjaśnia świadek.
- Jaki był jej cel, panie Lieber?
- Jawnym celem było zlokalizowanie i... repatriacja do Stanów Zjednoczonych... hmm... śmietanki niemieckich naukowców - mówi świadek.

Na sali rozlegają się okrzyki.

- Cisza! - woła sędzia przewodniczący.
- Tych ludzi zamierzano przewieźć do Ameryki pod nowymi nazwiskami? - pyta prokurator.
- Tak.
- Mimo ewentualnych zbrodni, jakie mogli popełnić w czasie wojny?
- Cóż, owszem. Uznano, że ich wiedza i doświadczenie mogą się przydać. Szczególnie chodziło o konstruktorów rakiet - tłumaczy Lieber. Jego spokój ostatecznie zniknął, mężczyzna zaczyna się pocić. - Ale oczywiście nie tylko - dodaje.
- Powiedział pan „jawnym celem” — zauważa prokurator, niezmiennie cierpliwym i spokojnym tonem. - Istniał jednakże jeszcze inny zamysł, czy tak?
- Tak.
- Na czym, wedle pańskiej wiedzy, polegał?

Lieber wybuchła śmiechem, jakby chcąc obrócić całą sprawę w żart. Wyciąga chusteczkę z wyhaftowanym monogramem i ściera pot z czoła.

- Cóż, to i tak chyba nigdy nie było tajemnicą—odzywa się po chwili.
-A mamy już lata sześćdziesiąte, więc...

- Panie Lieber? Czy zechce pan odpowiedzieć na pytanie?

- Übermenschowie — mówi świadek. — Drugim celem operacji, choć niektórzy powiedzieliby zapewne, że nadrzędnym, było odnalezienie i repatriacja niemieckich Übermenschów, których potencjalnie mogłyby wykorzystać nasze siły zbrojne.

Na sali hałas, oburzenie. Stary uciska palcami grzbiet nosa. Wyczuwa zbliżający się atak migreny.

- Rozumiem - stwierdza prokurator, gdy w sądzie zapada cisza. -
Proszę powiedzieć, panie Lieber. Czy może pan stwierdzić, jako historyk i ekspert na tym polu, czyje nazwisko znajdowało się na pierwszym miejscu obu tych tajnych list? Kto był najusilniej poszukiwanym celem Operacji Spinacz?

Lieber przygryza wargę. Spogląda na człowieka w szklanym pudle. Mężczyzna podnosi wzrok i patrzy mu w oczy. Świadek wyciąga rękę i wskazuje człowieka z akwarium.

- Jego szukali - mówi. - Szukali doktora Joachima Vomachta.

- Cisza! Spokój na sali!

- Czyli rozpoznaje pan w oskarżonym Joachima Vomachta?

Lieber przetyka ślinę; jabłko Adama podskakuje mu wyraźnie.

- Wedle wszelkich znanych mi świadectw i materiału fotograficznego tak. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że ten człowiek to Joachim

Vomacht.

- Rozumiem. Proszę powiedzieć, panie Lieber. Jest pan Żydem.
- Czy to było pytanie? - upewnia się świadek i na sali wybucha śmiech.

Prokurator uśmiecha się cierpliwie.

- W czasie wojny służył pan w wojskach łączności?

-Tak.

- I tam zajmował się pan kampaniami propagandowymi?

-Tak.

- W szczególności tymi dotyczącymi wyższości i szczególnego statusu amerykańskich Übermenschów?

Lieber wzrusza ramionami.

- Naszych bohaterów od początku otaczała aura wielkości. My im w tym po prostu pomagaliśmy.

- Czy to właśnie w tamtym okresie zainteresował się pan przemienionymi, panie Lieber?

- Przemiana fascynowała mnie od zawsze — stwierdza świadek. - To, co wydarzyło się w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, odmieniło oblicze świata. Ten człowiek zmienił całą naszą rzeczywistość.

- Panie Lieber, czy jako Żyd, w świetle późniejszej, nazistowskiej ideologii rasowej i próby całościowej likwidacji własnego narodu, nie uważa pan czynów doktora Vomachta za zbrodnię najwyższą?

- Sprzeciw! — wtrąca natychmiast obrońca.

Stary uświadamia sobie, że adwokat przez większość czasu siedzi bez słowa.

Sędziowie naradzają się przez chwilę ściszonymi głosami.

- Sprzeciw oddalony - ogłasza wreszcie przewodniczący składu. -
Panie Lieber?

W spojrzeniu Liebera pojawia się dziwny błysk. Gwałtowny płomyk, który przeobraża jego rysy, sprawia, że mężczyzna wydaje się przez moment niewinnym dzieckiem.

- Z wielką mocą wiąże się wielka odpowiedzialność — odpowiada szeptem.

- Przepraszam, panie Lieber, nie rozumiem?

Lieber kręci głową, lecz jego spojrzenie majaczy gdzieś w oddali, jakby widział coś dostępnego tylko własnym oczom.

- Moim zdaniem przemiana... - zaczyna. — Myślę, że to najwspanialsze, co kiedykolwiek spotkało rodzaj ludzki.

- Panie Lieber!

Obrońca uśmiecha się pod nosem.

- Nie mam więcej pytań — stwierdza z goryczą prokurator.

89. JEROZOLIMA, 1964

- Porozmawiajmy teraz o pańskich... współpracownikach - mówi adwokat.

Stary prostuje się w krześle, nadstawia uszu.

- O jakich współpracownikach? - pyta mężczyzna zza szyby.

- Czy w obozie Auschwitz poznał pan doktora Mengele?
- Sprzeciw!
- Wysoki sędzie? - Prokurator wzrusza nieznacznie ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Naprawdę? Sprzeciw?”.
- Sprzeciw oddalony. Świadek odpowie na pytanie oskarżenia.

Prawnik kiwa głową.

- Dziękuję. - Zwraca się z powrotem do Vomachta. Unosi pytająco brwi.
- Ten człowiek był zwierzęciem. Świnią. Stosował fundamentalnie błędną metodologię badań.

Szmer na sali.

- Znał go pan? Ile razy się spotkaliście?
- Nie odpowiem na to pytanie.

Prokurator wzrusza ramionami.

- Rozumiem - mówi. Teatralnie przegląda dokumenty, na co Stary uśmiecha się z aprobatą. - Załóżmy więc, że poznał go pan...
- Sprzeciw!
- Sprzeciw podtrzymany. - Przewodniczący składu marszczy brwi i patrzy srogo na oskarżyciela, który unosi ręce w geście kapitulacji.

Z sali buchają śmiechy. Sędziowski młotek uderza w blat.

- Spokój! W moim sądzie ma panować cisza!

Prawnik ponownie zwraca się do mężczyzny w klatce ze zbrojonego

szkła. Otaczające akwarium połyskliwe pole siłowe wydaje monotony, elektryczny pomruk. Przywołuje w naszych głowach przelotne skojarzenie z bzyczącymi w trawie pszczołami, z ciepłym letnim dniem.

- Proszę się teraz dobrze zastanowić - podejmuje w najmniejszym stopniu niezrażony oskarżyciel. - Chciałbym, by cofnął się pan wspomnieniami do czasów wojny. Istniał człowiek, który dostarczał doktorowi Mengele do badań liczne... okazy. Szef wydziału F Gestapo.

W klatce świadka cisza.

- Czy zna pan osobę, o której mówię? - pyta cicho prokurator.

Milczenie trwa dalej.

- Brigadeführer Hans von Wolkenstein - podsuwa prawnik, wciąż tym samym spokojnym, niebezpiecznym tonem. - Znacznie lepiej znany pod pseudonimem Człowiek Wilk.

Cisza.

Prokurator wzrusza ramionami.

- Rozumiem — stwierdza. — Proszę zaprotokołować, że świadek nie odpowiedział na pytanie. - Przewraca kartkę, spogląda w dół, podnosi wzrok na mężczyznę w szklanym pudle. - Pozostaje jeszcze jedna sprawa, drobnostka - podejmuje.

Uporczywe milczenie.

- Chodzi o pańską córkę... - zaczyna prokurator.

Świadek wstaje z miejsca. Po raz pierwszy okazuje jakiegokolwiek emocje.

- Jej do tego nie mieszajcie! - woła ze ściągniętą gniewem twarzą.

- Co się z nią stało? — pyta cicho prokurator. - Her Doktor Vomacht, co się stało z pańską córką?
- Sprzeciw!
- Sprzeciw podtrzymany. Proszę zachować ostrożność, panie prokuratorze. - Główny sędzia ścisną palcami grzbiet nosa, wzdycha. — Posiedzenie zostaje odroczone do jutra - decyduje.

90. JEROZOLIMA, 1964

Ostatnie wspomnienie z tego procesu, kilka tygodni później.

- Nie byłem! Pan nie rozumie!

Vomacht, myśli Stary, przez cały czas zachowywał się cicho, niemal zbyt spokojnie. Przed sądem przewinęła się już długa parada świadków, Übermenschów i naukowców, lecz bardzo mało pojawiło się osób, które poznały Vomachta osobiście, ludzi, którzy się z nim kiedykolwiek zetknęli. Vomacht jest cieniem rzucanym nie przez kolejnych zeznających, lecz przez ich własną ocenę jego postaci, jego postaci i skutków przemiany. Vomacht od zawsze wiódł życie samotnika. Stary sięga pamięcią do wojny. Już wtedy nie było możliwości, by zdobyć choćby jedno wyraźne zdjęcie tego człowieka. Cień. Jeden z nich.

Aż do tej ostatniej rundy pytań pozostawał łagodny. A teraz łagodność i spokój zniknęły. Jakby wyczuwał, że proces dobiega końca, że niebawem nie będzie już żadnych wystąpień, przemówień, ani jednej okazji więcej. Vomacht stoi w swym pudle z kuloodpornego szkła i gniewnie patrzy na tłum zebranych w sali Übermenschów i dziennikarzy. Mówiąc, wygraża im pięścią. Świetnie się trzymający, nieprzemieniony człowiek, cień wyciągnięty wreszcie na światło.

Rzuca oskarżycielowi nieprzyjemne spojrzenie.

- Pyta pan, z kim pracowałem? Chce pan poznać nazwiska moich

współpracowników? - Gniewnie, głęboko zaczerpuje powietrza. - Pracowałem z Planckiem - mówi. — Z Heisenbergiem! Z Dirakiem i Bohrem! Podobnie jak oni byłem naukowcem i wspólnie penetrowaliśmy samo serce wszechświata!

- Doktorze Vomacht, proszę - napomina prokurator.
- Nie! Nie rozumie pan! Zajmowaliśmy się... Próbowaliśmy... poznać samego Boga! Urządzenie nie zostało zaprojektowane, by... Ono nie miało...
- Doktorze Vomacht, proszę odpowiedzieć na pytanie!

Vomacht grozi prawnikowi palcem, niczym niesfornemu uczniakowi.

- Zasada nieoznaczoności...
- Doktorze Vomacht!
- To, co stało się potem, nie było, nie mogło być, moją winą! - oświadcza Vomacht. - Herr Hitler...

W sądzie wybucha wrzawa.

Ze strony sędziów:

- Cisza! Cisza na sali!

Obserwatorzy nie dają się jednak uciszyć, nie ci wszyscy Übermenschowie.

- Spokój! Proszę o spokój!
- Doktor Vomacht odpowie na zadane przez sąd pytanie!

Prokurator podpiera się dłońmi o pulpit, jego palce odcinają się od ciemnej drewnianej powierzchni.

- Doktorze Vomacht - podejmuje swym kulturalnym, cichym głosem.
- Czy należał pan do partii nazistowskiej?

Zapada nabrzmiała wyczekiwaniem cisza. Vomacht toczy dokoła złym wzrokiem. Nagle kojarzy się Staremu z motylem; z uwięzionym w szklanym słoju motylem.

- Pracowałem naukowo — mówi Vomacht. — Ja nie...
- Czy nie spotkał się pan z Führerem trzy razy w...
- Wszystko, co robiłem, robiłem w imię nauki!
- Spokój! Bo w przeciwnym wypadku...

W tym momencie dawne wspomnienie gaśnie. Bledną kolory, barwy sali sądowej oraz ludzi w niemodnych już fryzurach, odcienie jaskrawych kostiumów, kiepskich garniturów, wyłożonej parkietem podłogi. Wszystko rozpada się w czarno-białej śnieżycy analogowego ekranu niedostro-jonego telewizora.

I znika.

DALSZA ESKALACJA WALK W WIETNAMIE 5 października 1967

SAJGON. Amerykańska obecność wojskowa w Wietnamie wzrosła do pięciuset tysięcy żołnierzy. W ubiegłych miesiącach ciężkie walki trwały w okolicach Da Nang i Ia Drang. Nie ustają też prowadzone przez amerykańskie lotnictwo zmasowane naloty, w tym przy użyciu napalmu. Na całym obszarze Stanów Zjednoczonych wybuchają protesty.

W kwietniu tego roku licząca czterysta tysięcy uczestników manifestacja antywojenna przemaszerowała z Parku Centralnego pod nowojorską siedzibę ONZ. W swoim dorocznym raporcie o stanie

państwa prezydent Lyndon B. Johnson powiedział: „Żałuję, iż nie mogę ogłosić, że konflikt zbliża się do końca. Nie mogę tego uczynić. Czekają nas dodatkowe koszty, kolejne ofiary i jeszcze więcej cierpienia. Koniec jeszcze nie nadszedł”.

JEDENAŚCIE

GORĄCZKA DŻUNGLI

LAOS

1967

91. BANGKOK, TAJLANDIA, 1967

Oblivion leci z Londynu do Bangkoku. Pierwszą klasą, w lnianym garniturze tropikalnym uszytym na miarę przez krawca z Savile Row. W Bangkoku spotyka się z człowiekiem z ambasady, niejakim Jeffriesem, wysokim nerwowym mężczyzną z cienkim wąsikiem. W hotelu Siam Interconti-ental poszli na drinka. Pod sufitem leniwie obracają się wiatraki, zachodzące słońce maluje niebo żywą czerwienią, błękitem i żółcią. Otacza ich zieleń. Ogrody tego hotelu są owiane legendą. Moskity bzyczą równie leniwie jak wentylatory. Pracownik ambasady zapala swymi zwinnymi, nerwowymi palcami pall malla, wymachuje papierosem w powietrzu.

- Dym odstrasza moskity, wie pan.

Przywołuje kelnera pstryknięciem.

- Chłopcze, podaj nam dwa dziny z tonikiem, tylko migusiem. -
Odwraca się i przeprasza ramionami. — Wybrałem ze względu na tonik, wie pan...

- Chinina? — pyta Oblivion.

- Zgadł pan, kochanieńki, zgadł pan—mówi Jeffries. Rozgląda się. W jedną stronę, w drugą. — No i? — ponagla obsługę lub samo powietrze. — No i?

Kelner zbliża się spieszonym krokiem. Niesie na tacy dwie wysokie szklanki, ustawia je na podkładkach, szklane ścianki od razu pokrywa rosa skraplającej się wody.

- Bezczelny gnojek - mówi Jeffries z czułością. Chłopak z tacą odchodzi, rzucając posłuszny uśmiech. Jeffries sięga po napój. -
Zdrówko, drogi panie.

Palce Obliviona oplatają szklaneczkę, rozlega się przy tym dźwięczne

brzęknięcie, zupełnie jakby kurant wybił godzinę. Kiedy pije, bąbelki łaskoczą go w język. Smak toniku — gorzki i zimny — spływa po gardle.

- Papierosy na Moskity, dzin z tonikiem na malarię - odzywa się Jeffries, ponownie szeroko uśmiechnięty.

Czego on się tak bardzo boi? - zastanawia się Oblivion.

- Proszę mi opowiedzieć o wojnie - mówi. Wyciąga paczkę papierosów, postukuje nią o blat, wysuwa jedną sztukę, zapala, obserwuje rozmówcę przez kłęby dymu.

Jeffries wierci się, gasi papierosa w podsuniętej popielniczce, zapala drugiego.

- Mamy tutaj spektakl wyłącznie amerykański, wie pan. Niczyj inny. Amerykańskie przedstawienie.

- Tak, tak - mówi Oblivion cierpliwie.

- My się oficjalnie nie angażujemy - ciągnie Jeffries z westchnieniem. - W regionie interesuje nas przede wszystkim handel.

- Handel?

- Przecież ktoś musi produkować broń — stwierdza Jeffries, jakby wypowiedział właśnie największą oczywistość świata. Być może zresztą tak właśnie jest. - Amunicję. Samoloty. Śmigłowce. — Macha ręką wśród dymu. - Czego dusza zapagnie. No i bomby. Całą masę cholernych bomb.

Oblivion czeka.

- Wietnam - mówi dalej Jeffries. - Tam bajzel jest koszmarny. - Jego szklanka jest już pusta. Skinieniem zamawia dolewkę. Swojego drinka Oblivion zakrywa dłonią. Jeffries wzrusza ramionami. - Ale pan nie po-

jedzie do Wietnamu - mówi. - Skierujemy pana do Laosu. Szczerze mówiąc, to zadupie. Wie pan może, na czym polega główny problem regionu? - pyta. - Na tym, że pozwoliliśmy go przejąć Francuzom. Tymczasem powinniśmy zagarnąć Laos, Wietnam i Kambodżę dla siebie. Przekłete żabojady. Tak, tak. I proszę tylko spojrzeć na ten bałagan. Komunizm -ciągnie Jeffries. - Co te żółtki mogą wiedzieć o komunizmie? Im tu potrzeba silnej ręki. Dobrze przynajmniej, że Malaje są nasze — kończy.

Oblivion przeczekuje, jego oblicze nie zdradza niczego.

- Cóż, Laos - podejmuje Jeffries. - Trwa tam akurat dość paskudna wojna domowa. Rojaliści rozpaczliwie próbują utrzymać się przy władzy. Komuchy, tu nazywają się Pathet Lao, korzystają z pomocy Sowietów. Amerykanie oficjalnie się w Laosie nie angażują. Nieoficjalnie jednak... -Uśmiecha się. Zęby ma żółte i krzywe. — Zresztą sam się pan przekona - dodaje. Mało przyjemnym tonem.

- Proszę mi opowiedzieć o zaangażowaniu naszych — mówi Oblivion, i tym razem słowo „naszych” nabiera specyficznego znaczenia.

Jeffries drga.

- Tego musi się pan dowiedzieć osobiście — odpowiada. — Chyba właśnie po to pan przyleciał, prawda? — rzuca mu wyzwanie.

- Nie lubi nas pan — stwierdza Oblivion i Jeffries wybucha śmiechem, bez mała histerycznym. Zrozumienie uderza Obliviona nagle, jak wspomnienie dawnego bólu. Czego się boi? Ciebie się boi.

92. LOTNISKO DONG MUANG, TAJLANDIA, 1967

- Pan jest tym Brytolem?

Pilot jest wysoki i opalony, ma równe białe zęby i zielone oczy o barwie agatu.

- Mike! - przedstawia się.
- Oblivion — przedstawia się Oblivion.

Ściskają sobie dłonie.

- Miło poznać — mówi Mike. Jego ręka omiata gestem cały kompleks.
- Witamy w liniach Air America — dodaje.

Lotnisko znajduje się pod Bangkokiem. Kilkanaście helikopterów marki Bell stoi obok podobnej liczby samolotów transportowych, dwusilnikowych de havilland caribou i fairchildów C-123. Jest wczesne rano, lecz już teraz panuje upał. Pilot, Mike, przygląda się Oblivionowi z podziwem, jego lnianemu garniturowi, kapeluszowi z szerokim rondem.

- Świetny ma pan styl! — ocenia.
- Dziękuję - odpowiada Oblivion ponuro.

Mechanicy uwijają się przy samolocie, który wylądował ledwie chwilę temu. Burta maszyny jest usiana dziurami po kulach, co Oblivion odnotowuje z niejakim niepokojem.

Mike zauważa jego spojrzenie i śmieje się.

- Tym się proszę nie martwić! - mówi. - Dowiozę pana na miejsce całego i zdrowego.

Oblivion wzrusza ramionami i idzie za lotnikiem przez płytę, ku otwartym drzwiom naprędce skleconego kwadratowego baraku. Odręcznie wypisany krzywymi literami kartonowy szyld głosi: „Air America: Cokolwiek, Gdziekolwiek, Kiedykolwiek”. Wchodzą do tonącego w półmroku wnętrza. W kącie pomieszczenia migoce

wyciszony telewizor. Na ekranie widać amerykańskiego prezydenta, Lyndona B. Johnsona, rozmawiającego w Białym Domu z dziennikarzami. Po chwili relację z konferencji zastępują zdjęcia lecących w szyku samolotów wojskowych. I znowu zmiana, tym razem coś o wojnie izraelsko-syryjskiej. Przed nimi, na odwróconych skrzynkach po piwie, siedzi grupka mężczyzn w cywilnych ubraniach. W powietrzu jest aż gęsto od dymu z wypalanej marihuany. W radiu leci „White Rabbit” grupy Jefferson Airplane. Oblivion przez chwilę czuje się wyrwany ze swego własnego czasu, przeniesiony do tego obcego miejsca, w tę obcą chwilę. Dwóch facetów wita się skinieniami.

- Mike - odzywa się ktoś. - Co to za tajniak?
- Pasażer - wyjaśnia pilot.
- Nasz?
- Nie - odzywa się lekko przepraszającym tonem Oblivion. - Obawiam się, że nie.
- Brytol? - Wtem uświadamiają to sobie i atmosfera ulega nagłej zmianie. Spojrzenia się odwracają, nieznacznie.

To zabawne, myśli Oblivion. Lub nie, nie zabawne. Dziwne. Dziwne, że Amerykanie, którzy publicznie tak gorąco swych bohaterów fetują, prywatnie ich unikają, jak nieczystych.

- Skręta? - proponuje ktoś, podając mu papierosa z marihuaną.

Oblivion dziękuje zdawkowym gestem, częstuje się za to piwem. Jest ciepło.

- Niech się pan nie martwi - mówi Mike. - Dowieziemy pana do Laosu w minutkę.
- Jak to wygląda? - pyta Oblivion.

- Co, Laos?
- Wojna - prostuje Oblivion.
- Jaka wojna? - rzuca Mike i pozostali zanoszą się śmiechem. Zupełnie jakby ktoś opowiedział stary wyświechtany dowcip. — To pan nie wie, że w Laosie nie ma wojny?
- Powiem coś panu za darmo - wtrąca inny pilot. — Cholernie się cieszę, że nie jestem w wojsku. Pieprzona dżungla. Wietkong, kurwa ich mać.
- Tak - wtóruje koledze Mike. — Wszystko wygląda świetnie, póki się jest w powietrzu, nie?

Chór potaknięć. Mike kręci głową.

- Ale na ziemi? - podejmuje. - Równie dobrze moglibyśmy walczyć z duchami, kurwa.
- Z duchami? - powtarza Oblivion, nieco ostrzej.

Pozostali zauważają zmianę tonu, spoglądają niepewnie. Piloci, uświadamia sobie Oblivion. Wszyscy ci faceci są pilotami. Mieszana zgraja. Zastanawia się, w jaki sposób tu trafili, jak trafili do CIA.

- Tak, z duchami - potwierdza ktoś, cicho.
- Aha — dodaje inny.

Nie patrzą jednak na Obliviona. Rozglądają się.

- To przynosi pecha - mamroce jeden z lotników i Oblivion wie, że Amerykanin ma na myśli jego obecność.
- Chodźmy. — Mike wstaje z miejsca. — Proszę się tymi durniami nie przejmować. Są ujarani. Zbyt wiele lotów, za dużo dżointów.

- A i tak za mało - komentuje ktoś i wszyscy się śmieją.

Oblivion też się uśmiecha.

- Miło było was poznać - stwierdza.
- Ciebie też, tajniaku. — Znowu ten rechot.

Ulga, myśli Oblivion. Czują się lepiej, bo ja już wychodzę.

Zmienia się muzyka, z przenośnego radia płyną teraz pierwsze dźwięki utworu The Monkees „Daydream Believer”.

Na zewnątrz zalewa ich słońce. Mike zamienia kilka zdań z mechanikiem, kiwa głową.

- Wszystko gotowe - ogłasza.

Idą do samolotu.

- Może pan usiąść w kokpicie - mówi pilot.
- A co jest z tyłu? - pyta Oblivion.

Mike wzrusza ramionami.

- Ładunek - odpowiada. - Broń, bomby, trawka, jedzenie, pan wie... Wszystko jest ładunkiem.

Oblivion bierze głęboki wdech. Powietrze pachnie olejem silnikowym i paliwem, czuć tę ciężką, wilgotną woń soli i smoły znad morza. Co on tu robi? To nie jest ich wojna, ich wojna toczyła się całe życie temu i zupełnie gdzie indziej. Poza tym jest teraz sam, a ta samotność trwa już szmat czasu. Szmat czasu, który - niekiedy, bardzo późną nocą, gdy Oblivion się budzi i widzi oblepiającą okna zimną mgłę - wydaje się wiecznością.

93. ISAN, TAJLANDIA, 1967

Mike puszcza na cały regulator „Lucy in the Sky with Diamonds”. Oblivion wygląda przez brudne szyby samolotu. Patrzy w dół na równiny. Na zewnątrz ryczy wichur. Równiny i niewielkie wioski ze strzech i bambusa. Stada krów, drzewa bananowe, podnoszący się znad palenisk dym - i znów odnosi to dziwne wrażenie oderwania, wydarcia z ram własnego czasu.

-To już tutaj! - wydiera się Mike, próbując przekrzyczeć zarówno warkot silnika jak i śpiew Lenona.

Ziemię poniżej rozcina nagle głęboka, ziejąca rana, a samolot pochyła się, zakręca i leci wzdłuż niej.

— Mekong! - woła Mike.

Kończy się połączyć pustego terenu i po drugiej stronie rzeki wyrasta miasto, zupełnie jakby, przelatując nad korytem Mekongu, przenieśli się do jakiegoś innego świata. Oblivion widzi ulice, kolonialne francuskie budynki, buddyjskie świątynie o złotych dachach, czarną stupę, która rozsiadła się niczym starożytna ropucha, samochody, wozy, przechodniów, palmy, basen nowoczesnego hotelu.

Samolot przelatuje nad rzeką, frunie ponad miastem i Oblivion dostrzega na niebie inne samoloty. Wzbijają się coraz wyżej. Stado kruków.

— Nasze miasto, mordeczko! — krzyczy Mike.

Nasze miasto, nasze samoloty, nasza pieprzona wojna.

Samolot obniża się w kierunku pasa startowego, The Beatles przestają śpiewać, zmienia się muzyka. Oblivion dopiero po chwili rozpoznaje następną piosenkę - to Johnny Rivers śpiewa „Secret Agent Man”.

94. WIENTIAN, LAOS, 1967

Oblivion ląduje na lotnisku Wattay. Na niebie jest gęsto od skrzydeł. Słyszy angielskie rozmowy prowadzone z różnymi amerykańskimi akcentami. Słyszy również francuski i laotański. Nie spodziewał się tutaj tak wielu osób, tak wielu samolotów, takiego ruchu.

- Hmongowie - odzywa się Mike, wskazując na grupę ludzi wysiadających z dużego śmigłowca, niosących ciężkie pudła. — Górskie plemiona.

- Co mają w tych pudłach? - pyta Oblivion.

Mike wzrusza ramionami. Ucieka z oczami.

- A skąd ja mam wiedzieć, cholera? - odpowiada.

Spiesznym krokiem podchodzi do nich mężczyzna w cywilnym ubraniu.

- Dziękuję, Mike - mówi. - Rozejść się.

-Jezu, Bob, wyluzuj - rzuca Mike. - Nie jesteśmy w wojsku.

- Dobra, dobra - odpiera Bob i zwraca się do Obliviona. - Urwanie głowy z tymi pilotami, nie? - Zmęczony uśmiech.

Po kilku chwilach są już w mieście. Dżip ostro hamuje, Oblivionem rzuca.

- Idziemy! - ponagla Bob.

Oblivion zastanawia się, czy to prawdziwe imię. Stają na ulicy Setthathirat przed barem „Samlo”. Wnętrze jest mroczne, ciemne i pełne dymu. Długi drewniany kontuar, w kącie stół bilardowy i grupka otoczonych wianuszkami dziewczyn pijanych pilotów. Wszyscy wylewnie witają wchodzącego z Oblivionem Boba.

- Chodź — namawia Bob. Zamawia dwie szklanki piwa i zanosz je na pustą kanapę.

W pobliżu nie ma nikogo. Z szafy grającej leci „Paperback Writer” Beatlesów.

- Więc jak... - zagaja Bob. Pociąga długi łyk piwa. Kiedy kończy, głośno wzdycha. - Stary cię przysłał.

-Tak.

- Pieprzony dupek. - Bob wybucha śmiechem. Śmieje się swobodnie, bez trudu. - Ten facet od lat śwędzi nas jak pryszcz na dupie - dodaje Bob. - Bez obrazy.

- Oczywiście — mówi Oblivion.

-Jak piwo?

- Smaczne - odpowiada Oblivion. - Podejrzewamy, że zaczyna tracić nad sobą panowanie. - Piwo jest smaczne.

-Najlepsze piwo w całej Azji Południowo-Wschodniej - oświadcza Bob z dumą.

- Nie wątpię — mówi Oblivion, którego zasoby cierpliwości są już na wyczerpaniu. — A teraz opowiedz mi o waszych Ubermenschach, Bob.

- Myślałem, że to nie nasi Ubermenschowie cię interesują. Co, Oblivion? — pyta Bob.

Oblivion patrzy Amerykaninowi w oczy, wokół których widać cienkie, opalone zmarszczki. Nawykły do uśmiechu i przebywania na zewnątrz. Nie wolno go lekceważyć, stwierdza w duchu Oblivion. Człowiek z Firmy. Z Centralnej Agencji Wywiadowczej, od facetów, którzy wygrali ostatnią dużą wojnę i nie potrafią sobie wyobrazić, że mogliby kiedykolwiek przegrać. Aczkolwiek co do tego, myśli nieco

niespokojnie, mogą się grubo mylić.

- Rozumiem, że Wietkong korzysta w swoich operacjach bojowych z pomocy Übermenschów? - pyta wprost Oblivion.

- Oni i Pathet Lao - mówi Bob - chociaż ci drudzy mają z tym lekki ideologiczny kłopot.

- Jak to?

- Pamiętasz może Orwella? - pyta Bob. Uśmiecha się. Zapala papierosa.

Wojna, przypomina sobie Oblivion. Na wojnie wszyscy palili.

- Wszystkie zwierzęta są równe - ciągnie Bob. — Ale niektóre są równiejsze od innych.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że oni wam nie ufają — tłumaczy Bob. — Nad Ludziom. Ponad Ludziom. Pieprzonym Ubermenschom. Czy kim tam tak naprawdę jesteście. Wszystkie zwierzęta są równe, ale wy... Czym właściwie jesteście? Czy w tej chorej metaforze jesteście w ogóle zwierzętami? On był Brytolem, nie? Orwell? Osobiście wolę Hemingwaya. „Słońce też wschodzi”. Zajebicie dobra książka. Czytałeś?

-Nie.

- Ach, serio? - Bob wydaje się nieco zaskoczony. - Wiesz, powinieneś.

- Zapamiętam - mówi Oblivion.

Bob wzrusza ramionami.

- Papierosa? - proponuje.

Oblivion niechętnie przyjmuje. Nie palił od lat, a teraz ta nowa misja, nowa wojna. Wracają wspomnienia.

- Czyli nie korzystają z Übermenschów regularnie?
- Nie. Tylko...

W tym momencie Bob urywa, jakby miał powiedzieć coś, czego nie powinien. Uśmiecha się, macha w powietrzu papierosem i dopija swoje piwo jak wodę.

- Słuchaj, stary - mówi, wstając z miejsca. Kładzie rękę na ramieniu Obliviona. Gest do bólu przyjazny, lecz w jego dotyku daje się wyczuć stal. - Zostań tu na kilka dni - mówi. - Tydzień. Zostań, cholera, ile tylko chcesz. Pooglądaj widoki, zagraj w bilard, znajdź sobie dziewczuchę. - Rzuca Oblivionowi uśmiezek. - Albo chłopca. Jak wolisz.
- Wskazuje gestem bar. - Sam sobie wybierz. A potem wracaj do domu. Tu nie ma nic do zobaczenia. Kurde, stary, Laos to kraj neutralny. Nawet nas tutaj nie ma! - Bob się śmieje. Podnosi rękę, poklepuje Obliviona po plecach. - Do zobaczenia - mówi i zostawia Anglika siedzącego, mrugającego w ciemności baru „Samlo”.

95. WIENTIAN, LAOS, 1967

Jakie to uczucie być Oblivionem? Nie Oblivionem i Foggiem, nie Foggiem i Oblivionem? Jak to jest, być samym Oblivionem: pozbawionym czegoś, co kryłoby go przed światem, bez nikogo, kto dzieliłby z nim ciężar długich lat?

- *Oblivion, pojawili się jacyś nowi?*
- *Sam znasz odpowiedź.*
- *Czyli nie — mówi Fogg.*
- *Nie.*

Samotny, a jednak niezupełnie sam, gdyż nocą - nie do końca pamięta, jak do tego dochodzi: bar, zbyt wiele drinków później. Spotkanie dwóch obcych mężczyzn mających zostać kochankami, z tą świadomością wiszącą między nimi od samego początku. A potem droga powrotna do taniego hotelu i miłość na wilgotnej pościeli, a jeszcze później...

Fajka. Kulka żywicy. Ten słodki, zbyt słodki zapach rozchodzi się po całym pokoju. Przyjmuje podaną fajkę, przytyka sobie do warg, zaciąga się słodczą dymu. Czuje się bardzo daleki od wszystkiego i wszystkich.

Czuje, że kurczy się świat. Zaciskają się wokół niego ściany, pomieszczenie staje się dwuwymiarową ramką; więzi go w sobie, a on bezradnie próbuje uciec, kwadrat przypomina okno, zawiera go w sobie. Porusza się bardziej gwałtownie i natychmiast zamiera. Ponownie wpada zeszywniały w nową ramkę i jeszcze jedną, każdy ruch to nieruchoma klatka. Po następnej ramce jego usta otwierają się w bezsilnym krzyku, wyłaniają się z nich słowa: EEEEEIIIGGGHHH!

Co, do...? - myśli i ta myśl wyrasta w dymku nad jego głową w nowej ramce, jak chmura. Tuż obok materializuje się mroczna postać. Przestraszony Oblivion uderza pięścią. TRACH! BUM! ŁUP! Cień wykonuje unik, strzela do niego. BAM! BAM! Oblivion przetacza się po podłodze widzi przed sobą światło, otwór. Pełźnie, czołga się przez coraz węższe ramki, jego ciało sunie z jednej do drugiej, wydrukowane między wyrysowanymi czarnym atramentem granicami. PAF! - rozlega się głośny wystrzał. AAACHHHHH! - krzyczy ktoś. Oblivion brnie ku światłu, które nagle się otwiera i wsysa go, ramki, cienie, całą czerną, szarość i biel...

Zalany oślepiającym blaskiem przenika do świata intensywnych barw podstawowych. Na niebie świeci czerwone słońce. Strzeliste drapacze chmur wyciągają się w powietrze niczym srebrne rakiety. Ludzie w latających samochodach odrzutowych śmigają wesoło dokoła, obok przechodzi mężczyzna w niebieskim stroju, w czerwonej bieliźnie i

pelerynie. Jest też kobieta z kocią maską na twarzy. Gdziekolwiek Oblivion spojrzy, widzi maski. Nad jego głową pojawia się gigantyczny znak zapytania. Przechodzi na drugą stronę ulicy. Widzi myśli innych ludzi, szybujące im w chmurkach nad głowami, widzi mężczyznę z nadmiernie szerokim uśmiechem wyciętym w zbyt bladej twarzy. Widzi człowieka, który wspina się po ścianie niczym pająk.

Spada.

W dół opiumowej ciemności. Próbuje otworzyć oczy, jakaś jego część wciąż znajduje się w tym hotelowym pokoju, leży na rozłożonym na podłodze materacu, w objęciach nagiego ciała innego człowieka. Fajka nadal się pali, noc jest wilgotna, wypełniona delikatnymi dźwiękami, leniwym brzęczeniem moskitów, lecz on spada, mimowolnie zamyka powieki, pochłania go wewnętrzny świat i wtedy:

Gryzie go radioaktywny pająk, wpada do kadzi z kwasem, zostaje uwięziony w komorze pola wewnętrznego, umierający kosmita obdarowuje go pierścieniem mocy, wojskowi naukowcy przywiązują go do stołu i przeprowadzają na nim eksperyment, wskutek którego staje się wojownikiem doskonałym. Jako dziecko zostaje wysłany ze swej umierającej planety na Ziemię, po wyjściu z opery, na jego oczach, bandyci mordują mu oboje rodziców, bombarduje go kosmiczne promieniowanie, wybiera numer w budce telefonicznej, zostaje wystawiony na działanie promieni gamma z wybuchającej bomby, je szpinak, odkrywa dziwny meteoryt, znajduje starożytną maskę, która należała do pewnego bóstwa... i... i--- i— Oblivion skamle na nagim łóżku, pościel nasiąkła jego potem. Ciepła dłoń na czole.

- Cii, cii.

- Przytul mnie - szepce Oblivion.

Przywiera do niego obce ciało, pieści, pociesza.

Oblivion zaczyna wymachiwać rękoma, nogami.

- Nie, nie.

Aż wreszcie więzące go ramki pękają, otwierają się jak okna i uwalniają.

- Cii, już dobrze — odzywa się ten drugi mężczyzna i Oblivion uspokaja się jak dziecko w łóeczku.

Zamyka oczy i - wreszcie - zasypia.

96. WIENTIAN, LAOS, 1967

Potrząsają nim czyjeś ręce. Mało delikatnie. Budzą. Oglądamy to, widzimy: Oblivion na rozłożonym na podłodze materacu, otwarte okno; dopalające się odstręczające moskity kadzidło; ten gęsty, mdlący zapach; wilgotna, wymięta pościel. Obok Anglika spoczywa nagi, śpiący kształt, blade ciało pięknego chłopca. Oblivion otwiera zapuchnięte oczy, sklezione powieki, jego głowa, co się stało z jego głową, nocą przyszli złodzieje i ją skradli, nie przychodzą za to wspomnienia, gdzie się podziały brakujące godziny?

-Wstawaj, leniwy sukinsynu - rozlega się głos, dłonie wciąż nim wstrząsają, drażnią Obliviona, który macha ręką, trafia w stół i wymazuje go z istnienia, lampa spada z hukiem na podłogę. - Ej, uważaj, kolego — rzuca głos.

Śpiący obok Obliviona kształt zaczyna się budzić, zaniepokojony.

- Spadaj - dodaje głos.

Młody mężczyzna mruga zaspanymi oczyma. Uśmiecha się, przelotnie muska ramię Obliviona i spada.

Oblivion siada, opiera się plecami o ścianę. Trzaskają zamykające się drzwi. Patrzy.

- Człowiek Tygrys? - pyta.

- Cześć, stary.
- Kopeć lat - zauważa Oblivion.
- Żebyś, kurde, wiedział.
- Co ty tu robisz, do diabła? - Oblivion z niewyraźną miną poklepuje materac. - Gdzie jest... - zaczyna i milknie. - Która godzina?
- Pora wstawać — odpowiada Człowiek Tygrys. - Hej ho, hej ho, do pracy by się szło. Masz, napij się.

Oblivion przyjmuje butelkę wody. Pije. Chłodny płyn przywraca go do życia.

- Więc co? Teraz jesteś tajnym agentem?
- Jestem sobą - odpowiada Tygrys.

Oblivion przypatruje mu się badawczo. Nie wygląda starzej niż przy ostatnim spotkaniu. Kiedy to było? W czterdziestym szóstym? Czterdziestym siódmym? Ten sam arogancki uśmiech, grzywa jasnych włosów, muskularna sylwetka. Coś jednak zmieniło się w jego spojrzeniu. Stało się starsze, zimniejsze, twarde. Oblivion odnosi ulotne wrażenie, że patrzy w lustro. Jakby spadał.

- Co się stało z tym twoim partnerem? - pyta Człowiek Tygrys.
- Z kim? Z Foggiem?
- Facet był jakiś śliski, nigdy mu nie ufałem - stwierdza Tygrys. - Wiesz, w czterdziestym szóstym... - Urywa. - Zresztą nieważne. Przyjechałeś tu węszyć dla Starego? Wiem. Bob mi powiedział. Węszyć za Ubermenschami.
- A są tu jacyś? - pyta Oblivion.

Człowiek Tygrys wzrusza ramionami.

- Pewnie - przytakuje. -Tajowie, Laotańczycy, Wietnamczycy... Kogo to, kurwa, obchodzi?

Równowaga, myśli Oblivion. Dawna maksyma Starego. Walczący po obu stronach Ubermenschowie wzajemnie niwelują swój wpływ na wydarzenia.

- Ale? - pyta Anglik.

Wstaje, zaczyna zbierać ubrania. Co robił wczorajszej nocy? - zastanawia się. Próbuje sobie przypomnieć.

- Ale mam jednego, którym na pewno się zainteresujesz - wyjaśnia Człowiek Tygrys, a kiedy mówi, jego usta zmieniają kształt. Twarz się wyciąga, zęby przeobrażają się w ociekające śliną kły drapieżnika.

- Co to za jeden? - pyta Oblivion.

- *Der Wolfsman* - odpowiada ten drugi.

97. LAOS, 1967

Helikopter unosi się, odlatuje znad miasta. Mekong został daleko z tyłu. Przed nimi góry, ośnieżone szczyty.

- Sowieci wspierają Wietnamczyków z Północy. — Człowiek Tygrys przekrzykuje dźwięk wirników.

Kabinę omiatają silne strumienie ciepłego powietrza. Oblivion kiwa głową. Raczej z uprzejmości niż szczerego zainteresowania.

- Pieniądze, szkolenia, sprzęt - ciągnie Amerykanin. - Normalka. - Ruchem kciuka wskazuje pilota i rozciąga wargi w dzikim uśmiechu. - Ci chłopcy, nasze kochane „Air America”, latają z misjami bojowymi. Bombardują Szlak Ho Chi Minha na granicy z Laosem...

Pytający wzrok Obliviona, Tygrys wyjaśnia:

- Ten szlak łączy Wietnam Północny z Południowym, po drodze przechodzi przez terytorium Laosu. - Nagle mierzy palcem prosto w twarz Obliviona. - On właśnie tam siedzi.

- *Der Wolfsmann.*

- Teraz, kurwa, pracuje dla Ruskich. Dasz wiarę? - Człowiek Tygrys śmieje się, porykuje. - Akurat on.

Oblivion wzrusza ramionami. Jakby chciał powiedzieć: „Co za różnica?”.

- Co dla nich robi? — pyta.

- To samo, co zawsze robił - tłumaczy Tygrys. — Poluje na Übermenschów. Zmienił tylko mocodawcę. Skompletował też zupełnie nową bandę. Kilku starych towarzyszy z czasów wojny, tych, którzy nie zginęli, nie dali nogi do Argentyny ani nie zostali... — Człowiek Tygrys urywa i, jeśli to w ogóle możliwe, robi nieco głupią minę.

- Nie zostali przejęci przez wasz rząd w ramach Operacji Spinacz? To chciałeś powiedzieć?

Amerikanin zbywa kwestię zdawkowym wzruszeniem ramion.

- Pozostali to miejscowi — podejmuje. - Z Wietnamu i Laosu. Ma też paru Chińczyków.

- Na czym więc polega problem? — rzuca Oblivion. — Dlaczego się nim interesujecie?

- Przestał przyjmować rozkazy z Moskwy - mówi Człowiek Tygrys. Jeszcze jedno wzruszenie ramion. - Nie wiem, jak to się stało, że w ogóle zaczął dla nich robić. Jakimś cudem wyciągnęli wilka z wojny. Uratowali mu życie, lecz to oznaczało, że mieli go w garści, na dobre.

- I teraz to Rosjanie chcą go zlikwidować? - pyta Oblivion.

- Skoro przestał wypełniać ich polecenia, nie mają wyjścia - stwierdza Człowiek Tygrys. — Próbują się go pozbyć.

- Więc pozwólmy im na to — proponuje Oblivion.

Rozmówca szczerzy się w szerokim uśmiechu i zapala skręta.

- Jak to? - pyta. - Mielibyśmy stracić całą zabawę?

98. LAOS, 1967

Szu, szu, szu, szu. Śmigłowiec frunie ponad graniami i wąskimi ścieżkami, nad tarasowymi polami ryżowymi, ich żółta barwa oszałamia wzrok.

Szu, szu, ostrza wirnika rozcinają powietrze. Oblivion spogląda w dół i widzi prowadzącego stado kóz chłopca, kobiety w szerokich, okrągłych kapeluszach kryjących ich twarze przed słońcem. *Szu, szu,* helikopter wznosi się coraz wyżej i wyżej. Góry wydają się Oblivionowi ogromne, co on tu właściwie robi?

- Zabić sukinsyna — rzuca Człowiek Tygrys.

- Wczoraj w nocy paliłeś opium, prawda? - pyta Tygrys i Oblivion, jakby usłyszał właśnie najbardziej zabawne pytanie świata, zaczyna się śmiać, gwałtownie i głośno, gdyż nagle wróciła mu pamięć.

- Stary, jaki ja miałem pokręcony sen! - mówi.

Helikopter obniża lot, z chmur wyrasta wioska niskich, zbudowanych na stoku chat. Tuż za skalistym występem pojawiają się jacyś ludzie, mają ze sobą broń. Ktoś strzela w powietrze. Człowiek Tygrys głośno przeklina. Pilot przez cały czas zachowuje spokój. Niezbyt jest rozmowny, możliwe, że upalony równie mocno jak wszyscy. Bill, myśli Oblivion. Czy nazywa się Bill, czy Tom? Nieważne, w każdym razie jakoś podobnie. Pilot sadza maszynę bezpośrednio na zboczu. Odwraca się.

- No, proszę bardzo, panowie! - woła.

Oblivion i Człowiek Tygrys wysiadają. Pilot unosi kciuk. Po kilku momentach otaczają ich uzbrojeni mężczyźni. Wszędzie dokoła rosną maki, czerwone jak krew, spływająca w dół górskiej skarpy rzeka krwi. Oblivion słyszy kroki, nieznajomi rozstępują się bez słowa. Niska, przysadzista sylwetka. Umięśniony facet, tkanina kostiumu ciasno opina pierś...

-Ty tutaj? - rzuca Oblivion.

-Tak, ja tutaj - odpowiada Czerwony Sierp.

99. LAOS, 1967

Skrzynie, skrzynie i jeszcze więcej skrzyń we wnętrzu bambusowej chaty. Mężczyźni - Hmongowie - przenoszą je do helikoptera. Na Obliviona nikt nie zwraca najmniejszej uwagi. Anglik otwiera jedno z pudeł i wszystkie elementy wskakują wreszcie na właściwe miejsca.

Pojemnik wypełniają ciasno ułożone stosy sztabek opium. Przetworzone opium zapakowane do szczelnie zamkniętych woreczków. Woń narkotyku nadal kręci Obliviona w nosie, ten piżmowy, słodki lub kwaśny zapach. Aromat snów.

Zerka w stronę śmigłowca. A więc liniami „Air America” transportują opium, uświadamia sobie. U jego boku materializuje się Człowiek Tygrys, pali cygaro.

-Widzę, że odkryłeś naszą małą tajemnicę - zauważa, a jego zęby wgrzają się w trzymane w ustach zwinięte liście tytoniu. - Ale chyba na nas nie naskarżysz, co, Oblivion?

- Co z tym potem robicie? - pyta Oblivion.

Tygrys wzrusza ramionami.

- Opłacamy wysiłek wojenny kraju - odpowiada. - Towar leci stąd na lotnisko Wattay lub do Long Tieng. A dokąd stamtąd? Nie mam pojęcia.

Oblivion myśli o ludziach w białych fartuchach. O pracownikach tajnych laboratoriów z retortami w dłoniach. Szczególnego rodzaju praca naukowa. Przerabiają opium na to, co Niemcy - od kiedy Bayer dokonał owego wynalazku w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym - nazywają heroiną. Od słowa oznaczającego „bohatera”.

- Czyli to dlatego CIA chce śmierci Człowieka Wilka? - pyta.

- Puszczą z dymem uprawy maku - wyjaśnia Amerykanin. Kręci przy tym głową, jakby z niedowierzaniem. — Pracuje dla niego wietnamski towarzysz, pan Wan, podpalacz. Obaj kosztują CIA miliony, tyle tracimy na niezrealizowanych zyskach.

- I właśnie z tego powodu musi zginąć?

- I właśnie z tego powodu musi zginąć.

- A wy łączycie siły z Rosjanami. Z Czerwonym Sierpem.

Człowiek Tygrys uśmiecha się, bez mała z nostalgią.

- Pamiętasz Cecilienhof? Poczdam? Konferencję? Siedział tam ramię w ramię ze Stalinem i resztą rosyjskiej delegacji.

- Pamiętam — przytakuje Oblivion. — Pamiętam Berlin w czterdziestym szóstym.

Myśli o Foggu, którego Człowiek Wilk zawsze napawał strachem. Każdy ma swojego demona.

- Czyli jak? Zrobisz to z nami? - pyta Człowiek Tygrys.

Oblivion nadal myśli o Foggu. Powinien, co prawda, myśleć o Czołgu w Auschwitz, o fiasku paryskiej operacji, lecz jest w stanie myśleć

wyłącznie o Foggu.

- Tak, zrobię to.

100. GRANICA LAOTANSKO-WIETNAMSKA, 1967

Idą przez góry wydeptanymi w trawie ścieżkami, ich przewodnicy trzymają w dłoniach maczety. Oblivion słyszy dolatujące z lasów odgłosy. Tutaj wciąż żyją wilki i niedźwiedzie, chmury przesłaniają cały świat poniżej.

Z Anglikiem idzie przeobrażony Człowiek Tygrys. Tropi nieco z przodu w swej zwierzęcej postaci. Bije od niego ta szczególna woń dzikiego piżma. Zupełnie jakby ta sytuacja zapewniała mu seksualne doznania, stwierdza w duchu Oblivion, zażenowany.

Trzy dni na tych ścieżkach... Gdzieś na laotańskiej granicy, na ziemi niczyjej. W pewnym momencie odeszli nawet przewodnicy. Zostało ich tylko trzech: Oblivion, Człowiek Tygrys, Czerwony Sierp, taki zawiązany przez Übermenschów mini ONZ. Makowe pola ustąpiły uprawom ryżu, te ustąpiły dzikim, pierwotnym lasom. Są sami, upał jest nieznośny, mo-skity kaleczą im skórę. Oblivion desperacko macha ręką. Wymazuje je, lecz nieustannie nadlatują kolejne chmury.

- My się nie starzejemy - przypomina Czerwony Sierp z szerokim uśmiechem - ale umrzeć możemy.

Człowiek Tygrys skrada się naprzód, porzucił ludzki kształt. Wczorajszego wieczoru zostawił rozbijanie obozu towarzyszą i zniknął wśród drzew. Nocą usłyszeli ryki, wrzask jakiegoś zwierzęcia, rankiem czekało na nich świeże, skrwawione mięso.

- On już nie wróci do ludzkiej postaci, zdziczał, zwariowany Janke - mówi Czerwony Sierp.

Posoka plamiąca mu wargi przy jedzeniu ma odcień nieco ciemniejszy niż jego kostium. Nadal nosi symbol skrzyżowanego sierpa i pięści, znak rosyjskich Swierchliudiej. Oblivion przypomina sobie smukłą kobietę o nawiedzonym, ciemnym spojrzeniu i wiecznie wilgotnych długich czarnych włosach, ubraną w niebieski uniform z tym samym symbolem.

- Co słyszeć u Rusalki? - pyta.
- Sybir. - Czerwony Sierp się krzywi i nie dodaje ani słowa.

Trzeciego dnia docierają do celu.

Oblivion jest w lesie sam. Człowiek Tygrys grasuje po okolicy, Czerwony Sierp zajął własny punkt obserwacyjny. Dokładnie ustalili położenie obozu, ukryli się głęboko w lesie. Oblivion z tęsknotą myśli o gorącym prysznicu, mydle, jedzeniu. Smród własnego ciała przyprawia go o mdłości.

Jego pierwszą ofiarą staje się chłopiec. Oblivion czai się przy strumieniu, nad który chłopak przyniósł butelki do napełnienia. Nawet nie słyszy zachodzącego go od tyłu Anglika. Oblivion kładzie mu na głowie dłoń, jakby go błogosławił. Wydziera w czaszce młodzika koryto nicości i łagodnie podtrzymuje upadające ciało. Potem chowa zwłoki, najstaranniej jak potrafi. To znacznie łatwiejsze niż wymazywanie całego człowieka.

Nocą słyszy dolatujący z oddali ryk i ucięty w połowie wrzask.

Dzień później nikt już nie opuszcza obozu w pojedynkę. Wychodzą grupkami, uzbrojeni ludzie i Übermenschowie. Ich moce są dziwne, niepokojące. Oblivion się kryje. Słyszy odległe krzyki i wystrzały, śmiech Czerwonego Sierpa, dźwięk ostrego metalu rozcinającego ludzkie ciało, krzyki, potem znów zapada cisza.

Trzeciej nocy nie wychodzi z obozu nikt.

- Człowieka Wilka ruszyć nie możemy - zauważa Oblivion.
- Tak, to negator - mówi Człowiek Tygrys. Wzrusza ramionami. - Zaczekamy - dodaje i Czerwony Sierp popiera go burknięciem. - Zaczekamy na wilka. W końcu sam do nas wyjdzie.

Czwartej nocy budzi Obliviona swąd dymu i trzaskanie płomieni. Ostrożnie przechodzi między drzewami, wspina się na wzniesienie, spogląda w dół. Przed bramą obozu Człowieka Wilka stoi niski mężczyzna, ubrany w wyprasowany strój khaki. Wyrasta przed nim ściana ognia, błyskawicznie rozchodząca się od zabudowań na zewnątrz. Oblivion klnie.

-To musi być ten słynny pan Wan — mówi Czerwony Sierp, który materializuje się nagle obok niego. Poniżej huczą płomienie.

Nie, dociera do Obliviona. To nie ogień. Silniki. Z obozu wyjeżdżają rozpędzone dżipy, ludzie z karabinami maszynowymi w rękach. Jednego z nich rozpoznaje. Tego wysokiego, jasnowłosego Skandynawa. Kolejny nazistowski Ubermensch, który uciekł po tamtej wcześniejszej wojnie. Wciąż jednak nawet śladu Człowieka Wilka.

Dżipy się rozdzielają.

- Wybrali się na łowy - odzywa się Czerwony Sierp. Śmieje się. - Polowanie na tygrysa! - dodaje.

W dole szaleją płomienie, sięgają coraz bliżej ich pozycji. Oblivion spogląda na towarzysza.

- Co teraz? - pyta.

- Teraz? - powtarza Czerwony Sierp. — My też wybierzemy się na łowy.

Ledwie wypowiada te słowa, w jego dłoni pojawia się ten olbrzymi sierp. Rosjanin szczerzy się szeroko, błyska stal. Czerwony Sierp

wzbija się do lotu, dokładnie tak samo jak wtedy, gdy wiele lat temu Oblivion oglądał go na leningradzkim niebie. Brytyjczyk zostaje sam. Słyszy oddech ognia, trzask pękających drzew, odległy ryk polującego tygrysa. Oblivion wzdycha. Strzela kostkami dłoni. Wreszcie rusza w las, prosto ku zbliżającym się płomieniom, wyciąga przed siebie rękę, idąc, wymazuje ogień, rośliny i ziemię.

101. GRANICA LAOTANSKO-WIETNAMSKA, 1967

Świt rozpościera się nad tą okolicą bardzo późno. Słońce, by się pokazać, musi wyrzeć ponad górskie szczyty. Kiedy już się pojawia, rzuca promie-nie na wymarłą, wypaloną ziemię. W powietrzu czuć woń spopielonej materii organicznej, kory, liści, ludzkich ciał i uwięzionych w pułapce pożaru mniejszych zwierząt. W nocy spadł deszcz i ziemia nasiąkła. Pachnie teraz jak nieumyty pies. Przewrócony dżip leży do połowy zagrzebany w błocie. Pan Wan, wietnamski podpalacz, spoczywa w nienaturalnej pozycji tuż obok samochodu. Jego czaszka została schludnie przecięta, dokładnie w połowie.

Oblivion wychodzi chwiejnym krokiem na polanę przed obozem. Jest uwalany krwią i błotem, serce mocno bije mu w piersi, wyczerpanie oblepia go niczym wilgoć.

- Czyli jednak przeżyłeś - mówi, gdy obok pojawia się druga sylwetka.

Czerwony Sierp, z opuchniętym, podbitym lewym okiem, w podartym kostiumie, ze zranionym prawym ramieniem, wiszącym w tej chwili na prowizorycznym, pośpiesznie związanym i przesiąkniętym krwią temblaku.

Czerwony Sierp wzrusza ramionami.

- Übermenschowie nie umierają ot tak - stwierdza.

Z ich lewej strony leżą w błocie zwłoki potężnego Skandynawa. Jego ciało jest dziko rozszarpane, na piersi i ramionach znać ślady zębów. Oblivion za nic w świecie nie potrafi sobie przypomnieć imienia tego mężczyzny. Z drugiej strony zbliża się odgłos cichego stąpania i pojawia się tygrys. Zwierzę przystaje, węszy przez moment w powietrzu i kicha.

- Powrót syna marnotrawnego - rzuca oschle Czerwony Sierp.

Dziki kot obraca łeb i mruga. Wreszcie, powoli, zaczyna przeobrażenie, zrzuca futro, podnosi się i zaraz potem stoi obok nich Człowiek Tygrys. Spogląda posępnie, wydaje się dziwnie wymięty.

- Ciężka noc? - pyta Oblivion.

- Nie mogłem zasnąć - odpowiada Tygrys.

Całą trójką stoją przed pogrążonym w milczeniu obozem. Oblivion, a po jego bokach Czerwony Sierp i Człowiek Tygrys.

Czekają.

Do zniszczonego lasu zakrada się cisza. Słońce wschodzi z wolna ponad górami. Już w tej chwili jest nieprzyjemnie gorąco. A upał narasta coraz bardziej. Czekają w milczeniu, Oblivion czuje w dłoniach krzepiący ciężar pistoletu maszynowego. Tygrys sprawdza broń, jedynie Czerwony Sierp stoi w bezruchu. Ich niecodzienne talenty nie mogą się w starciu z Człowiekiem Wilkiem na nic przydać, lecz kula to zawsze kula.

I wtedy nadchodzi on. Oblivion wyczuwa poruszenie na moment, zanim je dostrzeże. Zbliżający się do nich człowiek ma na sobie prosty połowy mundur. Włosy siwe jak u wilka. Średniego wzrostu mężczyzna Wcale nie ma potwornie rozbudowanej muskulatury jak można sobie było wyobrazić. Oblivion przypomina sobie Mińsk i Paryż. Próbuje myśleć o osadzonym w obozie koncentracyjnym Czołgu. Prawdę jednak mówiąc, czuje w tej chwili bardzo niewiele. W oczach Starego

Wilk był tylko umysłem siedzącym po przeciwnej stronie szachownicy. Jedynie dla Fogga był demonem, istotą rodem z koszmaru. Teraz, w świetle dnia, na tonącej w ciszy polanie, Oblivion widzi po prostu jeszcze jednego, nie starzejącego się, zmęczonego człowieka.

Człowiek Wilk podchodzi do ich trójki bez słowa, zatrzymuje się. Stoją przed nim półkolem, z bronią w pogotowiu. Pluton egzekucyjny. Wilk się uśmiecha.

- Ławnik, sędzia i kat - wylicza. - Tylko który z was jest kim?
- Hansie von Wolkenstein - odzywa się Człowiek Tygrys, z powagą - jesteście aresztowani za następujące zbrodnie wojenne...
- Hitlerowskie zbrodnie - wtrąca Czerwony Sierp.

Oblivion milczy.

Von Wolkenstein spogląda na Rosjanina.

- Ach, pijaczyna - rzuca.
- Już nie piję.
- Nie? Szkoda.

W zawieszanej na biodrze Człowieka Wilka kaburze spoczywa pistolet. Stary model, jak zauważa Oblivion. Niemiecki luger. Dłoń mężczyzny spoczywa na kolbie.

- Wyjmij powoli broń i rzuć ją na ziemię - poleca Człowiek Tygrys.
- Ta farsa jest doprawdy zbędna - stwierdza Wilk.
- Zrób to!

Oczy Człowieka Wilka są zimne i szare jak morskie fale. To właśnie przypomina sobie później Oblivion, to i jeszcze wyzutą z uśmiechu

twarz, zmęczone oblicze. Oraz ciszę wśród drzew. Wilk wyciąga z wolna pistolet. Potem, zanim mają szansę zareagować, spokojnie kieruje go ku sobie, wsuwa lufę do ust niczym smoczek i pociąga za spust.

DWANAŚCIE

CZERWONE MAKI

**BERLIN–AFGANISTAN–NOWY JORK
1976–2001**

CZŁOWIEK LĄDUJE NA KSIĘŻYCU 21 lipca 1969

FLORYDA. Ludzkość osiągnęła dziś wielki, epokowy sukces. Pierwszy załogowy statek z Ziemi wylądował na powierzchni Księżyca. Neil Armstrong wysiadł z kabiny lądownika, wkraczając jednocześnie na karty podręczników historii. Jego pierwsze słowa na obcym globie brzmiały: „To mały krok dla człowieka, lecz wielki skok dla ludzkości”.

Zaraz po Armstrongu na Księżycu znalazł się Edwin „Buzz” Aldrin.

Historyczna misja Apollo 11, szczytowe osiągnięcie amerykańskiego programu kosmicznego, rozpoczęła się od wojskowego projektu raketowego, który z czasem przekształcił się w instytucję NASA - Narodową Agencję Aeronautyki i Przestrzeni Kosmicznej. Statek Apollo 11 został wystrzelony z Centrum Kosmicznego im. Kennedyego na Florydzie dnia 16 lipca, skąd wyniosła go rakietą Saturn 5. Kierujący Centrum Lotów Kosmicznych im. Marshalla dr Wernher von Braun, który stał na czele zespołu projektującego raketę, obserwował start osobiście. Pochodzący z Niemiec dr von Braun jest obecnie naturalizowanym obywatelem USA.

Prezydent Nixon podczas historycznego połączenia telefonicznego Białego Domu z powierzchnią Księżyca powiedział: „Dzięki temu wyczynowi niebo stanie się częścią ludzkiego świata. Słyszając wasze wypowiedziane w Morzu Spokoju słowa, czujemy się podwójnie zmotywowani do działań na rzecz zachowania pokoju na Ziemi”.

POCZĄTEK BUDOWY MURU BERLIŃSKIEGO 13 sierpnia 1961

BERLIN. Wczoraj o północy władze radzieckie zamknęły granicę między wschodnią i zachodnią częścią Berlina. W okresie bezpośrednio poprzedzającym ten moment po stronie zachodniej

znajdowało się ponad osiem tysięcy Niemców wschodnich, którzy obecnie nie mogą wrócić do domów. Wschodniemiecka armia rozpoczęła rozkopywanie granicznych ulic, co ma uniemożliwić ruch pojazdów. Na owej linii pojawiły się również zasieki z drutu kolczastego. Przejść strzegą uzbrojone patrole. Swobodne przemieszczanie się pomiędzy Berlinem zachodnim a wschodnim jest w tej chwili niemożliwe. Jednocześnie rozpoczęto budowę wielkiego, długiego na 140 kilometrów muru oddzielającego od siebie obie części miasta.

102. WIEDEŃ, AUSTRIA, 1976

Epoka Breżniewa.

Nasz wrywkowy obraz składamy z fragmentarycznych kopii dokumentów, z utajnionych danych wywiadu, ze wspomnień starych ludzi. Wiedeń w siedemdziesiątym szóstym. W roku ważnym dla nas, z prywatnych, egoistycznych powodów. Nie opowiadamy jednak historii o sobie. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty.

Wcześniej tego roku Izraelczycy wylądowali na lotnisku Entebbe, w Ugandzie, gdzie pod ochroną żołnierzy Idi Amina przetrzymywano porwany samolot z setką zakładników na pokładzie. Pamiętamy - oglądaliśmy to. Sabra, wezwany z zasłużonej emerytury, prowadzi swój oddział do ataku. Jego sterczące kolce, stopy wstrząsające ziemią przy każdym potężnym skoku. Został postrzelony w trakcie wymiany ognia. Jego krew zbroczyła zielenią i czerwienią spieczoną afrykańską glebę. Powiada się, że ostatnie słowa umierającego Sabry brzmiały: „Dobrze jest umierać za własny kraj”. Legenda, mit. Podobnie jak opowieść o tym, że Człowiek Wilk wcale nie zginął w Wietnamie, że widywano go jeszcze później, gdzie indziej. W Argentynie, Chinach i Tybecie, w Mozambiku.

Od czego się to zaczyna? Jak sądzimy, rozpoczęło się w Wiedniu, kilka miesięcy po Entebbe, dziewięć lat po wietnamskiej wyprawie Obliviona. I znów pojawia się Czerwony Sierp.

Wyobraźcie sobie podstarzałą kobietę. Nie jest przemieniona. W czasie wojny musiała mieć dwadzieścia parę lat. Być może przeżyła oblężenie Leningradu. Nie mamy co do tego pewności. Teraz jest stara i zgarbiona. Czas nie obszedł się z nią łagodnie. Aczkolwiek mogło być znacznie gorzej. Ostatecznie przecież przeżyła. Nazywa się Galina Feldman i jest matematyczką biorącą udział w międzynarodowej konferencji zorganizowanej właśnie w tym pięknym austriackim mieście.

W konferencji, na której z jakiegoś powodu pojawiła się również Spit.

Oczywiście nie przybyła jako matematyczka. Powiedzmy, że znalazła się tu w charakterze zainteresowanego obserwatora.

Bo w Blurze Spraw Przeszarżałych tym właśnie są, tym się zajmują. Obserwują. Niczym rekiny krążące w wodzie dokoła apetycznego łupu. A cóż może być bardziej apetycznego niż rosyjscy naukowcy, którym pozwolono wyjść z domu na podwórko i pobawić się z innymi dziećmi? Nieważna jest towarzysząca Rosjanom obstawa, pilnująca, by byli grzeczni. Wabiący jest już sam ich zapach. Woń krwi.

- Polec do Wiednia — powiedział Stary. Zmierzył Spit spojrzeniem od stóp do głów. Wyraźnie nie spodobała mu się minispódniczka. Staroświecki męczyzna z tego Starego. — Potraktuj to jako wakacje. Obejrzyj miasto, zabytki.

Dziewczyna skinęła głową.

-I zgłoś, jeżeli natkniesz się na cokolwiek interesującego — dokończył Stary.

Jak zwykle, pomyślała Spit.

A jednak znalazła Galinę. Galinę, która—jak się okazało, bardzo chciała odszukać Angielkę.

Spit siedzi na sali, gdy Galina przedstawia na forum swój artykuł

zatytułowany „Analiza statystyczna rozkładu przemiany, od roku 1932 do dnia obecnego”. Początkowo dziewczyna mocno się nudzi, nie rozumie wyższej matematyki. Galina czuje się niezręcznie, występując przed liczną widownią. Mówi po niemiecku i Spit nie nadąża za wywodem. Mimo to w pewnym momencie prostuje się w fotelu, poprawia krótką spódnicę. Lata sześćdziesiąte nie pozostawiły dziewczyny obojętnej, pokochała tę nową epokę. Obecna dekada z kolei wydaje się jej, jak dotąd, nieco nużąca.

Stojąca za pulpitem Galina argumentuje za pomocą matematycznych symboli, że fala Vomachta nie była pojedynczym obserwowalnym wydarzeniem. Rozeszła się, co prawda, z konkretnego punktu w czasie i przestrzeni, tłumaczy kobieta publiczności składającej się głównie ze starszych mężczyzn i kobiet, zawzięcie notujących w swoich zeszytach. Ale i ten punkt czasoprzestrzeni jest zmiennym punktem odniesienia, mówi Galina. Jest w istocie nieustanną konfluencją. Owo wydarzenie nie wydarzyło się po prostu raz i nie przeminęło. Ono wciąż się dzieje, działa się i będzie się dziać. Na sali wybuchają okrzyki, harmider, padają argumenty i kontrargumenty, a Galina stoi przed zgromadzonymi samotna. Dzierży swój ogryzek kredy niczym oręż, kreśli za jej pomocą tajemne j znaki, które mają pokazywać, że fala Vomachta nadal się rozchodzi, że dowodzą tego wciąż obserwowane wśród ludzi niewielkie mutacje. „Tylko jak? Jak to możliwe?” - rzuca wiekowy matematyk z Węgier, stukając laską o podłogę. „Obawiam się, że tego akurat po prostu sama nie wiem” - odpowiada przeprasającym tonem Galina.

Zmienny punkt odniesienia? - powtarza w myślach Spit. Co to w ogóle znaczy?

A nam przychodzi do głów Paryż, Klara, idealny letni dzień. Czy właśnie o to w tym wszystkim chodzi?

Zaczekajmy jednak. Jeszcze nie pora. Tak więc...

Dziewczyna obserwuje panią profesor Galinę Feldman przez dwa

następne dni. Uczona ma dwoje towarzyszy - mężczyznę i kobietę - którzy nie odstępują jej ani na moment. KGB, stwierdza w duchu Spit, śledząc panią profesor, która odwiedza kolejne kawiarnie, sunie niespokojnie przez miasto, zupełnie jakby czegoś szukała, czegoś lub kogoś.

Jakby próbowała nawiązać kontakt, myśli Angielka.

To może być podstęp.

Mała, zagubiona Galina, chodząca po całym Wiedniu, zatrzymująca się, ruszająca dalej. Para zbirów z Moskwy kroczy za nią ze znudzonymi minami - to wydaje się niemal zbyt oczywiste.

Lecz Spit nie potrafi się powstrzymać.

Któż może wiedzieć? Może też się nudzi. Tak czy inaczej, dziewczyna postanawia nawiązać kontakt.

Idzie za profesor Feldman przez wiedeńskie ulice. Docierają do zadymionego baru przy Rauhensteingasse. Czego uczona tam szuka? Również można tylko zgadywać, lecz jej dwa cienie, agenci, którzy przez ostatnie dni mocno przypadli sobie nawzajem do gustu, wyglądają na zadowolonych z wyboru. Spit wchodzi do środka. Stare kamienne ściany, pełna dymu sala, przyćmione światło, cieniste zakamarki. Dobry pomysł, myśli dziewczyna. Galina siedzi sama, przed nią stoi kieliszek brandy. Popija powoli. Cienie siedzą razem w kącie pomieszczenia. Są bardziej skupieni na sobie niż na podopiecznej. Spit uważnie rozgląda się dokoła. Mary miała małego baranka, mruczy pod nosem, o runie białym jak śnieg. I dokąd tylko poszła Mary, Baranek za nią szedł. Angielka odchrząkuje i wystrzeliwuje z ust ślinę - maleńkie twarde kulki zawiesiny, które trafiają oboje obściskujących się w rogu agentów. Nie chciała zabijać. Trafiła ich akurat na tyle mocno, by przez jakiś czas wyglądali na pogrążonych w spokojnej drzemce, a potem ocknęli się z przypominającym kaca bólem głowy i sińcami na karkach. Dziewczyna podchodzi do stolika profesor Feldman i siada.

- Kim pani jest? - pyta Rosjanka. Ogląda się do tyłu, prędko, właściwie porusza wyłącznie oczami. W półmroku trudno wyłowić kształty opiekunów.

- Przez jakiś czas nie będą nikogo niepokoić - zapewnia Spit.

-Ale... Rozumiem. - Galina się uśmiecha. Ma jasne, zielone oczy. -

Wyjdźmy stąd - sugeruje.

- Właśnie to chciałam zaproponować - zgadza się Spit.

Wracają przez stare brukowane ulice i ostatecznie znajdują schronienie w pobliżu Naschmarkt, w „Cafe Drechsler”. Z dala od cieni, prześladowców i wścibskich spojrzeń.

- Pani pracuje dla Blura? - pyta Galina.

- Tak - mówi Spit.

Uczona się odpręża, nieznacznie. Kelner przynosi dwie filiżanki gorącej czekolady. Angielka upija łyk.

- Nie dla CIA ani Mossadu? - dopytuje profesor Feldman.

- Nie. Rozczarowana?

Galina wzrusza ramionami.

- Byłam po prostu ciekawa.

- Żydówka?

- Tak się składa.

Spit wzrusza ramionami.

- Czyli Izraelczycy się panią nie zainteresowali?
- Proszę posłuchać, panno...
- Spit. Po prostu Spit.
- Niech będzie Spit. Podejrzywałam, że przedmiot mojego wykładu wzbudzi zainteresowanie w kręgach, w jakich się pani obraca. Wśród przemienionych. Ja do tej grupy nie należę, a ośmielę się zaryzykować tezę, że matematycy nie są na rynku tajnych służb w cenie.

Spit ponownie wzrusza ramionami.

- Nie będę się sprzeczać — mówi. Krzywi się z niesmakiem nad czekoladą. - Przesłodzona - stwierdza. - A więc, czego pani chce, pani profesor?
- Mam do przekazania wiadomość — przyznaje Galina.
- Wiadomość.
- Owszem.
- Od kogo? - pyta Spit. - I na jaki temat? - Zaczyna się obawiać, że straciła tylko czas. Myśli: Do czego to doszło. Bawię się w niańkę dla świrniętych staruszek popijających w wiedeńskich kafejkach...
- Od Czerwonego Sierpa - odpowiada Rosjanka. I dodaje, w nagle zapadającym milczeniu młodszej kobiety. - On chce się spotkać.

103. WESTMINSTER, 1978

- Chcesz powiedzieć, że Czerwony Sierp planuje... - Minister zdejmuje okulary i zaczyna je czyścić. Kiedy kaszle, trzęsie się całe jego ciało. Chusteczka, którą przyciska do ust, powraca na dół zakrwawiona. Nasuwa okulary z powrotem na nos i wpatruje się w Starego. - Że chce uciec?

- Cóż - odpowiada Stary, być może z powątpiewaniem w głosie. - Rozumiem, że zna pan okoliczności incydentu w Laosie, panie ministrze?

-Tak, tak. Więc?

- Oblivion odbył z nim wówczas krótką pogawędkę, panie ministrze. Dyskutowali o ewentualnej możliwości takiego kroku. Na moją prośbę, naturalnie.

Minister zanosi się pół kaszlem, pół śmiechem.

- Naturalnie - potakuje. - Z jakim skutkiem?

Stary wzrusza ramionami.

- Jest bardzo lojalny — mówi.

- Zupełnie nie rozumiem dlaczego - przyznaje minister. - Przecież Związek Bohaterów Radzieckich nie jest obecnie w najlepszej formie. Pamiętasz chyba stalinowskie czystki?

- Owszem - mówi Stary.

- Sam Wielki Sowiet skończył w syberyjskim obozie pracy. - Minister ponownie wydaje z siebie zboląły śmiech.

- Z drugiej strony... - podejmuje Stary.

-Tak?

- Stalin już nie żyje - przypomina Stary, niemal z wyrzutem.

- Faktycznie, pod Breżniewem wiedzie im się nieco lepiej. - Minister słabo, zdawkowo macha ręką. - Czego więc... - Minister wzdycha i spogląda ponad blatem na Starego. - Czego więc Czerwony Sierp od nas chce?

- Przede wszystkim - odpowiada Stary - chciałby się po prostu spotkać.

104. BERLIN, 1978

Gdyby Fogg tam był (i właśnie, gdzie on przez cały ten czas jest? Czy ukrywa się w „Hole in the Wall”, uwięziony w przywołanej przez siebie mgłę?), prawie nie rozpoznałby miejsca, w którym stały dawniej gmachy nazistowskich ministerstw, nie poznałby tego podzielonego kraju, tego muru. Zbrojne patrole po obu stronach, a dokładnie tam, gdzie kiedyś stał rosyjski punkt kontrolny, wymarły wśród długiej nocy powojennego Berlina, sterczą teraz budki wartownicze, rzędy worków z piaskiem, szlabany. Stary przyjechał tu osobiście, a wcześniej prześledził ścieżkę kariery pani profesor Feldman, dotyczące jej akta, dowiedział się, że zniknęła na powrót w Związku Radzieckim i nikt już jej potem nie widział. Spotkanie tak, lecz nie jest to łatwe do zorganizowania. Aż do tej chwili delikatnie, ostrożnie rozsnawał sieci. I teraz Stary wjeżdża do Berlina Wschodniego na tylnym siedzeniu mercedesa o zaciemnionych szybach, szef delegacji na spotkanie Wschód-Zachód w sprawie rezolucji ONZ numer 1540, dotyczącej broni masowego rażenia, a konkretnie poprawki drugiej, „Übermenschowie”. Po przeciwnej stronie stołu zasiada jedyny przedstawiciel Związku Bohaterów Radzieckich, Czerwony Sierp.

Zainstalowani w anonimowym hotelu z grubymi, tłumiącymi dźwięk dywanami spotkali się w przebrzmiałej świetności sali balowej, rozdzieleni długim blatem, drewno jest miejscami odrapane, lecz wciąż cudownie wypolerowane. Nad ich głowami wiszą dwa wielkie żyrandole, kawę serwuje się tu w srebrnych imbryczkach. Są obserwowani - oczywiście, że są - przez funkcjonariuszy służb obu stron. Stary zbiera papiery, porządkuje je, wyrównuje brzegi kartek, po czym zdecydowanym gestem odkłada materiały na blat.

- Zaczniemy... - mówi.

W jaki sposób zdołali się porozumieć? Czy znaleźli chwilę

prywatności? W publicznej toalecie lub przy kawie i wyśmienitych ciastach, podczas przerwy? Czy może w ogóle nie nawiązali komunikacji werbalnej, być może wystarczył liścik wsunięty w dłoń Starego, który rozwinął go dopiero w samochodzie, gdy wracając do Berlina Zachodniego, przekraczali punkt kontrolny Charlie?

Tego nie wiemy. Pewne jest dla nas tylko tyle, że w którymś momencie Czerwony Sierp porozumiał się ze Starym. W zasadzie wszystko sprowadziło się do przekazania prostej wiadomości. Zapomnijmy na moment o wiążących się z nią problemach logistycznych, o koszmarze związanym z próbą spełnienia prośby Sierpa, zapomnijmy nawet o tym, co będzie potem - kolejna wojna, w następnym, jeszcze bardziej odległym zakątku świata...

„Pomóżcie mi wyciągnąć z Rosji Rusałkę”, brzmiała wiadomość.

105. WESTMINSTER, 1978

- Musimy wziąć pod uwagę, że to podstęp, pułapka - oświadcza minister. Kaszel kołysze jego przypominającym szkielet ciałem. Podnosi spojrzenie na Starego i krzywi się. - Jak to się dzieje, że ty się nie starzejesz i nie umierasz? - pyta.

-Ja po prostu lubię służyć - odpowiada Stary i minister wybucha śmiechem.

- Pułapka - powtarza.

- Z pewnością sam zastawiłbym ją właśnie w ten sposób, panie ministrze.

- Czego on się właściwie domaga?

- Czerwony Sierp nie ucieknie na Zachód osobiście - tłumaczy Stary. — Rozpaczliwie jednak chce wydostać ze Związku Radzieckiego Rusałkę. Ona przebywa teraz w Moskwie, w państwowym sanatorium. Sierp chce jej zapewnić opiekę medyczną na zachodnim poziomie.

- A w zamian?
- A w zamian - mówi Stary - proponuje nam interes. - Wzdycha. - Chce współpracować - dodaje niemal z żalem.
- W charakterze podwójnego agenta? On?
- To rzeczywiście dziwne - mamroce Stary - co ludzie niekiedy robią w imię miłości. Czy mam pańską zgodę, panie ministrze?

Podsuwa po blacie biurka dokumenty. Minister wzdycha i sięga po pióro.

106. BERLIN, 1979

Tak więc rok później: Szprewa. Mur biegnie wzdłuż jej wschodniego brzegu. Właśnie w tym miejscu wszystko może pójść w diabły, tutaj znajduje się punkt krytyczny. Mur, wartownicy, rozcinające ciemność światła reflektorów, chlapiąca o brzeg woda. Terytorium od muru do zachodniego brzegu należy do Niemiec Wschodnich. By dotrzeć w bezpieczne miejsce, należy dobić do zachodniej strony i wyjść z wody, żywym i mokrym. Najpierw jednak trzeba jeszcze wspiąć się na mur. Wcześniej jednak trzeba jeszcze przepłynąć rzekę.

5 października 1961. Udo Düllick. Utonął w Szprewie...

14 października 1961. Werner Probst. Zastrzelony w nurcie Szprewy...

8 października 1962. Anton Walzer. Zastrzelony w nurcie Szprewy...

19 listopada 1962. Horst Plischke. Utonął w Szprewie. Ciało odnaleziono po czterech miesiącach...

4 listopada 1963. Klaus Schróter. Utonął w Szprewie raniony kulą strażnika...

14 lutego 1972. Manfred Weylandt. Utonął w Szprewie raniony kulą

strażnika...

I tak dalej, przez całe lata. Historia opowiedziana dziejami nieudanych ucieczek: nie próbowali wyłącznie przez Szprewę. Próbowali wszędzie, gdzie tylko dało się wspiąć na mur. Próbowali i ginęli: zastrzelony, zastrzelony, potrącony przez pociąg, upadek z czwartego piętra budynku, zastrzelony, zastrzelony, uduszony, zatłuczony żelaznym prętem, potrącony przez pociąg, upadek z pędzącego pociągu, skok z dachu, utonął, utonął, zastrzelony, aż wreszcie, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, Winfried Freudenberg, ostatni uciekinier, zginął - choć brzmi to niemal niewiarygodnie - rozbijając się domowej roboty balonem.

Czasami - przychodzi do nas refleksja - życie pisze scenariusze, jakich człowiek by nie wymyślił.

Pożółkłe stronice z zapisanymi marginesami obracają się niczym kartki taniej sensacyjnej powieści. Czas płynie jednakowo dla wszystkich, dla was i dla nas, dla wszystkich poza przemienionymi.

Albowiem ona wciąż gdzieś tam jest. Gdzieś tam. Klara V...

- No prędzej - rzuca spiętym głosem Stary, z zębami zaciśniętymi na cygarze rozmiaru churchill (sam Churchill również już odszedł, zawał w sześćdziesiątym piątym). - Dalej, dalej...

Zimna noc. Ciemna noc. Nad wodą i wzdłuż brzegu gęstnieje mgła, przecinające ją światła są żółte, rozproszone.

- Prędzej, prędzej!

Nie ma tam Fogga, nie ma nawet Obliviona. Jest Stary z oddziałem specjalnym, lecz co mogą zrobić? Muszą czekać na zachodnim brzegu, na drugim brzegu, czekać z zapartym tchem, nerwowo. Stary żuje cygaro, cuchnące wyziewy unoszą się w powietrze, taka bogata mieszanka, chemikalia ze wschodniobерlińskich fabryk, nadlatująca falami z Zachodu woń smażonej na maśle wieprzowiny.

- No prędziej - powtarza Stary...

Błysk światła po drugiej stronie rzeki, jeden, drugi, i znów mrok. Stary wyteża wzrok w ciemności. Czy to nie jest czasem sylwetka, drobna i smukła, tam na szczycie Muru? Na moment zamiera, zawieszona. Wreszcie spada, niczym kamień, leci w powietrzu, przekręca się zwinnie i uderza w ciemne fale. Znika pod nimi. Cisza, cisza, i zęby Starego przebijają wreszcie tytoniową powłokę cygara. Wypuszcza je z ust, nie odrywając oczu od rzeki. W oddali, na przeciwległym brzegu, słychać okrzyk. Rozlega się alarm, na murze wyrastają ludzkie cienie, huk wystrzałów brzmi wśród nocy ogłuszająco, pociski smugowe rozświetlają niebo i niczym świetliki rozjaśniają wzburzoną, sieczoną kulami, taflę Szprewy.

- Prędziej - syczy Stary. - Prędziej!

Wreszcie, tuż u ich stóp, z nurtu wynurza się ludzka głowa, woda jak łyzy spływa po długich czarnych włosach. Wyciągają się męskie ramiona, chwytają ją, dobywają z rzeki, wyciągają na brzeg, na Zachód, ku bezpieczeństwu. Strzały nagle milkną.

Noc z powrotem otula cisza, czysta i drogocenna.

Rusałka podnosi się ze Szprewy, w jej włosach, niczym klejnoty, migocą kropelki...

Osuwa się bezwładnie w ramiona Starego.

Oczy ma białe, niewidzące.

Stary unosi dziewczynę, łagodnie jak kochanek, do czekającego samochodu.

107. JEZIORO GENEWSKIE, SZWAJCARIA, 1981

Spacerują nad brzegiem jeziora. Stary i filigranowa Rosjanka. Jej czarne włosy są stale wilgotne, niebieskie oczy zwracają się od czasu

do czasu z niemym pytaniem ku idącemu obok mężczyźnie. Rusałka. Tak gibka i zwinna, a jednak krucha, coś w Starym zmienia się nieodwracalnie.

- Woda - odzywa się dziewczyna. Zatrzymują się i stoją, skępowani.
- Wciąż nasłuchuję, lecz przestałam już słyszeć wodę — dodaje.
- Podoba ci się tutaj? - pyta Stary, bezsensownie.

Rusałka próbuje się uśmiechnąć, bez powodzenia, przytakuje skinieniem.

- Tak - odpowiada.
- Uznałem, że to miejsce przypadnie ci do gustu - tłumaczy Stary.

Tafla jeziora marszczy się pod gwiazdami. Rusałka zrzuca ubranie i wchodzi do wody, płynąc, przypomina bohaterkę mitu.

- Powinienem cię przesłuchiwać - mamroce Stary, lecz tylko do siebie.

Gdy dziewczyna uśmiecha się do niego z jeziora, oddech zamiera mu w piersi.

Jej ucieczka nie odbiła się w mediach głośnym echem, nie chwalili się nią. Czy Rosjanie wiedzieli? Stary podejrzewa że tak, mogli nawet całość zaaranżować. Za jednym zamachem gładko pozbyli się Rusałki i przerzucili rachunki za opiekę nad nią na konto Blura.

Właśnie w ten sposób toczy się ta gra. Od zawsze, myśli Stary, siedząc na brzegu, ciskając do wody kamyki. Rusałka wynurza się w oddali, włosy dziewczyny pobłyskują w księżycowej poświacie.

Niemniej było warto, myśli. Nie tylko ze względu na dobro Rusałki, ale też dlatego, że ma teraz prywatny kanał kontaktu z Rosjanami w postaci Czerwonego Sierpa. Rosjanka macha do Starego, który czuje wzbierający w jakimś bardzo intymnym miejscu uśmiech, i odmachuje

dziewczynie. Ona płynie w jego kierunku, z wolna wstaje z wody, długie włosy oblepiają nagie ciało. Stary zdejmuje płaszcz i otula nim ramiona dziewczyny, na moment przytula ją do siebie. W końcu oboje wracają do sanatorium.

108. JEZIORO GENEWSKIE, SZWAJCARIA, 1983

- Przyjechałem zaraz, gdy tylko się dowiedziałem - mówi Stary.
- Przykro mi. - Dyrektorka sanatorium łagodnie muska jego rękaw.
- Nie ma powodu. - Stary zbywa jej słowa wzruszeniem ramion.

Mówi szorstko, kobieta kiwa tylko głową i nie naciska.

Pogrzeb odbywa się na bezwyznaniowym cmentarzu na przedmieściach Genewy. Powinna zostać pochowana w wodzie, myśli Stary i nagły gniew sprawia, że odwraca się plecami w chwili, gdy trumna wędruje pod twardą ziemię. Odchodzi.

Do sanatorium wraca samotnie. Przypomina sobie ciało, które podniosło się ze Szprewy i padło mu w ramiona.

Stary podnosi z ziemi kamień, obraca go w dłoni, raz po raz. Ma stare ręce, pokryte plamami starczymi. Był stary jeszcze przed przemianą, potem zastygł, zachowany, pochwycony żywcem jak mucha w tężejącym z wolna bursztynie. Zabiła się. Te słowa wracają do niego co chwila. Wchodzi do budynku, idzie do jej pokoju. Drzwi stoją otworem, świeżo zaścielone łóżko. Nie ma nawet śladu po prześcieradle, które zdjęła, podarła i skręciła w sznur. Powiesiła się. Teraz nie ma już nawet śladu. Stary wyobraża sobie dziewczynę w chwili, kiedy rozdzierała materiał. Spływające po twarzy czarne włosy, zmarszczka skupienia na czole. Sposób, w jaki przygryzła wargę. Splotła linę i założyła sobie pętlę na szyję. Powinien był znaleźć dla niej miejsce nad oceanem.

- Jestem zmęczona - powiedziała, gdy rozmawiali po raz ostatni.

Powtarzała to wyznanie za każdym razem, lecz wówczas zabrzmiało wyjątkowo szczerze. — Przestałam słyszeć wodę.

Być może wiedział od początku. Wszyscy żyjemy czasem pożyczonym. Rozgląda się po pokoju, lecz jej już tu nie ma, nie ma nawet śladu. Stary wychodzi. Cicho zamyka za sobą drzwi.

ROSJANIE WKACZAJĄ DO AFGANISTANU 29 grudnia 1979

KABUL. W wigilię zmasowane siły rosyjskie wkroczyły na terytorium Afganistanu. Oddziały komandosów zajęły strategiczne punkty w Kabulu, w tym samym czasie granicę pokonywały kolumny pancerne. Po tygodniu ciężkich walk na terenie kraju znalazły się już dziesiątki tysięcy żołnierzy, docierających tam zarówno drogą naziemną, jak i powietrzną.

W Kabulu zainstalowano nowe, popierane przez ZSRR władze. Rzecznik Kremla potwierdził, że Afganistan znalazł się pod całkowitą radziecką okupacją. Według ekspertów jednak walki toczyć się będą jeszcze przynajmniej przez jakiś czas.

109. WESTMINSTER, 1984

- Afganistan? - pyta minister.

- Czerwony Sierp zażądał kolejnego spotkania - mówi Stary.

Minister przygląda mu się badawczo, z ciekawością. Nie zmienił się zewnątrz. W końcu oni nigdy się nie zmieniają, prawda? — myśli minister. Ci cholerni Ubermenschowie. Kto jednak wie, co myślą, któż może wiedzieć, jacy są w środku? Pojawiały się plotki. Odsuwa je od siebie.

- Co jest w tym cholernym Afganistanie? - rzuca minister.

- Rosjanie — odpowiada Stary.

Czy w jego głosie słycać większe niż zwykle zmęczenie? Minister właśnie się nad tym zastanawia, z niepokojem. Wzrusza ramionami.

-Wyślij Obliviona — mówi. - Porozmawiaj z naszymi kuzynami z CIA, przekonamy się, czy są zainteresowani.

Oczy Starego są jasne i suche. Jego spojrzenie wwierca się w oczy ministra, jakby potrafił odczytać zawartość jego umysłu, zupełnie tak, jak się czyta tanią powieść z kiosku. Minister, skonsternowany, odwraca wzrok.

- Tak jest, na rozkaz - rzuca Stary.

Ironicznie czy nie? Tego nie wiemy.

110. AFGANISTAN, 1984

Na polach Afganistanu kwitną maków kwiaty; między krzyżami ciągną się ich rabaty, co znaczą nasze miejsce, a pod niebo lecą skowronki, wciąż śmiało śpiewając, choć prawie ich nie słycać wśród wystrzałów.

Oblivion przypomina sobie ten wiersz i przerabia go w duchu, kiedy śmigłowiec niesie go ponad polami. Z Pakistanu przez granicę, na pustynię.

Lecą nisko. Wiersz Johna McCrae „Na polach Flandrii” zaadaptowany do nowego świata, do tej nowej wojny. Różnica polega na tym, że tutaj jest Afganistan, nie Francja, a kwiaty to mak lekarski, z którego wyrabia się opium. I jest gorąco. Bardzo gorąco i sucho. Nagle, czując przyływ gniewu, myśli o tym, jak bardzo nie spodobałoby się w tym kraju Foggowi. Przez moment zastanawia się, czy w Afganistanie żyją słowiki (żyją).

Witajcie w epoce Andropowa.

W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym komunistyczna partia Afganistanu przeprowadziła zamach stanu i przejęła władzę w kraju. W grudniu siedemdziesiątego dziewiątego rozpoczęły tam stacjonowanie pierwsze oddziały radzieckie. W osiemdziesiątym drugim Jurij Andropow, naczelny architekt inwazji, został po śmierci Leonida Breżniewa przywódcą Związku Radzieckiego.

W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym wojna rozpętała się już na dobre...

— Obserwator?! — krzyczy Gus. Gus jest oficerem łącznikowym CIA u Mudżahedinów. - Co można na tym zadupiu obserwować?

Oblivion wzrusza ramionami.

- Pokażę ci coś do obserwowania - rzuca Gus, a jego uśmiech wygląda mało przyjemnie.

Helikopter obniża lot ponad piaszczystym terenem i Gus wskazuje palcem. Przelatują właśnie nad...

Nad...

Oblivion otwiera szeroko oczy. Śmigłowiec opuszcza się, rozdmuchuje piach na wszystkie strony i ląduje ze stłumionym łupnięciem.

Wysiadają. Oblivion widzi na ziemi trzy ludzkie sylwetki. Leżą bez ruchu. Podchodzi bliżej, pomimo że coś w nim stawia lekki opór. W powietrzu roznosi się mdląca woń, zna ją dobrze. Troje ludzi, dwóch mężczyzn i kobieta. Przypomina sobie historie, które Fogg przywiózł z Transylwanii. Dracul. Ale to nie jest robota Dracula.

Zastygli w chwili przeraźliwej śmierci. Jeden z mężczyzn, wysoki i wychudzony, z wyciągniętą dłonią, jakby prosił o jałmużnę lub błogosławieństwo. Jego oblicze zamarło w agonii, krew z dziur po wybitych zębach wylała się kałużą na piach. Wykrwawił się na śmierć.

Nabity na długi ostry kij.

Spoczywająca obok kobieta obok została przed nadzianiem, jak zauważa Oblivion, uduszona garotą. Ma przypalone dłonie, paznokcie poczerniały w płomieniach. Zaczyna rozumieć.

- Übermenschowie - odzywa się szeptem Gus.

Trzeci mężczyzna zastygł na palu w pół przeobrażenia, zabity w chwili, gdy przechodził transformację w jakieś fantastyczne zwierzę.

- Miejscowi Übermenschowie. Afgańczycy. Obawiam się, że nasz gospodarz nie toleruje takich jak ty,

- Ich istnienie stanowiło obrazę dla samego Boga - rozlega się głos, spokojny i rzeczowy. Z dobrym angielskim akcentem. Wykształcony. Głos, za którym kryją się duże pieniądze.

Mężczyzna pojawia się za zakrętem wąskiej alejki. Nagle po prostu tam staje. Ubrany w mundur polowy. Długa, cienka broda.

Przeszywające spojrzenie. Otacza go silna magnetyczna aura. Jakby sam był czymś więcej niż człowiekiem. Poza-Człowiek. Jest jednak zbyt młody, by mógł doświadczyć przemiany.

- Obrażali sobą Boga i musieli zostać usunięci.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - pyta Oblivion.

Prawdę mówiąc, jest przestraszony. Za plecami Anglika unosi się woń ciał zamordowanych. Z roku na rok, myśli, zostaje nas coraz mniej. Ogarnia go gwałtowne, bolesne poczucie straty. Nie wie, skąd się wzięło.

- Oblivion - odzywa się ceremonialnie Gus - poznaj naszego szacownego sojusznika w świętej wojnie Afganistanu przeciwko sowieckim najeźdźcom, najwyższego przywódcę mudzahedinów, przyjaciela Firmy, szejka Osame bin Muhammada bin Awada bin

Ladena.

Oblivion wpatruje się w mężczyznę.

- Kim on jest? — spytał wcześniej Gusa.

Oficer CIA po prostu wzruszył ramionami.

- Bogaty, zepsuty dzieciak z bogatej i potężnej rodziny - odpowiedział.
- Bawi się na pustyni w żołnierzyki. — Kolejne wzruszenie ramion. — Po prostu facet - podjął. — Tak naprawdę ten cały Afganistan nikogo nie obchodzi — dodał filozoficznie.

- Przeprowadzasz tutaj jednego z nich? - pyta bin Laden.

Oblivion patrzy mu w oczy. Jest wyższy od szejka, podobnie smukły.

Nie odrywając od niego spojrzenia, podchodzi do nabitych na pal ludzi. Składa delikatnie dłoń na głowie najbliższego. Ciało zaczyna się rozmywać, znikać. Powtarza tę czynność jeszcze dwukrotnie. Nieustannie wpatrując się w Araba. Uśmiecha się, nieznacznie. Bin Laden kiwa głową. Odwraca się na pięcie — dość niespodziewanie - i odchodzi. Gus zerka na Obliviona, wzrusza ramionami i idzie w ślad za szejkiem. Omijają obrys górskiego zbocza i docierają do założonego na pustyni obozu. Namioty, pasące się kozy. Do bin Ladena podbiega dziecko, mężczyzna bierze je ze śmiechem na ręce.

- Mój syn - mówi. - Chodźcie.

Odstawia malucha na ziemię i ruszają za nim do dużego namiotu. Na zewnątrz stoją uzbrojeni strażnicy. Bin Laden wchodzi do środka, Gus i Oblivion zaraz za nim.

- Nasi brytyjscy koledzy - podejmuje Gus — są zdania, że mogą nam pomóc, dostarczając danych wywiadowczych dotyczących działań Sowietów.

- Nam potrzeba więcej broni — odpowiada bin Laden. Zwraca się do Gusa. Obliviona traktuje jak powietrze. — Więcej rakiet przeciwlotniczych. Rosjanie zaczynają przysyłać śmigłowce szturmowe. Potrzebujemy więcej karabinów i amunicji, i chcemy, Gus, żebyś je dla nas zorganizował.

- Zaraz, cholera! Chwila moment! - rzuca Gus, czerwieniejąc na twarzy.

Przez chwilę wydaje się Oblivionowi człowiekiem całkowicie wyzutym z osobowości. Ot, jeszcze jeden arogancki Amerykanin o imieniu, które nawet do niego nie należy, na wojnie, na której wcale nie powinien się znaleźć. Bez mała robi mu się go żal.

- Wróć, Gus, gdy zdobędziesz to, czego potrzebuję - mówi bin Laden.
- Walczymy w słusznej sprawie. I będziemy tę walkę prowadzić z waszą pomocą lub bez niej. Co do niego... — Wypowiadając te słowa, nadal nie patrzy na Obliviona. - Nie.

- Nie? - upewnia się Gus.

- Nie chcemy jego informacji.

- Ale mogłyby pomóc...

- Nie. I nigdy więcej nie przyprowadzaj tu takich jak on.

Bin Laden nie dodaje już ani słowa. Gus stoi w bezruchu, ciężko dyszy. Po chwili obraca się w miejscu i opuszcza namiot. Oblivion zostaje, wpatrzony w mężczyznę. Wreszcie wzrusza ramionami i wychodzi za Amerykaninem.

111. JEROZOLIMA, 1964

- Kim jednak jest bohater? — pyta obrońca.

Stojący na miejscu dla świadka Joseph Shuster mruga gwałtownie za

grubymi szklami.

- Świetne pytanie — odpowiada Shuster. — Kim jest bohater? — powtarza sennym, rozmarzonym głosem. — Mnie się wydaje... - zaczyna i milknie. Zdejmuje okulary i czyści je rąbkiem koszuli. - Sądzę...

- Cofnijmy się na moment - proponuje adwokat, Shuster wygląda na zadowolonego. - Jest pan, podobnie jak pan Lieber, historykiem...

- Nie, nie podobnie jak pan Lieber - prostuje Shuster. - Zupełnie niepodobnie do pana Liebera.

Na sali słychać stłumione śmiechy.

- Jestem artystą - ciągnie świadek, mocniejszym głosem. - Wystawiałem na Manhattanie, w Paryżu, Londynie i innych miastach. Moje prace można oglądać w licznych muzeach sztuki nowoczesnej na całym świecie.

- Co stanowi główną tematykę pańskich dzieł? - pyta prawnik.

- Można bez większego ryzyka stwierdzić, że specjalizuję się w... w pewnej formie dynamicznego portretu - mówi Shuster, ponownie onieśmielony.

- Portretuje pan Übermenschów - uściśla obrońca.

- Przemienionych. Poza-Ludzi. Mężczyzn i kobiety. Z... Z braku lepszego słowa lubię określać ich po prostu bohaterami.

- Kim jednak jest bohater? - ponawia pytanie prawnik.

- Mnie się wydaje — zaczyna Shuster. - Jak sądzą... Musi pan zrozumieć... Tak, myślę, że najpierw musi pan zrozumieć, co znaczy być Żydem.

- Mam w tej kwestii niejakie doświadczenie - zauważa oschle

obrońca, co wywołuje w sędzie kilka chichotów.

Shuster kaszle za swoim pulpitem. Jego krótkowzroczne oczy za okularami znów przybierają rozmarzony wyraz.

- Ci z nas, którzy wyszli cało z wojny - mówi - a wcześniej z pogromów i prześladowań, przed którymi umknęli do Nowego Świata, znaleźli tam być może inną formę udręki. Lecz także nadzieję. Chyba z tego właśnie wynika nasze marzenie o bohaterach. Nasi amerykańscy herosi stanowią spełnienie życzeń rzesz imigrantów, oszołomionych krzykliwością i barwami nowego świata, samymi już tylko jego rozmiarami. Potrzebowaliśmy bohaterów wyrastających ponad rzeczywistość, herosów w maskach, którzy od dawna zaludniali fantazje każdego z nas. Fala Vomachta ich nie stworzyła, ona ich jedynie uwolniła. Wyzwoliła naszą zbiorową halucynację, naszą wiarę. Wiarę w bohaterów. Dlatego właśnie widzimy naszych amerykańskich herosów, lecz nigdy nie ich brytyjskich kolegów. Nasi odzwierciedlają wschód nowego imperium, ich schyłek starego. Nasi poszukują światła rampy, ich skradają się wśród cieni.

Zdejmuje okulary. Bez nich oczy mężczyzny są bezbronne. Zwraca je ku milczącemu człowiekowi w szklanym akwarium.

— Czy powinniśmy doktora Vomachta ukarać? - pyta cicho Shuster. Spogląda na zasłuchaną publiczność. W jego spojrzeniu widać ferwor. Być może to jedyna odpowiedź, jakiej nam udzieli. Jedyna, jakiej w istocie potrzebujemy. — Wszyscy bardzo potrzebujemy bohaterów - kończy Joe Shuster.

112. KANDAHAR, AFGANISTAN, 1984

Wiele lat później, gdy rozmawiali o tym pewnego popołudnia, Stary pokręcił głową.

— Oczywiście pewnego razu dał nam dobrą radę... Obawiam się jednak, że ją zignorowaliśmy. Prawda, Oblivion?

Oblivion drgnął.

— Sir, nie umiem na to pytanie odpowiedzieć.

Miasto jest otoczone przez rosyjskie wojska. Kiedy przybywa tu Oblivion, po niebie fruwały samoloty oznaczone symbolem czerwonej gwiazdy. Anglik nie zwraca niczyjej uwagi. Według dokumentów jest przedstawicielem radcy handlowego Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Melduje się w podupadłym hotelu, nieopodal Meczetu Piątkowego i grobu Ahmeda Szaha Abdaliego, w centrum Kandaharu.

Oblivion czuje się zmęczony, spięty. Do jego pokoju dolatują odgłosy bombardowania za miastem. W powietrzu unosi się aura ekscytacji, młodzi mężczyźni z karabinami chodzą po ulicach, tuż pod jego oknem. Oblivion jest samotny.

Chce wracać do domu.

— Nie było wcale zaskoczeniem, że bin Laden nie zaufał proponowanym przez nas informacjom — powiedział mu Stary, później. — Sami im nie ufaliśmy.

Oblivion przygląda się Czerwonemu Sierpowi. Zmienił się, myśli. Szczuplejszy, znacznie bardziej wyczerpany. W Laosie, w sześćdziesiątym dziewiątym, zapewniał Obliviona, że przestał pić. Jeśli nawet mówił prawdę, nie wytrwał w tej decyzji. W tej chwili jest pijany, i to wcale nie na wesoło. Czerwony Sierp spogląda na Obliviona tak, jakby właśnie aplikował sobie lekarstwo, jakby próbował utopić w wódce cały Afganistan.

- To ta wojna - mówi Rosjanin. Wymachuje trzymaną w dłoni butelką. Siedzą w barze pełnym radzieckich żołnierzy. - Ta wojna. - Nachyla się blisko twarzy Obliviona, bije od niego przypominający fabryczny dym oddech. - Heroina - ciągnie. - Właśnie na tym jadą moi chłopcy. Stąd pochodzi cała heroina świata. Maki. Właśnie tak się ci Afgańcy mnożą. Zupełnie jak maki. Nie można ich zabić. Nie da się ich

odnaleźć. Ulatują z wiatrem i wyrastają gdzie indziej. Powinniśmy byli skorzystać z waszej historycznej nauczki. Brytyjskiej. Prowadziliście tutaj trzy wojny i każdą przegraliście. Nie można w tym kraju zwyciężyć. Wy nie potrafiliście, my nie możemy, i przegrają też wszyscy inni, którzy przyjadą tu po nas. Ta ziemia nienawidzi najeźdźców.

- Czy ty kiedykolwiek przekazałeś nam prawdziwe informacje? — pyta Oblivion. Z ciekawości, czystej ciekawości.

Czerwony Sierp wybucha śmiechem, uderza dłonią w blat stołu.

Żołnierze nie zwracają ku nim spojrzeń, nawet na moment.

- Teraz ci jedną przekażę — odpowiada. — Ten cały bin Laden. Ten Saudyjczyk. Zabij go. Teraz. Zabij go, gdy tylko nadarzy się okazja, bo inaczej zwróci się przeciw wam i będzie silniejszy niż w tej chwili. Powiedz to swoim jankeskim kumplom, Oblivion.

- Widziałem, że zabija przemienionych — mówi Oblivion.

Czerwony Sierp wzrusza ramionami.

- Umieramy jak wszyscy inni. Może tylko wolniej. — Ma czerwone, nawiedzone oczy. Widać w nich potworne, bezkresne wyczerpanie. — Oblivion - dodaje - jestem zmęczony.

Tamtej nocy Oblivion nie potrafi pozbyć się z głowy echa słów Rosjanina. Tego straszliwego znużenia, które nadchodzi wraz z nazbyt wieloma niezmiennymi latami.

- Za dużo wojen - podejmuje Czerwony Sierp. - Pamiętasz wojnę?

Oblivion nie musi pytać, którą dokładnie ma na myśli Rosjanin. Także według Anglika liczy się tylko jedna, jedyna wojna. Według niego, według Czerwonego Sierpa, według nich wszystkich.

Wszystko potem jest tylko cieniem tamtej wojny.

113. NOWY JORK, 2001

Stoimy w dole. Na nowojorskiej ulicy. Zadzieramy głowy...

To ptak! To samolot! Nie, to...

To jest samolot. Wbijający się, jakby w zwolnionym tempie, w szczyt północnego wieżowca kompleksu World Trade Centre.

To postępujące powoli zniszczenie. Ta groza i niezrozumienie, ogarniające nas, oglądających te zdjęcia, nadawane raz po raz przez telewizje całego świata. Obserwujemy i patrzymy na nie po raz kolejny, w zwolnionym tempie, w wysokiej rozdzielczości. Oglądamy moment, w którym umiera marzenie.

Przez cały czas spodziewaliśmy się zbawcy. Człowieka. Bohatera. Kim jednak jest bohater? To ktoś, kto wyskakuje z kolorowych stron lub ze srebrnego ekranu z bronią w ręku, by nas uratować. By ten koszmar nie mógł trwać ani chwili dłużej. By rozbroić porywaczy, by samolot zdołał bezpiecznie wylądować. Żeby odwrócić bieg tej potworności.

To ptak. To samolot. Nie, to...

Nic. Nic i nikt.

Tego dnia spoglądamy ku górze i widzimy śmierć bohaterów.

TRZYNAŚCIE

KŁAMSTWA I TAJEMNICE

BERLIN

1946

114. KLUB NOCNY „DER ZIRKUS”, BERLIN, 1946

Na scenie gra big-band. W powietrzu gęsto od papierosowego dymu i pijanych rozmów. Przyćmione światła. Upiorni kelnerzy w czarnych smokingach snują się dokoła jak grabarze. Ściągnięte oblicza i niedożywione ramiona, wampiry pośród żyjących. Wszystkie stoliki zajmują żołnierze. Fogg ma na sobie mundur sierżanta, siedzi przy stole z Oblivionem, Spit i dwójką innych. Na ramieniu nosi insygnia BSP. Na blacie sterczą kufle po piwie. Popielniczki wielkości talerzy. Oblivion dobija końca opowieści...

- ...i mówię jej: „Z taką twarzą, kochanie, nie masz się co śmiać!”.

Pijacki rechot. Fogg pociąga łyk bursztynowego napoju. Spit ogląda się, patrzy w stronę wejścia.

- Hej, patrzcie, kogo przywiało! - mówi.

Fogg odwraca głowę. Otwarte drzwi klubu. Wtaczają się chwiejnym krokiem: Człowiek Tygrys, Zielony Rewolwerowiec i Cyklon. Przez chwilę, dla wywarcia większego efektu, zatrzymują się w przejściu. Człowiek Tygrys zarzuca blond grzywą. Jakby pozował przed obiektywem aparatu.

- Jankesi - mruczy Fogg.

Wszyscy Anglicy mają na sobie wojskowe mundury. Amerykanie wdziali swoje kostiumy. Jaskrawe i czyste kolory, krzykliwe w mrocznym wnętrzu klubu. Szef sali rusza do nich pędem. Prowadzi do stolika tuż pod sceną. Podaje im srebrny kubek z lodem, z którego wystaje butelka szampana. Trzy wysokie kieliszki. Ober zamiera, czeka. Tygrys dziękuje mu skinieniem. Kelner otwiera szampana, rozlega się wyćwiczony wystrzał. Nalewa. Czeka. Amerykanie piją. Człowiek Tygrys ponownie kiwa. Tym razem gest oznacza odprawę. Szef sali kłania się im. Odchodzi bezszelestnie.

- Nam nigdy nie proponują takich rarytasów — zauważa Spit.
- I tak wolę piwo — przyznaje Oblivion.

Fogg wciąż jeszcze nie poznał osobistej historii Obliviona. Jego arystokratyczna maniera maskuje plebejskie korzenie. Tylko czasami przeszłość wymyka się na wierzch. A może to jedynie wyrachowana gra, kolejny poziom maskarady. Fogg nie wie.

Zapala papierosa. Amerykańscy wojacy dostają je w ramach sortów. Wraz z nylonowymi pończochami i czekoladą stanowią walutę powojennego Berlina. Fogg płaci informatorom papierosami, urzędników przekupuje czekoladą, zaleca się do przelotnych kontaktów za pomocą pończoch. W powojennym Berlinie biuro zajmuje się polowaniem na Übermenschów.

Amerykanie spoglądają w stronę ich stolika. Człowiek Tygrys marszczy brew. Zielony Rewolwerowiec obojętnie kiwa głową. Oblivion podnosi kufel, patrząc na Cyklon, która obdarza go zniesmaczonym spojrzeniem i odwraca wzrok.

- Zaraz, po cholere zaczepiasz tę latawicę? - dziwi się Spit.
- Mieliśmy ze sobą co nieco wspólnego - odpowiada Oblivion.

Fogg patrzy ostro na towarzysza.

- Żartujesz chyba? - mówi Spit.
- W Rzymie, w czterdziestym czwartym - tłumaczy Oblivion. Uśmiecha się, lekko nostalgicznie. - Nie trwało to zbyt długo.

Spit pochyła się, wyraźnie zaintrygowana.

- A co się stało?

Oblivion wzrusza ramionami.

- Włoszki — mówi. — Wiecie jak bardzo były nam wdzięczne za wyzwolenie kraju.

Spit zanosi się śmiechem.

- Czyli co? - docieka. — Cyklon cię z którąś przyłapała?

- Cóż...Tak — kryguje się Oblivion. - Z dwiema naraz.

- Obrzydliwy jesteś — ocenia Spit.

- To samo usłyszałem od niej - wspomina Oblivion.

Fogg pije piwo. Słucha jednym uchem. Mówi niewiele. Ćmi papierosa. Zerka na zegarek. Przy wejściu poruszenie. Odwraca się i zauważa drobną, szczupłą postać próbującą dostać się do środka. Kelnerzy otaczają intruza niczym wrony. Mężczyzna przedziera się przez tę żywą przeszkodę i rusza prosto do stolika Anglików.

Informator Fogga.

Stary, dobry Franz.

Idzie za nim jeden z kelnerów, wyraźnie poruszony. Fogg unosi dłoń. Człowiek we fraku przystaje, wycofuje się. Franz zatrzymuje się, spogląda na stolik, na alkohole, na dobrze wykarmionych wojaków. W jego obliczu pojawia się coś bardzo wyrazistego, głód.

- Wyjdźmy stąd - mówi Fogg. - Już.

Podnosi się. Osusza kufel. Franz już wychodzi. W tym klubie nie wolno mu przebywać. Big-band kończy swój występ. Przygasają światła. Na scenie pojawia się samotna kobieta. Ubrana w męski strój. Czarny cylinder. Ostre rysy, mocno zarysowane kości policzkowe. Oblewa ją snop światła pojedynczego reflektora. Reszta sceny tonie w ciemności. Franz zatrzymuje się przy drzwiach, oblicze skierowane ku scenie, zahipnotyzowany. Kobieta podchodzi do mikrofonu. Zaczyna

śpiewać. Słyszając jej głos, Franz lekko drży. Sala - cały „Der Zirkus” - milknie. Artystka zaczyna śpiewać. Amerykańska piosenka „My Dreams are Getting Better All the Time”. Fogg wypycha Franza na zewnątrz.

115. NA ZEWNĄTRZ KLUBU „DER ZIRKUS”, BERLIN, 1946

Prosto w piekło, w jakie przeobraził się Berlin. Gołe szkielety budynków sterczą pod nienaturalnymi kątami. Wszędzie walają się gruzy, złożone na ulicach niczym świątynne ofiary. W cieniu przemyka żebrak. Przed klubem zawsze koczują nędzarze. Opatulona chustą kobieta trzyma pod pachą dziecko, choć może tylko kłębek zwiniętych szmat? Nie wiadomo. Ślepiec w czarnych okularach unosi cynowy kubek, pobrzękuje. Na zewnątrz czekają kobiety, nogi gołe mimo chłodu. Na widok Foggę nakładają na twarze uśmiechy jakby wkładały mundury. Próbuje zwrócić na siebie jego uwagę. Można je mieć za paczkę papierosów. Berlin. W powietrzu snuje się mgła. Anglik otacza się nią niczym ciepłym, swojskim płaszczem. Jakby w nadziei, że opary przesłonią miasto, sprawią, że Berlin zniknie. Gdyby tylko mógł naprawdę zniknąć.

Berlin.

Okulary na nosie Franza wiszą krzywo. Trzymają się jedynie dzięki taśmie. Fogg odchodzi dalej, Franz za nim. Po wymarłej ulicy, po nierównej jezdni. Obok nich przemyka amerykański dżip, żołnierze gwizdzą i nawołują wyczekujące kobiety. Wreszcie mężczyźni docierają za róg. Mgła gęstnieje. Skrywa ich obu. Zatrzymują się.

- Więc, Franz, co dla mnie masz? - rzuca Fogg.

- Człowieka, o którego pan prosił, Herr Schleier! - pada odpowiedź. Właśnie pod tym nazwiskiem zna Foggę. - Dowiedziałem się co nieco - dodaje.

Serce Anglika, niczym przeczuwający wolność uwięziony ptaszek, zaczyna szybciej trzepotać.

- Bühler? - pyta, myśląc o mężczyźnie z jasnymi, niemal białymi włosami; myśląc o śnieżnej burzy.

Franz się uśmiecha, chytrze. Wyrachowane spojrzenie. Ciekawe, ile zdoła tym razem wydębić od Herr Schleiera?

- On ma już nowe nazwisko — mówi.

Fogg nie reaguje. Niemiec przestępuje z nogi na nogę, zaciera ręce. Wypuszcza zimne oddechy, które natychmiast zlewają się z mgłą.

- Herr Schleier, ma pan może papierosa, proszę?

- Co czyni człowieka, Franz? - Ich stały refren. - Co czyni bohatera? - pyta Fogg.

- Proszę - powtarza mężczyzna. - Papierosa, Herr Schleier.

Fogg wyciąga papierośnicę. Srebrną. Należała do niemieckiego pułkownika, kupił ją od anonimowego amerykańskiego wojaka. Otwiera. Dobywa papierosa. Franz obserwuje. Fogg zamyka puzderko, stuka w wieko papierosem, z namysłem. Franz wciąż patrzy, jego oczy są oceanami szarości.

- *Danke schön*, Herr Schleier.

Informator przyjmuje papierosa niczym ofiarę. Fogg wyciąga zapalniczkę Zippo, zapala, podaje ogień Franzowi.

- *Bitte, bitte* - mówi.

Niemiec się zaciąga. Kaszle. Kolejny sztach.

- Gdzie jest Herr Bühler? - pyta Fogg.

- Ukrywa się w rosyjskiej strefie, Herr Schleier.
- Cholera - rzuca Fogg.
- Jest niesamowicie ostrożny, ten cały Herr Bühler.

Oblicze Franza rozświetla nagła nienawiść. Zaskakuje Fogg.
Informator spluwa na ziemię.

- Wydałbym go panu za darmo - stwierdza. - Herr Schneesturm. Jak wy to mówicie? Zamieć. Herr Schleier, ja byłem na froncie. Na wschodnim froncie i widziałem tego Ubermenscha. Widziałem też, co robił.

Fogg przygląda mu się bez słowa. Franz łapczywie pali papierosa. Lekko wysuwa go z ust, pochyla się, zdejmując but.

- Widzi pan? - pyta.

Fogg widzi. Franzowi brakuje dwóch palców.

-To robota Schneesturma - wyjaśnia Franz. - Dla niego byliśmy zupełnie jak Żydzi.

Fogg pozwala mu mówić. W ciszę. Podekscytowany tytoniem i nienawiścią Niemiec pragnie ją wypełnić.

- Byłem żołnierzem, Herr Schleier. Jak po waszemu będzie Schleier? Mgła?

Czeka na odpowiedź. Nie otrzymuje żadnej.

- Panie Mgła - podejmuje Franz ze śmiechem. Który zaraz zamiera.

Fogg wpatruje się w jego stopę. W brakujące palce.

- Byłem żołnierzem — powtarza Franz cicho. — Służyłem własnemu krajowi.

- Pieprzona wojna - rzuca Fogg.

Franz przytakuje raptownymi skinieniami. Zdawkowo rozkłada ramiona. Na powrót wkłada but, z rozkoszą zaciąga się dymem.

-Jego dałbym panu za darmo, Herr Schleier - powtarza, po czym spogląda na własne paznokcie, na dzierzącą papierosa dłoń. Przypatruje się jej bardzo uważnie. - Ale człowiek nie da rady żyć o pustym żołądku - dodaje.

Fogg wzdycha. Wsuwa dłoń do kieszeni. Wyciąga paczkę papierosów i coś jeszcze, coś małego i miękkiego, coś co furkocze na wietrze. Franz obserwuje to w skupieniu. Coś jak mały, zielony motyl z ciemnymi plamkami.

-Och...

Dwudziestodolarowy banknot.

- Więc? - zachęca Fogg.

Ale Franza zahipnotyzował widok. Jego usta składają się w zadziwione O. Fogg wręcza mu papierosy i banknot. Przywraca tym rozmówcę do życia. Niczym szalony naukowiec ze starego horroru.

- Dziękuję, Herr Schleier, dziękuję...

-Jeżeli go znajdę, dostaniesz dwa razy tyle...

Fogg milknie i przygląda się informatorowi.

- Lepiej, żeby Jankesi nie dotarli do niego pierwsi - dodaje.

-Ja z nikim innym nie gadam! Tylko z panem, Herr Schleier...
Przysięgam na honor...

Pieniądze znikają w jednej chwili.

-Teraz daj, co obiecałeś.

Fogg czeka, gdy Franz przetrząsa zakamarki swojego brudnego płaszcza. Wyciąga z kieszeni niewielki karteluszek, kilka razy złożony. Podaje go Foggowi, który chowa kartkę.

- Herr Schleier...

- Idź stąd, Franz - rzuca Fogg.

Franz patrzy, na jego twarzy zmagają się sprzeczne uczucia, jakby nie potrafił się zdecydować. Wreszcie odzywa się i w jego głosie słychać coś, co przypomina zranioną dumę.

- Ja byłem żołnierzem, Herr Schleier.

Fogg tylko patrzy. Franz powtarza swoje i zaczynamy myśleć, że być może wpadł w pętlę, z której nie ma już ucieczki.

- Ja byłem żołnierzem.

- Wszyscy byliśmy żołnierzami, Franz - przypomina Fogg. - A teraz spieprzaj stąd.

116. GABINET STAREGO, teraz

- Był tylko zwykłym informatorem - mówi Fogg.

- Ale znalazł dla ciebie Ericha Böhlera, czyż nie, Fogg? — zauważa Stary. - Znalazł Schneesturma.

- Powiedział, że Schneesturm ukrywa się w strefie radzieckiej - przytakuje Fogg.

- Czyli jednak pamiętasz, Henry.

Fogg nieco się rozluźnia. Zdobywa się nawet na delikatny półuśmiech.

- Jeżeli mnie pamięć nie myli, przedłożyłem po tych wydarzeniach wyczerpujący raport.
- Owszem, owszem - przyznaje Stary. Wyraz jego twarzy łagodnieje. - Chcę, Henry, byś wiedział, że naprawdę doceniam, że tu dzisiaj przyszedłeś mimo tak naglącego terminu — mówi.
- Na rozkaz, sir.
- Na zbyt długo zostałeś sam, Henry. Zbyt wiele lat byłeś pomijany - stwierdza Stary.
- To było tak dawno temu - przypomina Fogg. - Czy naprawdę ma to teraz jeszcze jakieś znaczenie?

W tym punkcie Stary wycofuje się i nie oponuje. Chociaż może nie, może po prostu się zgadza.

Macha dłonią, jakby chciał powiedzieć, że nic z tamtych czasów nie jest już istotne. Przysuwa sobie inną teczkę. Otwiera ją. Z namysłem wpatruje się w zawartość.

- Wróćmy do Franza — proponuje Stary. — Franza Schródera. Twojego berlińskiego informatora z czterdziestego szóstego roku.

Fogg poprawia się na krześle.

- Naprawdę nie rozumiem... - zaczyna.
- Zrób mi tę przyjemność, Fogg, proszę.

Fogg patrzy mu prosto w oczy.

- Co pan chce wiedzieć, sir? - pyta. Ponownie zrezygnowany. Świadom już, że przesłuchanie wcale się jeszcze nie skończyło. Ze przeciwnie, weszło właśnie w najbardziej kluczową fazę. Że właśnie o to chodziło Staremu od samego początku.

- Opowiedz mi o Berlinie, Fogg - prosi Stary. — Opowiedz o Zamieci.

Fogg, zrezygnowany, opowiada.

117. BERLIN, 1946

- Berlin. Musisz zrozumieć, jak to miasto wyglądało — mówi Fogg. — Berlin w czterdziestym szóstym przypominał zakład dla obłąkanych. Cyrk, gabinet osobliwości. Można było tam spotkać szaleńców dowolnego gatunku. I duchy...

Śnieg sypie na szare, zniszczone ulice. Cienie mieszkających na nich ludzi przemykają niczym szczury wzdłuż murów, lecz widzimy też neonowy, świecący napis, szyld: „Der Zirkus”, a pod spodem, lekko mniejszymi literami: „Nachtklub”.

Ziąb przenika wszystko. Foggowi przemarzły palce, nie reagują. Mgła unosi się wokół Anglika i osłania go jak tarcza: przed bacznyimi spojrzeniami zagubionych berlińczyków, przed wzrokiem ludzi i kobiet z cienia, powojennych, żywych duchów.

- Każda agencja wywiadowcza świata miała w tamtym roku w Berlinie swoich ludzi. Szukaliśmy Übermenschów. Poszukiwaliśmy Vomachta. Naukowców, którzy pracowali w jego laboratoriach. Wysokich rangą nazistów, którym do tego czasu udało się uniknąć schwytania przez aliantów i pozostawali na wolności. Szukaliśmy niemieckich uczonych. Szukaliśmy specjalistów od budowy rakiet.

Jak długo pozostawał samotny? Jak długo był pomijany? Spotkał się z Franzem, który przekazał mu kartkę z adresem. Było mu tak bardzo zimno.

- Chryste - mówi Fogg. - Zazwyczaj nie byliśmy w stanie znaleźć sami siebie.

Podchodzi do drzwi klubu, otwiera je pchnięciem i wkracza do środka.

118. KLUB NOCNY „DER ZIRKUS”, BERLIN, 1946

Owiewa go pachnące luksusem powietrze. Pachnące papierosowym dymem i piwem, śmiechem i muzyką. Po chłodzie na zewnątrz sala wydaje się bardzo ciepła. Przystaje i napawa się atmosferą. Tym niewielkim kokonem życia, otoczonym przez wszechogarniającą śmierć.

Na scenie stoi ta sama samotna kobieta, co wcześniej, śpiewa przepętnionym smutkiem głosem. Rozpoznaje ją.

Machenstraum, myśli Fogg.

Jest wysoka. Ma na sobie czarny męski smoking i cyrkowy cylinder. Nie jest piękna w tradycyjny sposób, aczkolwiek mogłaby - gdyby tylko zechciała - przybrać dowolne kształty. Fogg doskonale o tym wie. Machenstraum. Tkaczka Snów. Spowija ją światło reflektora. Reszta sceny tonie w ciemności, w oceanicznej czerni. Fogg stoi i przysłuchuje się piosence. „I Had the Craziest Dream”. Chwilę temu śpiewała coś innego.

Fogg kiwa głową do rytmu. Zapala papierosa. Dym snuje się wokół jego ramienia niczym pełznący wąż. Anglik zerka na zajęte stoliki. Milczący kelnerzy suną po parkiecie. Aksamitne kotary z wygryzionymi przez mole dziurami. Patrzy na wciąż siedzących na swoich zwykłych miejscach Amerykanów.

Jest tak, jakby nagle znalazł się w dwóch miejscach naraz, w przeszłości i teraźniejszości, podróżnik w czasie rozdarty na dwie części. I w gabinecie Starego Fogg mówi szybko, wyrzucając z siebie kolejne słowa. Jak młody człowiek. Zdania płyną jedno za drugim. Zupełnie jakby coś wreszcie wydostało się na wolność.

- *Amerykanie mieli prawdziwego świra na punkcie fachowców od konstrukcji rakiet- opowiada Fogg. - Von Brauna przejęli przy pierwszej nadarzącej się okazji. Skończyło się tak, że kierował ich programem*

kosmicznym. Byli w całym Berlinie, tajniacy i nadludzie. Tacy jak Człowiek Tygrys, Zielony Rewolwerowiec i Cyklon.

W przeszłości, w powojennym Berlinie, Fogg patrzy właśnie na nich. Mruży piekące od dymu oczy, zasłuchany w śpiew Machenstraum.

- *Amerykanie zawsze lubili się popisywać— mówi Fogg. — Demonstrowali swoje moce wszem wobec, niczym angielska pani domu chwalcąca się zastawą z drogiej porcelany. Cały ich kraj stał się jedną wielką mocą, supermocarstwem, i chcieli dać to wszystkim do zrozumienia.*

-Jakby ktoś jeszcze o tym nie wiedział — wtrąca Stary.

Fogg prychnął.

- *Chcieli też tego samego, co my — podejmuje. — Vomachta i osieroconych Übermenschów. Wytworzył się prawdziwy rynek przemienionych. Wystawiali nas do wiatru, a my w zamian wbijaliśmy im nóż w plecy.*

Fogg wpatruje się w scenę. Piosenka dobiega końca.

- *W Berlinie, w czterdziestym szóstym? — Patrzy na Starego. — Wszyscy grali w tę samą grę.*

119. „DER ZIRKUS”, BERLIN, 1946

Fogg wraca do angielskiego stolika i siada w chwili, gdy milkną ostatnie dźwięki utworu. Ponownie zapalają się światła i wraz z nimi na salę powraca szmer.

- *Szampana? - proponuje Oblivion.*

Jaśniej - co zauważa Fogg - jakimś wewnętrznym blaskiem, dotarł do etapu wesołego upojenia, co zdarza mu się raczej rzadko. Fogg potakuje skinieniem i towarzysz nalewa mu alkohol. Butelka - widzi

Fogg - stoi na blacie w wiaderku z lodem. Pytająco unosi brwi.

- Z pozdrowieniami od konkurencji - wyjaśnia Oblivion, wskazując gestem stolik Amerykanów.

Fogg pozdrawia ich podnosząc kieliszek. Człowiek Tygrys, Cyklon i Zielony Rewolwerowiec odpowiadają tym samym.

- Wyjątkowo cywilizowany gest, jak na nich - zauważa Fogg.

Artystka na scenie kłania się do wtóru niezbyt burzliwych oklasków, po czym znika za kulisami.

- Kiedy ją wreszcie aresztujemy? - pyta Spit.

- Kogo? Machenstraum? - upewnia się Oblivion, ewidentnie zaskoczony. - Jest zbyt cenna, by ją zmarnować.

Spit prycha z niesmakiem.

- Tkaczka Snów! Co za durny pseudonim. To nazistka i w dodatku muśnięta falą Vomachta. Powinniśmy byli ją zgarnąć już dawno temu.

Oblivion marszczy czoło.

- Gdyby wojna skończyła się inaczej - przypomina - to nas by teraz „zgarniano”.

Spit wpatruje się w jego oczy.

- Co ty, Oblivion? Miękniesz na starość? Stałeś się zniecka współczującą, ludzką istotą, bo kręci cię jakaś niemiecka superzdzira?

Co do ostatniej uwagi Fogg żywi pewne wątpliwości, lecz zachowuje je dla siebie.

- Oj, przestań Spit - rzuca Oblivion. - Wszyscy wiedzą, kim ona jest. A w dodatku nie była przecież żadnym, cholera, Eichmannem.

- Nie? - odpięra dziewczyna mrocznym tonem.
- Nie. Nie była - oświadcza Oblivion. — A jeżeli już tak koniecznie musisz wiedzieć, to zagięli na nią parol Amerykanie. Skutecznie. Dostała od nich prawo swobodnego opuszczenia kraju.
- Naprawdę? - wtręca zaskoczony Fogg.

Oblivion kiwa głową. Spit weszła w agresywną fazę pijaństwa.

- Jak wszyscy inni ci, kurwa, Ubermenschowie - syczy, na co Oblivion wzrusza ramionami.
- A spodziewałaś się, że co się z nią stanie? - pyta.
- Nie wiem - przyznaje dziewczyna i dodaje już ciszej: - Ta wojna...

Fogg siedzi w milczeniu i sący szampana. Rozkoszuje się ciepłem.

Sprzeczki Spit i Obliviona wydają się równie swojskie jak domowe obiady. W tle gra orkiestra. Przez cały czas myśli o spoczywającej w kieszeni karteczce, o adresie, który dostał od Franza. Myśli o Paryżu w czterdziestym trzecim, o mężczyźnie noszącym nazwisko Erich Bühler, występującym także pod pseudonimem Zamieć. Myśli o Czołgu leżącym na kozetce w szpitalu polowym, gdzieś w Szkocji. Jednym łykiem dopija alkohol i wstaje z krzesła.

Spit zadziera ku niemu głowę.

- A ty, do cholery, dokąd się znowu wybierasz? — rzuca, przeciągając słowa.
- Idę porozmawiać z pewnym facetem o pogodzie - odpowiada Fogg.
- Zapowiadają zamiecie.

120. GABINET STAREGO, teraz

- Jeszcze tej samej nocy wybrałeś się do sowieckiego sektora?

Stary przerzuca kolejne strony akt Bühlera. Palec. Róg kartki. Szelest papieru trącego miękko o papier. Fogg zauważa, nie po raz pierwszy, że w biurze nie ma ani jednego zegara. Nikt nie jest w stanie sprawdzić, ile minęło czasu.

- Niecierpliwiłem się - tłumaczy Fogg. - Nikomu o tym nie powiedziałem. Nawet Oblivionowi.

- Nie - powtarza Stary, choć jak wydaje się Foggowi, z pewnym powątpiewaniem. Z powątpiewaniem. - Nie powiedziałeś nawet Oblivionowi.

- Schneesturm - podejmuje Fogg. - Wciąż tkwił mi w pamięci. Nie potrafiłem zapomnieć o Paryżu. To przez niego Czołg przeszedł przez to wszystko. Tak, nie umiałem też przestać myśleć o Czołgu. O tym, co go spotkało. O Auschwitz. Wtedy już wszyscy widzieliśmy zdjęcia. Zresztą sam tam pojechałem, już po.

- Pamiętam - przyznaje cicho Stary.

- Chciałem odnaleźć go osobiście, to musiałem być ja - mówi Fogg, niemal błagalnie.

Stary nie odpowiada. Przypatruje mu się tylko z lekko przechyloną głową. Mruga, raz.

- Cholerny Erich Bühler - ciągnie Fogg. Pochyla się nad biurkiem szefa. Spogląda mu w oczy. - Zamieć - mówi.

Stary przytakuje.

- Tak - dodaje Fogg. - Tak, jeszcze tej nocy wybrałem się do radzieckiego sektora.

121. BERLIN, 1946

Jadą wzdłuż Tiergarten, Fogg i zgarnięty sprzed „Der Zirkus” kierowca. Wojskowy dżip. Owiewające im twarze zimne nocne powietrze. Pasma mgły sunące w ślad za nimi niczym sfora psów.

- Długo pan już tu siedzi? - pyta kierowca.

Jest w nim coś, co nie przypadło Foggowi do gustu. Nie jest Ubermenschem, zwykły piechur, kapral, ale ma w sobie coś takiego... Czarne, przylizane włosy, stanowczo zbyt dobrze odkarmiony. Impertynencki. Tak, o to tutaj chodzi. Ten uśmieszek, te równe białe zęby.

- Wystarczająco długo, kapralu - odpowiada Fogg zwięźle.

- Wie pan - mówi kapral - jeżeli będzie pan czegokolwiek potrzebować, proszę walić do mnie jak w dym. Te zimne berlińskie noce potrafią być paskudnie samotne.

Jadą na wschód. Kapral swobodnie omija dziury w jezdni, kratery po bombach. Jedynie reflektory ich samochodu rozświetlają tonące w mroku miasto. Na ich widok ludzie usuwają się głębiej w cień.

- A niektóre tutejsze Frau potrafią się tak pięknie odwdzięczyć.

- Słucham?

Fogg wpatruje się w kierowcę. Długie palce kaprala pewnie dzierżą kierownicę. Uśmiech, z jakim zwraca się do Fogg, jest biały i radosny, typowo amerykański.

- Kobiety, proszę pana — tłumaczy cierpliwie. — Dziewczynki. Panienci. Część jest mocno pokiereszowana przez Ruskich. Wie pan, kiedy zajmowali Berlin. Ale nie moje. Moje to prawdziwe artystki, cholera.

Fogg odwraca spojrzenie. Przymyka na chwilę oczy. Wczuwa się w otaczającą ich noc. Wiatr muska mu twarz błogosławiącymi palcami.

Anglik podnosi powieki, sięga po papierośnicę, zapala.

- Będę o tym pamiętać, kapralu - odpowiada. Wypuszcza dym.

Siwe smugi na moment układają się w ludzika, który macha rękoma, po czym rozmywa się w powietrzu. Jeżeli kapral nawet go zauważy, jego lub otaczającą dżipą, kroczącą za nim non stop mgłą, nie komentuje zjawisk nawet jednym słowem. Być może, myśli Fogg, ten młody człowiek zdążył już przywyknąć do dziwnych obyczajów specjalistów przydzielonych do wojska z BSP, z tak zwanego Blura Spraw Przeszarżanych. Tak czy inaczej, chłopak rzuca Foggowi świetlisty uśmiech.

- A co pan powie na coś z biżuterii? - podejmuje wesoło. - Może ma pan w domu dziewczynę, której przydałaby się nowa błyskotka? Złoto mogę panu załatwić po wyjątkowej cenie.

Fogg się uśmiecha. Wydmuchuje dym i tym razem nadaje mu kształt gołębia, który po krótkiej chwili odlatuje.

- Może mam w domu dziewczynę... - powtarza. — Tak, chyba można tak powiedzieć.

- Przepraszam?

- Jest gdzieś takie miejsce, w którym bez przerwy trwa lato - mówi Fogg. Zamyka oczy. Wypuszcza kolejny kłęb. - Biały kamienny dom pośrodku łąki. Trawa jest tam zielona, a pszczoły leniwie bzyczą w powietrzu. Światło jest miękkie i delikatne jak cicha muzyka...

- Proszę pana...

Fogg podnosi powieki. Kapral stracił swój uśmiech. Jadą przez Wilhelmstrasse, mijają wielki gmach Reichsministerium, w którym dawniej pracował Hermann Göring - budynek Ministerstwa Lotnictwa Rzeszy. Na całej ulicy tylko on jeden pozostał nieuszkodzony. Cała reszta - zaprojektowana dla Führera przez Alberta Speera kancelaria

Rzeszy i wspaniały pałac prezydencki, zajmowany w czasie wojny przez Ribbentropa, Ministerstwo Propagandy i wszystkie pozostałe budowle — te symbole, ośrodek nazistowskiego reżimu, wszystko obróciło się w gruzy pod alianckimi bombami zrzuconymi przez alianckie samoloty. Wszystko z wyjątkiem siedziby Göringa: samotny niedobitek. Wokół panuje upiorna cisza, a jedyne światło mający sporo dalej przed nimi. Fogg wie, że to reflektory rosyjskiego punktu kontrolnego.

- Proszę się tu zatrzymać, kapralu — odzywa się Fogg.

Kierowca wykonuje polecenie z wyraźnym zadowoleniem. Milknie warkot silnika, zalega cisza. Fogg próbuje sobie przypomnieć, kiedy ostatnio słyszał ptasi śpiew. Bez skutku. Z wyjątkiem ludzi, wszelkie żywe istoty zniknęły z Berlina już dawno. Zginęły lub zostały zjedzone przez tych, którym udało się przeżyć. Miasto cuchnie śmiercią, lecz znacznie gorszy jest tutaj fetor życia.

- Jak się nazywasz, kapralu? — pyta Fogg.

Żołnierz głośno przetyka ślinę.

- King - przedstawia się. - Kapral King.

Fogg kiwa głową.

- Zaczekaj tu, aż wrócę, King — mówi.

- Jak? Tu?

- Jakiś kłopot ze słuchem, kapralu?

- Nie. Zrozumiałem.

- To dobrze.

Anglik odwraca się od kierowcy. Kiedy rusza przed siebie, mgła zbiera się wokół jego sylwetki, podnosi się z ziemi, aż wreszcie przestania go

całkowicie. Fogg znika. Kapral King patrzy w miejsce, w którym jeszcze przed chwilą widział oficera. Spogląda na zbombardowane budynki, na rosyjskie reflektory. Nasłuchuje ciszy powojennego Berlina. Ciaśniej otula się płaszczem, wyciąga papierosa i zapala. Wydmuchuje dym w ciemność, przygląda się gęstniejącym oparom.

- Dziwak jakiś - mruczy w zamyśleniu pod nosem.

122. GABINET STAREGO, teraz

- Kapral King, co? - rzuca Stary.

-Tak.

- Dawniej nazywaliśmy takich zaradnymi gośćmi.
- Owszem - przyznaje Fogg.

Ludzi pokroju kaprala Kinga można spotkać w każdej jednostce wojskowej świata. Ludzi potrafiących załatwić wszystko, za odpowiednią cenę.

W Berlinie chodliwe były czekolada, amerykańskie papierosy i nylonowe pończochy. Chodliwe były kobiety. Narkotyki. Broń. Nawet dokumenty. Cokolwiek. Wszystko, tylko nie pokój. Tym jednym luksusem Berlin już nie dysponował.

- Cóż - podejmuje Stary. Odsuwa sprawę tego Kinga na bok. Kapral nie jest mu obcy. Nie jest też obcy nam. - Więc poszedłeś do strefy sowieckiej - mówi. - Ale nie dostałeś się tam... oficjalnymi kanałami.

-Nie.

- Rozumiem, że nie miałeś na granicy sektorów żadnego kłopotu, Fogg?
- Nie - przyznaje Fogg. - Nie miałem.

123. BERLIN, STREFA RADZIECKA, 1946

- *Nie podobało mi się, że muszę tam iść- opowiada Fogg. Znów ta pęknięta, rozdzielona nieskończoność: teraźniejszość nałożona na przeszłość... Gdy tak idzie przez noc, wśród księżycowego pejzażu obróconej w ruinę nazistowskiej architektury (z jedynym wyjątkiem Ministerstwa Lotnictwa zajmowanego dawniej przez grubego Göringa) Foggowi przypomina się, tylko na moment, front wschodni.*

- *Nikt tej strefy nie lubił. Zniknęło tam zbyt wielu łowców skalpów. Rosjanie rozgrywali końcówkę partii podobnie jak my. Chcieli zagarnąć jak najwięcej Übermenschów, zupełnie jak dzieciak zbierający rozsypane cukierki. I nie mieli zamiaru się z nikim dzielić.*

Odpowiedź Starego słyszy jak spod wody. Fogg kroczy przez tę ciemną, martwą ziemię. Narasta wokół niego crescendo mgły. Przemyka się obok punktu kontrolnego, niezauważony, nieusłyszany, człowiek cienia w świecie cieni.

Strefa radziecka. Radziecki sektor.

Niespecjalnie różni się od innych dzielnic zniszczonego miasta. Zalegający na ziemi śnieg, zdradzieckie kałuże pod cienkimi warstwami lodu. Ciemna, brudna woda. Fogg klnie, gdy jego stopa ląduje w jednej z takich pułapek, zamarznęta powierzchnia pękła, zimna woda chętnie wsiąkłaby w jego ciało, gdyby tylko mogła. Anglik przyśpiesza kroku. Słyszy przytłumione dźwięki, świadomy patrzących w ciemności oczu.

- *Wszyscy wiedzieli, że koniec wojny jest w zasadzie dopiero początkiem — mówi Fogg. — Sowietci i Jankesi podzielili Berlin między siebie i było to preludium do podziału reszty świata. Z nami przestali się liczyć zupełnie. Staraliśmy się po prostu zebrać i unieść tyle okruchów, ile tylko się da.*

- *Rule Britannia... — nuci Stary.*

Fogg potrząsa głową, próbuje odzyskać jasność myśli. Przemierza zasypane gruzami ulice, mija kulące się przy ogniskach ciemne postacie, mija patrol rosyjskich żołnierzy, rozmawiających ze sobą ściszonymi głosami, mija czmychającego wzdłuż muru szczura. Szczury, myśli - jedyny poza ludźmi gatunek zwierząt, jaki przetrwa tę zimę w Berlinie.

Co opętało Schneesturma, że ukrył się akurat w sowieckim sektorze? Fogg nie ma pojęcia. Bo mógł przecież pójść prosto do Amerykanów. Otrzymałby nowe życie, dokumenty, bilet. Do Brytyjczyków zgłosić się nie miał możliwości i dobrze o tym wiedział. Wciąż mają z nim do uregulowania osobiste rachunki.

Ale na pewno Niemiec nie poszedłby do Rosjan. Tego Fogg jest pewien. Nie dobrowolnie. Czegoś takiego nie robił nikt.

Wyciąga otrzymany od Franza karteluszek. Po raz kolejny sprawdza adres. Droga zabiera mu trochę czasu, lecz ostatecznie - metodą prób i błędów - dociera na miejsce.

Ulica jest we względnie dobrym stanie. Zza otwartego okna wypływa słaba woń gotowanej kapusty. Przed budynkiem stoi działająca latarnia. Szereg piętrowych domów. Słychać prowadzoną cicho wewnątrz rozmowę. Ręcznie wypisany na kartonie szyld. „Pension”.

Fogg podchodzi do drzwi owego *Pension*. Odczekuje moment, jakby się jeszcze zastanawiał. Wreszcie podnosi rękę i stuka pięścią w drzwi.

124. GABINET STAREGO, teraz

- Jak dotąd - komentuje Stary - wszystko zgodnie z twoim raportem.

Sięga po następną teczkę. Otwiera ją. Przerzuca w milczeniu zawartość, póki nie trafia na miejsce, przy którym się zatrzymuje. Dźga palcem kartkę.

- Zobaczmy - mówi. - Tak...

Odczytuje na głos.

- „Skontaktował się ze mną informator nazwiskiem Franz Schröder”.
- Głos Starego. - „Znajomość z nim podtrzymywałem już od jakiegoś czasu. Był urodzonym berlińczykiem i walczył na froncie wschodnim. Od tamtej pory nie kochał już nazistów. Miasto znał bardzo dobrze. Był gniądą, lecz zawsze przynosił mi dobre informacje”.

Stary unosi wzrok. Patrzy Foggowi w oczy. Kręci głową.

- Był gniądą, lecz zawsze przynosił mi dobre informacje?

Fogg, lekko skrępowany, wzrusza ramionami.

- A czego się spodziewałeś? - pyta. - Szekspira?
- Wystarczyłby Marlowe - odpowiada Stary, podnosi odłożony raport i czyta dalej.
- „Franz skontaktował się ze mną w klubie nocnym »The Der Zirkus«, popularnym w mieście lokalu”. Fogg... „The Der Zirkus”?

Stary ponownie kręci głową.

- „Utrzymywał, że zna miejsce pobytu Ericha Bühlera, pseudonim Schneesturm”. Zwięźle, Fogg.
- Dziękuję.

Stary ignoruje uwagę. Czyta.

- „Wskazany adres znajdował się w strefie radzieckiej. Udałem się tam tej samej nocy. Znalazłem dom”.
- Tak - wtrąca Fogg. Wspomina. - To był pensjonat.

125. BERLIN, STREFA RADZIECKA, 1946

Fogg stuka głośno do drzwi. Dźwięk rozchodzi się echem po cichej ulicy.

Nikt nie otwiera. Wyczuwa ich obecność w środku. Czekają, żeby sobie poszedł. Kimkolwiek jest. Czegokolwiek chce. A wiedzą jednocześnie, że wcale nie odejdzie. Rozumieją, że rozlegające się nocą pukanie do drzwi nigdy nie zwiastuje niczego dobrego. Fogg znów stuka, głośniej. Wali do drzwi. Zupełnie jakby chciał im przekazać, najzwyczajniej w świecie: „Nigdzie się stąd nie ruszę”.

Wewnątrz słycać poruszenie. Anglik przestaje łomotać. Chrobocze klucz w zamku, chroboczą odsuwane skoble i drzwi stają wreszcie otworem. Za progiem pojawia się stara kobieta, zza której wygląda dwójka wystraszonych dzieci. Gospodyni ma na sobie spłowiałą żółtą sukienkę. Na ramiona zarzuciła znoszony wojskowy płaszcz. Włosy ma cienkie i posiwiałe. Oczy przypominają ptasie ślepie. Nie odzywa się. Patrzy na Foggę. Ocenia go.

- Mogę wejść? - pyta po niemiecku Fogg.

Nie czeka jednak na odpowiedź. Wchodzi. Kobieta cofa się przed nim, ona i jej dzieci. Anglik zamyka za sobą drzwi i spogląda na nich. Obrzuca spojrzeniem pomieszczenie. Niewiele do oglądania. Mały prymus. Stojący na nim garnek. Fogg podchodzi do niego, zdejmując pokrywkę. Zapach gotowanej kapusty uderza go natychmiast z pełną mocą w twarz. Odkłada pokrywkę na miejsce. Odwraca się. Wskazuje dzieciaki.

- To pani? - rzuca.

Staruszka wpatruje się w intruza, najwyraźniej rozważa dostępne opcje. Wreszcie, niechętnie:

- Siostry - odpowiada. - Nie żyje.

- Przykro mi - mówi Fogg.

- Rosjanie ją zabili.

Fogg - prawie — nie wzrusza ramionami.

- To wojna - komentuje. - I jesteśmy w Berlinie.

Kobieta patrzy mu w oczy. Nie boi się.

- Czyli pan obwinia nas? - pyta. - Myśli pan, że wiedzieliśmy? Przed wojną miałam żydowskich sąsiadów. Nigdy nam w niczym nie wadzili.

- Nie - mówi Fogg.

-Wyjechali - podejmuje staruszka. - Czy to ja ich przepędziłam? Zmusiłam ich? - Jakby próbowała przemówić mu do rozsądku. Unosi bezradnie rozwarte dłonie, stare palce o połamanych paznokciach. - Jestem kobietą - dodaje. - Co mogłam zrobić?

Fogg przygląda się gospodyni. Zastanawia się, gdzie była, co robiła. Dławiąca woń kapusty sprawia, że nabiera ochoty na papierosa. Wpatruje się gospodyni w oczy, bezlitośnie.

~ Jest pani Niemką — mówi.

Innej odpowiedzi kobieta nie otrzyma nigdy.

Oстрыm gestem wyciąga ku niej rękę.

- Dokumenty! — rzuca.

Staruszka wbija w niego spojrzenie. Anglik odpowiada tym samym. Na zewnątrz wzbiera mgła, zbliża się do okien.

- Prędko — dodaje Fogg.

Gospodyni sięga do sukienki i wyciąga wymiętą książeczkę. Dowód osobisty. Fogg otwiera dokument i pobieżnie przegląda. Zdjęcie właścicielki. Ręcznie wypisane informacje, po rosyjsku i po niemiecku.

Fogg nie zwraca jej książeczki. Bez dowodu staruszka jest niczym. Anglik ma w ręku jej życie, samą jej istotę. Podobno wiemy i czarownicy potrafili umieścić swą duszę w dowolnym przedmiocie, dla ochrony. Fogg trzyma jej duszę.

Jest w tym akcie coś niebezpiecznego, zakazanego. Poczucie władzy nad drugim człowiekiem. Być może, zastanawia się, właśnie tak przez cały czas czuli się naziści. Może dlatego robili to, co robili. Obozy śmierci i Einsatzgruppen, wojna. Jest w tej władzy coś upajającego, bez względu na to, czy posiada się ją nad jedną osobą, czy nad milionami.

Fogg odchrząkuje.

- Jak wielu ma pani gości? — pyta.
- Siedem - pada odpowiedź.
- Siedem osób?
- Siedem rodzin.

Fogg wciąż trzyma dowód w ręku. Wachluje nim w roztargnieniu. Wzrok gospodyni nadal jest wlepiony w jego dłonie, śledzi każde drgnienie książeczki.

- Tylko rodziny?
- Tak.

Fogg wzrusza ramionami.

- Więc być może podano mi zły adres.

Wyciąga dokument w kierunku właścicielki. Gdy jednak staruszka próbuje go odebrać, Fogg zmienia zdanie. Cofa książeczkę, wciąż z tą oficjalną miną, z urzędowym znudzeniem. Ramiona kobiety opadają do boków.

- Szukam pewnego mężczyzny - mówi Anglik.

Tym razem to ona wzrusza ramionami. Po tym mieście krąży wielu mężczyzn, mówi tym gestem. Wielu nadal żyje. Zbyt liczni zginęli. Proszę sobie wybrać dowolnego. Ale tutaj nie ma nikogo, kto mógłby pana zainteresować.

- Młodego mężczyzny - dodaje Fogg.

Wzrok kobiety osuwa się na dowód. Jej nierówne paznokcie pożółkły na brzegach. Patrzy mu wyzywająco w oczy. Być może oświadcza tym spojrzeniem, że młodych mężczyzn już tutaj nie ma. Zużyliśmy wszystkich i teraz nawet ich kości zostały zmielone na piach.

- Jest blondynem - ciągnie Fogg. - Włosy ma tak jasne, że praktycznie białe.

Obserwuje ją uważnie.

- Jak śnieg - dodaje cicho.

Kobieta gwałtownie kręci głową.

- Nie ma u mnie nikogo takiego - mówi.

Fogg sięga do kieszeni, wyciąga pieniądze. Amerykańskie dolary. Na widok banknotów oczy gospodyni otwierają się szeroko. Fogg unosi je przed jej nosem.

- Na pewno? - dopytuje.
- Mówię panu - potwierdza kobieta. - Nikt taki tutaj nie mieszka.

Fogg trzyma pieniądze. Kobieta wpatruje się w nie jak zahipnotyzowana. W jednej dłoni pieniądze, w drugiej dokumenty. Fogg waży je w powietrzu.

- To Übermensch — mówi Anglik. Patrzy na nią.

Gospodyni kręci głową.

- Nie, nie.
- Moglibyśmy zapewnić pani ochronę. - Głos Fogga jest ściszony, pewny.

Kobieta wybucha gniewem. Gwałtownie podrywa rękę.

-Tak jak ochroniliście moją siostrę, kiedy wasi żołnierze ją gwałcili i zabijali? - oskarża. - Wyszła na ulicę zdobyć chleb dla dzieci.

- Powiedziała pani, że to Rosjanie ją zabili - przypomina Fogg, zaskoczony jej emocjonalną reakcją.
- Anglicy, Rosjanie, Amerykanie... - rzuca kobieta. - Wszyscyście jednacy.

Fogg wpatruje się w nią intensywnie. Niemka intensywnie wpatruje się w Fogga. Próba sił. Żadne nie chce jej przegrać.

Wreszcie Anglik się uśmiecha. Pieniądze znikają. Sprawnie jak na pokazie sztukmistrza. Gospodyni przesuwa wzrok na jego drugą dłoń. Fogg kurtuazyjnie zwraca jej dowód. Kobieta odbiera go szybkim ruchem i wsuwa w ukrytą kieszeń sukienki.

- Cóż, dziękuję za pani czas - odzywa się Fogg. - Przepraszam za najście.

Żegna się skinieniem. Podchodzi do drzwi. Zatrzymuje się przy nich. Odwraca. Kolejny śmiech. Sięga do kieszeni i wyciąga garść amerykańskich słodyczy.

- To dla dzieci — mówi.

Maluchy wyglądają zza nóg kobiety. Chłopiec i dziewczynka. Fogg wyciąga rękę i podchodzi do niego, nieśmiało, lecz z determinacją. Odbierają cukierki. Ich drobne palce są gorące i lepkie. Fogg prostuje

plecy, ponownie kiwa głową. Dzieci wycofują się do swego schronienia za nogami staruszki.

- *Gute nacht*- żegna się Fogg.

Wychodzi na ulicę. Zamyka drzwi. Słyszy, jak gospodyni zasuwa skobel. Bierze głęboki oddech. Po panującej wewnątrz woni - zapachowi zagotowanej na śmierć kapusty — powietrze wydaje się bardzo świeże. Podnosi twarz. Spadająca biel. Leciutkie pocałunki.

Fogg patrzy w niebo, na sypiący śnieg.

126. GABINET STAREGO, teraz

- „Odwiedziłem wskazany przez informatora pensjonat, lecz zastałem tam jedynie właścicielkę, która oświadczyła, iż nic jej nie wiadomo, by ktokolwiek odpowiadający opisowi Schneesturma przebywał pod tym adresem...”.

Stary czyta na głos z kartki; jego głos wypełnia pomieszczenie jak monotonnie wymruczane, kojące zakłęcie utkane z drobinek kurzu i promieni światła, odbijające się bezdźwięcznie z prędkością myśli.

- Nie mogłeś tego napisać jeszcze bardziej urzędowo? - pyta oskarżycielko.

Fogg nie reaguje. Być może zapadł w drzemkę, uwiedziony wreszcie przez noc, przez późną porę i wysoką temperaturę powietrza w gabinecie. Herbata stanowi już tylko odległe wspomnienie. Stary wraca do raportu. Zwilża palec, przewraca stronę. Papier szeleści niczym trzepocące skrzydła. Stary czyta.

- „Przeprowadziłem przeszukanie lokalu i jako że zadowolilo mnie zeznanie gospodyni, opuściłem pensjonat”.

Podnosi głowę. Patrzy na Foggę. Kręci głową, nieznacznie.

- I nic więcej nie napisała — mówi.

Fogg wzrusza ramionami.

- Nic więcej nie napisała - powtarza Stary, cicho. - Pamiętasz to? Jeszcze jedno wspólne wspomnienie z wojny.

Na te słowa Fogg podnosi głowę. Potakuje.

Wspomina.

- Znałem kilku facetów w takiej sytuacji — mówi.

127. NORMANDIA, FRANCJA, 1944

Spadają bomby. Alianckie samoloty mkną nisko po niebie. De havilland mosquito, supermarine spitfire'y i invadery. Fogg i Pan Blur siedzą w okopie, oparci o wypełnione piaskiem worki. Niebo wygląda jak burzliwy wir barwnych świateł, jak podczas pokazu sztucznych ogni. Piechocińcy obsługują karabiny maszynowe. Pozycje Niemców są przed nimi, niedaleko. Inwazja stała się rzeczywistością, lecz fryce biją się krwawo, zaciekle. Fogg widział na plażach Normandii tak wiele ciał, że z pewnością nigdy ich nie zapomni, przez wiele kolejnych lat będą w jego snach podnosić się z fal i piachu. Rozdęte, powłóczące nogami zwłoki w znoszonych mundurach wyrastają z ziemi niby olbrzymie maki, aż wreszcie zalewają ich swą czerwienią.

Fogg pali papierosa. Pan Blur siedzi obok ze skrzyżowanymi krótkimi nogami, w dłoni trzyma kopertę. Koperta jest podarta, zmięta, uwalana błotem i plamami czegoś, co może być rdzą, lecz również krwią. Pan Blur waha się, patrząc na kopertę. Fogg spogląda na niego, zadaje pytanie bez słów, Pan Blur kręci głową.

- Chcesz, żebym ja ci przeczytał? - proponuje Fogg uczynnie.

Pan Blur rozważa ofertę. Kręci głową.

- Nie - odpowiada. - Jednak sam przeczytam.

Rozcina kopertę. Ostrożnie. Mimo trwającej wojny paznokcie ma długie i czyste. Wysuwa ze środka pojedynczą cienką kartkę, poczta lotnicza. Niebieski atrament. Znowu moment zawahania.

- Kryj się! - krzyczy ktoś.

Przez moment kulą się odruchowo, z głowami wciśniętymi między uda. Wybuch bomb.

- No dalej, czytaj - rzuca Fogg.

Powietrze wypełnia terkot karabinu maszynowego, rozchodzi się woń kordytu, gorzka jak gałka muszkatołowa.

- No?

- Nie poganiaj mnie!

Bombardowanie nie ustaje. Fogg strzepuje papierosa. Pan Blur zaczyna czytać, na głos.

- „Drogi Ronie. Nie istnieje łatwy sposób na przekazanie takiej wiadomości...”.

Urywa. Zerka na Fogga, który odwraca wzrok. Oferuje Panu Blurowi złudzenie prywatności. Kolejna bomba, gdzieś nieopodal. Ucięty w połowie wrzask.

- „Nie istnieje łatwy sposób na przekazanie takiej wiadomości. Poznałam innego mężczyznę”.

Fogg patrzy w drugą stronę. Pali. Resztę listu Pan Blur odczytuje w milczeniu, do własnej wiadomości. Treść - jak zauważa Fogg - nie jest szczególnie długa. Wreszcie Blur kończy. Trzyma tę cienką kartkę w obu dłoniach. Wpatruje się w nią przez długą chwilę. Potem składa ją schludnie i na powrót wsuwa do koperty.

- I nic więcej nie napisała - mówi ze smutnym uśmiechem.

Ten uśmiech Fogg pamięta jeszcze po wielu latach. Ten smutny uśmiech, który wykwitł na twarzy Pana Blura na mgnienie, zanim ktoś ryknął:

- Kryj się!

Obaj się podrywają i tym razem pocisk rozrywa się blisko, za blisko. Żołnierz przed nimi — Fogg nie poznał jego nazwiska wcześniej, a potem było to już niemożliwe - więc ten żołnierz zostaje wyrzucony w powietrze, ciśnięty w tył. Karabin maszynowy eksploduje, strzelec zginał, zanim jeszcze uderzył Fogg, i odłamki stopionego metalu zasypują cały wykop, i Fogg zachował życie wyłącznie dzięki niemu, dzięki temu martwemu, bezimiennemu żołnierzowi, i nic więcej nie napisała.

128. GABINET STAREGO, teraz

- Co więc stało się potem? - pyta Stary. Patrzy w kartkę. Bębni palcami o blat biurka. Unosi wzrok i spogląda na Fogg.

Który mówi:

- Nie pamiętam.

Stary odczekuje chwilę.

- Wszystko zawarłem w raporcie — dodaje Fogg. Niechętnie.
- W jakim raporcie? — pyta Stary.
- Tym drugim. Tym, który złożyłem bezpośrednio tobie. Po... Po tym, co się wtedy stało.
- Po tym, co się stało, kiedy wyszedłeś z pensjonatu.

- Tak - mówi Fogg. - Kiedy wyszedłem na zewnątrz.

129. BERLIN, STREFA RADZIECKA, 1946

Śnieg pada niczym udzielone światu błogosławieństwo. Muska zadartą twarz Anglika. Pokrywa bielą wszystko. Tłumi dźwięki, zarzuca na miasto zasłonę milczenia. Sprawia, że na obliczu Fogga pojawia się uśmiech, uśmiech myśliwego, uśmiech przewidywania. Wtem zrywa się gwałtowny podmuch wichru, na który nie był do końca przygotowany. Zaczyna się odwracać, unosząc jednocześnie w obronnym geście ramię, i z bieli wylatuje prosto na niego postać, zupełnie jak duch, jak biały duch; zderza się z nim, odrzuca Foggę w tył, okazuje się jak najbardziej konkretna, biała istota ze śniegu i ciała. Anglik boleśnie upada i toczy się po ziemi.

Nie ma czasu na reakcję. Wiatr i śnieg wyciągają się po niego niczym ramiona, podnoszą go, ciskają nim o ścianę pensjonatu. Rozjuszony Fogg klnie, uderza pięścią od dołu i trafia w coś miękkiego. Słyszy stęknienie przeciwnika. Napór łagodnieje, lecz tylko na krótki moment. Biały kształt wycofuje się, znika za wciąż padającym śniegiem. Anglik wypluwa z ust krew, uśmiecha się szeroko i przywołuje do siebie mgłę, która przybywa niczym posłuszny psiak. Powietrze zaczyna śpiewać. Dwutonowe zawodzenie, narastające, wibrujące jak struny w powietrzu, w zawartej w powietrzu wilgoci; drgają cząsteczki wody, atomy wodoru i tlenu, jądra atomowe, kwarki. Muzyka cząstek elementarnych.

Jeden ton - wznoszący - dudni w całym ciele Fogga, w głębi jego duszy: dźwięk cząsteczek reagujących w opadającej fali probabilistycznej, zaśpiew molekuł kształtujących się i przekształcających dokoła, dźwięk wielkiej, kojącej, gęstniejącej mgły.

Drugi ton pozostaje do pierwszego w dysonansie, Fogg słyszał go już wcześniej, tamtej nocy w Paryżu. To dźwięk cząsteczek, które, miast się rozpraszać, rozluźniać, zwierają szyki, ściskają ze sobą, tworząc coś twardego, a zarazem miękkiego — biel nie szarość, śnieg w miejscach,

w których powinna zaistnieć mgła, lód tam, gdzie powinien snuć się dym. Fogg odbija się od ściany, leci prosto na tamtego, a przed nim suną okrawki mgły. Rozcinają lód zupełnie jak ostrza. Na moment zarówno mgła, jak i lód się rozstępują, i wtedy Fogg widzi drugiego wyraźnie. Blond włosy, błękitne oczy i roześmiane usta.

- Schneesturm - rzuca.

- Herr Fogg - odpowiada tamten, kpiąco, z jeszcze szerszym uśmiechem.

Zaraz potem znika i eksplozja śniegu trafia Foggą w twarz, zimna i bolesna, przypominająca mu - co dziwne, bardzo dziwne - pewną zimę sprzed przemiany, gdy jego ojciec pracował jeszcze na targu i zabrał go ze sobą do miasta, lecz zwolnił z pomagania, więc Fogg mógł się bawić z innymi dziećmi. Rzucali się śnieżkami nad brzegiem zamarznętej Tamizy.

Ale to było dawno temu, uświadamia sobie, i gniew wzbiera w nim niczym dźwięki piosenki. Fogg wybuchą śmiechem, a wokół podnosi się mgła, przesłaniając świat całym spektrum odcieni szarości. Rzuca się naprzód, lecz nigdzie nie widzi tego drugiego, tego białego, a roztańczony dokoła śnieg chwyta go w pułapkę. Nagle uderzenie, zupełnie znikąd, trafia Anglika w zębra. Zaraz potem pięść zatapia się w jego brzuchu i Fogg z jękiem zgina się wpół. Mgła na moment rzędzie i cały świat poddaje się bólowi i płatkom śniegu. Anglik uświadamia sobie oczy w oknach, obecność milczących obserwatorów, tych starych pokonanych Niemców, tych zmęczonych ocalałych kryjących się za cienkimi ścianami; oglądających niemą powtórkę wojny. Lecz oni już przegrali; ta refleksja dodaje mu siły. Fogg podnosi się, obraca na pięcie, zobojętniały na ból, przyzywa istotę z mgły, symulakrum. Wyczuwa, że ukryty Schneesturm robi to samo.

Ucieleśnienia ich żywiołów spotykają się na środku zniszczonej ulicy we wschodnim Berlinie. Człowiek ze śniegu kontra mglisty potwór. Golem Foggą jest od swego rywala mniej foremny. Bałwan bierze

zamach wielką pięścią, lecz cios, nie czyniąc żadnej szkody, przechodzi na wskroś istoty z mgły, której łokieć, utwardzony zawartymi w powietrzu cząsteczkami, wbija się w brzuch człowieka śniegu. Postać Fogga unosi olbrzymie ostrze - miecz wykuty z ziemi i oparów - i tnie. Gładko odrąbuje głowę bałwana.

- Uważasz się za bohatera?! - krzyczy Anglik w noc. - Masz się, kurwa, za bohatera?!

Gdzieś nieopodal rozlega się wściekły ryk. Głowa człowieka śniegu uderza z mokrym pluskiem o ziemię. Fogg słyszy ciche dźwięki i odwraca się, na mgnienie, nim tuż za jego plecami wyrasta Schneesturm. Fogg blokuje ramię Niemca, paruje cios, po czym sam atakuje wściekle, spychając Schneesturma w tył, krok za krokiem. Kpiący uśmiezek znika. Fogg uderza przeciwnika szerokim sierpowym w bok głowy, Schneesturm pada na ziemię i Anglik staje nad nim, pochyla się nad ciałem leżącego. W ręku Fogga pojawia się pistolet. Mierzy Schneesturmowi prosto w twarz, nieruchomo, trzyma broń bez jednego drgnienia.

- Nie - odzywa się powalony. Znieruchomiał.

Fogg ciężko dyszy.

- Podaj mi choć jeden dobry powód, Erich. Powiedz, dlaczego nie - mówi. Patrzy na przeciwnika. Przypomina mu się Czołg. I Paryż. Dłużąca się chwila ciszy. Wreszcie...

- Sommertag - odzywa się szeptem Erich Bühler.

Fogg mruga gwałtownie. Lufa zaczyna się chwiać.

- Proszę - dodaje Erich Bühler.

Dłoń Fogga dygoce. Pistolet wydaje się lekki. Wpatruje się w oczy tamtego, jakby czegoś w nich szukał, czegoś, co stracił dawno temu i nigdy potem nie odnalazł.

- Sommertag - powtarza Erich Bühler. Ma pobladłą, białą, pozbawioną krwi twarz. Leży na ziemi w całkowitym bezruchu. - Sommertag.

Słowo brzmi jak modlitwa. Niczym magiczne zaklęcie. Obietnica. Fogg, wciąż patrząc Niemcowi w oczy, pociąga za spust.

130. GABINET STAREGO, teraz

- Musiałem to zrobić — mówi Fogg. Jakby próbował wytłumaczyć. Jakby po tylu latach wszystko ponownie rozważył i doszedł do wniosku, że wydarzenia w dziwny sposób nie pozostają w równowadze, jakby jedna szala przeważała. — Nie zostawił mi wyboru.

I dodaje cicho, w wyczekujące milczenie Starego:

- Wyrównałem w ten sposób rachunki. Za to, co stało się z Czołgiem.

Stary jednak patrzy dobrotliwie. Zbywa kwestię machnięciem ręki.

- Owszem, owszem - odzywa się. Zamyka nawet teczkę. Kiwa głową.
- Cóż, tego nie mogliśmy umieścić w pisemnej wersji raportu, prawda?
- dodaje.

Fogg wierci się na krześle. Późna pora i niekończące się przesłuchanie zaczynają mu doskwierać. Dokładnie tego przecież chciał Stary, bez cienia wątpliwości.

- O co właściwie chodzi w tej rozmowie? - pyta ponownie Fogg, wiedząc, że robi to nadaremno.

Bo Stary nie ma zamiaru mu odpowiadać. Jeszcze nie teraz. Nie, póki opowieść o dawnych czasach nie dojdzie do satysfakcjonującego dla niego końca. Przygląda się Foggowi spod półprzymkniętych powiek.

- Wiesz, Fogg, jedna rzecz nie daje mi spokoju... — odzywa się.

-Tak?

- Jak myślisz, w jaki sposób ten twój informator... Jak on się nazywał?

- Franz? - podpowiada Fogg.

-Właśnie - mówi Stary. — Franz. Jak sądzisz, w jaki sposób Franz wytropił Schneesturma?

Fogg wzrusza ramionami. Jakby chciał spytać: „Po co do tego wracać? Co za różnica? Znasz informatorów. Są jak szczury. Któż może wiedzieć, dokąd chodzą i co słyszą. Sprawa zupełnie bez znaczenia”. To wszystko sugeruje bez słowa, jednym wzruszeniem ramion.

- Nie wiem - przyznaje na głos.

Lecz Stary właściwie go nie słucha. Otwiera jeszcze jedną teczkę, zaczyna czytać.

- Franz Schröder, prawda? - dopytuje.

-Tak jest.

- Wtedy też mnie to dręczyło - dodaje w zamyśleniu Stary.

- Sir?

Stary wzdycha. Być może jest to wyraz niezadowolenia z faktu, że Fogg nie udzielił mu pożądanej odpowiedzi. Możliwe też, że jest zmęczony. Lub, cholera, było to westchnienie wyrachowane, zaplanowane, jak wszystko, co robi w życiu.

-Już w tamtych dniach dręczyło mnie kilka pytań - podejmuje Stary. - I mimo upływu kilku dziesiątek lat, Henry, nadal nie mogę nad nimi przejść do porządku dziennego.

Foggowi nie umyka, że szef zwrócił się do niego po imieniu.

- Sir? — powtarza.
- Odzywasz się już tylko monosylabami, Henry - zauważa Stary.

-Sir?

Stary wbija w niego nieprzyjemne spojrzenie.

- Naprawdę chciałbym się po prostu dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi - pyta Fogg.
- Miałem raczej nadzieję, że dowiem się tego od ciebie, Henry - mówi Stary, karcąc w duchu podwładnego za tak niewinny ton. — Na przykład ten twój Franz Schröder. Okazuje się, że następnego dnia wypłynął pod Poczdamem. Akurat tam.
- Mnie tam nie było - zapewnia Fogg.
- Nie - powtarza Stary z namysłem.

Słyszając to, Fogg zaczyna się czuć nieprzyjemnie.

- Nie, Henry, nie było cię tam.

131. CECILIENHOF, 1946

Schloss Cecilienhof jest dziwnym pałacem. Wiejska rezydencja w stylu angielskiej epoki Tudorów, wznosząca się w samym sercu niemieckiej wsi; pod Berlinem, na brzegu jeziora Jungfernsee. Otaczające ją łąki i trawniki nawet w tej chwili są dobrze utrzymane. Nadjeżdżający szerokim podjazdem goście mijają zaparkowane już liczne limuzyny. Terenu strzegą uzbrojeni żołnierze, ponieważ właśnie tutaj odbywa się konferencja poczdamska.

Aczkolwiek to przecież niemożliwe, uświadamiamy sobie nagle. To nie mogło się wydarzyć, nie w ten sposób. Poczdam odbywał się latem, nie zimą. W dodatku rok wcześniej, a Fogg wyraźnie pamięta śnieg. Tylko

że jego tam nie było, prawda? W tym właśnie rzecz i jedynie przypadkiem...

Może więc jest to wspomnienie Starego, albo Obliviona, chociaż jego nie ma nawet w gabinecie, nie wrócił jeszcze z tej swojej tajemniczej misji, sprawdza, co robi Ashford w pokoju szyfrów... lecz przecież pamięć płata figle nam wszystkim.

Zatem Poczdam: konferencja w pełnym toku, największe spotkanie głów państw, jakie widział świat. Płynne zbliżenie wzdłuż szerokiego podjazdu i wnikamy do wnętrza sali konferencyjnej, pod której powałą wiszą kryształowe kandelabry, gdzie stoją skórzane fotele i okrągły stół, zupełnie jak w jakiejś mitycznej rycerskiej epoce. W powietrzu snuje się woń drogich cygar, słysząc brzęk kieliszków, czuć smak jedwabistej whisky sprowadzonej zza kanału La Manche.

Jest tu Churchill, pulchny i zarumieniony, z cygarem w ustach. Łysa kopuła jego czaszki połyskuje lekko w świetle; po brytyjskiej stronie okrągłego stołu, po stronie zajętej przez reprezentantów tego wyspiarskiego imperium, które obecnie - jak wszyscy wiemy, co wyczuwamy wszyscy w tej sali - wkroczyło w fazę upadku. Miejsce obok Churchilla zajmuje, naturalnie, Stary, przy którego ramieniu siedzi ubrany w mundur Oblivion. Krzesło obok objęła w posiadanie pani Tinkle. Z filiżanką herbaty, w kwiecistej sukience.

Jest również amerykańska część stołu i Harry S. Truman z zaczesanymi w charakterystyczny sposób włosami, w okrągłych okularach, z wargami, które przez cały czas wyglądają, jakby wędrowały ku górze w uśmiechu. Starannie ogolony, w eleganckim krawacie. Prezydent wschodzącego światowego supermocarstwa, Stanów Zjednoczonych Ameryki. Po bokach prezydenta rozsiedli się wygodnie, emanując aurą posiadaczy całej sali, całego spotkania, Człowiek Tygrys, Cyklon i Zielony Rewolwerowiec - samotne, czarne oblicze w pomieszczeniu pełnym ludzi białych i ponad-ludzi. Za plecami obu przywódców zespoły sekretarek, szpiegów, doradców i wezyrów...

Przodem do tych dwóch drużyn, niczym kowboj tuż przed pojedynkiem, siedzi mężczyzna o pięknych gęstych włosach, pysznych i bujnych, zaczesanych do tyłu na podobieństwo koguciego grzebienia. Mężczyzna obdarzony wąsami gęstymi i tętniącymi życiem, zawijającymi się jedynie na końcach, obdarzony oczyma, którym nic nie umyka. Towarzysz Józef Wissarionowicz Stalin.

A obok niego - niemal równie imponujący—Czerwony Sierp, prawdziwy Bohater Związku Radzieckiego, we wspaniałym czerwonym uniformie, opinającym pięknie wyrzeźbioną muskulaturę, z owymi smętnymi, rosyjskimi oczami i wyjątkowym symbolem skrzyżowanego sierpa i pięści, znakiem rosyjskich Swierchliudiej, strażników i opiekunów Matuszki Rossiji i jej kolonii (Rosjanie zamierzają niebawem przyjąć w swe ramiona wiele ziem wyzwolonych spod jarzma niemieckiego nieprzyjaciela). Tuż przy nim zajęła miejsce Rusałka w kostiumie z niebieskiej pianki, również naznaczonym symbolem sierpa i pięści. Z długimi, stale wilgotnymi czarnymi włosami i wielkimi, oszałamiającymi oczyma. Wodna istota, śmiercionośna nimfa, Swierchżenszczina, wielka bohaterka bitwy o Bałtyk.

Tutaj, w tej sali, studiuje się rozłożoną na okrągłym stole mapę Europy, rysuje się na niej, odmierza i wytycza nowe granice; toczy się o nie spory, lecz to wszystko zwykła formalność. Gońcy przychodzą i znikają, na maszynach powstają stenogramy, panuje ogólne poczucie, że nie jest to wcale koniec, lecz dopiero początek. Churchill, puszczając dym ze swego niekończącego się cygara, wygląda na mocno zafrasowanego, Stalin tryska energią, Truman jest milczący i pewny siebie.

W tej rozszepowanej atmosferze prowadzonych interesów, biznesów, w których nikt i nic nie ma prawa przeszkadzać, pojawia się wojskowy żandarm, kapitan. Zmierza ku brytyjskiej stronie stołu. Pochyla się i szepce coś półgłosem do ucha Starego, który kiwa głową i odprawia przybysza. Teraz mówi Churchill, przeciąga głoski tym swoim słynnym głosem, a Stary zwraca się nieznacznie do Obliviona, mówi coś cicho

jak przedtem żołnierz i teraz to Oblivion przytakuje skinieniem. Wstaje, podchodzi do wyjścia i znika za drzwiami. Idzie przed budynek, gdzie czeka na niego kapitan żandarmerii.

132. CECILIENHOF, 1946

Poza rozległymi, wypiełgnowanymi pieczołowicie jak kobiece paznokcie trawnikami toczy swe wody Hawela, i to właśnie nad jej brzeg żandarm prowadzi Obliviona.

- Prawdę mówiąc, sytuacja może się okazać dość kłopotliwa - mówi kapitan. Zapala papierosa. Przekonuje w ten sposób, że nie ma się co śpieszyć. Częstuje też Obliviona, który odmawia. - Tak, kłopotliwa i żenująca - dodaje żandarm w zamyśleniu. - Całe szczęście, że byłem w pobliżu, kiedy Rosjanie go znaleźli.

Oblivion zupełnie niczego nie rozumie.

- Rosjanie? - powtarza sennym, niezbyt zainteresowanym tonem.

-Tak, jeden z rutynowych patroli wzdłuż rzeki - wyjaśnia kapitan. -

W końcu nie możemy dopuścić, by konferencję popsuła jakakolwiek nieprzyjemna niespodzianka.

- Może lepiej zobaczę, co się właściwie stało - stwierdza Oblivion.

Kapitan kiwa głową. Prowadzi, a Anglik rusza za nim. W dół pochyłego zbocza, nad wodę. Ku miejscu, gdzie rosyjscy żołnierze strzegą ciśniętego na mokrą trawę pakunku.

Nie, to nie jest żaden pakunek, zauważa, podchodząc bliżej Oblivion. Zwłoki. Kilka kolejnych kroków i przykłęka obok martwego ciała. Trup leży w zimnej kałuży. Mokre, przerzedzone włosy. Błede i wodniste oczy. Skóra biała, w dotyku śliska i lodowata.

-Niejaki Franz Schröder - przedstawia martwego kapitan. Macha

Oblivionowi pod nosem niewielką książeczką. - Miał w kieszeni dokumenty - dodaje.

- No i? - ponagla Oblivion. Dowód jest przemoczony.
- Problem w tym, widzi pan...

Żandarm klęka z niemal przepraszającym spojrzeniem i podnosi zaciśniętą prawą rękę nieżyjącego mężczyzny. Dłoń zastygła w pięść, którą ktoś już częściowo, na siłę, otworzył. Między palcami wciąż tkwi kawałek szmatki. Tkaniny, na której widnieją brytyjskie insygnia. Symbol z literami B i S.

Brakuje tylko P.

To jedyne, czym Anglicy wyróżniają swoich specjalnych agentów, jedyne, co odróżnia ich od zwykłych wojskowych.

BSP.

Biuro Spraw Przeszłych.

Übermenschowie.

Oblivion rozważa możliwe skutki odkrycia. Wreszcie kręci głową.

- Obawiam się, że nie rozumiem... - mówi.
- Sir?

Oblivion zdejmuje rękawiczkę. Wskazuje dowód. Ma długie i smukłe palce. Kapitan podaje mu książeczkę, a ta, gdy tylko jej okładka dotyka koniuszka palca Obliviona, po prostu znika, rozplywa się w powietrzu. Kapitan wygląda na lekko zszokowanego. Oblivion sięga do dłoni Franza, po ten wiele znaczący skrawek materiału. Gdy go muska, słychać syk wody przeobrażającej się w parę. Zaraz potem strzęp emblematu znika. Oblivion z powrotem wciąga rękawiczkę. Prostuje się.

- Pechowe utonięcie. Zwykły nieszczęśliwy wypadek. Usuńcie go, proszę, jeszcze przed przerwą na herbatę. Zechce pan tego dopilnować, kapitanie?

- Tak jest.

Oblivion kiwa głową.

- Znakomicie - mówi.

Odwraca się i odchodzi z powrotem do pałacu, zostawiając za sobą kapitana, znudzonych Rosjan i bezimiennego martwego człowieka.

133. GABINET STAREGO, teraz

— Poczdam — mówi Stary. — Kroiliśmy cały świat jak ciasto do herbatki i częstowaliśmy zaproszonych gości. W każdym razie robili tak Rosja-nie i Jankesi. My musieliśmy zadowolić się okruchami.

Fogg lekko pochyła głowę.

- Przykra historia, z Franzem - zauważa. - Ale cóż począć.

Stary przez chwilę zastanawia się nad komentarzem podwładnego.

- Wiesz, Fogg, co mnie dręczyło najbardziej? - pyta wreszcie.

- Sir?

- Dręczyło mnie, że cała ta historia skończyła się tak cholernie gładko.

- Gładko, sir? - dopytuje Fogg. Jego oblicze jest całkowicie obojętne, studium niewinności.

- Gładko - powtarza Stary, po czym wzrusza ramionami. Daje spokój.

- Oczywiście miałem wówczas ważniejsze sprawy na głowie -

podejmuje. - Zresztą, jakie mógł mieć dla mnie znaczenie jeden martwy informator?

- Niewielkie, jak sądzę.
- Owszem - przytakuje Stary. - Podobnie, ileż uwagi mogłem wtedy poświęcić jednemu zaginionemu Übermenschowi?
- Słucham? — Fogg porusza się na krześle. Wydaje się, że nie do końca rozumie, dlaczego Stary zmienia temat.

Stary opiera się wygodniej na krześle.

- Bo widzisz, Fogg, nikt nie zgłosił znalezienia ciała.
- Ciała, sir?
- Po tym, jak zastrzeliłeś Böhlera.
- Obawiam się, że nie rozumiem — mówi Fogg. Stary ponownie wzrusza ramionami.
- Bezpośrednio po wszystkim złożyliśmy to na karb typowej rosyjskiej niechęci do współpracy - opowiada. - Oni nigdy nie lubili dzielić się informacjami.
- Zgoda, sir - rzuca Fogg, jakby to mogło zakończyć sprawę.
- Wiesz, Fogg - Stary się uśmiecha - w muzyce słucha się również ciszy pomiędzy dźwiękami.

Fogg, z niespodziewaną nutą gniewu:

- Ja zupełnie nie wiem, o czym pan mówi - syczy. - Sir - dodaje.

Stary nie zwraca na wybuch uwagi.

- 1 wszystkie dźwięki zagrały we właściwych momentach - stwierdza. -

Martwiły mnie jednak te pauzy.

- Pauzy, sir? - Fogg wzdycha.

- Pytania pozostające bez odpowiedzi - tłumaczy Stary. I znów, jak człowiek niepotrafiący się powstrzymać i raz po raz drapiący starą, zabliznioną ranę: - Na przykład pytanie: kto zabił Franza Schrödera?

Fogg otwiera usta. Być może chce zaprzeczyć. Spierać się. Lecz wtedy drzwi gabinetu stają otworem, pojawia się w nich Oblivion i obaj rozmówcy zwracają na niego spojrzenia.

- Co? - pyta nowo przybyły.

Obaj, choć być może z odmiennych powodów, tylko kręcą głowami. Oblivion podchodzi do biurka i wręcza szefowi świstek papieru. Stary czyta i potwierdza odebranie wiadomości skinieniem. Oblivion siada na tym samym krześle, które wcześniej opuścił.

- Ale cóż, nie będziemy się tym kłopotać - podejmuje Stary i znów przez moment we dwóch z Foggiem patrzą na Obliviona. - Wróćmy do tematu, Fogg. Mówisz więc, że zastrześliś Schneesturma. Co wydarzyło się potem?

Fogg leciał kiedyś samolotem DC-9 nazywanym przez niektórych „kometą wymiocin”. Określano tak samoloty, które parabolicznym łukiem wzbijają się wysoko w atmosferę, po czym z dużą prędkością opadają, powodując powstanie na pokładzie — na czas mniej więcej dwudziestu pięciu sekund - wrażenia swobodnego spadania, braku grawitacji.

Identyczne uczucie ogarnia go właśnie teraz, gdy siedzi w tym nazbyt cichym i nazbyt gorącym pomieszczeniu.

Oczywiście Stary wie, myśli. Nie pytałby, gdyby nie wiedział.

I jeszcze: Czy mógł wiedzieć od samego początku?

134. BERLIN, STREFA RADZIECKA, 1946

Śnieg paruje niczym rosa, odsłania czystą i cichą ulicę. Prawie natychmiast zastępuje go jednak mgła. Fogg patrzy na leżącego u jego stóp człowieka, po czym wyciąga do niego rękę. Schneesturm przyjmuje dłoń i Anglik pomaga mu się podnieść. Obaj przez chwilę mierzą się spojrzeniami. W śniegu - w miejscu, gdzie trafiła kula Fogga - nadal widnieje dziura, woń spalonego prochu nie zdążyła się jeszcze rozwiać.

- To wszystko robota Sommertag - odzywa się Niemiec. - Chce dobić targu. — Znosi się szybkim śmiechem. Ma posiniaczoną twarz, krew na policzku. - Jak myślisz, dlaczego w ogóle zdołałeś mnie odnaleźć? Dopilnowałem, żebyś się dowiedział, gdzie szukać.

- Franz.

Schneesturm wzrusza ramionami.

- Gdzie ona jest? — pyta Fogg, lecz ten drugi mężczyzna tylko kręci głową.

-Jeszcze nie. - Wskazuje głową drzwi pensjonatu. - Przejdźmy do środka.

Fogg potakuje i podchodzą do drzwi.

- Lepiej będzie porozmawiać w moim pokoju - stwierdza Schneesturm.

Staruszka wpuszcza ich do środka. Ta sama woń kapusty, być może pływa w niej kilka kawałków mięsa, niezbyt świeżego. Ta sama dwójka kryjących się za spódnicą kobiety dzieci. Gospodyni nie wita ich w żaden konkretny sposób. Wspinają się na piętro po rozklekotanych schodach, a woń porażki, woń kapusty i starego mięsa kroczy stopień za stopniem, tuż za nimi. Drzwi na końcu ciemnego korytarza. Schneesturm otwiera je pchnięciem i wchodzi.

Elektrycznego światła brak. Niemiec, nieco tym faktem skrępowany, sięga po leżące na stoliku obok łóżka pudełko zapalek. Zapalenie jednej wymaga trzech prób, a kiedy się to wreszcie udaje, Schneesturm przytyka płomień kolejno do dwóch świec. Na stoliku i na parapecie. W ich nikłej poświacie Fogg ogląda pokój: pojedyncze, nieposłane łóżko. Materac chudy jak każdy, kto przetrwał w tym mieście wojnę; stolik i toaletka, przedwojenny cud teutońskiego przemysłu. Na podłodze trochę ubrań, strój uchodźcy, bardzo niepodobny do białego uniformu Übermenscha, jaki Schneesturm nosi nawet w tej chwili. Aczkolwiek mundur nie jest już - jak zauważa Fogg - biały. Wypłowił, poszarzał, w tkaninie pojawiły się dziury, w jednym kawałku trzyma się jedynie siłą desperacji. Na podłodze walają się drobniutkie czarne grudki odchodów. Szczurze lub mysie. Wyglądają jak znaki zapytania.

Schneesturm wzrusza ramionami.

- Siadaj - zaprasza niezręcznie.

Fogg zajmuje miejsce na łóżku, obok Niemca. Innego siedzenia tu nie ma. Schneesturm sięga do stolika i otwiera szufladę. Wyciąga z niej butelkę, do połowy opróżnioną, oraz dwie brudne szklanki. Stawia je na blacie, wyciąga korek z szyjki. Wódka. Nalewa. Zamyka butelkę. Odstawia ją na stolik. Podnosi szklanki i jedną podaje Foggowi.

- Ta wojna - odzywa się. - Ta pieprzona wojna.

Trącają się szklankami i piją.

- Erich... - zaczyna Fogg.

- Myślisz, że ja o to kogokolwiek prosiłem? - przerywa mu tamten. - Że chciałem zostać tym... tym Schneesturmem? Niemcy dla Übermenschów. *Ja, ja.* Rasa panów. Spójrz tylko, do czego nas to przywiodło. - Szerokim gestem wskazuje pokój. Śmieje się. Milknie. - Herr Fogg, ja chcę się stąd wydostać - wyznaje.

- Dlaczego nie poszedłeś do Amerykanów?

- Ach, tak - odpowiada Erich. — Amerykanie. - Parska rwanym, gorzkim śmiechem. Ponownie napełnia szklanki. - Do tego ich słynnego ZOO, tak? Żeby założyli mi na szyję obrozę i karmili łakociami, kiedy będę grzeczny? Nie, Herr Fogg. Chcę się wydostać, i to na dobre.

Podnosi szklankę. Fogg robi to samo.

- Wojna - mówi.

Wypijają. Na czole Ericha Bühlera połyskuje pot. Błękit jego oczu jest naznaczony białymi plamkami.

- Chciałbym zamieszkać w Alpach, w małym domku - odzywa się niespodziewanie Niemiec. - Tam, gdzie śnieg przesłania wszystko i gdzie panuje cisza. Rozumiesz, o czym mówię? - pyta.

Fogg pozwala mu się wygadać. Tego drugiego przyciąga cisza, słowa padają niczym płatki śniegu.

-Tutaj, w tym pensjonacie, bez przerwy coś słyszać - mówi Erich. - Słyszę ich wszystkich wokół siebie. Jęki, pierdzenie, płacze, krzyki... Brakuje tylko śmiechu, Herr Fogg. Śmiech też już wyjechał z Niemiec. Budzą mnie strzały i wyjące syreny i zastanawiam się, czy przyszli właśnie po mnie. Nie chcę już być Schneesturmem. Chcę się stać na powrót Erichem. Chcę się wydostać. Z Berlina, wyrwać z tej wojny.

Fogg słucha: głosu Ericha, kroków piętro niżej, nawołującej gdzieś daleko syreny; chrapania w pokoju za ścianą, kogoś płaczącego przez sen, i jeszcze bulgotania w rurach i szczurów drapiących pazurami podłogę piętro wyżej.

- Chcieć to sobie możesz - mówi Fogg. Nauczył się tego zwrotu od Amerykanów.

Schneesturm - Erich - rozciąga usta w uśmiechu.

- Przecież mógłbyś to zrobić, Herr Fogg - podejmuje. Nachyla się ku Anglikowi. Składa mu dłoń na ramieniu. Przysuwa się bliżej, jego oddech omiata twarz Fogga. Wódczane opary. Rozpacz. - Powiesz im, że nie żyję - ciągnie Erich. Przygląda się obliczu rozmówcy, szuka w nim sugestii, odpowiedzi.

- A w zamian? - pyta Fogg.

- W zamian dostaniesz ode mnie Sommertag.

Odsuwa się. Ustępuje napięcie aż dotąd widoczne w jego ramionach. Raz jeszcze sięga po butelkę, lecz Fogg powstrzymuje go gestem.

- Gdzie ona jest?

- W bezpiecznym miejscu.

- Idziemy. - Fogg wstaje z łóżka.

Erich unosi wzrok, wzrusza ramionami, nalewa sobie do szklanki i pije.

- Zaprowadzę cię do niej — stwierdza — ale potem koniec z nami. Schneesturm umrze dzisiejszej nocy.

-Jeżeli jej tam nie będzie, Erich, mogę ci to zagwarantować - mówi Fogg.

Schneesturm się uśmiecha i przykłada palce do czoła w udawanym salucie. Podnosi się i wychodzi za Anglikiem z tego ciasnego, okropnego pokoju. Cicho zamyka za sobą drzwi.

135. NEWADA, 1976

ZOO, myśli Fogg. Po raz kolejny zastanawia się, z jakiego powodu Schneesturm nie wybrał ucieczki do ZOO. Jedno wspomnienie wygrzebane spośród wszystkich innych. Obserwujemy. Ważymy je w

dłoniach niczym kamień. Fogg w tym tanim motelu, nie umiemy już sobie przypomnieć, co tam robi. Misja lub sprawy prywatne, w każdym razie czeka na coś lub na kogoś, tam na skraju pustyni. Ogląda telewizję, w której nadają reklamy.

Chociaż, być może, nie. Może szukał tam jej.

Operacja Spinacz działała w bardzo ciekawy sposób: niemieccy konstruktorzy raket po prostu... znikali. Zamiast nich pojawiali się ludzie zupełnie nowi, z czystymi, koszernymi życiorysami, w Ameryce. Osoby niemające z wojną absolutnie nic wspólnego. Koszerni, powtarza w myślach Fogg, nieco upojony tanim amerykańskim bourbonem. W tym tanim motelu nie ma nic innego do roboty, więc pije i ogląda telewizję, lecz to sformułowanie rozśmieszyłoby go także na trzeźwo. Pojawiają się reklamy, lśniące, czerstwe i zdrowe kobiety o lśniących, niesamowicie białych zębach zachwalają lśniące sprzęty kuchenne. Pałący fajkę mężczyzna wystawia pod niebiosa cnoty samochodów Forda, a potem wreszcie następuje nieuchronna reklama płatków śniadaniowych, amerykańskiego śniadania mistrzów. Ten ostatni filmik przypomina Foggowi - pijanemu, rozrzewnionemu - dowcip z czasów wojny:

Rosyjski i amerykański generał dyskutują o wyżywieniu swojego wojska. „Ja daję żołnierzom po tysiąc kalorii dziennie!” - chełpi się Rosjanin. Amerykanin na to: „Tak? A moi chłopcy dostają dwa tysiące kalorii dziennie”. „To niemożliwe!” - rzuca generał Armii Czerwonej. - „Przecież nikt nie zje w ciągu doby dwóch worków ziemniaków!”.

Cóż, myśli Fogg, nie jest to najbardziej śmieszny żart świata. Zaraz potem zaczyna się kolejna reklama, a on doznaje czegoś bliskiego déjà vu, poczucia, że coś jest nie w porządku. Początkowo jednak nie potrafi określić źródła tego wrażenia:

Światło zalewa łagodne stoki wyciętych z kartonu wzgórz; krajobraz w jasnych, podstawowych kolorach, żółte słońce ponad zielonymi pagórkami, niebieskie niebo, białe chmury, dzieci - prawdziwe wśród

sztucznych krzewów - w oddali jezioro. Z czym mu się to kojarzy? Przez moment ból owiewa jak dym serce Fogga. To miejsce, w którym bez przerwy trwa lato, miejsce, do którego nie może wrócić, dokąd nie wróci już nigdy. Jego raj utracony, odtworzony tutaj, tandetnie, na ekranie telewizora. Maluchy siedzą w kręgu, na rozłożonym na trawie piknikowym kocu, wesoło śpiewają, szczebioczą w jakiejś obcej, dziecięcej mowie, lecz w pewnej chwili ich uszczęśliwione głosy smutnieją, olbrzymie oczy spoglądają ku górze, a rączki pocierają brzuchy, sygnalizując nam wszystkim, oglądającym to w domach: dzieci są głodne.

Wtem jednak rozlegają się fanfary, odzywa się bigbandowa muzyka, i patrzcie! Dzieci zadzierają głowy, podnoszą swe małe ręce i wskazują coś zbliżającego się od strony nieba. To ptak, to samolot, nie to...

Kapitan Cherry-Crush!

Ten jakże amerykański bohater opada wprost spod chmur, materializuje się ponad dzieciarnią, która wita go piskami wręcz namacalnego zachwytu. Otwiera usta i uśmiecha się do malców, szczerzy się, ukazując tak wiele zębów, tych białych i czystych, amerykańskich zębów. Jego brzydota jest wręcz ujmująca. Skórzasta cera i łysa, wydłużona czaszka. Zaczyna padać, z nieba spada deszcz puszek napoju „Cherry-Crush”. Dzieci chwytają je, łapią jeszcze w powietrzu. Kapitan Cherry-Crush robi to samo, po czym wgryza się w jedną z puszek niewiarygodnie ostrymi zębami. Ciemny płyn koloru krwi plami mu wargi. Kiedy bohater ponownie się uśmiecha, ciecz spływa po podbródku. Na koniec wszyscy chwytają się za dłonie i tańczą w kręgu, śpiewając piosenkę o Cherry-Crush.

A Fogg, rozłożony na łóżku, w spranej pościeli, na poduszce z wypalonymi przez papierosy dziurkami w poszewce, wpatruje się w mały ekran, w tańczącą z dziećmi potworną postać i przypomina sobie nagle, do bólu wyraziście - tak jasno, jak powracają do nas wyłącznie momenty, które wolelibyśmy zapomnieć: Transylwania, dzień, kiedy ukryci na skalnej półce w górach obserwowali jadący daleko poniżej

konwój Gestapo. Samochody się zatrzymują i wysiadają:
Wolfskommando.

Blutsauger. Imię krystalizuje się w umyśle Fogga. Wysysacz Krwi. Szczegóły z jego akt: Ukraińiec. Podobnie jak niesławny Demianiuk, który był strażnikiem w obozie zagłady w Sobiborze i którego nazywano Iwanem Groźnym. Z tą jednak różnicą, że Blutsauger był człowiekiem przemienionym, jednym ze specjalnych wybrańców Hansa von Wolkensteina, jednym z jego Übermenschów. Po wojnie nigdy nie został schwytany, miejsce pobytu nieustalone. Właśnie... Gdzie może być? Czy uciekł jak szczur do Argentyny, podobnie jak jego niegdysiejsi towarzysze? Blutsauger, którego nie było podczas szturmów zamku w Sighisoarze... Dawne dzieje, przyprawiające Fogga o zgaę.

Tymczasem w telewizorze nowa, ulepszona, białozębna wersja Blutsaugera tańczy ręką w rękę z roześmianymi, rozdokazywanymi dziećmi. Chrupki owsiane „Cherry-Crush” strzelają w powietrze zupełnie jak fioletowy popcorn, a Fogg, ściskając w dłoni butelkę taniego bourbona, ogląda to z chorobliwą fascynacją aż do końca reklamowego bloku, po którym na ekran wraca serial „Happy days”.

136. GABINET STAREGO, teraz

Starego jednak nie interesują telewizyjne reklamy, ani produktów śniadaniowych, ani gazowanych napojów; nie interesują go również naziści, prawomocnie i legalnie repatriowani do Stanów Zjednoczonych przez tamtejszą administrację. Stary ściąga czoło i obrzuca Fogga spojrzeniem nauczyciela strofującego niesfornego uczniaka; patrzy trochę jak rozczarowany postępowaniem pociechy ojciec. Sprowadza rozmowę z powrotem do Berlina w czterdziestym szóstym, z powrotem do Bühlera, Erica, pseudonim Schneesturm.

- Zatem okłamałeś nas, Henry - mówi.

-Tak.

Cisza. Wyczekiwanie. Fogg wzrusza ramionami.

-Tak - powtarza. — Okłamałem.

- Zawiązałeś spisek - podejmuje Stary. - Z wrogim agentem. Z nazistą, Henry.

Milczenie.

- Spiskowałeś z faszystą - powtarza Stary. - By ocalić faszystkę.

- Ona nie była faszystką!

Fogg, zupełnie nieświadomie, podniósł się z miejsca. I krzyknął. Oblivion spogląda ku niemu, na jego twarzy maluje się troska. Ponownie zapada cisza. Stary wykonuje gest oznaczający „siadaj, Fogg”. Fogg siada.

- Nie była faszystką - mówi, lecz już tylko szeptem. I jeszcze dodaje: - Była jedną z nas.

- Jedną z nas - wtóruje cicho Stary. - Zapomniałeś, po której stronie walczyłeś, prawda, Henry?

Przechyliła lekko głowę i wpatruje się w Fogga niczym ptak przyglądający się dżdżownicy.

- Groził ci za to sąd połowy - podejmuje Stary. — I kara śmierci za zdradę.

- Wiedziałem, co ryzykuję.

- Doprawdy? - rzuca Stary. -i mimo wszystko zdecydowałeś się. Dlaczego, Henry?

- Dlaczego? — powtarza po nim Fogg. Jakby to pytanie nie miało żadnego sensu. Jak gdyby odpowiedź była tak jasna i oczywista, jakby wypełniała swym światłem cały gabinet.

Stary - prawdopodobnie - doskonale to wyczuł.

- Dlaczego to zrobiłeś? — pyta ponownie. — Czy zrobiłeś to z miłości, Henry?

Fogg patrzy jak na wariata.

- Z miłości? - Jakby to było nowe i nieoswojone słowo lub być może przeciwnie. Być może sugeruje, że to Stary nie mógł nigdy o niej słyszeć ani jej zaznać. Słowo, niczym paskudna tajemnica, zawisa w powietrzu. Skrępowany Oblivion wierci się na krześle.

- Proszę... - odzywa się.

- Ty się do tego nie mieszaj, Oblivion — syczy ostro Stary.

Jednakże Oblivion nie zamierza się poddać. Jeszcze nie. Możliwe, że w jego głosie - który podnosi dziś po raz pierwszy - słychać gniew. Nie gwałtowny, lecz z dawna tłumiony.

- Chcesz wiedzieć, z jakiego powodu to zrobił? - pyta i nie można nie dosłyszeć w jego słowach oburzenia i bólu. — Ona była tajemnicą, której tak bardzo potrzebował. Dodającą siły enigmą. Czymś, w co mógł uwierzyć. Czymś drogocennym, niezepsutym i dobrym. Cholerna święta Sommertag. Idealna i niezmienna jak letni dzień.

Fogg spogląda na Obliviona. Zbolałym, nieszczęśliwym wzrokiem.

- Ja ani przez chwilę nie wierzyłem, że była niewinna - ciągnie Oblivion. - Że nie miała pojęcia, co się dokoła niej dzieje. Wojna. Obozy. Wiedziała o tym. Nie była małą dziewczynką, tylko taką grała. Przed sobą. Przed Henrym. - Podnosi ręce i opuszcza je. Po tej niecodziennej przemowie uchodzi z niego powietrze. — Podejrzewam jednak, że niekiedy każdy potrzebuje uwierzyć w miłość — dodaje.

- Szlag by cię, Oblivion, nie wtrącaj się do tego! - rzuca Fogg. Teraz także i on jest rozgniewany.

Oblivion opiera się z powrotem na krześle, z nieodgadnioną miną.

- Co ty możesz wiedzieć o miłości? - ciągnie Fogg.

Oblivion odwraca spojrzenie. Fogg bierze oddech, głęboki, rozdygotany.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego to zrobiłem? - podejmuje.

Teraz patrzą na niego obaj, Stary i Oblivion. Lecz Fogg nie spogląda na żadnego z nich, wbija wzrok w dal, sięga ku miejscu, którego nie odwiedził od tak wielu lat.

- Posługujesz się słowem „miłość”, jakbyś jej nigdy nie doświadczył. — Prycha. — Ale nie. Nie z tego powodu to zrobiłem.

Przez krótki moment mina Obliviona wyraża: zaskoczenie? Nadzieję? Po czym emocja znika i powraca zwykły, niemożliwy do odczytania wyraz. Stary milczy, czeka.

- Zrobiłem to, ponieważ ona była naprawdę niewinna - mówi Fogg. Wpatruje się intensywnie w Obliviona. Rzuca mu wyzwanie, prowokuje do sprzeciwu.

Oblivion minimalnie kręci głową.

- Ponieważ Klara, ona jedna na całej tej przeklętej wojnie, była niewinna - ciągnie Fogg. Rozkłada ręce, jakby w skierowanym do Starego, proszącym geście. - Gdy Vomacht uruchomił urządzenie, fala kwantowa ją uderzyła najsilniej - tłumaczy. - W jakiś sposób wlała się w nią, stopiła się z nią w jedno. Sprawiała, że Klara przez cały czas pozostała czysta. Nigdy nie była taka, jak my, wszyscy pozostali.

„Nie rozumiesz?”, niby pyta. Jakby potrafił w jakiś sposób wyjaśnić, usprawiedliwić to, co wydarzyło się tyle lat wcześniej.

- My się nie starzejemy, nie na zewnątrz, prawda? - mówi Fogg. -

Starzejemy się jednak wewnątrz. Psujemy się. Ona nie. Z jakiegoś powodu nadal tam jest, wśród tego idealnego, letniego dnia. Chcecie wiedzieć dlaczego? - rzuca. — Właśnie dlatego. I zrobiłbym to raz jeszcze, Starcze. Gdybym musiał, zrobiłbym to ponownie.

- Jestem przekonany, że taka konieczność nie zajdzie — odpowiada Stary. Wydaje się prawie zawstydzony.

Fogg opiera się wygodniej. Wypuszcza z płuc wstrzymywane powietrze. Stary przegląda leżące na biurku papiery. Porządkuje je.

- Powiedz mi, Henry - odzywa się. - Pamiętasz może nasze pierwsze spotkanie? Dzień, kiedy zabrałem cię z Cambridge i przywiozłem tutaj?

137. LONDYN, 1936

Rolls-royce Starego sunie przez London Bridge jak sen. Zmierzch, wszędzie dokoła ożywają światła; na południowym brzegu rzeki słońce odbija się od kopuły katedry św. Pawła. Po Tamizie dostojnie płynie samotna barka wyładowana śmieciami.

- Samuel, stań tutaj, proszę - rzuca Stary.

Samochód przystaje na moście. Stary otwiera drzwiczki i wysiada. Fogg, po chwili wahania, wychodzi za nim. Powietrze na dworze jest chłodne, czuć w nim woń miasta, mieszaninę motoryzacyjnych spalin, smrodu Tamizy i zapachów bijących z restauracji otwierających swe podwoje na południowym brzegu. Woń kwitnących nad rzeką drzew, kobiecych pachnideł, męskich cygar, końskiego potu i łajna. Dalej na wschodzie widać doki: tłoczące się statki z ładunkiem, marynarzami, magazynami, tragarzami, z bogactwem całego Imperium. Fogg staje obok Starego przy barierce mostu, spogląda na zachód, ku siedzibie parlamentu. Ponad gmaszyskiem szybuje potężny sterowiec, słynny niemieckiej produkcji LZ 127 Graf Zeppelin, utrzymywany w powietrzu przez wodór, z trzydziestosześcioletnią załogą i niezliczonymi

pasażerami. Na sztywnej ramie widnieją grube litery układające się w napis „Hindenburg”.

- Piękny, prawda? - odzywa się Stary, śledząc trajektorię spojrzenia Fogg. Ojcowskim gestem składa mu rękę na ramieniu. - Tego, czym jesteś, czym staliśmy się wszyscy, nie da się cofnąć, Henry - mówi.

Fogg obraca głowę, unosi twarz w promieniach zachodzącego słońca i patrzy na starszego mężczyznę. Co takiego dostrzega Stary w jego oczach? Nadzieję na co? Jak wielkie zaufanie? Co sądzi o tym młodym, przemienionym chłopaku? Do czego będzie mógł go wykorzystać?

- Świat stanął na skraju wojny - dodaje Stary.

Na twarzy młodzika pojawia się niepewność. Fogg patrzy na miasto, na zachodzące słońce i unoszący się w powietrzu sterowiec. Londyn jest spokojny. Pojedyncze pasemka mgły - lecz już nic poważniejszego - podnoszą się nieśmiało wokół jego stóp. Wojna? - bezgłośnie pyta. Jak to możliwe?

- Chciałbym móc ci powiedzieć, że doszło do tego przez nas, przez przemianę bądź ludzki lęk przed nieznanym - mówi Stary. - Henry. Spójrz na mnie.

I ten chłopak, młody mężczyzna, patrzy.

- Nie zdołamy tej wojny powstrzymać, lecz możemy wziąć w niej udział, w cieniu - ciągnie Stary. - Masz wybór. Wszyscy go mamy. Możemy poddać się ciemności lub możemy stawić jej opór i spróbować uczynić świat miejscem nieco mniej strasznym, niż jest w tej chwili. Być może poniesiemy klęskę. A gdyby się jednak powiodło, nikt nam nie podziękuje. Jeżeli zginiemy, nikt nas nie wspomni.

Fogg rozchyła wargi. Słońce niknie już niemal za horyzontem, widać jeszcze tylko jego koniuszek, koronę. Z tego miejsca można zobaczyć cały świat, a przynajmniej to, co wydaje się chłopakowi całym światem. Londyn. Stolica imperium. Największego i najbardziej potężnego

imperium w dziejach. I dziwnie jest, nadzwyczaj dziwnie jest tak tutaj stać razem z kimś, kto zna jego tajemnicę, z człowiekiem, który akceptuje go takim, jakim jest: przemienionego, dziwadło, samotnego syna handlarza warzywami z Kingston upon Thames. I nagle Fogg rozciąga usta w szerokim uśmiechu, jakby Stary opowiedział mu świetny dowcip.

- Wojna? - mówi i wskazuje miasto, wszystko dokoła. — To znaczy co? - Jakby to była najbardziej niedorzeczna sugestia świata, coś rodem z ilustrowanej książeczki dla dzieci. - Taka prawdziwa wojna?

Słońce ostatecznie zachodzi. Niebo, olbrzymie ponad miastem, staje się polem bitwy ognistej czerwieni, zamierających żółcieni i ciemności zbliżającej się z przeciwnej strony, niczym ślad po pajęczym ukąszeniu. Stary chwyta barierkę oburącz i patrzy przed siebie, poza Fogga, gdzieś w dal, widząc coś, co tylko on potrafi dostrzec.

- Wojna światowa - odpowiada szeptem.

138. NORMANDIA, FRANCJA, 1944

- Kryj się!

Fogg i Pan Blur kulą się w okopie. Jest noc i temperatura spadła. W zasadzie panuje mróz, lecz Fogg poci się pod płaszczem. W nozdrza gryzie go woń niemytych ciał, strachu, stalowych karabinów, ropy i krwi. Paznokcie ma krótko obcięte, lecz brud w jakiś sposób i tak zdołał się pod nimi zebrać. Ma wrażenie, że już nigdy nie zdoła się doczyścić. Wspomnienie gorącego prysznicza staje się rajem...

Eksplozja kołysze ziemią, zsypuje piach do okopu, i obsługujący karabin maszynowy żołnierz - inny już, poprzedni został odwieziony, niedługo zapakują go do worka i oznaczą specjalną metką, a jeszcze później pochowają - więc ten nowy, bezimienny strzelec wypuszcza nagłą, paniczną serię kul.

- Idą! Idą! - wydziera się histerycznie.

Pan Blur wybucha śmiechem, słysząc w tym dźwięku coś okropnego. Fogg ma wilgotne dłonie i ściśnięte gardło. Ogarnia go specyficzny rodzaj dionizyjского obłądu, wypełnia go niczym opary wina, pojawia się w nich wszystkich i być może jest to efekt działania mocy jakiegoś ukrytego w pobliżu nazistowskiego Übermenscha, potrafiącego doprowadzać ludzi do szału. Tak, to przyjemna myśl, lecz prawdopodobnie jednak tak po prostu wpływa na niego wojna.

- Idą! - ponownie wrzeszczy strzelec zza karabinu maszynowego, bełkocąc w rytm drgań broni i kolejnych wypluwanych przez mechanizm bandolierów amunicji, pocisków oddzielanych od łusek z automatyczną nieuchronnością, wykluwających się jak kurczaki z jajek. Żołnierz toczy pianę z ust.

Fogg wstaje.

- Przestań, przestań! - krzyczy, próbując sobie przypomnieć jego imię. Jak on się, do diabła, nazywa?

Tymczasem tuż obok Fogg Pan Blur obejmuje się ramionami, przyśpiesza, wykorzystuje swą moc, rozmazują się jego kształty, rysy. Kołysze się w przód i w tył, w przód i w tył, szybciej, niż ktokolwiek inny byłby w stanie...

Coś szarpie ciałem Strzelca przy karabinie, jego ramiona suną w lewo i prawo, w lewo i prawo, jakby tańczył. Pada do tyłu powoli niczym tonący pływak, w jego hełmie ziele równy, okrągły otwór. Wycieka mu mózg, spływa po twarzy jak łzy; a ręce, jakby w jakimś ostatnim, zadziwionym wzruszeniu ramion, uwalniają wreszcie uchwyty karabinu maszynowego, który natychmiast milknie...

Fogg rzuca się naprzód, lecz żołnierz uderza o ziemię szybciej, niż Fogg może do niego dotrzeć. Zresztą i tak już nie żyje. Fogg klęka przy nim, ale nie ma na to czasu. Podnosi wzrok i widzi, że naprawdę idą. Przez ziemię niczyją, przez pas między ich a niemieckimi pozycjami.

Trwa tam szaleńczy wyścig i zdjęty zgrozą Fogg patrzy na te powłóczące nogami zombie, te maszerujące ku nim szkielety w mundurach.

Wśród nacierających eksplodują bomby, pociski artyleryjskie, wyrzucają ich w powietrze jak lalki. Kosi ich ogień karabinów maszynowych. Granaty rozbierają ich na kawałki, jakby stosowały się do diagramów zawieszonych na ścianie u rzeźnika. A mimo to idą nadal. Oczy otumanione narkotykiem zmęczenia i wojny, potwornym wyczerpaniem. Fogg wie, że szukają tu końca, ci nadchodzący. Chcą wreszcie przekroczyć granicę końca wojny. Obojętne jakiego.

I chłód ściska go za serce, gdyż kierują się prosto ku niemu: w stronę okopu, w którym został sam z Panem Blurem, nie licząc ciała tego bezimiennego Strzelca, niech spoczywa w pokoju, na wieki wieków amen. Zdjęty grozą Fogg przez długą chwilę wpatruje się w nadchodzącą hordę faszystowskich żywych trupów - właśnie tak ich postrzega, tych idących powoli żołnierzy, potykających się o ciała swych braci, w powolnym, niemniej szalonym wyścigu do pozycji aliantów. Jest ich tak bardzo dużo, że nie potrafi nawet ocenić jak wielu.

Kiedy więc nadchodzi groza, Fogg uświadamia sobie, że muszą się ruszyć, muszą działać.

- Panie Blur! — woła.

Pan Blur przestaje się kołysać, zwalnia do zwykłej ludzkiej prędkości, i podnosi na Fogg'a oszalały wzrok. Widać tylko białka.

- Musimy się stąd wynosić! - rzuca Fogg. - Nie zatrzymamy ich! Idą! - Desperacko i lękliwie powtarza jak echo po bezimiennym martwym strzelcu.

- Ja ich powstrzymam - oświadcza Pan Blur.

Staje wyprostowany, ten niski człowieczek, ten Ubermensch,

przyjaciel. Dobywa pistoletu - wielki przedmiot z polerowanego metalu - i wymachuje nim niczym rewolwerowiec na Dzikim Zachodzie. Szeryf ze srebrną gwiazdą na piersi, który przybył oczyścić miasto.

- Fogg, zostaw ich mnie - dodaje. - Ty znikaj. Marszobiegiem w tył!

- Panie Blur, co...?

- Cholera, powiedziałem: idź stąd! - syczy Pan Blur, zwracając na Fogg'a swoje mleczne szalone oczy, i nagle się uśmiecha, tak zupełnie po prostu, zwyczajny uśmiech pośród grozy.

Żywe trupy podchodzą coraz bliżej, ci nie latający Straceni Chłopcy. Bomby spadają, a martwy strzelec leży u ich stóp z mózgiem ciekącym z czaszki niczym zepsuty sos Worcestershire.

Zaraz potem, zanim Fogg ma szansę choćby krzyknąć, pojawia się to rozmazanie powietrza, to nagłe zagięcie światła, Pan Blur przyśpiesza i osiąga nienaturalną—nie, swoją przemienioną, swoją nad-ludzką—prędkość, po czym wyskakuje z okopu prosto na ziemię niczyją. Jest niemal niewidzialny, tak szybko się przemieszcza, słychać wyłącznie jego śmiech i dźwięk wystrzałów, splatają się w dziwną piosenkę, w muzykę...

- Panie Blur! - woła Fogg, lecz już w tej chwili rusza tym przeklętym, jak to mówią, marszobiegiem w tył. Jednocześnie przyzywa mgłę.

Gęste, wręcz burzowe kłęby mgły, która zdąża za Panem Blurem. Żeby go ukryć, by oślepić nacierających Niemców, lecz oni i tak nie widzą. Suną, nie kierując się mapami ani wzrokiem, lecz ślepym instynktem, który podpowiada wyłącznie: „Naprzód, naprzód”. A gdy Fogg wyczołguje się z wykopu, kiedy rzuca się do ucieczki, ogląda się tylko jeden raz, jak żona Lota lub może Orfeusz w Hadesie, albo jak każdy, kto poczułby się w obowiązku zatrzymać i odwrócić. Widzi Pana Blur'a, przystającego w samym środku hordy, zwalniającego do zwykłej prędkości. Pan Blur też się odwraca, jego oczy odnajdują spojrzenie

Fogga i uśmiecha się. Takim zapamięta go Fogg już na zawsze, stojącego i uśmiechniętego, tuż zanim wreszcie znalazła go zbłąkana kula i oderwała mu głowę.

139. FARMA, DEVON, 1936

Aczkolwiek w niektórych snach nie kończy się to w ten sposób. Niekiedy we śnie Fogg stoi i widzi oderwaną głowę Pana Blura. Wobec tego zła powstają sama ziemia i powietrze, buntują się przeciwko rozlewowi krwi i śmierci, a Fogg przyzywa mgłę, siwe pasma podnoszą się wszędzie dokoła. Fogg - samotna postać na ziemnym kopcu, formuje z szarego oparu olbrzymią pięciopalczystą dłoń, która sięga przed niego, poza okop, na ziemię niczyją, pomiędzy hordy chwiejnie kroczących straceńców. Sięga i chwytą, próbując złapać Pana Blura, by unieść go ku bezpiecznemu schronieniu, wielka dłoń sięgająca, nadaremno. I wtedy Fogg budzi się zlany zimnym potem...

Jednakże teraz jest tysiąc dziewięćset trzydziesty szósty, tu jest Farma, Devon, słońce splywa na trawiastą łąkę, pszczoły bzyczą wśród kwiatów, powietrze aż gęstnieje obietnicą, ocieka wiosną. Uczniowie stoją szeregiem w swoich szortach koloru khaki, niebieskich koszulkach i wysoko podciągniętych białych skarpetach. Pochylają się, muskają koniuszkami palców stopy, prostują i wyciągają ku górze. Raz, dwa, raz, dwa, Czołg zdyszany, Oblivion spokojny, Pani Tinkle zdumiewająco sprawna. Spit przyciąga oko swoją ciasno przylegającą błękitną koszulką. Pan Blur porusza się zbyt prędko, by ktokolwiek mógł go zobaczyć. Fogg po prostu wykonuje ćwiczenie. Przy tak słonecznej pogodzie trudno mu przywołać mgłę. W głębi duszy tęskni za miejskimi ulicami, za brudnymi kałużami, żółtym blaskiem latarni, stukotem końskich kopyt na bruku, błyskami piorunów. Naprzeciwko nich stoi sierżant Browning. Jego gęste wąsy podrygują, na szyi kołysz się gwizdek, krzyczy z zaczerwienioną twarzą.

- Będziecie gotowi! Zrobię z was żołnierzy, nawet jeżeli będę was musiał wcześniej osobiście pozabijać!

Fogg raz po raz próbuje dotknąć dłońmi palców stóp, bezskutecznie. Czuje napływającą do głowy krew, wypełniającą policzki i wargi; stęka. Wtem ktoś inny - nikt nie wie kto konkretnie - puszcza głośnego bąka.

Wtedy, wszyscy bez wyjątku, zapominają o dyscyplinie. Czołg pada na trawę i tarza się do wtóru mamucich salw śmiechu. Dołącza do niego Pan Blur. Uśmiecha się nawet Oblivion. Pani Tinkle wygląda na zgorzszą, lecz nawet Browning nie potrafi ukryć — przez moment - wesołości, a Fogg przysiada z ulgą na ziemi i, ciężko sapiąc, chichoce.

- Czołg, przestań!

Ale on nie może przestać, śmiech narasta, ten głęboki, dobywający się z trzewi rechot. Turla się bezradnie w trawie, śmieje się, aż zaczynają go boleć mięśnie brzucha.

140. GABINET STAREGO, teraz

- Tak więc docieramy do ostatniego aktu - zauważa Stary. - Spójrzmy... - Stanowczo, nieodwracalnie porządkuje papiery na biurku. - Z Erichem Bühlerem, pseudonim Schneesturm, spotkałeś się w radzieckiej strefie okupacyjnej. Nie zabiłeś go, lecz dobiłeś z nim targu. Według umowy miał cię zaprowadzić do Klary Vomacht, pseudonim Sommertag. Czy jak dotąd wszystko się zgadza?

Fogg przygląda się Staremu. Zerka na Obliviona. Nie ma ucieczki, myśli, zrezygnowany. Zresztą, jakie to ma znacznie, po tylu latach? Tak więc:

- Owszem - przyznaje. - Nie myli się pan.

- Co wydarzyło się potem? - dopytuje Stary, łagodniej niż przed chwilą. Myśliwy skradający się na palcach przez ostatnie dzielące go od ofiary metry.

Co wydarzyło się potem... Fogg opuszcza wzrok na własne dłonie. Podnosi spojrzenie, patrzy Staremu w oczy.

- Gdy tylko wyruszyliśmy, wszystko zaczęło się sypać — opowiada.

141. BERLIN, STREFA RADZIECKA, 1946

Odchodzą spod pensjonatu. Henry i Erich, Schleier und Schneesturm.

Ta noc była pełna cieni - opowiada Fogg — przez całą drogę mieliśmy wrażenie, że ktoś nas obserwuje. Świat stał się mglisty, nierealny.

- *Ogranicz się do zdania relacji z wydarzeń, Henry.*

Fogg wzrusza ramionami.

Idą przez zniszczone alejki berlińskiej dzielnicy, w której dawniej - wcale nie tak dawno temu - stały wspaniałe, bogate rezydencje wysoko postawionych funkcjonariuszy nazistowskiego państwa. Mieszkali tu wraz z rodzinami i służbą. Przechodzą obok wypalonego nadwozia mercedesa-benza 770K. Niegdyś piękna karoseria jest już tylko rdzewiejącym szkieletem, Schneesturm przystaje, ze smutkiem składa dłoń na wraku.

- Jaka szkoda - mówi.

Fogg wzrusza ramionami. Być może nie zna się na samochodach. Idzie dalej, Erich za nim. Mijają wciąż działającą latarnię uliczną. Na ziemi leży niedopałek papierosa, już jakiś czas temu zgnieciony obcasem. Brną dalej. Dwaj podróżni we mgle, dwa białe duchy w szarości i czerni, wędrowcy przemierzający krainę umarłych.

Obserwujemy, oglądamy. Dwaj mężczyźni idą przed siebie. Mgła się rozstępuje i słychać dziwny dźwięk, skrzyknięcie podobne temu, jakie wydaje igła przeskakująca kilka rowków gramofonowej płyty. Zaraz potem wszystko migocze i nagle tracimy perspektywę...

- Poczułeś to? - pyta Fogg. Niespokojnie.
- Jakby zarysowana płyta - przyznaje Schneesturm. Wzrusza

ramionami.

Ruszają dalej bez słowa.

142. GABINET STAREGO, teraz

-Dźwięk igły skaczącej na zarysowanej płycie gramofonowej? - pyta ostro Stary.

- Początkowo nie zwróciliśmy na to większej uwagi -odpowiada Fogg.

143. BERLIN, STREFA RADZIECKA, 1946

Oddalają się od pensjonatu, Schneesturm i Fogg, dwa ludzkie cienie wśród cieni Berlina. Mijają mercedesa-benza 770K. Niegdyś piękny samochód, przeobrażony teraz w spaloną skorupę, Schneesturm kręci głową, ze smutkiem. Fogg marszczy brwi. Ile takich może tu być? - myśli. Idą dalej wąskimi uliczkami. Przechodzą obok cudem działającej ulicznej latarni. Fogg patrzy pod nogi, zauważa zdeptany niedopałek, jeszcze bardziej ściąga czoło. Otwiera usta, by coś powiedzieć, lecz nie odzywa się słowem. Idą przed siebie i Schneesturm zaczyna gwizdać pod nosem. Rozlega się dziwny trzask i odchodzą spod pensjonatu staruszki. Schneesturm i Fogg, Erich und Henry. Mijają zwęglony niemal nie do poznania szkielet samochodu - czyż wszystkie spalone samochody nie wyglądają identycznie? Wkraczają w gęstą mgłę, a uliczna latarnia nadal świeci i na ziemi leży zduszony butem pet...

- Stój! - rzuca Fogg.

Zatrzymują się. Milknie pogwizdywanie Schneesturma.

- Co to było? - pyta Fogg.

-Co?

- Cicho.

Fogg nieruchomieje. Nasłuchuje. Czeka.

144. GABINET STAREGO, teraz

-I wtedy przypomniałem sobie Farmę - mówi Fogg.

145. FARMA, DEVON, 1936

Fogg przypomina sobie tę chwilę, gdyż był wtedy zdenerwowany i zawstydzony: wszyscy stali w szeregu przed Browningiem i Turingiem, po raz pierwszy zmuszeni - poproszeni - by się pokazać.

Kazano mu naprawdę się odsłonić. Było w tym coś przerażającego, zupełnie jak wówczas, gdy Stary przyjechał do Cambridge, kiedy Fogg próbował przed nim uciec. Miał stać się sobą, obnażyć w całej swej bezradności, poddać się osądowi innych. Bał się tego.

- Oblivion?

Oblivion tylko wzrusza ramionami. Fogg zazdrości mu tej jego swobody. Oblivion podnosi z ziemi kamień. Waży go w dłoni. Pokazuje Browningowi i Turingowi. Zupełnie jak magik, myśli Fogg. Sztukmistrz w trakcie pokazu. Tak samo jak wtedy, gdy demonstrował swą moc Foggowi. Oblivion uśmiecha się lekko, ponownie wzrusza ramionami, przesuwa dłonią nad kamieniem i ten, na mgnienie przesłonięty, ulega dezintegracji. Staje się niczym. Niedowierzająca mina Browninga. Usta Turinga układają się w uśmiech, jak u małego chłopca oczarowanego występem prestidigitatora.

- Cudownie! - szepce. - Jeszcze raz!

Oblivion przykłęka, przesuwa ręką nad kępką trawy, która - podobnie jak kamień - dematerializuje się, znika. Fogg czuje nagłe ukłucie zawiści: nie zazdrości mu mocy, gdyż nad tym nikt nie ma kontroli. To po prostu element przemiany, nieusuwalny skutek przesunięcia kwantowych stanów możliwości ludzkiego genomu. Zazdrości jednak

odwagi, zdolności do zachowania w tak wymagającej sytuacji spokoju i opanowania. Robi to wszystko jak prawdziwy bohater, myśli Fogg.

- Panie Blur?

Pan Blur uśmiecha się szeroko. W tych szortach koloru khaki i niebieskiej koszulce sprawia wrażenie skauta. Zabawnie salutuje, po czym pędzi przez pole, szybszy niż lecąca kula. Przemierza łąkę aż do bramy, okrąża cały teren farmy. Jego rozmazana postać wygląda jak barwna smuga. Zaraz potem Pan Blur na powrót stoi w szeregu. Wciąż wyszczerzony, lecz teraz już mocno zdyszany.

- Imponujące — chwali Browning.

- Czujesz głód? — pyta Turing.

- Owszem, wrzuciłbym coś na ruszt — odpowiada Pan Blur.

Turing zapisuje w notesie kilka słów.

- Przyspieszony metabolizm, jak sądzę - mówi, lecz tylko do siebie.

- Panie Fogg? — zwraca się do niego sierżant.

Jego kolej. Ogarnia go nagły strach. Zupełnie jakby wrócił do szkoły, do Roberta, Thorntona i do innych. Znowu otaczają go więksi chłopcy i ma ochotę po prostu uciec, skryć się. I - zupełnie nieświadomie, mimowolnie - właśnie to robi, a otoczenie reaguje. Reagują miniaturowe, ukryte prądy obserwacji i opadające fale możliwości. Reagują cząsteczki wody i powietrza, i nagle pojawia się smużka mgły, w pierwszej chwili tylko pasemko, a za nim następne i jeszcze jedno. Rozpoczyna się to nisko, tuż nad ziemią, w trawie, lecz stopniowo mgła się unosi, gęstnieje. Fogg wciąga ją na siebie, wspomnienie Roberta - a może to był Thornton? - mówiącego: „Twój stary jest zwykłym ochlejem!”. Ktoś zanosi się śmiechem, okrutnym, dziecięcym rechotem. To było przed przemianą, zanim nauczył się ukrywać, a teraz mgła wciąż się podnosi, otaczają go zbite kłęby,

rozprzestrzeniają się, przesłaniają słońce i wewnątrz czuje się bezpieczny.

- Wystarczy, panie Fogg!

Zląkł się, pojawia się więcej mgły, lecz przenikają ją głosy.

- Powiedziałem: dość. Dziękuję panu, Fogg.

Głos starego Browninga i Fogg bierze głęboki oddech, wypompowuje z siebie strach, pozwala rozpląnąć się oparom, które wreszcie poddają się snopom słonecznych promieni, z powrotem ukazuje się otoczenie, przyjazne oblicze Turinga, kiwająca głowa notującego coś w zeszycie naukowca, który na moment zerka ku górze.

- Dziękuję, panie Fogg.

Fogg potwierdza skinieniem. Wszyscy spoglądają w jego kierunku. On jeden wlepia spojrzenie w ziemię. Już teraz tęskni za krzepiącą osłoną mgły

-A, tak - odzywa się Browning. Marszczy brwi. - Pani... Dinkle, prawda?

- Tinkle, młody człowieku. Pani Tinkle.

- Jaki posiada pani talent, droga pani Tinkle? - pyta Turing.

- Potrafię zrobić to — odpowiada kobieta.

Podnosi rękę i wykonuje zamaszysty ruch, jakby kręciła leżącą na talerzu gramofonu płytą. Rozlega się dziwny, wytrącający z równowagi dźwięk. Odgłos drapania lub rozdzierania. Fogg doznaje silnego wrażenia zaburzenia ciągłości, wyczuwa, że rzeczy przestają do siebie pasować.

-A, tak - odzywa się Browning. Marszczy brwi. - Pani... Dinkle, prawda?

- Tinkle, młody człowieku. Pani Tinkle.
- Jaki posiada pani talent, droga pani Tinkle? - pyta Turing.

Pani Tinkle uśmiecha się lekko. Foggowi przemyka po plecach dreszcz.

- A... Chyba rozumiem - rzuca Turing.

146, BERLIN, STREFA RADZIECKA, 1946

Fogg i Schneesturm, pod latarnią. Niedopałek papierosa pod podeszwą Fogga. Z cienia dolatuje perlisty, dziewczęcy śmiech. Fogg w plamie światła czuje się jak w pułapce. Niemiec, mocno niespokojny, próbuje się ruszyć, lecz Anglik powstrzymuje go gestem. Dźwięk zbliżających się lekkich kroków. Zaraz potem pojawia się ona, w kałuży światła. Przypatruje się im wzrokiem nauczycielki karcącej wzrokiem dwóch rozdoka-zywanych uczniów.

- Henry Foggu - odzywa się. - Niegrzeczny z ciebie chłopiec.
- Pani Tinkle - odpowiada Fogg.

Kobieta reaguje uśmiechem. Fogg głosem wyrażającym jednocześnie niepewność i gniew:

- Co pani tu, do diabła, robi, pani Tinkle?
- Jak ty się wyrażasz, Fogg? Uważaj na język!
- Przepraszam, pani Tinkle...
- Kto to jest? - pyta Schneesturm. Na obliczu Niemca pojawia się cień wesołości. - Co ona tu robi?
- Co pani tu robi, pani Tinkle? - powtarza pytanie Fogg.
- Obserwuję cię, Henry Foggu - odpowiada z uśmiechem. - Kim to

jest? Ten twój kolega?

- Nikt, pani Tinkle - mówi Fogg. - Naprawdę nie powinna się tu pani pojawiać.

- Nikt? - Kobieta odwraca się z wolna i mierzy Schneesturma spojrzeniem od stóp do głów. - Moim zdaniem jednak ktoś.

- Co to za kobieta? Przemieniona? Überfrau? - Ostatnie słowo wyraźnie Niemca bawi. — Musimy iść - dodaje.

- Erich Bühler, jak sądzę - zgaduje pani Tinkle. - Oślawiony Schneesturm.

Uśmiech Schneesturma niknie. Przygląda się jej raz jeszcze, jakby dopiero teraz ujrzał ją w całej okazałości. Przechyla głowę.

- Byłem nim - przyznaje. - Obecnie przechodzę na emeryturę.

- Na emeryturę? - Pani Tinkle pochyła głowę, jakby w zdziwieniu, choć może po prostu podświadomie kopiuje gest rozmówcy. - My nie przechodzimy na emeryturę - mówi. - Służymy lub umieramy.

Schneesturm wzrusza ramionami. Uśmiecha się. Nie ma pojęcia, w jaki sposób z nią rozmawiać.

- Cóż - podejmuje - nie chcę umierać.

- Szkoda - stwierdza pani Tinkle.

Schneesturm marszczy czoło. Pani Tinkle ignoruje grymas Niemca i spogląda w stronę Fogga.

- Powiedz, Henry, to w jego ręce wpadł Czołg?

Fogg, przyłapany:

-Tak, to on. Ale przecież sporo się już zmieniło!

- Czołg jest innego zdania - odpowiada pani Tinkle.
- Czołg żyje! - podnosi głos Fogg.
- Nie dzięki temu człowiekowi — przypomina pani Tinkle. — Naprawdę, Henry, rozczarowujesz mnie. Konszachty z agentami wroga? Będę zmuszona donieść Staremu. Kiedy już uporam się z tym tutaj.
- Jak nas tu pani znalazła? - Fogg gra na czas. Próbuje coś wymyślić.
- Byłam akurat na polowaniu - odpowiada pani Tinkle z uśmiechem: kojarzy się Foggowi z drapieżnym ptakiem. - Wielu nas wyszło dzisiejszej nocy z domów - dodaje. - A teraz... - Unosi rękę, jakby po to, żeby znów wywołać to skrzypnięcie. Jest w stanie wywierać wpływ na bieg czasu, na przyczynowość.

Fogg zdaje sobie sprawę, że jeśli kobieta skorzysta ze swej mocy, będą bezradni, zostaną uwięzieni w jej pętli.

- Pani Tinkle - odzywa się desperacko. - Bardzo proszę, możemy o tym jeszcze porozmawiać...
- Żywcem mnie nie dostaniesz, szalona stara babo! - rzuca Schneesturm i również podnosi ramię.

Znikąd zrywa się wyjący podmuch gwałtownego, arktycznego wichru. Sypie śniegiem i uderza panią Tinkle. Kobieta wydaje z siebie jęk zaskoczenia i pada na pupę, odrzucona w tył, pod latarnię.

- Przestań! — woła przerażony Fogg.
- Ty faszystowska gnido! — prycha pani Tinkle.

Wiatr i śnieg tłumią jej słowa. Nagle w dłoni kobiety pojawia się pistolet. Brytyjka mierzy drżącą ręką i rozlega się huk wystrzału, Fogg się krzywi, lecz kula chybiła. Teraz również Schneesturm trzyma broń.

Kłęcząca pani Tinkle mruży oko, celuje starannie, ale Schneesturm podrywa rękę i ciało kobiety pokrywa się lodem. Lśniaca warstewka porasta jej skórę i pistolet. Palec wciąż zaciska się na cynglu, lecz powoli, bardzo powoli, a Fogg może tylko patrzeć. Znowu słysząc wystrzał.

- Nie! - krzyczy Anglik.

Widzi, jak Schneesturm wypuszcza broń i przeklina, chwytając się mocno za ramię. Krew przesiąka mu przez płaszcz, rękaw ciemnieje, ale wszystko jest w porządku, Niemiec żyje i Fogg odwraca się na powrót ku pani Tinkle, z westchnieniem ulgi, która przechodzi w grozę, gdy uświadamia sobie, że padł nie jeden strzał, lecz dwa. Zobaczył ją.

Kobieta leży na ulicy, w plamie światła, na skraju ciemności. Cienka powłoka lodu przesłania jej twarz, lecz już syczy, topniejąc, gdyż krew, jej krew, jest ciepła i tryska z piersi, w którą trafiła kula.

- Pani Tinkle! - Fogg podbiega, klęka przy leżącej.

Starsza pani podnosi na niego spojrzenie, tylko na chwilę. Porusza ustami, próbuje ułożyć jakieś słowo. Zaraz potem oczy pani Tinkle tracą ludzki wyraz — opuszcza ją życie — i Fogg gładzi włosy martwej kobiety na topniejącym lodzie zimnej berlińskiej ulicy.

147. GABINET STAREGO, teraz

- Zabiłeś panią Tinkle?

Po raz pierwszy od początku przesłuchania Stary wydaje się mocniej poruszony. Tej strony przełożonego Fogg nie miał dotąd okazji poznać.

- Schneesturm ją zabił - odpowiada. - Nie mieliśmy wyboru.

- To była mała staruszka!

- Była zabójczynią - przypomina Fogg, bez cienia wyrzutów sumienia w głosie. - Pracującą dla ciebie zabójczynią.

Stary opiera się wygodniej w fotelu, zapada się w nim. Rozgląda się na boki, niemal jak ślepiec. Foggowi prawie robi się go żal. Wreszcie starszy mężczyzna wypuszcza powietrze z płuc.

- Oczywiście wiedziałem, że zniknęła... — odzywa się cicho. - Przez cały czas byłem przekonany, że uciekła do Rosjan. Wiecie, w przeszłości sympatyzowała z komunistami.

- Nie wiedziałem. - Oblivion drga na krześle.

- Tak... Trafiała do nas z górniczej wioski. Walijka. Krążyły plotki, że po wojnie widziano ją w Moskwie... Nigdy nie ufałem Walijczykom.

Fogg i Oblivion wymieniają niespokojne spojrzenia. Stary uśmiecha się chytrze, wzrusza ramionami. Wraca do siebie. Bębni palcami o blat.

- Proszę, proszę, proszę - mruczy.

- Tak, sir?

- Rozumiem, że tym razem postanowiłeś opowiedzieć naprawdę wszystko. Chyba się nie mylę, co, Fogg? - pyta Stary.

- Czy mam jakiś wybór?

Stary nie odpowiada; nieubrana w słowa odpowiedź zawisa w powietrzu. Zaraz potem:

- Kontynuuj, proszę - zachęca. - Zatem Schneesturm zabił panią Tinkle...

- A później było już tylko gorzej — mówi Fogg.

148. BERLIN, STREFA RADZIECKA, 1946

- Nadal nie mogę uwierzyć, że mnie postrzeliła - mówi Schneesturm.
- Ja nie wierzę, że ją zabiłeś! - syczy Fogg.
- A co miałem zrobić? - broni się Niemiec. - Wszystko by zepsuła, Fogg!

Fogg ciężko wzdycha. Pomaga Schneesturmowi założyć na ramię opatrunek.

- To tylko draśnięcie - stwierdza Anglik z lekceważeniem.
- Ale i tak boli, wiesz?! - skarży się Schneesturm.
- Wylizesz się. Idziemy.

Fogg musi iść tymi ciemnymi ulicami, z człowiekiem śniegu u boku, z mgłą, która snuje się dokoła, kryjąc ich obu. Noc jednak ma oczy, noc obserwuje, a za sobą zostawili martwe ciało, jedno spośród wielu, spośród tak bardzo wielu ciał...

Krzyk rozcina noc jak sztylet, wzbija się pod niebo i gwałtownie milknie.

- Tamtej nocy miasto było pełne wrzasków — opowiada Fogg. — Krzyczeli umarli i umierający. Stary świat odszedł, a nowy dopiero czekał, by się narodzić.

- *Fogg, bardzo cię proszę — wtrąca Stary. — Trzymajmy się konkretów.*
- Co to było? - pyta Schneesturm.
- Ten wrzask?
- Nie. Co...

Noc jest pełna cieni oraz ludzi cienia. Krążących dokoła, siedzących. Jeden z tych cieni przedziera się przez mgłę, ludzki, lecz olbrzymi,

jakby rzucony na ścianę oparu przez tytaniczną istotę. Słyszą, jak sunie wprost na nich, jak się zbliża. Zaczynają się cofać.

Wtedy cień gwałtownie się kurczy, zapada w siebie i z mgły wychodzi mężczyzna w szkarłacie. Niski i przysadzisty, z potężnymi mięśniami ciasno wypełniającymi materiał czerwonego uniformu, dumnie podkreślającego muskularny tors i wyraźnie widoczny na piersi symbol skrzyżowanego sierpa i pięści, znak rosyjskich Swierchliudiej.

Czerwony Sierp.

Który - co Fogg zauważa chwilę potem - siania się na nogach, zatacza. W prawej dłoni ściska opróżnioną do połowy butelkę wódki. Wzrok ma dziki, przekrwione oczy. Podnosi rękę z butelką, wskazuje Schneesturma.

- Ty! - ryczy donośnie.

Fogg, rozbawiony, spogląda na Niemca.

- To wy się znacie? - pyta.

- Leningrad, czterdziesty drugi - odpowiada cicho Schneesturm.

- Spotykaliśmy się wiele razy. W powietrzu. Zamieć przeciwko Sierpowi, szybowaliśmy wysoko ponad starodawnym miastem, tocząc bój o dominację! - mówi Czerwony Sierp, wciąż mierząc z butelki niczym z pistoletu.

-Tak. No cóż... - rzuca Schneesturm.

- A w tym samym czasie moi oblężeni pobratymcy umierali z głodu! - ryczy Rosjanin. - Zjadali końskie trupy, zdrapywaną z bruku ziemię!

- Uspokój się, proszę - mówi Schneesturm, a jego dłoń skrada się ku kolbie pistoletu.

-Ty szwabie! - prycha Czerwony Sierp. Celując butelką. - Dzisiaj

dokończymy, co zaczęliśmy!

Fogg uznaje, że pora na interwencję.

- Wojna się skończyła — przypomina. Wkłada w swe słowa autorytet, jakiego nie posiada. - Jestem brytyjskim oficerem, a ten człowiek jest tu ze mną.

- Brytyjczycy! — parska Czerwony Sierp. — Pluję na Brytyjczyków!

Nagle jakby odkrył, że trzyma w dłoni butelkę. Podnosi ją do ust i pociąga spory haust. Mrużąc oczy, spogląda na Schneesturma.

- Dzisiaj to wreszcie zakończymy - mówi i rusza ku nim z uniesioną pięścią.

Demoniczny, odziany w czerwień mężczyzna w średnim wieku, który - gdy Schneesturm wykonuje unik — potyka się na równej drodze. Chwieje się i prawie upada na Niemca, który odruchowo go podtrzymuje.

- Przyjacielu! - rzuca Czerwony Sierp. Chwyta zaskoczonego Schneesturma w niedźwiedzie objęcia, składa głowę na jego ramieniu i zaczyna płakać.

Duże, ciężkie łzy plamią koszulę Niemca. Schneesturm krzywi się z bólu, gdy dłoń Rosjanina ściska ranione ramię.

- Ostrożnie, niezdaro! — rzuca, po angielsku.

- Mój przyjacielu! — powtarza Czerwony Sierp w tym samym obcym języku, zupełnie nie przejmując się bólem Niemca. - Jesteśmy tacy sami! Co nas obchodzą ci, którzy żyją i umierają jak muchy? Hitler czy Stalin, my jesteśmy tylko żołnierzami, jesteśmy sobie braćmi...

-Tak, tak... - Zakłopotany Schneesturm klepie go po plecach.

Fogg przygląda się, lekko rozbawiony: dwaj poturbowani Ubermen-

schowie we mgle, tak mocno do siebie przytuleni. Wyglądają, jakby niezdarnie tańczyli.

- *Można było odnieść wrażenie, że tamtej nocy po Berlinie krąży wszyscy agenci i Übermenschowie świata — tłumaczy Fogg. — Powstawał właśnie nowy rodzaj wojny; zimna wojna, i wszyscy chcieliśmy zdobyć, co tylko się da.*

- *Fogg... - rzuca ostrzegawczo Stary*

-*No dobrze, więc usłyszałem oklaski...*

Ktoś bije brawo. Fogg spina się i słyszy zbliżające się kroki. Spomiędzy siwych oparów wychodzą trzy postacie. Rozpoznaje je i natychmiast traci resztki dobrego nastroju.

Człowiek Tygrys.

Zielony Rewolwerowiec.

I Cyklon.

- *Jaka piękna przyjaźń - odzywa się Człowiek Tygrys.*

Czerwony Sierp i Schneesturm z wolna odrywają się jeden od drugiego i spoglądają na nowo przybyłych.

Cyklon wyciąga palec.

- *Nazywasz się Erich Bühler, alias Schneesturm — mówi.*

Zielony Rewolwerowiec wyciąga pistolety.

- *Jesteś aresztowany — rzuca.*

Troje Amerykanów, ramię w ramię. Stoją twarzą w twarz z tamtymi. Człowiek Tygrys zarzuca grzywą, włosy opadają mu na ramiona. Uśmiecha się szeroko.

- Co to znowu za jedni? - odzywa się Czerwony Sierp, najwyraźniej głęboko zadziwiony. - Amerykance?

Fogg staje między Schneesturmem i Amerykanami. Każdy nerw jego ciała nawołuje do ucieczki, każe mu się ukryć.

- Ten człowiek jest ze mną - mówi z odwagą, której zupełnie nie czuje.

- Ach, Fogg - odpowiada Cyklon. - A cóż takiego brytyjski agent porabia w towarzystwie nazistowskiego zbrodniarza wojennego?

- Przekraczasz swoje uprawnienia, Cyklon - ostrzega Fogg, ale te słowa wywołują u dziewczyny jedynie uśmiech.

- Odejdź stąd, Fogg - rzuca Człowiek Tygrys. - On jest teraz nasz.

- Kolejny nabytek do waszego ZOO? - pyta Anglik.

- Zrobimy z nim, co tylko, kurwa, zechcemy — mówi Tygrys. Niemal uprzejmym tonem. - Daj spokój, Fogg. Idź sobie.

-Nie.

Zwierają się spojrzeniami, Człowiek Tygrys i Fogg. Przez moment sytuacja wydaje się Foggowi nieruchomą scenką rodzajową. Wie jednak, że coś musi zaraz pęknąć, wydarzyć się, chociaż nie rozumie dlaczego: wie jedynie, że musi iść dalej za Schneesturmem, że musi go chronić, dopóki Niemiec nie zaprowadzi go tam, dokąd Fogg tak rozpaczliwie chce dotrzeć.

Póki nie odnajdzie Klary.

- Nie - powtarza.

- Bardzo rozważnie zastanów się nad tym, co zaraz zrobisz, Fogg... - radzi Człowiek Tygrys.

Fogg rozważa dostępne możliwości. Lecz decyzję podejmuje za niego Czerwony Sierp. Odrywa się gwałtownie od Schneesturma i rzuca nieprzyjemne spojrzenie stojącej przed nimi trójce Übermenschów.

- Amerykańce? - powtarza, i zaraz potem: - Jankesi!
- Czerwony Sierpie... — odzywa się Fogg z przestrogą w głosie.

Człowiek Tygrys szerzy zęby w uśmiechu.

- Nie! — syczy Czerwony Sierp. Podnosi butelkę, którą wciąż trzyma w dłoni, i celuje nią jak pociskiem. — To rosyjska strefa! Nie macie tu żadnej władzy, Amerykańce. Odejdźcie!

Uśmiech Człowieka Tygrysa znika.

- Zmusz nas, pijany pierdolcu — warczy.

Czerwony Sierp wydaje z siebie wściekły pomruk. Rozbija butelkę o ziemię i dokoła rozchodzi się ostry zapach wódki. Rosjanin unosi się, z ostrą szyjką stłuczonej butelki w dłoni. W drugiej coś błyska i materializuje się w niej sierp. Zwraca się ku Amerykanom, uśmiecha. Człowiek Tygrys w odpowiedzi wyciąga pistolet.

- Tygrysie, nie! - woła Fogg.

Nikt go jednak nie słucha. Czerwony Sierp wyje dziko i atakuje Amerykanów.

Pierzchają na wszystkie strony, lecz Człowiek Tygrys okazał się zbyt wolny. Jego strzał chybia celu i szyjka stłuczonej butelki trafia go w ramię. Tryska krew. Człowiek Tygrys obraca się w miejscu. Broń upada na bruk. Amerykanin zanosi się rykiem, rozpoczyna przeobrażenie. Z palców wyrastają mu pazury i zamierza się nimi na Czerwonego Sierpa, który ze śmiechem, bez trudu, odtrąca przeciwnika na bok. Tygrys przetacza się po ziemi i pozostaje na czworakach. Porasta go sierść, długie blond włosy wydłużają się, pokrywają całe ciało. Otwiera

szeroko usta i ukazuje kły. Cyklon zaczyna wirować. Dziewczyna niczym tancerka wykonuje kolejne piruety i nie przestaje, kręci się szybciej i szybciej, staje się miniaturowym huraganem. Rozpędzone powietrze skowycze i wsysa liście, kurz, mgłę i niedopałki papierosów. Wicher atakuje Rosjanina, który tnie sierpem, rozpoławiając powietrzny lej na dwa.

Wiatr jednak wybucha śmiechem i odtwarza się, obejmując Czerwonego Sierpa, który ryczy „*Bliadisz!*” - „Kurwo!” - i sierp migoce po raz kolejny. Moment potem Rosjanin jest już w powietrzu i zмага się z wichrem, aż wreszcie jego pięść trafia. Rozlega się głuchy, ciężki stukot i huragan zmienia postać, ponownie staje się młodą kobietą, która spada na bruk.

Czerwony Sierp pozostaje w górze, poniżej słycać jęki Cyklon, która leży, trzymając się za zranioną nogę. Zielony Rewolwerowiec swobodnym gestem unosi swoje dwa pistolety i otwiera ogień. Z luf wyrastają zielone pędy, trzaskają niczym baty i oplatają Czerwonego Sierpa mocnym uchwytem. Zaciskają się, wypuszczają kwiaty i kolejne odnóżki, próbują zniewolić Rosjanina. Sierp błyska raz po raz i pnącza sypią się na ziemię, lecz padają też kolejne strzały Zielonego Rewolwerowca i ściągają ofiarę na ziemię, tam gdzie czeka już Człowiek Tygrys, w pełni przeobrażony, groźnie pomrukując.

- *Job twaju mat'!* - klnie Czerwony Sierp i Fogg, dopiero w tej chwili wyrrywając się z transu, pociąga za sobą równie oszołomionego Schneesturma.

- W nogi! — mówi.

Za ich plecami Rosjanin wyrąbuje się na wolność z uścisku pnączy, chwyta za pędy i szarpie mocno, powalając Zielonego Rewolwerowca na kolana. Sierp kopie klęczącego w twarz i zanosz się śmiechem. Zaraz potem z sierpem w dłoni zwraca się ku Tygrysowi, a drapieżnik ryczy i atakuje.

Fogg i Schneesturm uciekają.

149. GABINET STAREGO, teraz

- Amerykanie nie raczyli podzielić się ze mną tymi rewelacjami - przyznaje Stary z cieniem urazy w głosie. Wzrusza ramionami. — Zapewne zresztą tych troje nie złożyło nawet raportu. W końcu nie zdobyli tego, czego chcieli.

Oblivion poprawia się w krześle; bez słowa prostuje długie nogi.

- Oblivion, pamiętasz, jak z nimi było, prawda? — pyta go Fogg.

- To wcale nie była jedyna sytuacja, kiedy na siebie wpadliśmy i doszło do scysji - wyjaśnia Oblivion na użytek Starego. - W tamtym okresie miasto aż się roiło od łowców głów. O ile sobie dobrze przypominam, następnego wieczoru w „Der Zirkus” Człowiek Tygrys postawił mi nawet drinka. Chciał pokazać, że między nami wszystko w porządku.

- Co się z nim stało? - pyta Fogg. - Po Wietnamie?

- Poszedł w biznes naftowy. - Stary wzrusza ramionami. - Wyczuł prawdziwe pieniądze. Nigdy nie był głupi, ten cały Tygrys.

-A Zielony Rewolwerowiec został hipisem. - Oblivion się uśmiecha. - Człowiek Tygrys polował w dżungli, a on w tym samym czasie protestował przeciwko wojnie.

- Zielony Rewolwerowiec? - dziwi się Fogg.

- Tak, pamiętam, że widziałem go w Woodstock, w sześćdziesiątym dziewiątym. Stał się czymś w rodzaju żywego symbolu ruchu antywojennego. A potem rozpętała się ta cała moda na zielonych.

- Naprawdę byłeś na Woodstock? — Fogg jest coraz bardziej zdumiony.

Oblivion robi nieco zawstydzoną minę.

- Nie, nie — zapewnia. - Jakiś czas temu oglądałem o tym festiwalu film dokumentalny. Na BBC. Pokazywali Zielonego Rewolwerowca na scenie. I wiesz? Okazał się całkiem sprawnym mówcą.

Fogg kręci głową.

- Nie wiem za to, co się stało z Cyklon - podejmuje Oblivion, być może chcąc zmienić temat.

-Według moich najświeższych wiadomości zajmuje się przemytem broni w Afryce - odpowiada Stary, wierząc się w fotelu. - Prywatna inicjatywa. Po zakończeniu zimnej wojny większość z nich się tym zajęła.

W gabinecie zapanowała dziwnie swojska atmosfera. Trzej mężczyźni plotkują o dawnych znajomych, o przeciwnikach, o tym, co u kogo słyhać. Nikt nie pyta, co Fogg robił przez ostatnie Bóg wie ile lat. Czy zagrzebał się w „Hole in the Wall”, czy w jakimś innym miejscu. Duch, człowiek cienia. Wtedy, gdy inni zgrywali bohaterów.

Stary zwraca się do Fogga. Składa dłonie na blacie, pochyla się.

- No więc?

Fogg bierze głębszy oddech.

- No więc — powtarza. - Zostawiliśmy Amerykanów i...

150. BERLIN, STREFA RADZIECKA, 1946

— *Noc stała się nagle bardzo cicha i zimna* — mówi Fogg. Obserwujemy go: siedzi przed obliczem Starego, głęboko pod ziemią, w tajnej siedzibie Blura. Widzimy go też idącego ulicami powojennego Berlina. Schneesturm prowadzi.

- *Poczułem nagle silną tęsknotę za zapachem szyszek — opowiada Fogg. — Za dotykiem słońca na skórze. Za zapachem morza. Berlin po wojnie był po prostu piekłem na ziemi. Sam środek zimy, a ja chciałem, pragnąłem lata.*

- Stój — syczy Schneesturm.

Przystają przed sypiącym się domem, niczym niewyróżniającym się pośród innych budynków w tej części miasta, może tym jedynie, że wciąż jeszcze nie runął. Zniszczone drewniane drzwi. Farba zesła z nich już dawno temu. W oknach ciemność, na ulicy złowieszcze milczenie. Głodna, wyczekująca cisza.

-Tutaj? - pyta Fogg, szeptem.

Wokół nich podnosi się mgła, reaguje na emocje Anglika - jego chęć ukrycia ich obecności i niepewność tego, co czeka wewnątrz.

- Cii - rzuca Schneesturm.

Rozgląda się nerwowo w lewo i prawo, w prawo i lewo, lecz nie ma na co patrzeć. Mgła jest praktycznie nieprzenikniona. Schneesturm kiwa głową i wyciąga rękę do drzwi. Puka cicho, raz i drugi, ponownie, wystukuje hasło na spękanych deskach. Czeka.

Fogg stoi spięty obok. Nic się nie dzieje. Wreszcie:

- Do środka - mówi Niemiec.

Fogg spogląda na towarzysza. W jego oczach majaczą pytania: Czy to pułapka? Jakiś podstęp?

- No? Wchodź, proszę - dodaje Schneesturm, lekko zniecierpliwiony.

Anglik wbija spojrzenie w drzwi. Sięga powoli do klamki, tego wystającego ze starego drewna kawałka zardzewiałego metalu. Dotyk jest wstrząsająco zimny. Naciska.

Naciska mocniej. Klamka z wolna ustępuje. Fogg się waha. Wypuszcza z płuc zimny oddech, który niczym mgła zawisa mu przed twarzą.

- Dalej! Rusz się! - zachęca Schneesturm. Zaczyna tupać, jakby dopiero teraz poczuł ziąb. Fogg rzuca mu przelotne spojrzenie i Niemiec kręci głową.

- Nie - odpowiada, odczytując myśli Anglika. - Tylko ty. Ja nigdy...

Schneesturm obejmuje się mocno ramionami, dygoce. Wokół jego sylwetki zbiera się śnieg, jakby mógł ukryć go przed Foggiem, przed tymi drzwiami, przed tym, co wewnątrz.

- Idź - ponagla i Fogg, czując przyptyw strachu i odwagi, popycha wreszcie drzwi.

Ustępują i wylewają się zza nich jasne promienie letniego słońca, z budynku wypływa na ciemną i zimną berlińską ulicę woń skoszonej trawy i bzyczenie pszczół.

151. GABINET STAREGO, teraz

-Taak... Rozumiem - mówi Stary.

Jednakże Fogg zdaje sobie sprawę, że szef nigdy tego w pełni nie pojmie. Nie zrozumie tego, co Fogg zobaczył, co przeżył. Stary, podobnie jak Schneesturm, może sobie tylko wyobrażać. A to zupełnie coś innego.

- Na naszą stronę wróciłem tej samej nocy - opowiada Fogg. - Z powrotem do „Der Zirkus”. Amerykanów nie było. Wiedziałem, że muszę znaleźć metodę na wywiezienie jej z Niemiec. Sommertag. Klary. Nie była bezpieczna, żadne z nas nie było.

152. BERLIN, 1946

Ku zaskoczeniu powracającego ze strefy radzieckiej Foggą kapral King

wciąż czeka przy dziupie. Fogg bez słowa wsiada na siedzenie pasażera. Kierowca pali papierosa. Nie wydaje się pojawieniem oficera zdziwiony ani przestraszony. Nie komentuje też jego lekko wymiętego stroju. Jadą w milczeniu przez kolejne ulice, oddalają się od rosyjskiego sektora, aż wreszcie Fogg dostrzega przed samochodem światła barów, klubów i samego „Der Zirkus”, przy którym nakazuje gestem zatrzymać wóz.

Wysiada i dziękuje kapralowi uprzejmym skinieniem, po czym wchodzi do lokalu. Jest późno i nawet „Der Zirkus” zaczyna pustoszeć; Amerykanie — co Fogg zauważa bez większego zdumienia — zniknęli. Ich stolik stoi pusty. Spit też już wyszła. Na scenie śpiewa Machentraum — wolna, smutna piosenka „When I Grow Too Old To Dream”. Utwór Very Lynn. Kiedy Fogg wchodzi do środka, od ściany odrywa się jakiś cień i sunie w jego stronę. Fogg odwraca głowę. To Franz.

- Herr Schleier — zaczyna - muszę z panem porozmawiać.
- Nie tutaj, Franz.
- Muszę z panem pomówić! - Informator jest poruszony, nerwowo wymachuje rękoma, kreśli nimi w powietrzu szerokie luki.

Fogg kładzie mu dłoń na ramieniu.

- Cicho! - syczy.

Ściszonymi głosami zamieniają kilka zdań. Franz kiwa głową. Rozchodzą się. Niemiec idzie do wyjścia, znika na zewnątrz. Fogg podchodzi do siedzącego Obliviona. Oblivion zwraca głowę w stronę towarzysza. Fogg nachyla się, szepce mu coś do ucha. Przez moment są tak blisko siebie jak para kochanków. Oblivion przytakuje skinieniem, ich cienie odrywają się od siebie.

Prostują się jednocześnie; odchodzą - Oblivion na zewnątrz, Fogg w ciemność za sceną.

153. GABINET STAREGO, teraz

- Tak z ciekawości - odzywa się Stary. - Który z was zabił tego informatora? Franza?

Oblivion, zdumiony, lekko skonsternowany, zaczyna podnosić się z krzesła.

- Sir, muszę zaprotestować - mówi.
- Uspokój się, Oblivion - rzuca Stary.
- Sir, ja...

Oblivion i Stary patrzą sobie w oczy. Intensywnie. Stary uśmiecha się drwiąco. Po chwili młodszy z mężczyzn wzdycha i siada z powrotem.

- Domyślam się, że Fogg poprosił cię o to po powrocie - podejmuje Stary.

154. KLUB NOCNY „DER ZIRKUS”, BERLIN, 1946

- Fraulein Machentraum.

- Przestraszył mnie pan!

Piosenkarka schodzi po ostatnim utworze ze sceny; wkracza w ciemność, gdzie czeka Fogg. Poza nimi nie ma za kulisami nikogo. Jest późno, a Machentraum jest jedyną występującą w klubie artystką. Nawet muzycy dawno temu rozeszli się do domów.

- Przepraszam - mówi Fogg.

Kobieta przygląda mu się, rozpoznaje twarz i wzdycha, jakby nabrała pewności, że nic dobrego z tego spotkania nie wyniknie. Bez światła reflektorów wygląda po prostu na zmęczoną; na twarzy nosi grubą

warstwę makijażu.

- Herr Fogg - wita się. - Czego pan chce?
- Pani pomocy - odpowiada Anglik.
- Och?
- Nazywają panią Tkaczką Snów - przypomina Fogg. Mówi szybko. - Machentraum.

-Tak...

- Chcę, by utkała pani dla mnie złudzenie.

Lecz Machentraum już kręci odmownie głową.

- Herr Fogg, proszę! — rzuca. — Będę mieć kłopoty. Nie mogę.

Fogg otwiera usta, by coś powiedzieć, lecz piosenkarka ucisza go ruchem dłoni.

- Pozwolili mi tu zostać wyłącznie ze względu na mój śpiew - tłumaczy Machentraum. - Amerykanie obiecali mi wizę, jeżeli zgodzę się z nimi współpracować. Jestem poszukiwana za zbrodnie wojenne! A przecież nigdy nikogo nie skrzywdziłam, Herr Fogg — dodaje błagalnym tonem. -Nie prosiłam o przemianę.

- Żadne z nas nie odpowiada za przemianę — stwierdza Fogg.

Machentraum przechodzi obok niego, prawie się stykają. Niemka podchodzi do lustra. Zaczyna zmywać z twarzy makijaż.

- Proszę, pomoże mi pani? — podejmuje Anglik.

Jej oblicze łagodnieje, tylko na chwilę. Zerka na niego.

- W... W czym dokładnie? - pyta.
- Chciałbym podarować komuś nową twarz - mówi Fogg.

155. NA ZEWNĄTRZ KLUBU „DER ZIRKUS”, BERLIN, 1946

Franz stoi przed klubem, przechadza się. Pali nerwowo papierosa, zaciąga się zachłannie. Drzwi lokalu stają otworem i na Niemca pada długi cień. Informator odwraca głowę, a drzwi się zamykają. W pobliżu nie ma nikogo. Jest późno, bardzo późno, głęboka ciemność, jaka zwykle zapada tuż przed świtem. Franz spogląda z uśmiechem, lecz ciepły grymas znika, gdy Niemiec zauważa, że to Oblivion. Oblivion, nie Fogg.

-Ty... - rzuca Franz. Zbiera się w sobie, uśmiecha pewny siebie. -Czego chcesz? - pyta.

- Ja? — odzywa się Oblivion.

- Tak, ty. Herr Schleier cię przysłał? Możesz do niego wracać, sługusie. Przekaż, że Franz nie robi interesów z lokajami. Franz chce tego, na co zasłużył.

- A na co zasłużył Franz? - pyta Oblivion.

- Na życie - odpowiada informator z nagłym gniewem w głosie. - Na możliwość ucieczki. Wy wszyscy macie się za bohaterów, co? Myślicie, że jesteście tacy potężni i lepsi niż reszta. Übermenschowie. - Franz słuwa na zamarznątej ziemi. - A nie różnicie się wcale od nas. Nikczemni, brudni faceci. Nie, wy jesteście nawet gorsi niż reszta. Jesteście zwykłymi cieniami i niczym więcej. Cieniami ludzi.

Oblivion nie odpowiada. Jego oblicze jest blade i nieruchome, niczym wykute z kamienia.

- No? - rzuca Franz i dźga papierosem powietrze. - Przyniosłeś mi pieniądze? Co robisz? Co ty...

Długie ręce Obliviona sięgają po Franza; jego długie i smukłe, pełne wdzięku palce zaciskają się na gardle Niemca ze swobodą nabytą być może — myślimy niespokojni — w praktyce. Dusi Franza, wyciska z niego życie, umożliwia mu ucieczkę jedyną realnie dostępną drogą. Informator próbuje walczyć, jego ramiona młóć powietrze, próbuje odeprzeć Obliviona, podjąć z nim walkę, szarpie - przez krótką chwilę - wojskowy mundur, lecz Anglik pozostaje nieubłagany. Kciuki wbijają się w miękką skórę Niemca, w jego szyję, blokują przepływ powietrza, wciąż tłący się papieros wypada pomiędzy palców Franza na ziemię. Moment później jest już po wszystkim. Oblivion pozwala zwłokom upaść i stoi, przyglądając się im z góry. Na jego twarzy pojawia się przelotna emocja - wstyd, poczucie triumfu, nie potrafimy tego rozstrzygnąć — zaraz jednak znika. Chwyta bezwładne ciało Franza pod pachy i odciąga je.

156. KLUB NOCNY „DER ZIRKUS”, BERLIN, 1946

— Dlaczego miałabym panu pomóc? — pyta Machentraum.

- Nie wiem - odpowiada Fogg.

157. GABINET STAREGO, teraz

— Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego nam ostatecznie pomogła — przyznaje Fogg. - Miłość. Może była romantyczką. Podejrzewam, że w gruncie rzeczy wszyscy byliśmy. Niewydarzeni cynicy. Chcieliśmy wierzyć w miłość.

- Mogłeś ją zmusić, zastraszyć - zauważa Stary.

- Nie. Należała już wtedy do Amerykanów - przypomina Fogg. - Dostała od nich bilet. Widziałem ją potem raz, po wojnie. Chociaż nie

osobiście. Na filmie. Późno w nocy w jednej z sieci kablowych. Oglądałem to w Stanach, byłem tam, żeby... - Mruga sennie. Długa, zbliżająca się do końca noc jest o krok od zwycięstwa.

- Machentraum?

- Miała już nowe nazwisko, nową twarz. Pojechała do Hollywood, lecz nie udało się jej przebić. - Fogg wzrusza ramionami. — Nie, nie miała powodu, by mi pomagać. - Spogląda na Obliviona i natychmiast odwraca wzrok. - Nikt nie miał.

- Ale miałeś przyjaciół — odzywa się Oblivion, szeptem. — Ludzi, którym na tobie zależało.

- Możliwe. Nie powinienem był... Nie powinienem był ich w to mieszać.

- Chyba jednak nie ty powinieneś o tym decydować, nie sam - rzuca Oblivion.

Stary przygląda się im obu uważnie. Notuje kilka zdań w leżącej na blacie otwartej teczce.

- Co zrobisz potem? - pyta.

Fogg przeciera oczy. Jest wyczerpany. Niewiele zostało mu wyznań. Noc dobiegła już niemal kresu. Fogg wyczuwa w duchu zbliżający się świt.

- Wyruszyliśmy zaraz po wschodzie słońca. Zabraliśmy Klarę z kryjówki i zawieźliśmy ją na lotnisko. Schneesturm już tam czekał. Z rosyjskiego sektora wy dostał się na własną rękę. Żaden z nas nie miał na granicach większych problemów. Umowa była wiązana. Schneesturm i Klara. Komu innemu mógłbym zaufać?

- Nikomu — przyznaje Stary. - A jemu najmniej ze wszystkich.

- Niekiedy — odpowiada Fogg - człowiek nie ma wyboru. Czasami trzeba komuś zaufać.

Stary kiwa głową, zgadza się.

- Do samolotu wsadziłem ją osobiście — podejmuje Fogg. — Poleciała w bezpieczne miejsce. Gdzieś daleko od światowych mocarstw, które mogłyby wyciągnąć po nią swe łapy. Pożegnałem się. Chociaż może nie odezwałem się słowem. Już nie pamiętam.

158. LOTNISKO TEMPELHOF, BERLIN ZACHODNI, 1946

Samolot douglas C-47 dakota stoi na pasie, jaskrawo oświetlony na tle wciąż ciemnego nieba. Wjechali na płytę. Z pomocą Machentraum okazało się to bardzo proste; Amerykanie byli przekonani, że lot stanowi element Operacji Spinacz i jako taki jest *Verboten*. Cel rejsu znał jedynie pilot, a pilotem - mimo że w swym mundurze i z typowo jankeską urodą wyglądał na stuprocentowego Amerykanina - był Schneesturm.

Schneesturm czeka w kokpicie, rysy ma przeobrażone magią snów Machentraum, stojącej w pewnej odległości wraz z Oblivionem. Niemka ma ściągniętą, skupioną twarz, jej iluzja przesłania wszystko dokoła, zmienia oblicza Klary i Fogga. Oblivion jest czujny, ale swobodny. Na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, zdjął z dłoni rękawiczki. Od czasu do czasu zerka przelotnie na Fogga i Klarę. Fogg wyczuwa te spojrzenia, ciepło na skórze.

Stoi tam jak dureń, trzyma Klarę za rękę. Tyle że to nie jest Klara, to jakaś obca kobieta utkana siłą umysłu Machentraum. Rysy ma obce, lecz głos wciąż należy do Klary. Czy rozmawiają? Nie umiemy tego stwierdzić. Śmigła samolotu zaczynają się obracać, silniki warczą, słysząc drzemiącą w nich moc. Czy się całują? Widzimy jedynie cienie.

Wreszcie cienie się rozstają, jeden zmierza do samolotu, drugi zostaje

na miejscu, przygląda się wchodzącej po schodkach, patrzy na zamykające się drzwiczki, na kołujący samolot, który niezgrabnie toczy się po ziemi i zaczyna przyśpieszać wzdłuż pasa. Sunie naprzód prędzej i prędzej, aż wreszcie, w końcu, w jakimś cudownym akcie sprzeciwu wobec praw natury, wzbija się pod niebo; teraz już nie jest niezgrabny. Stalowy ptak frunie; zabiera ze sobą Klarę, unosi ją w dal, a Fogg, na ziemi, obserwuje z zadartą głową, przygląda się malejącemu coraz bardziej samolotowi, który w końcu znika.

CZTERNAŚCIE

CIENIE I ŚWIATŁO

LONDYN

teraz

159. BIURO

- I to już wszystko? - pyta Stary.

- To wszystko.

— Zupełnie wszystko?

-Tak.

Fogg przeciera twarz. Czuje się wycieńczony, pusty. Wszystkie te wyjawione tajemnice... Wiedział jednak, że taki dzień kiedyś nadejdzie. Przez tyle lat przechowywał te sekrety, szlifował je tak, jak wygładza się drogocenne kamienie, do połysku, a teraz wy dostały się na wolność i w świetle okazały się tandetne, bez mała wulgarne. Czy było warto?

Ale, tak, odpowiada sam sobie. Było warto. Musiało być. Ponieważ dzięki temu przez te wszystkie lata Klara była bezpieczna. Klara, która była niczym płomyk w ciemności, była jedynym, co rozświetlało cienie i mrok. Klara, która stała się dla Fogga wyznaniem, jego wiarą. Czymś dobrym i nieskalanym pośród wszystkiego, co się wydarzyło. Bez względu na to, co mówili inni, on wiedział. Samotność, cienie, „Hole in the Wall” - było warto po to, żeby Klary nie spotkało nic złego.

Aż do tej pory.

- Chodźcie ze mną - odzywa się Stary i Fogg wstaje z miejsca, z poczuciem zbliżającego się końca, z wrażeniem nieuchronności, którego doznał już, kiedy Oblivion odnalazł go w pubie.

Oblivion także się podnosi. Spogląda na Fogga bez wyrazu. Stary przytrzymuje się biurka i z wolna dźwiga się z fotela.

Stary podchodzi do drzwi. Otwiera je. Fogg boleśnie kłują stawy. Zbyt długo siedział. Wychodzi za Oblivionem i Starym. Zamyka za sobą

drzwi.

Długi korytarz Blura. Jest tutaj bardzo cicho. Na suficie pręty jarzeniówek. Stary idzie powoli, zmęczonym krokiem.

- Dwie noce temu pojaliśmy Ericha Böhlera - ogłasza.
- Och - odpowiada Fogg i próbuje przetrawić informację.

Mimo że w głębi duszy - co uświadamia sobie w tej chwili — wiedział o tym już wcześniej. Wiedział przez cały czas, od początku.

- Widzisz, Fogg, on ani na chwilę nie zniknął na dobre — opowiada Stary. - Nie do końca. Wypłynął w czasach zimnej wojny. Handlował bronią. W Czeczenii, w Afganistanie. Niegrzeczny chłopiec. Mieliśmy go na oku. We wczesnych latach osiemdziesiątych spróbowaliśmy go nawet schwytać, ale zdołał się wymknąć...

Stary nagle się zatrzymuje. Fogg prawie wpada mu na plecy. Starszy mężczyzna podpira się, kładąc dłoń na ramieniu podwładnego.

-I uciekał nam za każdym razem, aż do teraz — dodaje, a jego spojrzenie badawczo omiata twarz Fogg.

- Tak? - udaje się wydukać Foggowi.
- Próbował zaatakować jedną z naszych instalacji na Morzu Północnym - wyjaśnia Stary. - Jedną z tych, które oficjalnie nie istnieją. I tym razem to my byliśmy górą.
- Tak - powtarza Fogg.

Nie wie, co innego miałby powiedzieć. Nie jest nawet w stanie - nie chce - rozważyć w duchu skutków tego wydarzenia.

- Wiesz, cholera? Odkąd go zgarnęliśmy, śpiewa jak kanarek - rzuca Stary.

Uwalnia Fogga.

- Śpiewa, byle tylko dostać kolację — dodaje z nagłą dzikością w głosie. - Chodźmy.

Ruszają dalej korytarzem. Skręcają raz, drugi, schodzą głębiej pod ziemię. Stąd nie ma ucieczki, stwierdza oszołomiony Fogg. Ostatecznie docierają na najniżej położony poziom siedziby Blura. Wzmocnione drzwi, pancerna stal. Niewielka, praktyczna tabliczka z napisem: *Pokój przesłuchań*.

- Nigdy nie skonstruowaliśmy drugiego pudełka Vomachta — mówi Stary i otwiera drzwi.

160. BIURO, teraz

Siedzi bezwładnie za szklaną ścianą. Siedzi na krześle, za stołem, skrępowana, przodem do szyby. Przodem do Fogga, Starego i Obliviona. Głowa kołysze się jej na piersi. Ma opuchnięte oczy, przymrużone powieki. Wygląda jak po narkotykach. Fogg podchodzi do szklanej przegrody. Przywiera do niej.

- Klara! — rzuca. Nie zmieniła się, myśli. Wciąż jest...

- Dlaczego? — pyta. Odwraca się do Starego. — Co ona ci zrobiła? — Z nagłym gniewem. — Przecież wojny nikt już nawet nie pamięta. Dlaczego nie mogłeś zostawić jej w spokoju?

Fogg zwraca się z powrotem ku dziewczynie. Nie jest w stanie się oderwać. Dłonie na zimnym szkłe. Klara porusza się na siedzeniu. Próbuje szerzej otworzyć oczy. Zupełnie jakby wyczuła jego obecność.

Stary ignoruje wybuch Fogga.

- Opowiedz mi o Klarze, Fogg — prosi. — Opowiedz mi o farmie doktora Vomachta. O idealnym, letnim dniu.

Fogg opiera się o szybę. Przymyka powieki. Wspomnienie wciąż jest tak wyraźne, płonie w jego umyśle niczym żywy ogień. Perfekcyjna chwila, tam gdzie przez cały czas trwa lato...

- *Chcesz to zobaczyć?—pyta Klara. Szeroko uśmiechnięta. Niczym dziewczynka dzieląca się cudowną tajemnicą.*

- *Co takiego?—pyta Henry. Klara podskakuje z ekscytacji i chwyta go za rękę.*

- *Chodź! - rzuca.*

Pociąga go za sobą i prowadzi do kuchni. Przestronne, przewiewne pomieszczenie, zalane słonecznym blaskiem. Na długim drewnianym stole stoi niewielka maszyna, mniej więcej rozmiarów podróźnej walizki. Niemożliwe jest stwierdzenie, co to takiego, do czego służy Klara się zatrzymuje, Henry przystaje obok. Rozgląda się po kuchni, wpatruje w milczącą maszynę.

- *Co? — odzywa się wreszcie.*

- *To właśnie to — wyjaśnia Klara. — To jest to urządzenie.*

— *Ale...*

— *Pamiętam jak dziś — dodaje dziewczyna. Wybuch śmiechem. Rozpościera szeroko ramiona i tańczy w miejscu. — Bo to jest dzisiaj! — podejmuje. — Zawsze jest dzisiaj. Och, Henry.*

Zarzuca mu ręce na kark, trąca nosem jego szyję.

— *Zawsze jest dzisiaj — szepce tuż przy skórze mężczyzny. Idealny, letni dzień.*

Fogg otwiera oczy.

- *Chodzi o urządzenie? - pyta zadziwiony. - Z jego powodu to wszystko?*

— Ono wciąż tam istnieje — odpowiada Stary. — Ta kwantowa bomba. Cokolwiek to w istocie jest. Urządzenie lub jego kopia. Jedyny na świecie działający egzemplarz.

Fogg kręci głową, powoli zaczyna do niego docierać prawda.

- Nie - mówi. - Nie...

- Sam Vomacht przyznał, że nie miał pojęcia. Ze nigdy by tego nie zrobił, gdyby zdawał sobie sprawę. — W głosie Starego pojawia się nieskrywany gniew. Przerazający po wielu godzinach cierpliwego przesłuchiwania. -Ta technologia jest nie do odtworzenia — dodaje Stary. - Nie zdołamy wywołać nowej przemiany. Ani odwrócić skutków tamtej. Przemiana wciąż się dokonuje, Fogg. Zmienny punkt odniesienia. Nie ma możliwości, by ją przerwać. Chyba że...

— Nie — powtarza Fogg. — Nie.

- Muszę - nalega Stary.

— Nie wolno ci!

- My się nie starzejemy! - rzuca Stary.

Fogg zwraca się prosto ku niemu. Stary wbija spojrzenie w oczy Fogga. Na jego obliczu nie ma już śladu cierpliwości. Zniknęło zrozumienie. To nie jest już twarz spowiednika, to twarz starego, zgorzkniałego wojownika. A Fogg myśli: Jak to możliwe, że nie zrozumiałem tego wcześniej?

- Nie umieramy! - syczy Stary.

Zaraz potem przemawia jednak łagodniej; Foggowi pęka przez to serce.

— Tkwimy nieruchomo w miejscu, podczas gdy świat toczy się naprzód - mówi Stary. — Żyję w świecie, którego już nie znam. Nie

rozpoznaję języka, jakim posługują się ludzie. Chodzę ulicami Londynu i mam wrażenie, że zwiedzam miasto na obcej planecie.

- Co zamierzasz zrobić? — pyta Fogg, lecz Stary nie zwraca na niego uwagi.
- Wygraliśmy wojnę, Henry - przypomina. - Zwyciężyliśmy w tej wojnie, lecz przegraliśmy samych siebie.
- Nie mogę ci na to pozwolić - uprzedza Fogg.
- Przede wszystkim - syczy Stary - nie ty o tym decydujesz.

Fogg wychwytuje kątem oka jakieś poruszenie. Odwraca się z powrotem do szyby. Do pokoju przesłuchań wchodzi pielęgniarka. Niesie w ręku strzykawkę.

- Nie - mówi Fogg. - Proszę.

Pielęgniarka zbliża się do Klary. Podwija jej rękaw. Odkąża skórę kłębkiem bawełnianej waty. Przygotowuje zastrzyk.

- Jesteś do niej dostrojony — mówi Stary. Stoi tuż za Foggiem. - To potrwa tylko chwilę - dodaje szeptem.

Pielęgniarka wbija igłę w ramię Klary, wciska tłoczek do końca. Ciało dziewczyny zaczyna się rzucać, szarpać w więzach. Fogg krzyczy i nagle...

161. FARMA DR. VOMACHTA

...staje w kuchni. Na ścianie wiszą warkocze czosnku. Ciężkie, poczerńnięte garnki. Słoneczny blask wpada strumieniami przez otwarte okno, dezorientując Fogga. Mruga gwałtownie i widzi Klarę.

- Henry!

Jej widok przepelnia go strachem.

- Klara - mówi.

Podchodzą do siebie. Tuli mocno dziewczynę, kryje twarz w zgięciu jej ramienia, wdycha zapach. Klara drży w jego objęciach. Po chwili odsuwa się. Unosi dłoń i gładzi go po policzku.

- Boję się, Henry - mówi. - Co się ze mną dzieje?

Jego dłonie na jej ramionach, ciepło ciała Klary.

-Wyciągnę cię z tego. Obie...

162. BIURO, teraz

- ...cuję.

Klara siedzi bezwładnie na krześle. Stojąca nad nią pielęgniarka ponownie napełnia strzykawkę płynem z buteleczki na stoliku. Fogg czuje za plecami obecność Starego. Ciężką, przytłaczającą.

- Naciśnij guzik — mówi Stary.

- Nie.

Stary oddycha głośno, z trudem.

- Już czas położyć temu kres - mówi.

Fogg zwraca się do przełożonego.

- Nie wiesz, co robisz - stwierdza. — Nie możesz wiedzieć, co się stanie.

- Nic mnie to nie obchodzi! - prycha Stary. - Już nie. Henry, jestem zmęczony.

Coś w Foggu pęka. Rozczarowanie. Gniew. Rzuca się na Starego. Oblivion natychmiast wkracza między nich. Jego palce, silne i twarde, chwytają ramiona Fogga.

- Oblivion, pomóż mi! - prosi Fogg.
- Trzymaj go, Oblivion - mówi Stary.

Miny Obliviona nie da się odczytać. Stary popycha Fogga, odwraca go. Fogg spogląda przez szybę. W sali przesłuchań pielęgniarka kończy szykować drugi zastrzyk, Fogg może tylko patrzeć, jak kobieta wbija igłę w ramię Klary i tym...

163. FARMA DR. VOMACHTA

...razem pojawia się nie w kuchni, lecz na łące przed domem. Dotyk słonecznych promieni na skórze wywołuje wstrząsające, dziwne odczucie. Klara płasza z rozpostartymi ramionami, jej sukienka marszczy się w powietrzu. Obok niej zawisa motyl. Coś jest jednak nie tak. Klara zamarła w swym tańcu. Motyl wisi w bezruchu, martwy. Słońce gaśnie, a niebo robi się czarne jak plama gangreny. Zieleń zostaje wyssana z trawy, zastąpiona szarością i sepią. Trzęsie się ziemia. Faluje powietrze. Klara się potyka, Fogg rzuca się do niej, podtrzymuje, nie pozwala upaść. Dziewczyna unosi wzrok. Jest przerażona.

- Henry, co się ze mną dzieje? — pyta.

Podłóżę znowu dygoce, rozlega się dźwięk, jaki mógłby towarzyszyć pęknięciu nieba. Henry traci oparcie dla stóp. Oboje upadają. Klara krzyczy.

- Henry!

Trzymaj ją, rozpaczliwie.

- Niech przestaną! — woła dziewczyna. — Proszę, spraw, żeby

przes...

164. BIURO, teraz

- ...tali!

- Puście ją! - syczy Fogg. Szarpie się w uścisku Obliviona.

Pielęgniarka wyciąga igłę opróżnionej strzykawki. Szykuje trzecią dawkę. Stary ciężko dyszy, w jego oczach majaczy obłąd.

- Zaczęło się! - mówi. - Nareszcie się zaczęło!

- Oblivion, proszę cię. - Fogg próbuje raz jeszcze. Zawisa bezwładnie w ramionach przyjaciela. - Proszę, Oblivion.

Oblivion jest ciepły, twardy. Uwalnia Fogg. Składa dłonie na jego barkach, spogląda mu w twarz, jakby czegoś w niej poszukiwał, czegoś drogiego i zagubionego.

- Fogg, dlaczego?

- Dlatego że ją kocham - pada odpowiedź.

- Śmiesz mi opowiadać o miłości? - Twarz Obliviona przypomina oblicze kamiennego posągu.

Fogg nagle traci dech w piersiach, jak uderzony.

- Tak bardzo cię przepraszam - szepce.

- Oblivion, co ty, do diabła, robisz?! - syczy Stary.

Oblivion nawet nie patrzy na przełożonego. Całą uwagę skupia na Foggu.

- Nie wtrącaj się, Starcze - odpowiada.

Fogg odnosi wrażenie, że widzi Obliviona po raz pierwszy w życiu. Ogarnia go nagłe pragnienie, by unieść rękę i musnąć bladą twarz przyjaciela.

Chciałby tylko nie widzieć przerażającego wyrazu jego spojrzenia.

- Pomogłem ci wydostać ją z Berlina - przypomina Oblivion. -
Zabiłem dla ciebie tego człowieka.

-Wiem, ja...

- Byliśmy razem! - ciągnie Oblivion. - Od czasów Farmy. Na wojnie, w okopach, w Berlinie. A ty nigdy nawet nie zapytałeś.

Fogg patrzy staremu przyjacielowi w twarz.

- Nie musiałem pytać - odpowiada, cicho.

-Tamtą noc w Mińsku - mówi Oblivion. Ból dławi jego słowa.

- Nie, Oblivion. Ja nie chciałem...

Oblivion jeszcze nie skończył.

- Odszedłeś - dodaje. - Wycofałeś się ze świata. Na długie dziesięciolecia. Dlatego że cię bolało. Henry, Henry, ty odszedłeś nawet ode mnie.

Fogg nie znajduje żadnej odpowiedzi. Czuje, że wszelkie słowa byłyby puste i bezużyteczne. Tak jak puste i bezużyteczne są zawsze.

Wymieniają się spojrzeniami.

- Co więcej moglibyśmy powiedzieć? - Fogg, zrezygnowany, poddaje się losowi. - Po prostu zrób to - szepce. I jeszcze: - Przepraszam.

Oblivion kręci głową. A jego ręce opadają do boków. Wypuszcza Fogga.

- Oblivion? Co ty wyprawiasz?! - wrzeszczy Stary.

Ale Oblivion wciąż patrzy tylko na przyjaciela.

- Idź - mówi, tonem szorstkim i twardym. - Idź. Masz tylko tę jedną szansę.

Odwraca się ku szklanej ścianie. Muska ją łagodnie i szyba znika, ulega dezintegracji. Uderza ich chłodne klimatyzowane powietrze. Popycha Fogga.

- Idź! — krzyczy.

Fogg zatacza się i wpada do środka. Zaskakuje pielęgniarkę. Porusza się leniwie, jakby pływał.

- Proszę ode mnie odejść! - rzuca kobieta.

- Daj mi to! — Fogg próbuje chwycić strzykawkę, lecz pielęgniarka macha nią jak bronią i Fogg wycofuje się ostrożnie.

Kobieta z paniką na twarzy wywija przed sobą igłą. Jednak zaraz potem, bez słowa, ciska strzykawkę na podłogę, odwraca się i wybiega. Znika za bocznymi drzwiami, które głośno za nią trzaskają.

Fogg pochyla się i podnosi strzykawkę. Wpatruje się w nią przez chwilę.

- Co robisz? - Stary się wściekł, podnosi głos. - Oblivion? Co on robi? Zatrzymaj go!

Oblivion jednak wyciąga ręce ku przełożonemu. Przytrzymuje go delikatnie. Fogg podchodzi do Klary. Klęka u jej boku. Głaszcząc policzek dziewczyny. Ona trzepoce powiekami, otwiera oczy.

- Henry... - odzywa się.

- Musimy uciekać - mówi Fogg. Szeptem.

Usta dziewczyny układają się w załóżek uśmiechu.

- Dasz radę? - upewnia się Fogg.

Klara wzdycha. Z trudem utrzymuje rozchylone powieki.

- Nie będzie powrotu... — mówi i Fogg uśmiecha się do niej.

- Wiem - przyznaje.

Oczy dziewczyny się zamykają. Zaczyna z niej emanować jaśniejąca mgiełka, początkowo słaba, lecz z każdą chwilą bardziej wyrazista, jasny słoneczny blask, światło letniego dnia.

- Zatrzymaj ich! — syczy Stary.

Odpycha Obliviona, zaskakując go, i uwalnia się.

Fogg, nadal klęcząc, odwraca głowę. Stary biegnie w jego stronę. Fogg podnosi ramiona. Wstaje, by przechwycić Starego.

Zderzają się z impetem.

- Fogg? Coś ty zrobił? — odzywa się Oblivion.

Stary wiotczeje w ramionach Fogg, który układa go łagodnie na posadzce. Stary ciężko dyszy. Fogg klęka przy nim. A Oblivion rozumie dopiero teraz.

Zauważa strzykawkę, która sterczy z piersi Starego niczym sztylet.

- Fogg!

Fogg go jednak nie słyszy. Klęczy obok dawnego szefa, ból ściąga mu twarz. Stary dyszy z wysiłkiem, rwanym oddechem. Spogląda podwładnemu w oczy.

- Starcze, ja... — zaczyna Fogg i rwie mu się głos.

- Henry — mówi Stary. Podnosi dłoń, muska Fogga przelotnie po policzku. Próbuje się uśmiechnąć. - Chciałem po prostu być wolny - mówi.

Dłoń starego mężczyzny opada do boku. Zamyka oczy. Chwilę później przestaje oddychać. Wpatrzony w ciało Fogga gwałtownie mruga. Podnosi spojrzenie na Obliviona, oblicze przepełnione żalem. Oblivion kiwa bez słowa głową. Podchodzi i podaje Foggowi rękę.

- Nie wiedziałem - mówi Fogg.

- Już dawno temu zabrakło mu rzeczy, w które mógł wierzyć - tłumaczy Oblivion. - A przecież każdy musi w coś wierzyć, Henry. Nawet w coś nieprawdopodobnego. - Oczy Obliviona są błękitne i czyste. - Ty masz Klarę - ciągnie. - A ja... - Stara się zdobyć na uśmiech. - Ja chyba mam ciebie.

Pomaga Foggowi wstać. Ich dłonie się rozdzielają. Fogg bez słowa kiwa głową.

Wtem:

- Klara! - rzuca Fogg. Odwraca się.

Światło zalewa ją całą. Niesie ze sobą nutkę woni świeżej trawy, kwitnących kwiatów. Słoneczne promienie jaśnieją coraz bardziej, aż wreszcie obaj mężczyźni muszą zasłonić oczy i odwrócić spojrzenia.

Blask bije prosto z Klary, oślepiający. Wreszcie ustępuje, znika, i gdy Fogg z powrotem spogląda na krzesło, nikogo już tam nie ma. Dziewczyna zniknęła.

- Henry. - Oblivion przerywa milczenie.

Fogg patrzy na przyjaciela.

- Nie idź tam.

Słowa więzną mu w gardle. Fogg podchodzi do niego. Bierze w ramiona. Tuli do siebie. Jest niższy, więc składa policzek na piersi Obliviona. Czuje bicie męskiego serca, tak jak wiele lat wcześniej, na Gare du Nord, kiedy mieli wyjechać z Paryża. Uwalnia Obliviona z objęć. Nie jest w stanie znieść wyrazu twarzy przyjaciela. Odwraca się. To zawsze kończy się tym, że się odwracamy. Wiemy o tym. My również zostaliśmy kiedyś zranieni.

- Muszę — szepce Fogg.
- Wiem - odpowiada Oblivion. Tak cicho, iż nigdy potem nie mamy pewności, czy naprawdę to słowo usłyszeliśmy.
- Żegnaj, Oblivion - mówi Fogg.

Nie spogląda za siebie. Podchodzi do drzwi pokoju przesłuchań i otwiera je. Do podziemnej sali wlewają się kałuże letniego słońca. Pomieszczenie jest szaro-białe, szkło i beton. Lecz za otwartymi drzwiami dostrzegamy sugestię barw, błękitnego nieba, zielonej trawy, białych chmur i żółtego słońca.

Gdzieś tam gra muzyka, niezbyt głośno. Dziewczyna zanoszą się dziecięcym, radosnym śmiechem.

Do podziemnej sali wpływają promienie słońca.

Fogg rusza ku światłu.

KOMENTARZ

DOTYCZĄCY HISTORYCZNYCH POSTACI I WYDARZEŃ

Niniejsza powieść jest, co prawda, dziełem fikcyjnym, lecz autor dołożył starań, by rzeczywiście istniejące osoby i wydarzenia przedstawić z jak największą starannością.

Operacja Spinacz była amerykańską operacją mającą na celu odnalezienie i sprowadzenie do Stanów Zjednoczonych niemieckich naukowców zajmujących się pracami nad bronią rakietową. Dr Wehrner von Braun, najlepiej znany jako główny konstruktor rakiet V2, stał się ważną postacią amerykańskiego programu kosmicznego i po wojnie kierował budową rakiet Saturn, które wynosiły w przestrzeń kosmiczną pojazdy programu Apollo.

Prowadzone przez Josefa Mengele w Oświęcimiu straszliwe eksperymenty medyczne zostały dobrze opisane w innych miejscach - sam Mengele był w okresie powojennym jednym z najbardziej poszukiwanych nazistowskich zbrodniarzy. Nigdy nie został schwytany; podejrzewa się, że zmarł naturalną śmiercią w Argentynie.

Kurt Lischka był w 1944 roku szefem paryskiego Gestapo. Był odpowiedzialny za przeprowadzenie największej akcji deportacyjnej Żydów z okupowanej Francji. Po wojnie skazany na dziesięć lat pozbawienia wolności. Umarł jako wolny człowiek w 1989 roku.

Carl Clauberg podobnie jak Mengele działał w niemieckim obozie śmierci w Oświęcimiu, gdzie przeprowadzał na ludziach koszarne eksperymenty. Jego ofiarami stało się tysiąc żydowskich kobiet, spośród których wiele zmarło lub doznało nieodwracalnych okaleczeń. Po wojnie sądzony w Związku Radzieckim, skazany na dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności. Zwolniony po siedmiu latach powrócił do Niemiec Zachodnich. Wskutek chętności się swymi „osiągnięciami

naukowymi” został po niedługim czasie aresztowany powtórnie, lecz jeszcze przed rozpoczęciem procesu zmarł w celi na zawał serca.

Leni Riefenstahl, oddana przyjaciółka Hitlera i reżyserka filmowa, nie została nigdy postawiona w stan oskarżenia. Zmarła w podeszłym wieku stu jeden lat.

Arnold Deutsch, człowiek, który znalazł Fogga w Cambridge i poinformował o nim Bluro, był w rzeczywistości znanym rosyjskim szpiegiem. Żyd, wcześniej zwerbowany przez NKWD, tajną policję radziecką, podczas studiów w Trinity College zajmował się wyszukiwaniem i werbunkiem obiecujących kandydatów na agentów. Zwerbował Kima Philby'ego, Donalda Macleana, Guya Burgessa i Anthony'ego Blunta. Tożsamości piątego podopiecznego nigdy nie ustalono. Całą siatkę znano jako Piątkę z Cambridge. Burgess i Maclean uciekli do Moskwy w 1951 roku, w 1961 dołączył do nich Philby (wówczas już oficer MI6). Blunt pozostał w Wielkiej Brytanii i w późniejszym okresie został potajemnie ułaskawiony. Deutsch został odwołany do Moskwy w roku 1937. Przetrwał szalejące wówczas czystki stalinowskie. Zniknął w latach 40.; według jednej wersji zginął w trakcie skoku spadochronowego nad Austrią, wedle innej utonął po storpedowaniu wiozącego go statku przez u-boota. Jego prawdziwy los pozostaje nieznany.

Powstanie w warszawskim getcie wybuchło w 1943 roku i opierało się niemieckiej armii przez bez mała pięć miesięcy. W walkach poniosło śmierć trzynaście tysięcy Żydów. Pozostałe pięćdziesiąt tysięcy zostało odesłane do obozów zagłady, w większości do Treblinki.

Paryż został zajęty przez Niemców w czerwcu 1940 roku. Mińsk upadł w 1941, w pierwszym etapie operacji Barbarossa — jak nazywała się niemiecka inwazja na Związek Radziecki. Wehrmacht dotarł do Leningradu (dzisiaj Sankt Petersburg) we wrześniu 1941 roku, po czym rozpoczęło się oblężenie miasta, trwające niemal dwa i pół roku i będące jednym z najdłuższych oraz najbardziej niszczycielskich oblężeń w dziejach.

Węgry - a wraz z nimi Transylwania - zostały zajęte przez Niemców w roku 1944, co doprowadziło do masowej wywózki tamtejszych Żydów do obozów śmierci, na rok przed końcem wojny. W komorach gazowych zginęło około sześciuset tysięcy węgierskich Żydów.

Porwanie i proces Vomachta zostały luźno oparte na historii dokonanego przez agentów Mosadu uprowadzenia i późniejszego procesu Adolfa Eichmanna, prominentnego nazisty, jednego z architektów Rozwiązania Ostatecznego. Eichmann został powieszony, a jego prochy rozsypano nad Morzem Śródziemnym, poza wodami terytorialnymi Izraela, by „nie można było w żaden sposób upamiętnić jego osoby i by żaden kraj nie służył mu za miejsce spoczynku”.

Stanley Martin Lieber jest lepiej znany pod swym pseudonimem artystycznym Stan Lee. Syn żydowskich imigrantów z Rumunii, został jednym z najbardziej znanych amerykańskich twórców komiksów o su-perbohaterach.

Joseph „Joe” Shuster był synem żydowskich imigrantów, którzy z Holandii przenieśli się do Kanady. Jerry Siegel był dzieckiem osiedlonych w USA żydowskich imigrantów z Litwy. Razem w 1932 roku stworzyli komiksową postać znaną jako Superman.

Konferencja poczdamska odbyła się w 1945 (nie 1946), z udziałem Stalina, Churchilla i Trumana.

Na podobnej zasadzie pozwoliłem sobie nieco zmienić topografię kompleksu obozów Auschwitz-Birkenau.

Mur Berliński został wzniesiony w 1961 roku i został zburzony - co transmitowały telewizje całego świata - w roku 1990, niemal trzydzieści lat później. Podczas prób sforsowania muru zginęło ponad dwieście osób, ostatnia - w 1989 - poniosła śmierć podczas próby ucieczki domowej roboty balonem.

W 1967 roku wojna wietnamska trwała już w najlepsze. Mniej znana jednak pozostaje tak zwana Tajna Wojna, prowadzona przez armię

amerykańską w Laosie. CIA i kierowana przez nią cywilna linia lotnicza, Air America, założyła w tym kraju dużą bazę wojskową i prowadziła zakrojone na szeroką skalę bombardowania celów w Laosie i Kambodży. Na sam Laos spadło około 260 milionów bomb kasetowych, z których 75 milionów okazało się niewybuchami, pochłaniającymi do dziś około 300 ofiar rocznie. Pogłoski o sfinansowaniu operacji CIA środkami z przemytu opium nigdy nie zostały potwierdzone ani oficjalnie zdementowane.

Armia radziecka najechała Afganistan w roku 1979. Wojna przeciwko Rosjanom przyciągnęła wielu mudżahedinów z całego świata arabskiego. Jednym z ich przywódców był młody potomek bogatego rodu saudyjskiego. W 1984 roku Osama bin Laden kierował już całą siatką bojowników, korzystających z dostaw broni i finansowania z wielu źródeł, w tym amerykańskiej CIA.

PODZIĘKOWANIA

Żadna powieść nie istnieje w próżni. Po pierwsze, winien jestem podziękowania Kate Myres, która jako pierwsza skierowała mnie ku Oblivionowi: bez Ciebie ta książka nie zaistniałaby w ogóle.

Dziękuję Nicoli Sinclair, przyjaciółce i muzie, za to, że dawała mi kuksańca zawsze, kiedy tego potrzebowałem.

Dziękuję rodzicom, za nieustającą obecność i zapewnienie miejsca, w którym napisałem pierwszą wersję „Stulecia przemocy”.

Richardowi Kunzmannowi za przyjaźń i pomoc udzieloną w chwili największej potrzeby.

Marcusowi Rauchfussowi za korygowanie mojej niemczyzny, Jekatierinie Sedii za pomoc dotyczącą Swierchliudiej. Ewentualne błędy biorę w całości na siebie.

Belli Pagan i Shimonowi Adafowi, którzy czytali wczesny rękopis i wspomogli mnie konstruktywną krytyką. Dziękuję Wam.

Shimonowi dziękuję także za inspirację, a Nirowi Yanivowi za cierpliwe wysłuchiwanie.

Mojemu agentowi i przyjacielowi, Johnowi Berlyne, za wiarę we mnie.

I jak zawsze dziękuję Elizabeth.